

**ŚWIAT, JAKI ZNAMY, NIEDŁUGO SIĘ SKOŃCZY**

# TEP ROD

**MAX CZORNYJ**

FILIA



**M A X C Z O R N Y J**

**TER  
ROR**

**FILIA**

## ODCINEK 1. PILOTAŻOWY

### 1.

**WIELKI PIĄTEK**

**GODZINA 5:00**

*Mówi Ta'abbata Sharran. Macie równe sto osiemdziesiąt minut do końca waszego świata. Sto osiemdziesiąt minut od momentu, gdy nacisnę przycisk „nadaj wiadomość”. Nie interesuje mnie, kiedy ją odbierzecie ani jak długo zajmie wam jej odsłuchanie. Jeżeli dziś, do godziny siódmej rano wasze władze nie uwolnią Muhmuda Ibn Yusufa al-Aswaniego, Fajsala ibn Husajna i Sajfa Udina, wielu nie zobaczy zachodu słońca. Jeżeli nadal będziecie nie dowierzać, wasz bruk pokryje morze krwi. Zapuszczę swój sierp i żniw dokonam. Będziecie uciekać, a ja będę ciął ile sił, aż nabierzecie rozumu. Najlepiej dla was, abyście mieli go już teraz. Zostało tylko sto siedemdziesiąt osiem minut. A może i mniej. Jeżeli nie posłuchacie, rozleje się powódź łez i śmierci. Allah Akbar.*

Inspektor Adam Knap przetarł oczy. Wyrwany przed dwoma kwadransami z głębokiego snu, wciąż dochodził do siebie. Jego umysł pracował już na najwyższych obrotach, ale jakby brakowało mu smaru. Do tego niewidoczna, zawzięta siła chciała skleić mu powieki. Oddałby wszystko, żeby zamiast tkwić na komisariacie, móc się jeszcze wylegiwać w łóżku.

Odchylił mankiet koszuli i zerknął na zegarek. Szwajcarski oris wskazywał trzy minuty po piątej.

No, dwie i pół, biorąc pod uwagę jego tendencję do spieszenia się.

– Jeżeli zakładamy, że to nie jest fałszywy alarm... – odezwał się i zawiesił na chwilę głos – do tego morza łez zostały nam niecałe dwie godziny. Spodziewam się, że skoro budzicie mnie o wpół do piątej, mamy przesłanki, że to jest całkiem na poważnie. Robert? Powiedz mi, że się mylę.

Komisarz Robert Bielawski założył ręce na piersi i napiął mięśnie jak przeciągający się kot. Był rosląm mężczyzną o wyćwiczonym ciele. Zacisnął nerwowo szczęki.

Za oknem dopiero rysował się świt. Różowawa poświata igrała na ścianach rozległego biura. Gdy Knap przed paroma minutami zjawił się na miejscu, natychmiast zgasił intensywne, białe jarzeniówki.

– Wiadomość trafiła na nasz wewnętrzny serwer – wyjaśnił Bielawski. – Jego adresu nie znajdzie się na cholernej, pierwszej lepszej stronie internetowej. Poza tym została oznaczona jako priorytetowa. Sedno w tym, że tylko my możemy ją tak oznaczyć.

– Przynajmniej teoretycznie – wtrącił się trzeci z obecnych w pomieszczeniu mężczyzn. Aspirant Tomasz Landau był najmłodszy i jako jedyny miał na sobie mundur. – Sama zawartość naszych serwerów jest zabezpieczona jak archiwum Białego Domu. Jednak skalę priorytetu dobry informatyk jest w stanie zmienić bez większego wysiłku.

– A więc możemy założyć, że to dobry informatyk?

– Bez dwóch zdań.

– Muzułmanin?

– O ile ktoś nie robi sobie z nas jaj... To chyba oczywiste.

Knap oderwał wzrok od ekranu komputera. Wpatrywanie się w plik z nagraniem dźwiękowym niewiele mogło pomóc. Poza tym o informatyce nie miał bladego pojęcia. Potrafił obsługiwać komputer, sporządzić notatkę lub wysłać maila i uważał, że jak na jego wiek tyle wystarczy. W firmie od skomplikowanej roboty miał swoich ludzi. W domu dorastającego syna, który dzielił więcej wspólnego ze światem wirtualnym niż rzeczywistym. Cud, że dzisiejszej nocy zamiast telepać się nad klawiaturą, udał się do kumpla. Nieważne, co tam robili.

– Błagam, powiedzcie mi, że jesteśmy w stanie ustalić, skąd nadeszła ta wiadomość... – Knap podszedł do okna i je uchylił. Świeże powietrze powinno pobudzić krążenie. – Informatyk jeszcze śpi? – zapytał.

– Nie jesteśmy kretydami – obruszył się Landau. – Kazałem mu się tym zająć, zanim pan przyjechał, inspektorze...

– Więc?

– Jak zwykle obiecuje złote góry, ale to potrwa. Na razie sprawa wygląda kiepsko.

– Co znaczy: kiepsko? – drążył Knap.

Bielawski bezradnie rozłożył ręce i opuścił je, głośno plaskając o wełniane spodnie.

– Nie wiemy nawet, czy wiadomość wysłano z Polski. Równie dobrze to może być żart zagranicznych hakerów. Albo gówniana zabawa jakichś małolatów.

Knap westchnął.

– Myślałem, że jedni i drudzy mają ciekawsze rzeczy do roboty – mruknął, po czym powiódł wzrokiem od jednego do drugiego policjanta. – W takim razie jak oceniacie ryzyko?

– Większe niż ciąży przy przerywanym. – Bielawski wydał wargi w ponurym uśmiechu, ale nikt nie podzielił jego humoru. – Znacznie większe.

– A ty, Tomek? – Knap wymierzył palcem w drugiego z policjantów. – Co o tym myślisz?

– Że mamy naprawdę przesrane – odparł Landau. – Nadawca zna się na rzeczy, jest zdeterminowany i sporo się nad tym napocił. Nawet nagranie wiadomości, a nie wysłanie zwykłego tekstu, o tym świadczy. Po jasną ciasną zawracał sobie tym dupę?

Knap skubnął palcami podbródek. Nigdy nie umiał sobie wyobrazić tej „jasnej ciasnej”. A może po prostu nie chciał.

Nie. To była zdecydowanie zła pora. Po pięćdziesiątce człowiek potrzebuje dodatkowej godziny snu. Ponoć jednocześnie z przejściem na emeryturę automatycznie odechciewa się spać, ale ostatnie lata to tryb nieustannego czuwania. Stand-by, jakby określił to jego syn. Coś w tym jest.

Knap intensywnie zamrugał, jakby chciał w ten sposób przegnać otepienie. Był bardzo drobnym, łysiejącym mężczyzną, z krótko przyciętą szczeciną szpakowatego zarostu. Przypominał drewnianego pajaca, na którego natura poskąpiła materiału. Zawsze wyprostowany, poruszał się flegmatycznie, jakby planował każde drgnięcie mięśnia. Mimo tego bez

przerwy lustrował otoczenie bystrym spojrzeniem. Jego ciemne oczy pozostawały w nieustannym ruchu, a pierś głęboko falowała. Astmatyczny oddech powodował, że mówił cicho, a jego głos miał rzeźący tembr.

– Nawet jeśli wiadomość wysłano z zagranicy... – odezwał się i zerknął za okno. Brzask mienił się w szklanych taflach wieżowców. Świt w wielkim mieście jest najpiękniejszą porą. – Musiał to zrobić Polak.

– Wnioskuje to pan po języku? – Landau powiódł spojrzeniem za Knapem. Warszawska panorama urzechała go znacznie mniej.

– Nie wyczułem choćby śladu zagranicznego akcentu – wyjaśnił inspektor.

– Też na to zwróciłem uwagę – rzucił Bielawski i poruszył myszką, rozjaśniając ekran. – Problem w tym, że nagranie brzmi dziwnie elektronicznie. Jak puszczone przez Iwonę albo inne gównu.

– Iwonę? – zdziwił się Knap. – O czym ty mówisz?

– To maszyna odczytująca teksty – oględnie wyjaśnił Landau. – Przeczyta wszystko, co jej się każe.

– Sugerujecie, że tę wiadomość odczytała maszyna? Że mogła ją napisać równie dobrze dwunastoletnia dziewczynka, a maszyna użyczyła jej głosu? – dopytywał się Knap.

– Musimy dopuścić taką możliwość. Możemy nie mieć nawet jego głosu... – odparł Landau.

Knap się zamyślił. Popatrzył po rzędach biur, po ekranach komputerów i obrotowych fotelach. Za kilka godzin w tym pomieszczeniu będzie pracowało kilkanaście osób. Największa w Polsce, stołeczna siedziba Centralnego Biura Śledczego Policji przeszła niedawno generalny remont. Pełnymi garściami czerpano wzorce z zachodu: otwarte stanowiska pracy, dogodne warunki komunikacji pomiędzy funkcjonariuszami, inspirująca przestrzeń. Samo przebywanie w tak zaprojektowanym pomieszczeniu miało dawać natchnienie. Tyle że on miał teraz w głowie kompletną pustkę. Smar rozchodził się po trybach jego mózgu w ślamazarnym tempie.

– Musimy podjąć decyzję – obwieścił stanowczo. – Albo zaczynamy aferę, albo się wstrzymujemy. Tylko że jeśli to dzieje się naprawdę... Mamy mniej niż dwie godziny...

Landau wzruszył ramionami.

– Na dobrą sprawę nie mieliśmy jeszcze w Polsce zamachu – powiedział.

– Co z tego? – zachnął się Knap.

– To, że...

Aspirant przerwał, widząc, że inspektor już go nie słucha. Knap odruchowo przyłożył dłoń do piersi. W wewnętrznej kieszeni marynarki nosił miniaturowe wydanie Nowego Testamentu. Zastukał w nie palcem, jakby chciał wywołać odpowiedź.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz – szepnął ponuro. – „Czuwajcie więc, bo nie znacie dnia ani godziny”. Śmierć nadchodzi niespodziewanie.

## 2.

Dwie minuty później Landau połączył się z pokojem dwadzieścia osiem. Pokój dwadzieścia osiem od lat był siedzibą pionu informatycznego i stał się synonimem mitycznych czeluści, w których dokonuje się cudów w alternatywnej rzeczywistości. Pięciu etatowych, najwyższej klasy pracowników warowało w systemie dyżurowym. Dwóch zawsze na miejscu, trzech pod telefonem. Nigdy nie obarczano ich zadaniami, które mogły zostać wykonane przez informatyków zewnętrznych lub z komend wojewódzkich. Zadaniowcy Komendy Głównej, a w szczególności Biura Operacji Antyterrorystycznych, musieli być gotowi do działania na wypadek sytuacji kryzysowych. Pokój dwadzieścia osiem z niezłym wyposażeniem i bogatym zapleczem sprzętów odstresowujących stanowił ich centrum dowodzenia. Mieli tam między innymi ministół do bilarda, boisko do trambambuli oraz kilka tarcz gotowych na ostrzelanie kolorowymi kulkami lub rzutkami. Informatyczna Ziemia Obiecana.

– Musimy wiedzieć cokolwiek na sto procent. – Landau z całej siły ścisnął słuchawkę. – Czy to profesjonalista, skąd wysłano wiadomość, jakim cudem ten człowiek wszedł na nasze pieprzone serwery...

– Tak. To cholerny profesjonalista – burknął informatyk. – Tyle mogę powiedzieć.

– Nic więcej? – dociekał Landau.

– Mam strzelać? Domyślam się, że od tego, co wam teraz wcisnę, może sporo zależeć. To znaczy, ja nawet nie chcę się tego domyślać. Robię swoje. A robiąc swoje, ponad wszelką wątpliwość mogę tylko powiedzieć, że skurczybyk zna się na tym, co robi. Rozumie pan? Jest specjalistą. Łamie kody aż trzeszczy – denerwował się informatyk.

Landau pokręcił głową w stronę Knapa i Bielawskiego. Obaj mężczyźni oczekiwali wyniku rozmowy, ale na ten gest jednocześnie zacisnęli zęby. Jak jednojajowe bliźniaki. Albo para kochanków, nad której karkami rozkosznie dynda ostrze gilotyny.

– Kiedy? – dopytał aspirant.

– Co kiedy?

– Jak długo mam czekać na więcej informacji? Może potrzeba panu dodatkowych ludzi? – próbował uściślić Landau.

– Ilość niczego nie zmieni – wycedził lokator pokoju dwadzieścia osiem. – Sprzęt mieli dane w swoim tempie, a pan mnie właśnie odrywa od roboty.

– Jak długo? – powtórzył z naciskiem Landau.

– Trzy godziny. Jeśli dobrze pójdzie.

– Rozumie pan, że mamy mniej niż dwie godziny? – denerwował się aspirant.

– Gównu mnie to obchodzi. Po prostu nie dam rady. – Informatyk był wyraźnie zniecierpliwiony. – Grzebanie w systemie to nie jest bieg na sto metrów i nie wsadzę sobie w dupę...

Aspirant rozłączył się i rzucił słuchawkę na biurko. Knap natychmiast odwrócił się w jego stronę. Bystre spojrzenie przemknęło po nienagannie wyprasowanym mundurze, wyprostowanej sylwetce i spoczęło na pełnej determinacji twarzy młodego policjanta.

– Trzy godziny. – Landau przeczesał palcami włosy. – Ale i wtedy nie spodziewałbym się rewelacji.

– Trzy godziny... – ponuro powtórzył za nim Knap.

Gwałtownie pobladł i zacisnął usta. Popadanie w przygnębienie nie było teraz na miejscu. Zgarbił się i nerwowo pogładził połą marynarki. Nagle zastygł w bezruchu. W tej pozycji jeszcze mocniej upodabniał się do porzuconej zabawki, z której nieoczekiwanie wyjęto baterie. Bielawski podszedł do niego. Zatrzymał się o krok naprzeciw, jakby chciał go zaraz poklepać po ramieniu.



– Co mamy robić? – zapytał i wyciągnął z kieszeni notatnik i tani, plastikowy długopis. – Doskonale wiemy, że odpowiedzialność za to gówno spadnie na nas.

Knap podniósł wzrok i powoli skinął głową.

– Wezwijcie dyżurnych – mruknął. – Wszystkich. Niech wypruwają sobie flaki, bo mają do odwalenia kawał roboty. Chcę wiedzieć, kim są te gnojki, o których mowa.

– Muhmud Ibn Yusuf al-Aswani, Fajsal ibn Husajn i Sajf Udin – odczytał z kartki Bielawski.

– Zgadza się. I ten nasz szantażysta.

– Ta'abbata Sharran – dodał komisarz.

– Jezu. – Knap odkaslnął. – Z moją astmą, gdybym się tak nazywał, nie byłbym się w stanie nawet przedstawić.

Landau wziął telefon i giętkim krokiem przemaszerował wzdłuż pomieszczenia. Zatrzymał się przy drzwiach. Położył dłoń na klamce i wbił wzrok w czubki wypolerowanych butów.

– Mam zawiadomić górę? – zapytał.

Inspektor przygryzł wargę. Nabrał głęboko powietrza, jeszcze raz odkaslnął i pokręcił głową.

– Jeszcze nie – zdecydował. – Zgarnijcie wszystkich wolnych ludzi. Niech zajmą się przeszukiwaniem AFIS-u, rejestrów karnych, banków, i niech przepiorą całe to biurokratyczne szambo. Możecie wypiąć się na tajemnice, jakimi się będą zasłaniaли. Chrzańcie je. Macie moje błogosławieństwo. Przejrzyjcie wnioski wizowe, podania o azyl, ośrodki dla uchodźców...

Zamilkł i po raz kolejny wybuchnął kaszlem. Tym razem wszystko przez suchość w gardle. Podszedł do ustawionego na parapecie dystrybutora, ale nie było przy nim żadnego kubka.

– Coś jeszcze? – Bielawski oderwał długopis od notatnika. Starał się nie zwracać uwagi na systematycznie pogarszającą się formę szefa.

Knap wreszcie odchrząknął.

– Zaczynajcie od zakładów karnych i aresztów. Może ten Muhmud i reszta doprowadzą nas do szantażysty.

Zerknął na zegarek. Piąta czternaście.

Zostało im sto sześć minut.

Lepsze to od liczby bestii, ale też wyczuwał w tym zło. Nie zwrócił nawet uwagi, że Landau wybiegł z pomieszczenia, a Bielawski gorączkowo zarządzał przez telefon akcją ściągania do firmy wszystkich ludzi.

Co mogliby zrobić więcej? Czas do zapowiadanego końca świata nieubłaganie płynął.

### 3.

Pytanie o wydajność jest zasadniczym, które powinien zadawać sobie każdy szef. Tak uważał Machiavelli. Można to również wywnioskować z pism Sun Tzu, niesłusznie zwanego Sunem Zi.

Co mogliby zrobić więcej?

Knap ciężko opadł na pierwszy z brzegu obrotowy fotel i założył na uszy przewieszane przez kark słuchawki. Odsapnął. Możliwość słuchania muzyki gdziekolwiek się ma na to ochotę była jednym z nielicznych owoców technologicznego postępu, który w pełni rozumiał. Michał nauczył go obsługiwać telefoniczną playlistę, zgrał mu kilkadziesiąt starannie wybranych utworów i kupił słuchawki. Bywał dobrym synem. Co prawda Knap dał mu na to dwie stówy, później okazało się, że sprzęt kosztował nie więcej niż pięćdziesiąt złotych, ale nie zrobił z tego afery. Bo po co? Oszustwo jest złe, brak szacunku dla rodzica tym bardziej, lecz w pewnym wieku wybiera się święty spokój, a nie misyjne nawracanie. Oszustwo można nazwać smykałką do biznesu.

Trzy minuty słuchania pozwalały zebrać myśli lepiej niż litry kawy lub innych używek. Wlewały smar w charkoczące trybiki mózgu.

Utwory wybierał na chybił trafił. Lubił myśleć, że kieruje tym wola Boska lub tchnienie Ducha Świętego i podsunięty zostanie akurat ten, który zdoła go najlepiej napędzić do roboty. Ot, cała filozofia. Wiedział, że za plecami nazywają go dewotem, jezuitą lub świętojeblowym, ale raczej nie było w tym złośliwości. Raczej.

Kyrie Missa de Angelis. Wspaniale. Podkreślił głośność w komórce, przycisnął słuchawki do uszu i zamknął oczy.

Co mogliby zrobić więcej? Czy naprawdę jest się czego obawiać? Zgodnie z najnowszym raportem wywiadu rozesłanym do wszystkich oddziałów antyterrorystycznych zagrożenie zamachami na terytorium kraju było znikome. Nie minimalne, ale znikome. Znaczyło to mniej więcej tyle, że nie ma żadnych przesłanek, aby się ich spodziewać, lecz z obowiązku dmuchania na zimne...

Muzyka ucichła. Przerwał ją dźwięk dzwonka.

Knap przyciągnął komórkę do siebie i z niechęcią zerknął na ekran.

Dom.

A właściwie DOM zapisany wielkimi literami, kontakt, który w tym momencie mógł zwiastować jedynie niebezpieczeństwo.

– Halo? – odezwał się prawie szeptem.

Zerknął w stronę Bielawskiego. Komisarz siedział kilka biurk dalej i również rozmawiał przez telefon. Miał nietęgą minę.

– Dlaczego spałem w salonie? – Głos ojca zatrzeszczał na linii. – Obudziłeś mnie, wychodząc, i nie wiem, jak się tam znalazłem. W ogóle która jest godzina?

Knap przytknął palec do skroni. Dlaczego wszystko musi się walić jednocześnie? Raz na trzy lub cztery dni jego siedemdziesięcioośmioletni ojciec był całkowicie oderwany od rzeczywistości. Ostatnio wydarzyło się to przedwczoraj, więc statystyka została zaburzona. Jego stan zaczął się pogarszać niespełna dwa lata temu, a ostatnie miesiące to była równia pochyła, ale od kilku tygodni sytuacja zdawała się stabilizować. Pozory najwyraźniej mylą, a złudne nadzieje rozczarowują najbardziej. Opiekunka przychodziła o ósmej, więc ojciec musiał przetrwać jeszcze prawie trzy godziny. O tej porze powinien wciąż spać.

Ale nie spał.

– Chciałeś koniecznie położyć się na wersalce – wyjaśnił Knap spokojnie.

– Wiem, że nie pamiętasz, ale wszystko ci prześcieliłem, widzisz chyba, że...

– Jest świt – wszedł mu w słowo ojciec. – Która godzina?

– Po piątej piętnaście. Tato, proszę cię, jestem okropnie zajęty. Usiądź spokojnie i włącz sobie telewizor, a pani Lichocka zaraz do ciebie przyjdzie. Jeżeli jesteś głodny, zostawiłem ci kanapki na stole, ale...

– Sam sobie włączę – przerwał mu znów ojciec.

Knap zaczerpnął powietrza. Było mu duszno.

– Zrobisz to? – zapytał, siląc się na wesoły ton.

– Co zrobię, do cholery?

– Pytam, czy włączysz telewizor.

– A po co, do kurwy nędzy, miałbym włączać telewizor? Myślisz, że jest tam coś ciekawego? Ciagle te same mordy, które albo kłamią, albo uśmiechają się, jakby zeżarły cytrynę. Sztuczne, wypindrzone lafiryndy... – gderał stary.

– Tato – przerwał ten monolog Knap. Jeszcze przed dwoma laty przekleństwo nie przeszłoby ojcu przez usta. Był opanowany i cierpliwy. Być może Bóg wystawił go na próbę. Tylko którego z nich? – Proszę cię. Zajmij się czymś przez ten czas, aż...

– Pieprz się.

Połączenie zostało przerwane. W słuchawkach na powrót rozległy się mszalne tony.

Knap zdjął słuchawki, obrócił komórkę w dłoni i uruchomił listę kontaktów. Zegarek w górnym rogu wskazywał piątą osiemnaście. Wydzwanianie do syna o tej porze było bezsensowne. Michał z pewnością od wczorajszego wieczoru miał wyciszony telefon. Jeśli tylko wyrwał się z domowego „pokoju numer dwadzieścia osiem”, wnikał w inny świat. Nie było w nim miejsca ani dla własnego staruszka, ani dla starszego od dinozaurów staruszka staruszka. Knap przesunął kciuk nad ikonkę wiadomości tekstowych.

Może dobrym wyjściem byłoby napisanie mu wzywającego pomocy esemesa? Pewnie też nie odczyta. Telefon do opiekunki? Błaganie o to, aby przyszła wcześniej, została dłużej i do pakietu opieki nad starym Klemensem Knapem dodała jeszcze jego wnuka? Dlaczego w Wielki Piątek szkoły wprowadziły dzień wolny? Może wcale nie wprowadziły. Samotne wychowywanie dorastającego syna to wieczne ścieranie się z półprawdami. Dzień wolny mógł się okazać obowiązkowym wyjściem do muzeum. Albo dniem matur próbnych, którymi przecież nie warto zawracać sobie poczochranej, bo po owocach nas poznacie. Nie po próbach. Syn potrafił go załatwić jego własną bronią.

Z zamyślenia wyrwało go głucho dudnienie. Ekran telefonu i tak był już zaciemniony.



– Nie ma ich – stwierdził Bielawski i zaczął nerwowo bębnić kłykciami o blat biurka. – Ten człowiek chce uwolnienia ludzi, którzy nie istnieją. Nie ma po nich śladu w AFIS-ie, nie siedzą w naszych pierdlach, nie ma ich w rejestrach międzynarodowych. Landau stara się dobić do muzułmańskiego związku wyznaniowego, ale ci albo śpią, albo się modlą.

Knap schował telefon do kieszeni i podniósł się z fotela.

– Musimy skontaktować się z CAT-em.

Centrum Antyterrorystyczne ABW działa jak stacja benzynowa: czynne dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Pracują w nim doskonali specjaliści i zrzutki odesłane z innych jednostek w delegację. Nigdy nie wiadomo, co może wyniknąć ze współpracy z nimi, ale po przefiltrowaniu informacji należało informować CAT o każdym poważnym zagrożeniu. A Knap coraz mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że tym razem ryzyko zamachu jest więcej niż poważne. Miał naprawdę parszywe przeczucie.

Bielawski trzymał w dłoni notes, ale go nie otworzył.

– Jest pan pewny? Może powinniśmy jeszcze poczekać – zapytał.

– Wolę, żeby wściekali się, że zawałem ich bezsensowną robotą, niż że olałem zagrożenie. To łatwa kalkulacja – przekonywał inspektor.

– Tak, ale...

– Ale co do licha? – zniecierpliwił się Knap.

Bielawski wzruszył ramionami.

– To wygląda jak dziecięcy żart – mruknął. – Może ktoś użył arabskich imion znalezionych w Google i zabawił się w hakera? Może wyskoczy zaraz z żądaniem forsy, bo inaczej upubliczni, że nasze serwery są bardziej chwiejne niż Kim Dzong Un czy jak mu tam...?

– Rocketman. – Knap uśmiechnął się ponuro. – Może tak, a może nie. Ale tak samo jak on może nam zaserwować masakrę.

Koordinator Centrum Antyterrorystycznego ABW przyjął informacje od Knapa do wiadomości. O jego reakcji nie można było powiedzieć wiele więcej. Landau natychmiast dostał na maila wiadomość od szantażysty, a Bielawski usiłował się dodzwonić do pokoju dwadzieścia osiem. Tym razem jego telefon pozostał bez odpowiedzi.

Tuż po wpół do szóstej w głównej sali operacji Centralnego Biura Śledczego pojawili się pierwsi ściągnięci pospiesznie funkcjonariusze. Niezły wynik, mając na uwadze, że zostali powiadomieni ledwie kilkanaście minut wcześniej. Nawet gdyby przyjąć, że mieszkali w niedalekim apartamentowcu wynajmowanym w większości na potrzeby policji, zjawili się błyskawicznie.

Knap każdemu oddzielnie dziękował za szybkie przyjście i wręczał odpis wiadomości oraz pospiesznie skreślony raport. Sześć punktów już wykonanych oraz zakres zadań do zrealizowania. Na samym szczycie niezmiennie te same pozycje: ustalenie, kim jest Ta'abbata Sharran, i jak najszersza analiza nagrania. Należało zweryfikować, czy próby podobnego szantażu miały miejsce już wcześniej. Nieważne, czy w Polsce, Europie, czy Stanach.

Drugi, nie mniej istotny punkt dotyczył tożsamości Muhmuda Ibn Yusufa al-Aswaniego, Fajsała ibn Husajna i Sajfa Udina – jeśli nie były to tylko ściągnięte z Google'a nazwiska. W tym celu poszukiwano arabisty i nęcano telefonami uparcie milczący muzułmański związek wyznaniowy.

Pozostałe punkty stanowiły naturalną konsekwencję dwóch pierwszych. Zebranych podzielono na grupy i zagoniono do roboty. Pod czujnym „jezuickim” okiem. Wszyscy byli zdeterminowani, ale i nerwowi. Po raz pierwszy po ściągnięciu o takiej porze nikt nie oznajmił im, że to tylko ćwiczenia.

O piątej trzydzieści sześć Knap opuścił ruchomy pulpit telewizora i przy pomocy Landaua uruchomił sprzęt. Włączył kanał IiN, na którym wciąż wyświetlano pasek z aktualną godziną. Chciał, żeby wszyscy zebrani zdawali sobie sprawę z upływu czasu. Mimo kolejnych zamówień wciąż nie dostali na wyposażenie porządnego zegara. Ministerialny gadżet w kształcie orła ściskającego pod skrzydłem cyferblat był czytelny co najwyżej z dwóch metrów. Poza tym źle chodził.

Inspektor wyciszył dźwięk i przez chwilę wpatrywał się w reporterkę wskazującą na płonący budynek. Informacją poranka był pożar mleczarni w Nowinach. Nie wiedział tylko, czy Nowiny to nazwa programu, miejscowości czy wymysł wydawcy. Nie interesowało go to.

O piątej trzydzieści osiem przybyły dosłownie przed kilkoma minutami policjant niespokojnie poruszył się na fotelu. Knap wyłowił ten ruch, a następnie zrozumiał ściągające go spojrzenie. Powlókł się w jego stronę.

– Ta’abbata Sharran – wydusił aspirant. – To po arabsku znaczy: Ten, Który Wziął Zło pod Pachę.

Pochylony kilka metrów dalej nad telefonem Bielawski wymownie fuknął.

– Pięknie. Nie dość, że świr, to jeszcze zboczeniec.

– Tak nazywał się arabski poeta – wtrącił aspirant.

– Nazywał czy nazywa? – natychmiast dopytał Knap. – Bo chętnie bym go zapuszkował za samo imię.

– Spóźnił się pan o jakieś półtora tysiąca lat, panie inspektorze. Żył w szóstym wieku po Chrystusie – dodał policjant.

Knap położył dłonie na oparciu fotela podwładnego. Zerknął na monitor. Ekran był podzielony na dwa pulpity, które wypełniały z jednej strony arabskie zawijasy, a z drugiej najwyraźniej ich angielskie tłumaczenie.

– Masz coś więcej?

– Żadnych źródeł po polsku. Po angielsku też niewiele. Głównie po francusku, włosku... No i po arabsku.

– Niech ktoś to przetłumaczy. Może w ten sposób szantażysta daje nam jakiś znak. Oświećcie mnie, co to był za poeta, o czym pisał i jakie zło brał pod pachę.

– Pieprzoną kozę kusicielkę. – Uwaga z głębi sali wywołała szmer chichotów.

Knap natychmiast odwrócił się do młodego, krępego policjanta, który przyszedł jako jeden z pierwszych. Wymierzył w niego palcem.

– Bez takich proszę – zgromił go, a palec, niczym lufę pistoletu, schował do kieszeni.

Wymianę kpiących, porozumiewawczych spojrzeń przerwał dźwięk telewizyjnej relacji. Landau stał kilka kroków przed ekranem i nerwowo naciskał pilota. Knap w pierwszej chwili chciał go upomnieć, lecz nim otworzył usta, wszystko zrozumiał. Miejsce blond reporterki relacjonującej

pożar stodoły albo mleczańni zastąpił dziennikarz nadający ze studia. Był poważny i skupiony. W dłoni przed sobą trzymał kartki, co zdarzało się bardzo rzadko. W zasadzie tylko wtedy, gdy pojawiały się tak zwane „wiadomości z ostatniej chwili”. Knap pamiętał moment, gdy dziennikarze podawali informacje o katastrofie pod Smoleńskiem, śmierci Jana Pawła II lub zamachach w Paryżu. Napięte mięśnie, niepewny głos, niewłaściwa dykcja. Brak przygotowania. Paniczna spontaniczność.

Prowadzący odłożył kartkę i podniósł wzrok. Spoglądał teraz prosto w kamerę.

– Czy Polacy po raz pierwszy powinni naprawdę obawiać się zamachu?

Dramatycznie postawione pytanie wywołało na twarzy Knapa grymas niezadowolenia. Nie po raz pierwszy. Po raz pierwszy jednak sprawy zaszły tak daleko, że dowiadywały się o nich media.

## 5.

O piątej czterdzieści pięć Greta Nawrocka od wielu miesięcy z reguły była już na nogach. Budziła się o czwartej trzydzieści, najpóźniej za kwadrans piąta, i zwyczajowo jeszcze przez kilka minut polegiwała w łóżku. Tego ranka nie była senna, ale zmęczona. Tak samo zmęczona jak poprzedniego dnia, gdy przed dwudziestą drugą okrywała się pod szyję cieniątką i wywietrzoną kołdrą. Tak samo zmęczona jak poprzedniego dnia w południe. I tak samo jak o dowolnej porze przed miesiącem, dwoma czy trzema. Dokładnie od stu czterdziestu dni. Jak długo jeszcze? Tego jak zwykle nikt nie mógł przewidzieć. Ale do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Była drobną brunetką z haczykowatym nosem, ładnymi ustami i wesołym spojrzeniem. Każdy jej ruch wyrażał emocje, w których kryła się jednocześnie nieudolnie tłumiona nerwowość. Zupełnie jakby spodziewała się nagłego ataku z każdego kierunku.

O piątej czterdzieści rozciągnęła mięśnie karku i po raz kolejny uruchomiła wyodrębniony przez specjalny program fragment



siedemnastominutowego nagrania. Przysunęła do siebie notatnik. Z profesjonalnych, studyjnych słuchawek popłynęły kolejne słowa po niemiecku.

*Bez względu na to, jak ciężki wydaje się w tej chwili kryzys, w końcu mimo wszystko przezwyciężymy go naszą niezłomną wolą, naszą ofiarnością i umiejętnościami. Przetruwamy również tę biedę. W tej walce nie zwycięży Azja Środkowa, lecz Europa – a na jej czele naród, który od półtora tysiąclecia reprezentował Europę jako czołowe mocarstwo przeciwko Wschodowi...*

Pauza. Ostatnie radiowe przemówienie Adolfa Hitlera z 30 stycznia 1945 roku po komputerowej obróbce zyskało nowy wymiar. Usunięte zostały wszystkie szумы, przekłamania dźwiękowe i spadki tonacyjne. Przed wszystkim jednak udało się jej wyeliminować efekt, jaki dawał specjalny mikrofon skonstruowany dla Führera. Jego głos okazał się wyższy, bardziej rozedrgany i sapliwy niż znany z medialnych przekazów.

Nawrocka przygryzła ołówek. Przewróciła kartkę gęsto zapisanego czerwonym tuszem notatnika i zaraz wróciła do poprzedniej. To był jej system pracy. Najpierw ogólne uwagi zapisywała piórem nabitym krwistym atramentem, później dołączała ołówek, na koniec gumka i markery. Od ogółu do szczegółu. Od czerwieni przez szarości do pełnej tęczy.

Pracujący w tle program rozkładał nagranie na elementy pierwsze. Wykres wskazywał częstotliwość dźwięku, tembr głosu, zmianę jego barwy i wysokości. Kilkanaście kolejnych wskaźników tworzyło rozmaite wykresy. Linie proste, sinusoidalne, mieszane...

Na górze strony notatnika wielkimi, drukowanymi literami było napisane pojedyncze słowo: NEGACJA. Termin zaczerpnięty z nomenklatury logicznej doskonale pasował do jej badań. Rozszyfrowywanie myśli i emocji człowieka na podstawie jego głosu nie jest wróżeniem z fusów. Opiera się na logicznym fundamencie i żmudnej pracy. Po wielu miesiącach analiz, napisanych kilku artykułach, które wciąż czekały na publikację, Nawrocka była pewna jednego: Hitler, gdy wypowiadał te słowa, nadal wierzył, że zwycięstwo jest ciągle możliwe. Mimo tego nie miał już takiej pewności

siebie jak przed dwoma czy trzema miesiącami. Fiasko ofensywy w Ardenach musiało na krótko przywołać go do rzeczywistości. Trauma, nie tylko w jego przypadku, spowodowała oprzytomnienie.

Wszystko sprowadzało się do szeregu zmiennych występujących na różnych etapach przemówienia. Kiedy Hitler mówił o rzeczach ogólnych albo czysto ideowych, robił to wolniej i wyraźniej. Gdy tylko poruszał temat zwycięstwa, niezamierzenie przyspieszał, a jego głos stawał się bardziej bełkotliwy. Poza tym coraz mniejszą wagę przywiązywał do odpowiedniego akcentowania słów. Jednocześnie za szczytkową, ale wciąż istniejącą wiarą przemawiała wysokość jego głosu i głośność, z jaką wypowiadał kolejne zdania.

Negacja.

Kiedyś wyniki tych badań znajdują się w podręczniku dla negocjatorów i psychologów policyjnych. Podobne prace prowadzono na większości poważanych uczelni, a także w licznych ośrodkach szkoleniowych. Jeden z profesorów pracujących dla FBI w Quantico stworzył podobno algorytm wykrywający fałszywe zdania w dłuższych wypowiedziach. To ciekawe, ale nie tak odkrywczym jak analiza głosu. On chciał uchwycić pewne zmienne. Nawrocką natomiast interesował przede wszystkim „zapach” głosu. To określenie to również był jej pomysł. Ze wszystkich zmysłów zapach jest przetwarzany najdłużej i najdłużej pozostaje w pamięci. Zapach pozwala wyczuć niebezpieczeństwo, strach, gniew czy radość. Pozwala zajrzeć w alkoholową przeszłość i w krótką przyszłość.

„Zapach głosu” to dobry tytuł dla powstającej pracy.

Nawrocka poczuła solidne uderzenie w łydkę. Grubaśny kot taranował ją swoją kublekową łepetyną.

– Cześć Fre-Freddie.

Pupil specjalistki od analizy głosu musiał nosić imię na cześć kogoś hojnie obdarzonego. Głosem, rzecz jasna. Specjalistka od analizy musiała się jąkać. Wtórnie, szlag by to. Drobną zasługą byłego męża i spuścizną po nim. Precyzyjniej ujmując, już niedługo byłego, a obecnie przynajmniej odseparowanego. Psycholog utrzymywał, że jękanie minie, kiedy tylko poradzi sobie z traumą ostatnich wydarzeń. Podbite oczy, złamane trzy żebra, wybity palec i jama brzuszna przypominająca przejrzałe, stłuczone jabłko. Dość, by mimo wszelkich próśb lekarz zgłosił sprawę na policję.

Dość, by mimo wysiłków adwokata jej męża sąd nie miał problemu z ocenieniem stopnia winy.

– Co tam?

Freddie zazwyczaj budził się później od właścicielki. Tfu. Opiekunki i strażniczki jego domowego spokoju. Teraz ocierał się o jej łydkę, prężąc dumnie puszysty ogon. Był to błękitny brytyjczyk, choć gdyby go ostrzyc, przypominałby pewnie tłustego świńskiego noworodka. Nawrocka utrzymywała, że chorobliwa otyłość to cecha gatunku.

– Jesteś głodny?

Kot odpowiedział cichym mručeniem. Wygiął grzbiet, podstawiając do drapania newralgiczne miejsce między ogonem a końcem kręgosłupa.

– Okej. Zrobmy prze-przerwę i c-coś sobie skubniesz.

Greta zdjęła słuchawki i odłożyła je na biurko. Tuż obok położyła notes, a na jego okładce ołówek. Wstała i szybkim krokiem ruszyła do kuchni. Kot, ciągnąc brzuchem po ziemi, poturlał się za nią.

– Dziś post. Pewnie nic ci o t-tym nie wia-wiadomo?

Oczywiście, że nie. Freddie rąbnął łbem w rant szafki. Najwyraźniej chciał pokazać, że wie, gdzie jest przechowywane jedzenie, i nie zawaha się zdobyć go siłą. Zamruczał jeszcze głośniej. Dźwięk kociego mrużenia zawiera się zazwyczaj w częstotliwości pomiędzy dwudziestoma pięcioma a pięćdziesięcioma hercami. Wszystkie koty mruczą tak samo. Ostatnio dowiedziono, że ten odgłos działa przeciwbólowo i przyspiesza zrastanie się kości. Tak przynajmniej utrzymywali amerykańscy naukowcy.

Nawrocka wyciągnęła z szuflady miskę i saszetkę z krewetkowym wkładem. Skoro mamy Wielki Piątek...

Nim przełożyła zawartość saszetki do miski, podeszła do parapetu. Włączyła radio akurat w momencie, gdy odtwarzano nagranie.

*Będę ciął ile sił, aż nabierzecie rozumu. Najlepiej dla was, abyście mieli go już teraz. Zostało tylko sto siedemdziesiąt osiem minut. A może i mniej.*

Już słyszała taki głos. Nie miała żadnych wątpliwości.

## 6.

Niespełna kilometr od mieszkania Greta Nawrockiej, na hali lotniska Chopina powietrze jest wręcz naelektryzowane niepokojem i napięciem. Wystraszeni ludzie czulej niż zwykle żegnają się przed przestąpieniem bramek. Na tarasie widokowym jest tłum, który z ulgą obserwuje, jak kolejne samoloty udanie wzbijają się w powietrze.

Żadnych wybuchów. Tylko huk silników.

W sklepach bezcłowych podręczne porcje alkoholu znikają w zdwojonym tempie. Nawet głos kobiety odczytującej kolejne komunikaty jest napięty, a jego częstotliwość waha się, wykraczając poza normalny zakres.

– Prosimy o pilnowanie bagaży – przypomina. – Za pozostawienie bagażu bez nadzoru grozi kara grzywny...

Nie trzeba o tym mówić. Pasażerowie sami natychmiast zgłaszają każdą walizkę i torbę, która znajduje się dalej niż na ramieniu lub w dłoni właściciela. Trzymają się przy tym bliżej ścian, a tłum kłębiący się przy odprawie jest przerzedzony. Ludzie zachowują od siebie większy dystans i unikają tłoku. Obserwują się. Taksują nieufnymi spojrzeniami. Nie bratają się przed lotem przy dużym piwku i małej zakąsce.

Para o arabskich rysach przemyka ku parkingowi. Kobieta trzyma się za okrywającą jej włosy chustę, jakby bolała ją głowa. Unikają spojrzeń i prawie biegną. Muszą wyminąć grupkę krótko ostrzyżonych nastolatków, którzy pojawiają się na ich drodze. Młode przedmurze chrześcijaństwa, które własną pierś jest gotowe nakryć ładunek wybuchowy. Śmierć za ojczyznę jest dla nich największą ofiarą. Szczególnie że po niej nikt nie obiecał palm wokół basenu i pięknych hurys.

O piątej czterdzieści dziewięć na telefon alarmowy straży miejskiej ktoś zgłasza podejrzany obiekt przy ulicy Narbutta. Lśni się i jest ukryty w krzakach. Radio Kolor jako pierwsze mogłoby rozpocząć relację na żywo z pirotechnicznej wiwisekcji obdartej puszki po piwie. Ale ta miała nastąpić dopiero za dwa kwadransy.

Tymczasem na Dworcu Zachodnim niepokój i napięcie są równie skondensowane jak na Okęciu. Nie rozwiewa ich nawet pęd pociągów co rusz wpadających na stację. Najwidoczniej w zamkniętych pomieszczeniach



powietrze jeszcze łatwiej jest nasączyć strachem. To zasada krwi wsysanej przez gazę. Ciecz niby znika, lecz pozostaje jej słodkawy zapach.

Ale o tym nikt nie myśli.

Ochroniarze rozglądają się pilniej, a ich oczy nie są tak zaspane jak zwykle. Żaden z nich ukradkiem nie ziewa ani nie przystaje, udając zafrapowanie błędem na tablicy odjazdów.

– Jeśli miałbym coś wysadzać, to tylko tutaj – szepcze jeden do drugiego, gdy mijają się w rozsuwanych drzwiach prowadzących z terminala na perony.

– Powinni przysłać policję z psami.

– Myślisz, że są w stanie cokolwiek wytropić? To, co ma pierdolnąć, macza się w perfumach i możesz zapomnieć. A dżihadyści to nie amatorzy.

– Mimo wszystko...

Ochroniarze przypatrują się niskiemu mężczyźnie, którego twarz zasłania rondo kapelusza. Podróżny ściska w dłoni skórzany neseser, a zamek jego sportowej kurtki jest zapięty pod samą szyję. Idzie szybko, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Wchodzi na halę dworca i prawie zderza się z idącą z naprzeciw staruszką. Spod ich nóg wzbija się przestraszony gołąb.

– Widziałeś? – Starszy z ochroniarzy ukradkiem wskazuje mężczyznę ruchem głowy.

– Co takiego?

– Kieszeń. Zobacz jego kieszeń.

Rzeczywiście, z kieszeni mężczyzny wystaje kilka kolorowych sznurków. Czarne, żółte, niebieskie, czerwone. To wiązki przewodów elektrycznych. Wystają zaledwie kilka centymetrów, ale są widoczne i najwyraźniej biegną gdzieś w stronę biodra. Być może dalej, ku plecóm lub...

– Proszę pana! – krzyczy ochroniarz tak, że zebrani wokół ludzie odwracają głowy.

Tymczasem podróżny z neseserem i kablami sterczącymi z kieszeni nie zwraca na niego uwagi. Zdaje się nawet, że przyspiesza kroku. Zmierza ku ruchomym schodom, a inni pasażerowie, widząc, w kim jest utkwiony wzrok ochroniarzy, rozstępują się. Jedna z matek łapie na ramiona dziecko i rzuca się biegiem do wyjścia. Malec zaczyna płakać.

– Proszę się zatrzymać!

Ochroniarze rzucają się w pogoń za mężczyzną. Dzieli ich od niego kilka metrów, ale na ich twarzach nie widać bezwzględnej determinacji. Zdaje się, że woleliby go nie zatrzymywać.

– Stój!

Nie wiadomo, czy młodszy, zaledwie dwudziesto- może dwudziestodwuletni ochroniarz krzyczy do nieznajomego, czy do swojego towarzysza. Podróżny w kapeluszu zdjął rękawiczkę. Jego lewa dłoń szybko zmierza ku kieszeni.

– Cholera... On zaraz...

Ochroniarz zaciska zęby, a strach dodaje jego rysom powagi. Jego wzrok jest utkwiony w wiązce kabli, a nogi same składają się do skoku.

## 7.

– Wszyscy trzej to dżihadyści z wypranymi mózgami. Zatrzymaliśmy ich przy pomocy amerykańskich i niemieckich chłopaków, gdy przed tygodniem chcieli prysnąć do Emiratów. Falszywe paszporty, lewe historie, sama gotówka... Wie pan, o czym mówię, inspektorze.

Knap spuścił głowę i odsunął nieco słuchawkę. Wiedział. I nie były to dobre wiadomości. Chociaż Henryk Rudnicki, wiceszef CAT, nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego, coś tu wyraźnie nie grało. Nie tylko to, że poranną groźbę zamachu Centrum Antyterrorystyczne zdawało się mieć w głębokim poważaniu.

– Dlaczego nie znaleźliśmy o nich żadnej wzmianki w rejestrze? – zapytał Knap. – Straciliśmy przez to czas, a pan mi mówi...

– Kwestie proceduralne. Przynajmniej tyle mogę powiedzieć – odparł Rudnicki.

– No tak. Procedury... À propos procedur, ktoś chce ich ekstradycji? – drążył inspektor.

Rozmówca Knapa cicho parsknął.

– Stany, Francja, Wielka Brytania, zdaje się, że nawet coś przebakowali Rosjanie. To popularna trójka, ale wśród nich jest Polak. On trochę

komplikuje sprawę.

– Domyślam się, choć... – zaczął Knap.

– Panie inspektorze – Rudnicki po raz kolejny wszedł mu w słowo – podejrzewamy, że to właśnie oni mogą mącić. Rozumie pan?

– Chyba nie do końca.

W słuchawce świsnęło nerwowo wypuszczone powietrze.

– No dobrze, proszę posłuchać. Te pokrecone świry chciały wysadzić cokolwiek w Europie. Ich plan był prosty i oparty na jak największej liczbie ofiar. Gdyby się nie udało podłożyć ładunków, byli gotowi sami się poświęcić. Chodził u nas nawet żart, że mają naprawdę wybuchowe charaktery. Łapie pan?

Rudnicki zachichotał zadowolony z własnego dowcipu. Zrobił chwilę przerwy, jakby oczekiwał podobnej reakcji po drugiej stronie słuchawki. Tymczasem Knap z markotną miną oparł się łokciem o biurko. Szykowała się długa przemowa, ale mógł się tego spodziewać. Rudnicki albo działał natychmiast, albo z nadętą wyższością perorował o bzdurach. Jak większość służbistów z politycznego nadania nie czuł na karku nawet muśnięcia odpowiedzialności. Jedyne, czego musiał pilnować, to żeby nie podpaść zwierzchnikom. Gra z Rosjanami była więcej warta niż gra o ludzkie życie.

– Najgorsze jest to – ciągnął – że nie ustaliliśmy ich planów przerzutowych ani pełnej roli Polaka. Zdaje się, że był najmniej przekonany do wysadzania się. W każdym razie mogę pana zapewnić, inspektorze, że nie mieli żadnych dalszych powiązań. Przynajmniej na terenie Polski. Byli odcięci od organizacji, o ile w ogóle mieli z nią coś wspólnego. To takie samotne wilczki, które snuły wielkie wizje...

Rudnicki wreszcie zamilkł. Był gnojkiem, ale nie nudziarzem.

– A ten Ta'abbata Sharran? – zapytał Knap.

– O nim nikt nie słyszał. Nie mamy go też w naszej bazie danych i już wiem, że nie figuruje także u żadnego z naszych zachodnich partnerów. Nikt do tej pory nie działał pod tym imieniem. Ani nie posługiwał się nim na znanych nam wewnętrznych kanałach ekstremistów.

– Poza poetą.

– Co takiego?

– Znaleźliśmy arabskiego poetę, który tak się nazywał. – Teraz Knap aktorsko zawiesił głos. – Ale i jego trudno podejrzewać – wyjaśnił zaraz mentorskim tonem. – Zmarł jakieś sto lat przed tym, jak Mahomet zaliczył pierwszego klapsa w tyłek.

Rudnicki westchnął.

– Powtórzę panu – mruknął zniecierpliwiony. – Jestem pewny, że sprzątnęliśmy całą grupę. Ta'abbata Sharran to może być rosyjski agent, który stara się nam namieszać w śledztwie. A od wywiadu wiem, że Ruskim na paru rzeczach kurewsko zależy. Dlatego ten materiał tak szybko trafił do mediów. Chodzi o chaos i testowanie systemów, a nie o realne groźby.

– Co mieliby niby testować?

– To, w jaki sposób naprawdę kiedyś przeprowadzić zamach. Kiedyś, ale jeszcze nie teraz. Teraz mają z pewnością lepsze pomysły.

## 8.

Na zakończenie narady Rudnicki postanowił wysłać do Knapa koordynatora. Inspektor zdawał sobie sprawę, że w rzeczywistości jego rola sprowadzi się do innej funkcji. Również na literę K. I wcale nie chodziło o nic ordynarnego, Knap nawet w myślach starał się nie przeklinać, ale mimo wszystko nazywał rzeczy po imieniu. Koordynator będzie zwykłym kretem ABW na jego policyjnym poletku.

Drugą decyzją miało być zwiększenie liczby patroli w miejscach publicznych. Rudnicki był uparty, ale mimo wszystko przezorny.

Nieoficjalnie można było również wyprowadzić z koszar trochę żołnierzy, lecz ten ruch nie leżał ani w kompetencji Knapa, ani Rudnickiego. Uzgodnili, że na razie lepiej się wstrzymać. Nawet z konsultacjami na wyższym szczeblu. Skoro sprawa jest w mediach każdy minister dowie się o niej przy porannej kawce. Przede wszystkim należy uniknąć eskalowania niepokoju w społeczeństwie. Bo to się zawsze źle kończy.

Spółeczny niepokój mógł rozniecić taką iskrę, jaka dwa tysiące lat temu doprowadziła do pogromów chrześcijan, przed osiemdziesięciu laty przekuła się w Noc Kryształową, a zupełnie niedawno w afrykańskie rzezie albinosów, azjatyckie masakry buddystów czy południowoamerykańskie pogromy Indian. Iskra niepokoju doprowadziła do tego, że przed paroma minutami na dworcu ochroniarze pobili głuchoniemego, który nosił w kieszeni breloczek ze smyczą imitującą wiązki kabli.

Za dziewięć szóstą aspirant Landau strzepnął niewidzialny pyłek z rękawa munduru. Odepchnął od siebie klawiaturę i wykonał nieokreślony ruch w stronę ekranu.

– Nigdy wcześniej nie mieli takiej motywacji – mruknął. – Ani razu przy większych zamachach islamiści nie uciekali się do szantażu. Nie chcieli paktowania, wypuszczania współtowarzyszy... To nie jest ich strategia. Tak działało IRA, FARC albo ETA, ale nie muzułmańskie unabomberzy.

Siedzący stanowisko dalej Knap przeglądał materiały udostępnione przez podwładnego. Nowy system parował wszystkie urządzenia i pozwalał w dowolny sposób upubliczniać własne dokumenty. Przyspieszało to znacznie pracę całego wydziału.

Uruchomił plik zapisany na serwerze. Zamaskowany mężczyzna wymachiwał na nim karabinem i mówił po arabsku. Polska transkrypcja jego słów pojawiła się na dole monitora.

*Tak długo, jak będziecie prowadzić bombardowania, nie zaznacie pokoju. Będziecie się nawet bać wyjścia na zakupy. Bracia moi, w rzeczy samej otrzymaliście rozkaz, aby walczyć z niewiernymi wszędzie tam, gdzie ich spotkacie – więc na co czekacie? Jest broń, są dostępne samochody i cele gotowe, aby w nie uderzyć. Nawet trucizna jest dostępna, dlatego zatruwajcie wodę i pożywienie choć jednego z wrogów Allaha.*

– To po Paryżu z piętnastego roku – wyjaśnił Landau.

– Jezu, już trzy lata... – syknął siedzący obok niego policjant. – Czas zapieprza jak szalony...

– Właśnie. Czas.

Knap wymownie wskazał na ekran ponownie wyciszzonego telewizora. Przeleciał wzrokiem plik tekstowy.

*Ludu Hiszpanii. To, co się stało w Barcelonie, to przez wasz udział w wojnie przeciwko Państwu Islamskiemu. Idziemy do was, do serca waszej ziemi. Będziemy nadal was terroryzować i rujnować wasze życie...*

*Jeden z żołnierzy kalifatu podłożył bombę na zgromadzeniu krzyżowców w mieście Manchester.*

Nie trzeba było żadnych wyjaśnień. Te i kilkanaście innych fragmentów oświadczeń Państwa Islamskiego oraz innych organizacji terrorystycznych miały dwie motywacje. Zemstę i nienawiść religijną. Nic innego.

– Znalazłem informacje sprzed kilku lat o próbie szantażu we Francji – ciągnął Landau. – Ale głównie z tego wyszło. Podobnie kilkakrotnie w Niemczech. Plany szlag trafiał już na początku i wszystkich puszkowano. Raczej nie mieli dobrej passy...

– Coś więcej? – spytał Knap.

– Jeszcze nie. Szukam dalej – odpowiedział Landau.

Siedzący w kącie aspirant, który odkrył powiązanie pseudonimu szantażysty z poetą, podniósł dłoń.

– Ja coś mam – mruknął zawstydzony tym, że ściąga na siebie uwagę całej sali.

Taki system pracy w wielu firmach by się nie sprawdził, ale Knap testował go z powodzeniem od prawie dwóch lat. Błyskawiczna wymiana danych przyspieszała myślenie całego towarzystwa. Zmrużył oczy, starając się dostrzec identyfikator na biurku młodzika. S. Lencki. No tak. Miał to na końcu języka.

– Sharran był wojownikiem z okresu przedislamskiego – wyjaśnił aspirant. – Nazywano go arabską wroną, ze względu na odcień skóry. Jego matka była Murzynką...

– To w końcu arabska wrona czy Ten, Który Wziął Zło pod Pachę? – dopytał z głębi pomieszczenia krępy gliniarz.

Sala ryknęła śmiechem.

– Może naprawdę nie ma się czego bać. Okaze się, że rozgryzamy niegroźnego świra albo smutnego hakera, któremu znudziło się

oszukiwanie w multiplayerze. Z całym szacunkiem dla pokoju dwadzieścia osiem.

Ponowna salwa śmiechu, choć dość nerwowego. Aspirant otarł czoło i poprawił się w fotelu.

– Znalazłem trzy wyjaśnienia, dlaczego nazywano go Tym, Który Wziął Zło pod Pachę.

– Śmiało – zachęcił go Knap. Pozostał jednak poważny. Delikatny uśmiech, który uniósł kąciki jego ust, wyrażał raczej zakłopotanie.

– Uwaga, pierwsza wersja. – Lencki uniósł palec. Rozluźnienie udzieliło się również jemu. – Podobno jego matka kazała mu znaleźć coś do jedzenia, a on po kilku godzinach wrócił z koszem żmij pod pachą. To ta ciekawsza. Druga jest banalna i sprowadza się do tego, że ponoć przez całe życie nosił na boku miecz albo inne żelastwo.

– A trzecia?

– Trzecia... – aspirant rozłożył ręce – ...może jest najbardziej wymowna. Sharran miał zabić jakiegoś dzina, który terroryzował pielgrzymów przechodzących przez pustynię. Z jego truchłem pod pachą wrócił w rodzinne strony. Amen. Poza tym...

Drzwi do sali otworzyły się z trzaskiem. Do środka ciężkim krokiem wparował Bielawski.

– Na serwer informatyków nadeszła kolejna wiadomość – rzucił, spoglądając w stronę Knapa. – Znowu wysłał nam plik dźwiękowy.

Lżejszą atmosferę momentalnie zastąpiła pełna napięcia cisza. Do głosu doszedł monotony szum klimatyzatorów.

## 9.

Człowiek Cień przekrada się bocznymi uliczkami. Słońce właśnie weszło na dobre i świt z pełną pompą zmienił się w ranek. W tym roku Wielki Piątek to naprawdę piękny dzień. Koniec kwietnia, pogoda jak marzenie. Cud, miód, malina, jak mówiła jego babcia.



Wczoraj w południe było dwadzieścia jeden stopni. Dziś ma być jeszcze cieplej. Liczą się perspektywy, choć teraz, o piątej pięćdziesiąt cztery, jest ledwie osiem powyżej zera.

Ani jednej chmurki na niebie, ani muśnięcia wiatru na twarzy. Mimo tego twarz Człowieka Cienia jest smutna. Nie uśmiecha się, idzie, o ironio, ocienioną stroną chodnika, a jego oddech jest przyspieszony. Wygląda, jakby zaraz miał upaść.

Jednak właściwie już upadłem – myśli. I podejmując decyzję zdołałem się podnieść. Drugi raz sobie na to nie pozwolę. Nie będzie drugiego razu.

Ktoś trąca go w ramię, ale Człowiek Cień nie zwraca na to uwagi. Idzie dalej wytyczoną trasą. Żadnych przystanków, żadnych rozmów, żadnych nieporozumień. Jedno odstępstwo od planu może zepsuć wszystko.

Już kilka razy mu się to zdarzyło. A teraz stawka jest na tyle wysoka, że nie można ryzykować. Musi być jak maszyna. Jak Robocop lub ten pokręcony francuski inspektor Gadget albo transformers. O żadnym z nich większość Arabów nie ma bladego pojęcia. W ich świecie dzinów, haremów i piasku sprawdza się tylko toyota hilux, symbol dżihadu.

Człowiek Cień przyspiesza kroku. Nie patrzy na zegarek, bo ma jeszcze trochę czasu. Na pewno zdąży. Przechodząc przez ulicę, lekko pochyla głowę, starając się uniknąć baczego spojrzenia kamery. W jednej trzeciej to atrapy, a w jednej trzeciej czujniki służące regulacji ruchu, ale lepiej się nie narażać.

Gdy wychodzi wreszcie na główną ulicę, światło odbijające się od szklanej tafli wieżowca razi go w oczy. Przez chwilę musi iść z pochyloną głową, wreszcie się przyzwyczajają. Mógłby wziąć okulary przeciwsłoneczne, ale zamiast nich na nosie ma zerówki w eleganckich oprawkach. To także część planu.

Skórzana torba w jego dłoni nosi wielkie logo w kształcie sylwetki słonia. Jego trąba obejmuje tłoczony napis „Cinnamon Elephant”. Oglądał go kilka razy i zastanawiał się, czy słoń aby na pewno jest odpowiedni. Psychologicznie pewnie można by powiązać z nim wiele symboli. Kulinarynych również.

W sumie Cynamonowy Słoń to nazwa tak samo dobra jak Little Boy albo Fat Man. Może się nawet z nimi kojarzyć. No cóż...

Człowiek Cień wolną dłonią sięga do marynarki i wyjmując z kieszeni portfel. Nie zatrzymując się, otwiera go i patrzy na wsunięte za przezroczystą folię zdjęcie. Uśmiecha się, a dosłownie sekundę później pociąga nosem. Nie ma przy sobie chusteczek, bo tego nie obejmował plan. Mógłby się zatrzymać i kupić paczkę w którymś z kiosków, ale pierwsze z nich otworzą dopiero za kilka minut. Nie może zwlekać. Nie może sobie pozwolić na rozmowę z kioskarzem, sklepikarzem ani przechodniem.

Dobrze wie, co ma robić.

Wszyscy tak bardzo się zdziwią.

## 10.

GODZINA 5:55

Pokój dwadzieścia osiem nakazał czekać. W sprawach technicznych stanowił instancję najwyższą, której decyzji nie mógł podważyć nawet szef operacji. Bezpieczeństwo danych i wewnętrznej sieci to podstawa. Sprawdzano obecność plików szpiegujących, wirusów, złośliwych programów oraz ewentualnych luk.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy Knap obracał w dłoni miniaturowy Nowy Testament. Odłożył go na biurko i natychmiast odebrał.

– Niczego się nie dowiemy. – Głos informatyka brzmiał, jakby okrążył kulę ziemską. – Tak samo jak tamten plik, ten też jest doskonale zaszyfrowany. Żadnego śladu serwera, proxy odsyła do proxy, a wszystko...

Knap przytrzymał słuchawkę ramieniem i na chybił trafił otworzył Pismo Święte. Informatyczne pustosłowie mogłoby zostać wyrecytowane po koreańsku. Swoim zwyczajem starał się jednak nie przerywać. Nawet jeżeli liczyła się każda sekunda.

Ewangelia Świętego Łukasza. Ciekawe. Przymknął oczy i w ciemno przytknął palec do linijki na dole. Wyczuł krawędź strony. Delikatnie rozwarł powieki i przeczytał.

„Z powodu mojego imienia będziecie w nienawiści u wszystkich. Ale włos z głowy wam nie zginie. Przez swoją wytrwałość ocalicie wasze życie”.

Nieźle. No, całkiem trafnie. Właśnie takiej pociechy oczekiwał po losowym poszukiwaniu szczęścia. Gdyby zebrać wszystkie razy, kiedy takie wybrane na chybił trafił cytaty pasowały do sytuacji, utworzyłby się całkiem przekonujący obraz. Choć statystycznie przewagę miały fragmenty, których odniesienie do rzeczywistości wymagało samo w sobie Boskiej pomocy.

Informatyk mówił coraz szybciej i coraz mniej składnie.

– Można otworzyć – wyłowił w końcu spomiędzy niezrozumiałych słów. – Plik jest czysty.

Knap oderwał wzrok od Pisma. Skinął głową do Landaua i wskazał na ekran komputera.

– Czysty – szepnął.

Aspirant natychmiast kliknął symbol odtwarzania. Widok pulpitu został przeniesiony na wielki ekran telewizora. Studio informacyjne zastąpił pusty, czarny obraz. Wygaszacz ekranu.

Brawo, brawo, brawo... Nawet w takiej chwili potrafił się zbłąźnić.

No tak. Właśnie zrozumiał, dlaczego wszystkich dziwiło, po cholere chce skorzystać z ekranu, skoro szantażysta przesyła materiał dźwiękowy.

Z głośników laptopa wydobyły się pierwsze dźwięki. Knap nie słuchał już w ogóle informatyka, choć potok technicznych wyrażań przybierał na sile.

– Dziękuję panu – niechętnie wszedł mu w słowo. – Pozostajemy w kontakcie. Proszę mnie informować na bieżąco.

Rozłączył się i zmrużył oczy. Całą uwagę skupił na trzaskach, które po dwóch lub trzech sekundach całkowicie się wytłumiły. Zastąpił je monotony, chrapliwy głos.

*Nie widzicie moich twarzy, ale ja znam wasze. Wiem o panu, inspektorze Knap, i o panu, komisarzu Bielawski. Wy robicie rozeznanie w moim świecie, ja musiałem zrobić rozpoznanie wśród was. Przypuszczam, że dotychczas nie traktowaliście mnie poważnie.*

*Ale to się zmieni.*

*Z czystej kalkulacji podaję, że nasi rycerze Muhmud Ibn Yusuf al-Aswani, Fajsal ibn Husajn i Sajf Udin w chwili zatrzymania dysponowali gazem*

*musztardowym, dokładnie trzema tysiącami sztuk amunicji różnego rodzaju, dwunastoma kilogramami nadtlenu acetonu, detonatorami, pięcioma karabinami szturmowymi, ośmioma granatami ręcznymi...*

*Mam wymieniać dalej? Nie wierzyliście, że to zrobię, prawda? Mogę wam tylko powiedzieć, że ja jestem przygotowany jeszcze lepiej. A to dopiero początek.*

## ODCINEK 2.

### 1.

#### WIELKI PIĄTEK

GODZINA 6:00

*Dariusz Umer nie przeczuwał, że tego dnia po raz ostatni zobaczy Kinie żywą. Kinia, właściwie Kamila Kiniecka, była główną koordynatorką pionu antyterrorystycznego, a przy okazji jego partnerką. Ich związek zwany z amerykańską LAP, living apart together, ciągnął się od prawie czterech lat i przetrwał już sporo wzlotów oraz upadków. Wszystko zaczęło się od wspólnego dyżuru, pełnej napięcia akcji, a potem już potoczyło się właściwie samo. Umer wziął rozwód, choć jego żona na szczęście nie miała pojęcia o niewierności męża. W przeciwieństwie do niego. Dzięki sprytowi detektywa dowiedział się, że sama przyprawiała mu rogi od długiego czasu. To marne usprawiedliwienie, ale dzięki temu poczuł się lepiej.*

Skończyło się na rozwodzie bez orzekania o winie i to świadczyło o nich jako o ludziach. Zdradzali się, ale chyba mieli do siebie głęboki szacunek. Przynajmniej tak by to określił jego adwokat.

Tego ranka Umer czuł się naprawdę parszywie. Tęsknota za żoną i idealizowanie wspólnie spędzonych chwil dopadały go dość regularnie. Nie mógł sobie darować, że dwanaście lat małżeństwa poszło do piachu przez ich bezmyślność. Świetna pora na wyrzuty sumienia. Mleko wylane, kuchnia sprzątnięta, a on zaczynał się tym przejmować.

– Cześć!

Drzwi do gabinetu Kini były otwarte, a ona jak zawsze punkt szósta była już na pozycji. Odpowiedziała mu uśmiechem i machnięciem ręki.

– Tak wcześnie? – zapytała, gdy już zniknął jej z oczu.

– Wezwanie – odkrzyknął lakonicznie Umer.

– Wpadnij do mnie, zanim się zmyjesz.

Dziwnie jest być z kimś i spotykać się głównie w pracy. Jeszcze dziwniej zdać sobie sprawę, że dziś stawili się tu niemal równocześnie, a jednak oddzielnie. Co prawda, mieli u siebie wzajemnie najważniejsze rzeczy, ale pomieszkiwanie razem ograniczało się do nocy, kiedy zasypiali po szalonym numerku. Albo po jednym drinku za dużo. Impas polegał na tym, że każde z nich było wprowadzone do drugiego w takim samym stopniu. Żadne z nich nie chciało zaburzyć równowagi.

Umer wszedł do gabinetu, który dzielił z dwoma innymi agentami, i podszedł do biurka. Oczywiście o tej porze nie musiał się martwić wymianą kurtuazyjnych uprzejmości. Na wierzchu miał już przygotowaną teczkę, bloczek materiałów i dyspozycje. Mechanicznie wszystko spakował. Ogólny zarys sprawy, jaki mu przedstawiono, prezentował się wręcz szkoleniowo. Konieczność koordynowania działań CBS, ABW i wywiadu w obliczu zagrożenia terrorystycznego. Publiczny kod niebezpieczeństwa nie został ogłoszony, wewnętrznie operację opatrzone roboczym kolorem pomarańczowym. Oznaczał on, że zagrożenie jest weryfikowane. A jakie, do diabła, miałyby być?

Umer upewnił się, że na biurku nic nie zostało, i wypadł na korytarz. Nie miał czasu, ale mimo wszystko zatrzymał się przy drzwiach Kini.

– Muszę lecieć – oznajmił, rejestrując, że założyła swoją bluzkę z największym dekoltem. Miała co eksponować. – Pogadamy, jak wrócę.

Kiniecka odsunęła się od biurka i zmarszczyła brwi.

– Chciałam pogadać.

– Później.

– To tylko kilka minut. Myślałam, że...

Umer rozejrzał się po korytarzu i szybko wszedł do pomieszczenia. Niezmiennie zachowywali się jak podrostki chcące ukryć wzajemne sympatie. Podszedł do Kini i pochylił się nad nią. Pospiesznie pocałował ją w czoło, tuż poniżej linii spiętych ciemnych włosów.

– Później – mruknął. – Już jestem spóźniony.

Kobieta pokręciła głową. Miał wrażenie, że w kącikach jej oczu skrzę się łzy, ale nie był pewny.

– Chciałam, żebyś się do mnie wprowadził. Myślałam o tym kolejną noc i...

– Jezu, Kinia, to nie temat na teraz. – Jak oparzony zerwał się do drzwi.  
– Przepraszam cię. Widzimy się później!

Wychodząc z pomieszczenia, już na nią nie zerknął. Wypadł na korytarz, minął przestrzeń socjalną i dopadł do windy. Dwóch młodzików przywitało się z nim, jednocześnie gnąc się do ziemi, jakby był brytyjską królową. Ledwie im odpowiedział.

Gdyby wprowadził się do Kinieckiej, serce jego byłej żony mogłoby pęknąć. Nie wiedział, dlaczego ta myśl nachodziła go za każdym razem, gdy wywoływany był ten temat. Przecież to ona robiła go na szaro. Chętnie przystała na warunki rozwodu. Tak, jasne. Ale później zaklinała go, by do niej wrócił, błagała o przebaczenie i brakowało tylko, by przyszła do niego w worku pokutnym. Teraz mieszkała razem z matką gdzieś pod Mińskiem Mazowieckim. Na każde święta, urodziny i okazje równie istotne jak dzień chłopaka, męża czy obywatela przysyłała mu esemesa. Jeszcze rok temu utrzymywała, że ciągle na niego czeka.

Umer wyszedł z windy i skierował się do pomalowanego na niebiesko kontuaru.

– Cześć, Arni. Jak nocka?

Arni wcale się tak nie nazywał, ale od niepamiętnych czasów ta ksywka do niego przyłgnęła.

– Mogło być całkiem nieźle. Gdyby nie obudzili mnie pół godziny temu w związku z tym, że mam ci wydać cholerne auto.

– Co dostałem?

– Opla. – Arni położył na kontuarze kluczyki i formularz.

Umer zakreślił kilka okienek i się podpisał.

– Nie mogłeś wyprosić beemki? Zawsze ci mówię, że w opalu czuję się klaustrofobicznie.

Ścisnął w dłoni kluczyki i ruszył z powrotem do windy. Dwie minuty później tkwił przed czarnym, podniesionym oplem, zaparkowanym na miejscu opatrzonym tabliczką z numerem rejestracyjnym. Pozory porządku w świecie jego prywatnego burdelu.

Co powinien zrobić? Ulec Kini i zachować się jak dorosły facet, który nie wodzi jej na pokuszenie? Spotkać się z byłą żoną i wygarnąć sobie wreszcie



wszystko, czego nie zdążyli, będąc razem?

Powinien się spieszyć.

Wsiadł do samochodu i włożył kluczyk do stacyjki. Zapiął pas, po czym odruchowo sprawdził pozycję lusterek. Wszystko pasowało jak ulał. Wszystko poza odpowiedzią na pytanie, jak ma ułożyć sobie życie.

Przekręcił kluczyk i ułamek sekundy później jego myśli rozerwała eksplozja. Auto zamieniło się w kulę ognia, a ciało Umera w czarny zarys rzucający się wśród płomieni. Po chwili agonizujące konwulsje ustały.

Zapięty pas nie uratował mu życia.

## 2.

– Jeżeli to nie blef, mamy już mniej niż godzinę – cedził do telefonu Knap.

– Przesłaliśmy wam wszystkie pliki.

– Właśnie odsłuchałem tę wiadomość – oznajmił Rudnicki.

– I?

– Pyta się mnie pan, czy to wszystko prawda? Ta liczba karabinów, granatów i tak dalej...

– Nic mnie bardziej nie ciekawi – burknął Knap.

– Tak – odparł niechętnie Rudnicki. – Ale to nic wielkiego. Tą informacją podzieliliśmy się z kilkoma wywiadami. Poza tym staraliśmy się ustalić, skąd przytargali ten cały arsenał, więc między nami mówiąc, wątek rosyjski jest dla mnie nadal aktualny. Nie wiem nawet, czy nie jeszcze bardziej niż...

Rudnicki urwał w pół zdania. Knap słyszał pojedyncze słowa dobiegające gdzieś z drugiego końca łącza. Po kilku sekundach wiceszef Centrum Antyterrorystycznego sapnął w słuchawkę.

– Przepraszam, niech pan chwilę zaczeka, inspektorze.

Nim Knap zdążył zareagować, rozległo się metaliczne kliknięcie. Sygnał wyciszenia połączenia. Elektroniczna ciekawostka mająca takie samo zastosowanie jak zasłonięcie słuchawki dłonią. Z tym że to drugie potrafił

wykonać bez problemu, a z pierwszym miał spore kłopoty. To musiała być wina telefonów.

Ze stoickim spokojem przegładził zarost i położył lewą dłoń na oparciu fotela. Po chwili zmienił pozycję, poluzował węzeł niemodnego, kraciastego krawata i wsunął dłoń między kołnierz koszuli i pomarszczoną skórę. Było mu duszno.

Odchrząknął i zbyt późno uświadomił sobie, że w ten sposób wywołał dłuższy napad kaszlu. Starał się uspokoić. Inhalator został w jego gabinecie, a nie chciał stracić cennego czasu na ponowne łączenie się z Rudnickim.

Raz, dwa, trzy...

Do cholery.

Spokojnie.

Wdech.

Wydech.

Powoli odzyskiwał panowanie nad oddechem, a niewidzialna siła pozbawiająca go tchu zaczęła odpuszczać. Jej palce odklejały się od jego gardła, a zad podniósł się z klatki piersiowej.

Dzięki ci, Boże.

Zdołał się opanować dokładnie w momencie, gdy w słuchawce ponownie rozległ się sygnał połączenia. Ciche kliknięcie i szum w tle.

– Jest tam pan? – Przez te kilka sekund ciszy głos Rudnickiego zmienił się diametralnie. Mimo pełnego profesjonalizmu agent nie potrafił ukryć zdenerwowania. – Jest tam pan, inspektorze?

– Coś się stało? – Knap wyostrzył czujność.

– Mój koordynator nieco się spóźni. Powinien być u was lada moment, ale wynikło opóźnienie...

– Opóźnienie?

– Tak. Proszę o chwilę cierpliwości. – Rudnicki mówił teraz cicho i niewyraźnie. Maskował drzenie głosu. – Przepraszam, muszę kończyć.

– Rozumiem, ale...

Tym razem kliknięcie było głośniejsze i zdecydowanie oznajmiło koniec rozmowy. Knap jeszcze przez chwilę trzymał telefon przy uchu. Wreszcie odłożył go i rozejrzał się wokół.

W sali pracowało już dziesięć osób. Zostały tylko dwa wolne stanowiska, choć i tam komputery zostały uruchomione. Za oknem dzień podniósł się na dobre. Niepotrzebne były już sztuczne światła, ale na kilku biurkach paliły się lampki. Z zielonym kloszem i mosiężną podstawą, wzorowane na międzywojennych bankierkach. Miało być poważnie, stylowo, a przede wszystkim nie szpitalnie. Dlatego lampki miały emitować ciepłe, żółte światło.

Knap przywołał do siebie Landaua. Aspirant właśnie przemierzał pomieszczenie z plikiem kartek w ręce. Zawrócił i sztywnym krokiem podszedł do przełożonego.

Inspektor nabrał głęboko powietrza. Wciąż było mu duszno.

– Człowiek, który zaprofilował zabójcę tych małych dziewczynek z Ursynowa... – wyrzucił z siebie na wydechu Knap.

– Co z nim? – zainteresował się Landau.

– Jak się nazywał?

– Karot – odpowiedział aspirant.

– Zgadza się, Karot. Już pamiętam, Edmund Karot.

– Mam go ściągnąć?

Knap splótł dłonie. Przez chwilę siedział nieruchomo, kontemplując, jak świat wokół niego pędzi. Chaotycznie. Na złamanie karku. Od samej chwili stworzenia aż do teraz, rozpadając się na coraz mniejsze kawałki.

Przełknął ślinę.

Karot był wykładowcą akademickim i prowadził własną praktykę terapeutyczną. Ze względów proceduralnych nie mógł zostać etatowym pracownikiem policji, ale o jego umiejętnościach krążyły legendy. Chociaż szefostwo zachowywało wobec niego spory dystans, robił niemalże za jasnowidza. Zresztą w śledztwach pomagał też Niemcom i Czechom, a chodziły plotki, że interesowali się nim Amerykanie. Zdolna bestia. Mówiło się, że ma jakiś szósty czy siódmy zmysł, dzięki któremu potrafił przejrzeć psychikę sprawców. Tym zmysłem mogła być zwykła, głęboka empatia, ale to nie miało znaczenia. Istotne było, że taki człowiek może dać nadzieję.

Knap rozplótł dłonie i podniósł się z fotela.

– Tak – potrząsnął głową. – Przywieź go choćby w pizamie.

### 3.

Nim Landau zdążył odejść, Knapowi kompletnie zaschło w gardle. W jednej chwili. Słoń znowu postawił swoją, przypominającą grecką kolumnę, łapę na jego piersi. Wpakował mu trąbę do ust i się zaciągnął.

Inspektor podniósł się znad biurka i zerknął w stronę telewizora. Szósta siedem na pierwszym planie, na drugim przypominki zamachów w Paryżu i Berlinie, a na trzecim, w okienku wielkości dłoni, gadająca głowa reporterki. Pasek niósł dramatyczny przekaz.

#### ŚŁUŻBY ANTYTERRORYSTYCZNE WALCZĄ Z CZASEM.

Prawie nikt tego nie rozumiał. Nie ma najmniejszego sensu walczyć z czasem ani przywiązywać większej wagi do jego upływu. Dla Boga wszystkie chwile czasu są terazniejsze w ich aktualności. Tak mówi katechizm. Coś w tym jest. Poza tym nie ma sensu wściekać się i kłócić z nieuniknionym.

Knap podniósł się z fotela i poczłapał do wyjścia. Ktoś wymownie chrząknął, chcąc zwrócić jego uwagę, ale się nie zatrzymał. Radźcie sobie przez chwilę same, dzieci. Dobrego staruszka kiedyś zabraknie.

Starając się panować nad oddechem, powłókł się w głąb korytarza. Minał barek, z którego dolatywał przyjemny zapach kawy i jajecznicy, szyby wind, wreszcie znalazł się pomiędzy numerowanymi pomieszczeniami. Połowę przejścia tarasowała ogromna dracena. Obszedł ją i pchnął drzwi po prawej.

Jego gabinet był skromny, jak na „jezuitę” przystało. Proste biurko, niewielka szafka pełna książek, kodeksów i dokumentów, zdjęcie żony i syna, a poza tym dwa skórzane fotele. Na bliższym z nich stała jego skórzana torba. Wyciągnął z niej inhalator i mocno się zaciągnął. Duszność powoli ustąpiła. Knap wyprostował się i głęboko zaczerpnął powietrza. Tak głęboko, jak tylko był w stanie.

Odstawił inhalator na blat biurka, odczekał kilka sekund i ruszył z powrotem do wyjścia. Statystycznie życie człowieka to kręcenie się w kółko pomiędzy stałymi punktami. Domem i pracą. Kiblem i biurem.

Właśnie z tą mądrością przeszedł na drugą stronę korytarza do łazienki. Zatrzymał się przed lustrem, poprawił węzeł krawata i przyjrzał się swojemu odbiciu. Nie wyglądał ani dobrze, ani specjalnie źle. W tym wieku powinien tak wyglądać, choć przydałoby się nieco wyrównać zarost i dobrać lepsze ciuchy. Sam widział, że marynarka jest za duża o parę rozmiarów, ale jedyna osoba, która była mu w stanie cokolwiek doradzić, bezpowrotnie odeszła.

A może teraz to on zmniejszył się o parę rozmiarów?

W momencie gdy zwilżył dłonie i przyłożył je do skroni, poczuł wibrację komórki. Pospiesznie przeszedł do pojemnika na ręczniki, ale był pusty. Suszenie zajęłoby zbyt wiele czasu. W rytmie poirytowanego dzwonka otarł ręce o spodnie. Wciąż wilgotnymi palcami wyciągnął telefon.

DOM.

To znowu ojciec.

Mokra opuszka ślizgała się po ekranie, który w ogóle jej nie wyczuwał. Gdyby aparat miał jak dawniej klawisze, nie byłoby problemu. Ale nie miał.

Knap przeciągnął palcami po marynarce i jeszcze raz nacisnął zieloną słuchawkę. W tym samym momencie wyświetlił się komunikat o nieodebranym połączeniu. Ojciec się rozłączył.

To nie był dobry znak.

Ostatnim razem konwulsyjne, napadowe wydzwanianie miało miejsce, gdy stary Klemens zdał sobie sprawę, że w domu obserwują go dziesiątki par oczu. Patrzyły ze ścian, znad podłóg i zza szafek. Knap nie miał pojęcia, o co mu chodzi. Był wtedy piekielnie zajęty i zbył go półsłówkami, zapewniając, że niedługo będzie na miejscu. Ojciec dzwonił raz po raz, aż wreszcie przy piątej czy szóstej rozmowie na przeczekanie Knap wszystko zrozumiał. Na właściwy trop naprowadziły go utyskiwania staruszka na lśniące, metalowe nosy. Oczy w alternatywnej rzeczywistości były gniazdkami elektrycznymi. Z niektórych dodatkowo sterczały nosy bolców uziemienia. Ojciec wpadł na pomysł wydłubywania tych świńskich, przeklętych ślepi i o mały włos nie doszło do tragedii.

Dlatego kiedy dzwonił, lepiej było odebrać.

Knap wyszedł z łazienki i wybrał numer. Odczekał sygnał, dwa, trzy, wreszcie pięć czy siedem... Nic. Połączenie zostało odrzucone.

Zdenerwowany, wybrał ponownie.

Minął dracnę, zaciągnął się aromatem kawy oraz jajecznicy i zatrzymał dopiero przed drzwiami głównej sali. Ojciec znowu nie odebrał. Gniazdkami nie musiał się martwić, bo po ostatniej akcji prawie wszystkie wymienił na modele zakryte klapkami. Jednak nigdy nie można było przejrzeć wszystkich pomysłów ojca. Telewizor mógł stać się niespodziewanym intruzem, radio muchą, którą trzeba spacyfikować, a...

Zadręczanie się nie miało sensu.

Knap wybrał numer syna. W tym przypadku obciążenia genetyczne zostały potwierdzone, bo i jego telefon uparcie milczał. Nie pozostawili mu innej możliwości.

Z ociąganiem uruchomił książkę kontaktów, po czym wyszukał ten do opiekunki. Stara, klasyczna kindersztuba okazała się niezawodna i Lichocka odebrała niemal od razu. W słuchawce rozległo się jej dźwięczne „halo”. Na szczęście jej nie obudził.

– Pani Lusi, przepraszam, że dzwonię o tej porze, ale nie wiem, co robić...

– Coś się stało?

Głos Lichockiej był jak zwykle ciepły, ale konkretny. Między innymi dlatego miał do niej pełne zaufanie. Nie była rozlazłym kluchem jak część kobiet ogłaszających się jako opiekunki. Do nadzoru trzeba konkretnie.

– Mój tata...

– Tak?

– Nie mogę się z nim skontaktować, a od rana ma gorszy dzień. Wie pani, ten gorszy gorszy.

„Gorszy gorszy” był kodem takim samym jak „jasna ciasna” Landaua. Lichocka jednak doskonale go rozumiała.

– Będę u niego za pół godziny – odparła bez cienia złości. – Może nawet szybciej.

– Nie wiem, jak mam pani dziękować...

– Dwie zdrowaśki, proszę. I coś tam niech pan dorzuci od siebie.

Jak zwykle serdecznie kpiała z jego religijności. Nim zdążył się odezwać, drzwi obok niego otworzyły się i ze środka wypadł Bielawski. Na jego widok podniósł trzy palce, po czym znacząco wskazał na cyferblat zegarka.

Trzy?

Kolejny kod, który należało odszyfrować. Knap jednak załapał od razu. Do końca ultimatum szantażysty zostały już tylko trzy kwadranse. Może jednak coś jest w tej walce z czasem.

#### 4.

Rządowe limuzyny rzadko kiedy przypominają te znane z amerykańskich filmów o miliarderach. Nie mają wewnętrznych szyb, wypchanych alkoholami barków ani nawet podwójnego rzędu kanap w części pasażerskiej. Są to klasyczne pojazdy wyposażone w pewne umocnienia, ewentualnie w kuloodporne szyby, mocniejsze silniki i często podniesione zawieszenie. Ulegają awariom niewiele rzadziej niż auta przeciętnych obywateli i tak samo łatwo potrafią zawisnąć na nierówności drogi.

Wiceminister spraw wewnętrznych Norbert Graf cieszył się, że w bmw jest przynajmniej tyle miejsca, że może swobodnie wyprostować nogi. Mało aut nadawało się do przewożenia tak wysokich dygnitarzy. I nie chodzi o wysokie stanowisko czy uposażenie. Po prostu Graf mierzył prawie dwa metry i miał z tym odwieczny problem.

– Na linii jest już minister obrony oraz rzecznik rządu – obwieścił siedzący na przednim fotelu funkcjonariusz Służby Ochrony Państwa. – Przełączyć?

– Tak, proszę.

Graf przyglądał nogawki i sięgnął po słuchawkę szyfrowanego telefonu. Poruszali się jedną z dziesięciu rządowych limuzyn wyposażonych w ten przyrząd. Dwie z nich przysługiwały właśnie ministerstwu spraw wewnętrznych.

– Słyszycie mnie, panowie?

Głos ministra Jacka Tomeckiego był adekwatny do pory dnia. Szorstki i ospały. Graf wciąż miał premierowi za złe, że umieścił tego gnojka na stołku, a on skończył w drugim szeregu. Prywatnie był z Tomeckim na ty, znali się jeszcze z uczelni, ale nie pałali do siebie szczególną sympatią.



Jeszcze gorszy kontakt miał z rzecznikiem rządu. Mimo to Graf nie uważał się za konfliktowego.

– Słyszę pięknie i wyraźnie – odparł, siląc się na uprzejmy ton. – Dzień dobry.

– Trudno mówić „dobry” – włączył się Michał Abramowicz. Trzydziestosiedmioletni rzecznik rządu zawsze pozował na wielką gwiazdę.

– Powinniśmy wydać komunikat, że negocjacje z terrorystami są wykluczone – oznajmił bez ogródek. – Im szybciej, tym lepiej.

– To byłby błąd... – zauważył Graf.

Oparł głowę o szybę i popatrzył ponad barierkami mostu Poniatowskiego na Wisłę. Poziom był niski, wręcz zaskakująco niski, i odsłaniał piaszczyste łąchy.

– Żaden błąd. Tego oczekuje od nas społeczeństwo. Twardego stanowiska i nieulegania żadnym naciskom – oświadczył z przekonaniem Abramowicz.

– Społeczeństwo chce jedynie bezpieczeństwa. W dupie ma naszą stanowczość. Kiedy nasz chłopak siedział w Afganistanie u talibów i chcieli okupu, siedemdziesiąt procent było za jego zapłaceniem – przekonywał Graf.

– To zupełnie co innego – wycedził Abramowicz.

– Panowie... – mruknął koncyliacyjnie minister Tomecki. – Rozmawiajmy merytorycznie.

Graf sapnął. Wisła znikła z tyłu, a teraz jego wzrok zawisł na gmachu Stadionu Narodowego. Jedna z nielicznych budowli wzniesionych w ostatnich latach, która nie jest koszmarkiem. Poza incydentem basenowym spisywała się też bez zarzutu. Na jej terenie prawie codziennie od szóstej do siódmej trwały treningi fitness i jogi. Wstęp był bezpłatny, co w połączeniu z propagowaną modą na zdrowie przyciągało tłumy. Akurat, żeby je dodatkowo rozruszać w formie wybuchów.

– Wypuśćmy ich – powiedział obojętnie Graf. – To tylko trzech gnojków.

– Zdaje pan sobie sprawę, co zrobiłyby z nami media? – zaprotestował rzecznik. Jak zawsze wszystko wiecznie kalkulował. Tyle że jego kalkulacje były oparte na błędnych przesłankach.

– Jeżeli ich wypuścimy, nie musimy o tym informować mediów – odparł Graf.

– Dobrze pan wie, że prędzej czy później i tak się dowiedzą. Tak samo jak o tym wybuchu w ABW – nie ustępował Abramowicz.

Kierowca dynamicznie zawrócił na rondzie i Graf musiał wesprzeć się łokciem o szybę. Rozparł się wygodniej. Teraz był czas na małą ofensywę.

– Nie w tym rzecz – zaczął. – Chodzi o to, żeby doprowadzili nas do tego kutafona, który rozsyła nagrania.

– Myśli pan, że jeśli ich wypuścimy, to do nich zadzwoni i poprosi, żeby wpadli na kawkę do Bristolu albo MiTo? Umówią się i będą razem przechadzać się po Marszałkowskiej? – kpił Abramowicz.

Graf musiał w duchu przyznać, że rzecznik ma gadane. Zazwyczaj jednak pieprzył jak potłuczony.

– Skąd ten sarkazm... – odparł Graf niewzruszonym tonem. – To tylko zwykły rozsądek.

– Wypuszczenie trzech terrorystów nazywa pan rozsądkiem? Wie pan, jak to będzie wyglądało w sondażach? Słupki polecą nam na zbity ryj – zachnął się Abramowicz.

– Jeżeli będziemy ich śledzić i później złapiemy całą siatkę, to nie będzie zbitego ryja – zripostował Graf.

– Panowie, proszę was – włączył się ponownie do rozmowy Tomecki. Mimo upływającego czasu jego głos nie stawał się ani krztę żywszy. – Na razie musimy poczekać.

Graf położył ręce na udach. Sprawy przybierały korzystny obrót szybciej, niż się spodziewał. Splot okoliczności wyeliminował na razie z gry jego szefa i premiera. Obaj smacznie spali po nocnych eskapadach. Cóż za niesamowity zbieg okoliczności.

– Nawiażemy kontakt z tym szantażystą – kontynuował minister. W tle rozległo się nerwowe prychnięcie rzecznika. – Damy sygnał, że jesteśmy gotowi do negocjacji i bierzemy go na serio. Myślę, że ci ludzie wcale nie mają powodu, żeby robić u nas jatkę.

– Ale... – próbował wtrącić się rzecznik.

– Nie skończyłem – przerwał mu Tomecki. – Niech służby sporządzą odpowiednią wiadomość dla niego. To ma być gra na zwłokę. Rozumiecie? Odsuniemy wyrok w czasie, a jednocześnie będziemy go szukać. Zwykły blef.

Kiedy ma się tak słabe karty, blefowanie to kurewsko ryzykowna zagrywka. Poza tym próbując negocjować, tylko podbijali stawkę. Jednak Graf nie miał z tym problemu. Lubił ostre zagrywki, a poza tym miał swoje powody, żeby nie zgarnąć całej puli. Zdarza się, że przegrana zespołu przynosi zwycięstwo jednostce. Z całą pewnością nie mieli teraz czasu, by grać na czas.

Popatrzył na jasną fasadę budynku ministerstwa i po raz pierwszy tego dnia się uśmiechnął.

Zawsze chciał zastąpić gównianą rządową limuzynę autem z prawdziwego zdarzenia.

## 5.

Wiadomości od szantażysty wbrew pozorom nie zatrzymały ruchu na warszawskich ulicach, a wręcz go wzmogły. Rządowa limuzyna z wiceministrem Grafem minęła się z policyjnym oplem, na którego tyle siedział Edmund Karot. Psycholog po raz piąty odsłuchiwał ostatnie nagranie i westchnął. Nie wyglądał za okno. Przez cały czas wzrok miał wbity w notatnik i bezwiednie drapał się w kompletnie łysą czaszkę. Był niskim, wyjątkowo drobnym mężczyzną o niezdrowej cerze. Jego oczy kryły się za szklami okrągłych, mocno dociśniętych do twarzy okularów.

Odłożył notatnik na skórzaną kanapę i wyciągnął komórkę. Nie znał się ani na szyfrowanych łączach, ani na telefonach instalowanych w limuzynach. Wybrał numer, z którego otrzymał ostatnie połączenie.

– Tak, Ed? Gdzie jesteś?

A więc Landau musiał mieć zapisany jego telefon. Karot poczuł niezdrową nutkę satysfakcji.

– Chciałeś, żebym dzwonił, gdy tylko coś przeanalizuję – oznajmił nieco niepewnie. – Będę pewnie za jakieś kilkanaście minut, a skoro liczy się każda sekunda...

– Wal. Daję cię na głośnomówiący. Jestem w naszym konferencyjnym akwarium – zachęcił go Landau.

Niepewność i zakłopotanie należało przekuć w żart.

– Spokojnie, nie zamierzam opowiadać sprośnych dowcipów – odpowiedział mu Karot.

Nikt się nie roześmiał. Karot poczuł pot zbierający się mu na karku nad sztywnym kołnierzem koszuli.

– Od sprośności to jestem ja.

Natychmiast rozpoznał głos Bielawskiego. Zresztą spośród wszystkich gliniarzy, których znał, te słowa mógł wypowiedzieć tylko on.

– Ale do rzeczy, Ed – ponaglił go Landau. – Błagam cię, do rzeczy.

Psycholog sięgnął z powrotem po notatnik i położył go na kolanie. Nerwowo przegładził stronę.

– „Nie widzicie moich twarzy...” – odczytał część notatki. – Zwróciliście na to uwagę? Później autor nagrania mówi, że zna wasze twarze, co jest zrozumiałe. Wymienia inspektora Knapa i komisarza Bielawskiego indywidualnie, z imienia i nazwiska. To naturalny proces, że przypisuje im tak zwane gęby. Być może rzeczywiście wie, jak wyglądają. Tymczasem również o sobie wyraża się w liczbie mnogiej. To jest naprawdę symptomatyczne, a...

– I co to może oznaczać? – wtrącił się Bielawski.

Karot odchrząknął.

– Sugeruje nam, że za groźbami kryje się kilka osób. Może wcale nie bezpośrednio, ale gdzieś głębiej na poziomie organizacji...

– To zdaje się zostało już wykluczone – zauważył Bielawski.

– W jaki sposób?

– Tak utrzymuje ABW – wyjaśnił komisarz.

– Mogą się mylić – powiedział z uporem Karot. – To nie było zwykłe przejęzyczenie, choć później nadawca posługuje się już prawidłową formą. Jednak gdy wspomina o tym, że zrobiono rozpoznanie w jego świecie, ponownie kładzie nacisk na szerszą perspektywę. Świat. Nie mówi o środowisku, o ideologii czy dżihadystach, ale o całym świecie. – Psycholog odchrząknął. – W ten sposób ludzie podświadomie wskazują na jakieś szersze tło. To bardzo dobrze zbadane zjawisko językowe i jeden z mechanizmów psychologicznych.

– A więc może mieć współników? – Cichy głos Knapa był zniekształcony. Inspektor musiał stać gdzieś dalej od mikrofonu. – O tym mówimy?

- Tak.
- W porządku, dopuścimy taki scenariusz. – Knap sapnął. – Co więcej? Karot po raz kolejny mechanicznie przegładził stronę. Zatrzymał palec na jednym z ostatnich zapisków.
- W trwającym nieco ponad minutę nagraniu dwukrotnie pojawia się odwołanie do traktowania poważnie oraz niewiary, że to zrobi. Wiadomo, czym jest to coś. Zamach, ofiary i tak dalej...
- Więc co twoim zdaniem niby znaczy to dwukrotne odwołanie? – dopytał Landau.
- Sądzę, że występuje tu ekspozycja sprawczości nadawcy.
- Mówże po ludzku. – Bielawski przez cały czas musiał być tuż przy mikrofonie. – A nie o sekspozycjach.
- Karot podrapał się po łysinie. Z punktu widzenia psychologii komisarz przejawiał zachowania seksoholiczne.
- Ekspozycja sprawczości – z naciskiem wymówił kolejne słowa – to skala przekonania co do własnych słów i zachowań.
- Jezu. Mam to wklepać w Google? Czyli o co chodzi?
- W tle Karot wyłowił łagodny szmer. Domyślał się, że to Knap poprosił, aby mu nie przerywać.
- O to, że zagrożenie jest naprawdę realne. Ten człowiek nie robi sobie zwykłych żartów i jest cholernie zdeterminowany. – Auto weszło w zakręt i notatnik zsunął się na kanapę. – Zrobi to. O ile go nie powstrzymacie.

## 6.

W sali na ostatnim piętrze siedziby Centralnego Biura Śledczego po raz pierwszy tego ranka zapadła cisza. Adam Knap ciężko westchnął, po czym wbił wzrok w podłogę. Nie lubił bon motów, które regularnie bombardowały mu głowę. Czy przekroczyli właśnie próg piekła i musieli porzucić wszelką nadzieję? Mógłby zacząć pisać złote myśli.

– Mam niemalże stuprocentową pewność, że jest gotów to zrobić – powtórzył Karot. – Kontekst psychologiczny wypowiedzi nie pozostawia

złudzeń.

– Poza tym nie mamy żadnego tropu? – Knap zrobił krok w stronę ustawionego w rogu sali nadajnika. – Nic, co naprowadziłoby nas na tego człowieka?

– Muszę nad tym spokojnie usiąść. Odsłuchiwanie pomiędzy włożeniem spodni a porannym spuszczeniem moczu nie jest wygodne. W aucie zresztą też ciężko się skupić.

Knap westchnął.

– W takim razie do zobaczenia. Mam nadzieję, że na miejscu uda się panu coś wywnioskować.

– Chwileczkę! – Karot krzyknął akurat, gdy palec Landaua zawisnął nad przyciskiem rozłączenia. – Mam pewien pomysł. Znam osobę, która mogłaby nam pomóc.

Knap, który przed chwilą całkowicie stracił zainteresowanie rozmową, ponownie odwrócił się do telefonu. Zerknął na Bielawskiego, ale ten jedynie wzruszył ramionami.

– Tak? Proszę mówić.

– Doktor Greta Nawrocka. – Psycholog zrobił pauzę, lecz nikt nie zareagował. – To specjalistka od analizy zapisów głosowych. Z pewnością będzie w stanie wszystko ocenić z jeszcze innej perspektywy. Poza tym z sukcesem współpracowała już z policją...

– Specjalistka? – dopytał z powątpiewaniem Landau. – Czym się wykazała?

Knap podniósł nieznacznie dłoń. Był to jeden z najbrutalniejszych gestów, na jakie potrafił się zdobyć i oznaczał kategoryczny nakaz uciszenia się.

– Przyda się każda ręka na pokładzie – zacharczał. – Proszę dać mi jakiś namiar na panią doktor.

\* \* \*

Kilka minut później Knap rozmawiał z ekspertką. Nawrocka pośpiesznie dała mu do zrozumienia, że nie musi wyjaśniać tematu od zera, bo trąbią o nim wszystkie media. Tylko kto normalny ogląda wiadomości o szóstej rano?

– Niedawno słysza-sza-łam to nagranie w ra-radiu – oznajmiła.

– Tak? – Knap udał zdziwienie. – I?

– Oczywiście jakość nie pozwala na wy-wyciągnięcie zbyt wielu wniosków. Poza tym nie za-załapa-łam się na całość, ale t-to nieistotne. Chodzi o to... Jest tam pan, i-inspektorze?

– Bez przerwy.

Nawrocka cicho cmoknęła.

– Jest pan jednym z nielicznych lu-ludzi, którzy nie przerywają ani n-nie przypominają o swojej obecno-oności dyszeniem, stęka-kaniem ani... Przepraszam, wracam do sedna. Chodzi o to, że słysza-szałam już taki głos.

Knap poczuł skurcz przebiegający wzdłuż łydki i uda. Oparł się o parapet. Przez chwilę dudnienie klimatyzatora wzięło mu się w mózg.

– Głos nadawcy?

– To nie jest głos nadawcy, ale spe-specjalny filtr – pospiesznie wyjaśniła Nawrocka. – Na nagrania nakładali go już i hakerzy i p-przestępcy. Analizowałam kilka z nich. Nieco zaburza obraz sytu-tuacji, ale przede wszystkim nie pozwala na identyfikację spraw-wcy.

– Da się go jakoś ściągnąć?

– Nie. Ale m-można sprawdzić parę innych rzeczy. – Nawrocka mówiła coraz szybciej i płynniej. – Prześlijcie mi te pliki w pełnej jakości na pocztę. Siądę nad nimi i zobaczę, co da się zro-zrobić.

Podyktowała swój adres mailowy i odłożyła słuchawkę. Bielawski gwizdnął.

– Solidna babka.

– Może zdaje sobie sprawę, że do zniw i morza krwi, czy jak to leciało, został nieco ponad kwadrans. – Knap skinął w stronę telewizora. Nie zamierzał się nawet wczytywać w kolejne sensacyjne informacje na pasku.

– Teraz musimy...

Przerwał mu dzwonek komórki. Pospiesznie wyciągnął ją z kieszeni, ale nie dzwonił ani DOM, ani SYN, ani opiekunka. Numer wewnętrzny komendy.

Odebrał.

– Pan Marek Zawada z Centrum Antyterrorystycznego czeka na pana, inspektorze – oznajmił potulny głos któregoś z posterunkowych. – Co mamy zrobić?

– Wprowadźcie go na górę.



– Oczywiście.

Po niespełna dwóch minutach do sali konferencyjnej wszedł elegancki mężczyzna w stalowym garniturze. Pod marynarką miał śnieżnobiałą koszulę, której plisnę zakrywał błękitny krawat. Jego pociągła twarz sprawiała wrażenie szlachetnej, a spojrzenie inteligentnego. Idealny przedziałek w ciemnych blond włosach wieńczył obraz mężczyzny o prezencji absolwenta brytyjskiej prywatnej uczelni.

– Marek Zawada – przedstawił się. – Centrum Antyterrorystyczne ABW.

– Witamy pana.

Knap i Bielawski uścisnęli jego dłoń, a siedzący najbliżej policjanci skinęli głowami. Landau machnął dłonią znad sterty świeżo doniesionych dokumentów.

– Mieliśmy pewne problemy... – Zawada rozejrzał się po sali, jakby upewniał się, że jest w bezpiecznym miejscu. Popatrzył po twarzach policjantów, po ich stanowiskach, a wreszcie skupił wzrok na inspektorze. – Zresztą nie mogę o tym mówić. Poproszono mnie o jak najszybsze nakreślenie pełnej sytuacji...

Knap skinął głową i bez słowa ruszył w stronę biurka, przy którym siedział Landau. Zatrzymał się przy nim, przedstawił sobie obu mężczyzn, po czym sięgnął po leżącą na wierzchu kartkę.

– To lista zadań, które wyznaczyłem – wyjaśnił. – Pierwsze dwa punkty możemy uważać za odhaczone. W najbliższym czasie będziemy mieć analizę psychologiczną nagrań oraz opinię eksperta do spraw głosu. Pracujemy nad aktami tych ludzi oraz nad ich ewentualnymi powiązaniem. Chociaż domyślałem się, że wiedza ABW w tym względzie jest szersza.

– Przesłano wam wszystko, czym dysponujemy – odparł Zawada. – Poza tym zapadły już pewne decyzje.

– Mianowicie?

– Góra zdecydowała, żeby nawiązać kontakt z szantażystą.

– Negocjacje? – zdziwił się Bielawski i założył dłonie za plecy. – To chyba nie jest najlepszy...

Zawada nie pozwolił mu skończyć.

– Mam pełne uprawnienia, żebyśmy je podjęli. Kazano mi grać na zwłokę.

– Na zwłokę? Niby jak długo? – dopytywał się inspektor.

– Jak długo nam się uda.

Knap nie był przekonany. W podobnych sprawach negocjacje mogły jedynie pogorszyć sytuację. Zamiast obniżenia żądań, szantażyści usztywniali stanowisko i odfruwali od rzeczywistości.

– Myślę, że treść wiadomości powinniśmy przynajmniej skonsultować z psychologiem i naszymi negocjatorami – zaproponował. – Co mielibyśmy mu napisać?

– Nie ma na to czasu. Na razie wystarczy, że nawiążemy kontakt – stwierdził Zawada.

Inspektor przygładził włosy. Opuszczając dłoń, mimowolnie dotknął wypukłości marynarki na miniaturowym Piśmie Świętym. Coś przyszło mu do głowy.

– Ten cały Sharran posługuje się nagraniami dźwiękowymi – powiedział, patrząc za okno. – Powinniśmy mówić do niego tym samym językiem. Sądzę, że psycholog by się ze mną zgodził. Powinniśmy sporządzić wiadomość głosową. – Odwrócił się do Bielawskiego. – To możliwe?

– Oczywiście.

– Co do tekstu, pozostawiam to wam. Jeśli ABW chce się wykazać, nie będę wchodził w paradę.

– Dziękuję. – Zawada kiwnął głową.

– Aha, poza tym... – Knap odkaslnął. – Poza tym jeżeli to wykonalne w ciągu kilku minut, spróbujcie nałożyć na to filtr, o którym mówiła ta...

– Nawrocka. – Bielawski jak zwykle miał pod ręką notatki.

– Właśnie. Skontaktujcie się z nią. Miała się odezwać natychmiast – zaniepokoił się Knap.

– Minęło dopiero kilka minut... – zauważył komisarz.

Jak na zawołanie odezwał się dzwonek telefonu inspektora. Nieważne, czy był to dom, syn, czy właśnie Nawrocka, spodziewał się złych wieści. A zazwyczaj jego złe przeczucie się sprawdzało.

– Cwany sukinsyn – powiedziała do słuchawki Greta Nawrocka. Podrapała kota po wygiętym grzbiecie. Jego ogon rozczapierzył się i przypominał pałkę do kurzu, drżącą jak kobra uwodzona przez fakira. Po krewetkowej saszetce Freddie był wyraźnie pobudzony. Z jego gabarytami i wrodzoną gracją ograniczało się to do dostojnych przemarszów wokół fotela opiekunki, ale to i tak było wiele. Podstawowa aktywność sprowadzała się do położenia się w zasięgu jej dłoni, ewentualnie przewrócenia się na grzbiet.

– Naprawdę cwany su-sukinsyn – powtórzyła Nawrocka. – Filtr został nałożony na całość nagrania i zmienia ho-horyz-zontalnie tembr głosu. W ciągu tak krótkiego czasu nie jestem w stanie prawie n-niczego ocenić.

– Prawie? – dopytał Bielawski.

– Prawie.

Aspirant, który się z nią połączył, poinformował, że włączony jest głośnik. Nie wiedziała tylko, czy słuchają ją dwie, trzy osoby, czy pół komendy. Cwany sukinsyn musiał przykuć ich uwagę. Teraz musiała jedynie ustalić pozycje, na jakich się okopali.

– Musicie panowie być ze mną w pełni szczerzy – ostrzegła, ciągnąc Freddiego delikatnie za ogon. – Żadnego z-zwodzenia ani lania wody, bo zabu-burzymy w-wyniki.

– Zdaje sobie pani sprawę z tajności operacji – mruknął Bielawski. – Ale proszę mówić. Zobaczymy, co da się zrobić.

– Skąd ten człowiek wiedział o tych sztu-sztukach broni?

– Myślałem, że ma pani za zadanie dokonać analizy głosu, a nie wnikać...

Nawrocka nie pozwoliła komisarzowi zbić się z tropu. Odkąd została w mieszkaniu sama z kotem, paradoksalnie odzyskała sporo pewności siebie. Odkąd papiery rozwodowe trafiły do sądu, poczuła się znacznie lepiej. Nie musiała już być potulną myszką schowaną pod szczotką.

– Chodzi o to, że dokonując analizy, zwraca się uwagę na ka-każdy szczegół. A jeżeli już tak pana to i-interesuje, cechy nagrania wskazują, że Sha-Sharran wcale nie mówił o tym z pełnym p-przekonaniem – wyjaśniła.

– Nie był pewny tego, czy wymieniane liczby się zgadzają? – zaciekał się Bielawski.

– Najwyraźniej.

– Ale miał rację – do rozmowy włączył się młody mężczyzna, którego głosu wcześniej nie słyszała. – To nie mógł być przypadek.

– Ja tylko mówię o analizie. Nie zadaję dalszych pytań – odparła Greta.

– Okej, okej. – Bielawski jej ustąpił. – Już to zanotowaliśmy, a teraz słuchamy dalej.

Freddie otarł się o jej łydkę i z gracją przewinał między nogami fotela. Cicho miauknął. Nawrocka poprawiła długie, upięte w koński ogon włosy i zerknęła na leżący na biurku wydruk. Przypominał odczyt sejsmograficzny albo elektrokardiogram pokazujący jednocześnie pracę serc kilkunastu pacjentów.

– Filtr dopuszcza pewne przekłamania, ale rdzeń głosu pozostaje niezmienny – rzuciła oględnie. Skurczybyk Freddie robił wszystko, by przykuć jej uwagę, lecz odtrącała jego zaloty. – Szczegóły są nieistotne – podjęła po chwili. – W skrócie, na barwę głosu składają się wys-sokość, napięcie oraz tempo. Zniżanie głosu u-uważa się za przejaw niepewności, ale to tylko jedna strona medalu. Na przykład mężczyźni podświadomie zniżają głos, gdy rozmawiają z atrakcyjnymi kobietami. Sharran tak właśnie robi, gdy mówi o mordowaniu, cięciu i rzezi. Kręci go to, ale po chwili, gdy przechodzi do słów konkretnie odno-no-oszających się do zamachu, ponownie podwyższa głos. – Nawrocka powiodła palcem po jednej z linii wykresu, choć przypatrywał się temu tylko kot. – To wskazuje na emocjonalne podejście. W pierwszym i drugim nagraniu możemy je zakreślić we fragmentach mówiących w-wprost o zamachu. Obniżanie napięcia głosu występuje podświadomie, gdy nie chcemy na jakiś temat rozmawiać. W na-naszym przypadku ma miejsce tylko raz, gdy nadawca wspomina o robieniu rozpoznania wśród policji.

– Co to może oznaczać? – natychmiast dopytał Landau.

Nawrocka przycisnęła telefon do ucha.

– Karot powie wam więcej niż ja. Moim zdaniem wcale nie zrobił takiego roz-zpoznania, na jakie się powołuje. Być może o komisarzu Bielawskim i inspektorze Knapie dowiedział się przypadkowo. W interne-necie albo w telewizji.

– Skoro tu mija się z prawdą i nas wrabia, może robi to również w sprawie samego zamachu – rzucił z nadzieją Landau.

– Nie. – Zimne, krótkie „nie” zawisło na linii. – Już powiedziałam, że kiedy o nich mówi, jest emocjonalnie nakręcony. Spowolnione, ale dosadne tempo mówienia również podkreśla taką re-reakcję. Decybele, amplituda drgań, to wszystko niestety urealnia jego groźbę.

– Jak bardzo? – dopytał Bielawski.

Nawrocka przygryzła wargę.

– Gdybym miała oceniać, to dziewięćdziesiąt procent. Ale, że nie lubię niepewności, postawiłabym wszystko.

– A... – próbował wejść jej w słowo Landau.

Znowu nie dała sobie przerwać. Odzyskiwanie pewności siebie ponoć trwa latami, ale pierwsze efekty dostrzegła prawie natychmiast po wyjściu z chorego związku. Świadomość, że mówi coraz szybciej i płynniej, nakręcała ją.

– Dobrym pomysłem byłoby nagranie wiadomości dla szantażysty – powiedziała. – Krótkiego, maksymalnie półminutowego komunikatu. Można użyć damskiego, dość wysokiego głosu. Fi-filtr i tak go przytusza. Proponuję też wybrać stałą amplitudę, ale zmienną częstotliwość. Ocenilibyśmy jego reakcję i...

– Nie wiem, czy zdążymy. – Bielawski w końcu jej przerwał. Nie zamierzał jednak zdradzić, że wpadli na ten sam pomysł. – Nie wiem, czy on w ogóle jeszcze nas odsłucha.

Zegar w rogu monitora wskazywał szóstą czterdzieści siedem.

Zostało trzynaście minut.

## 8.

– Panie inspektorze... – Landau miał zadyszkę. Wyglądał, jakby właśnie zszedł z bieżni. – Znalaziono podejrzaną paczkę... – Zniżył głos, ale i tak wszyscy wokół skupili na nim uwagę.

Knap właśnie odsłuchiwał przygotowane przez Karota nagranie. Użyto głosu psychologa i zmodyfikowano go zgodnie ze wskazówkami Nawrockiej. Chłopaki z pokoju dwadzieścia osiem mieli za zadanie jedynie je wysłać.

Wyrobili się w ostatniej chwili, choć w rzeczywistości na rokowania mogło już być za późno.

– O ile mi wiadomo, chyba setny podejrzany pakunek w ciągu ostatniej godziny – powiedział inspektor, przyglądając zarost. – Centrum alarmowe ponoć straciło wydolność. Ludzie wpadli w panikę i podniecają się byle paczką po czipsach.

– Sto metrów od nas. – Aspirant wymownie skinął w stronę okna. – Przy Orange’u.

– Gdzie dokładnie?

– W śmietniku. Natknął się na nią sprzątac... Przed chwilą zdecydowano o ewakuacji, ale w środku jest ponad sto osób – relacjonował Landau.

– Przed siódmą rano? – zdziwił się Knap.

– Pracują nad jakimś międzynarodowym projektem, większość personelu miała się stawić na szóstą.

Knap wyjrzał na rozległy parking i popatrzył w stronę industrialnej siedziby Orange’a. Przed wejściem, w pewnej odległości stało jedynie dwóch ochroniarzy i radiowóz. Najwyraźniej nie był pierwszym, do którego dotarły te informacje.

– Dlaczego ludzie jeszcze nie wyszli na zewnątrz?

– Pakunek znajduje się ponoć tuż przed drzwiami – wyjaśnił Landau. – Ewakuacja musi być prowadzona tylnym wyjściem lub podziemiami. Zdaje się, że mają z tym problemy.

Inspektor zacisnął pięści. Nie wierzył w przypadki. Jeżeli ktokolwiek planował zamach, musiał się przygotowywać i zrobić rozpoznanie lepsze niż na podstawie danych z internetu. W tym przypadku nie chodziło o sprawdzenie paru haseł, a o prześledzenie mnóstwa zmiennych. Jeżeli ktoś chciał wybrać znaczące miejsce i dobrą porę, zrobił to doskonale. A skoro przypadki nie istnieją... Łatwo było zrozumieć zdenerwowanie aspiranta.

– Niech wyślą tam saperów. Skontaktujcie się z wojskiem – zakomenderował Knap.

– Już to poleciłem. – Landau spuścił wzrok. – Powiedziałem, że mam pańską zgodę.

Bielawski nerwowo zastukał palcem w parapet.

– Czy nasz budynek może znajdować się w zasięgu rażenia? – zwrócił się do sali. – Może mi to ktoś szybko ocenić?

Nerwowy szmer potwierdził, że wszyscy przysłuchiwali się tej wymianie zdań.

Knap szybkim krokiem podszedł do drugiego okna. Otworzył je i się wychylił. Na wewnętrznym parkingu Orange'a rzeczywiście coś się działo. Zdawało mu się, że słyszy też krzyki.

No tak. Banalnie proste. Jeżeli chciało się sparaliżować pracę sztabu operacji antyterrorystycznej, wystarczyło zmusić do ewakuacji jego siedzibę. To nie mógł być kolejny przypadek. Statystyka to odrzucała.

– No, śmiało! – Bielawski przeszedł za jego plecami. – Nie mamy tu, do cholery, nikogo od materiałów wybuchowych?

Stojący w rogu pomieszczenia Zawada głośno odchrząknął. Odgarnął z czoła kosmyk blond włosów.

– O ile to trotyl lub coś podobnego, potrzeba by co najmniej kilkudziesięciu kilogramów – odezwał się nieśmiało. – A to nie jest już zawiniątko... Jeżeli chceć zrobić coś więcej niż wybić okna, przydałoby się co najmniej sto kilogramów. Myślę, że nawet ponad dwieście. Nikt nie upchnąłby tego w śmietniku.

– A jeżeli to nie trotyl? – dopytał Bielawski.

Zawada wzruszył ramionami.

– Są materiały, które można zmieścić w dłoni, a rozwalibyby pół dzielnicy. Ale wątpię, aby dysponowali nimi dżihadyści. Do tego w Polsce.

– Choć to możliwe... – dociekał Bielawski.

– Wiem, że wywiad tego nie wykluczył – odparł Zawada.

– Kurwa mać...

Knap nie dał rozwinąć Bielawskiemu myśli. Zamknął okno i szturchnął go w ramię.

– Nie będzie żadnej ewakuacji – zdecydował na tyle głośno, by słyszano go w całej sali. – Wszyscy mają pracować nad wyznaczonymi zadaniami. A pokój dwadzieścia osiem – zwrócił się bezpośrednio do Landaua – ma wysłać tę wiadomość. W tym momencie.

– Robi się. Coś jeszcze?

Z oddali dobiegło jęgliwe wycie syren. W ich stronę pędziło co najmniej kilka wozów.

– Informujcie mnie o wszystkim na bieżąco. – Knap ruszył do wyjścia. – Będę niedaleko.

– To znaczy gdzie? – Bielawski jak zawsze chciał mieć przynajmniej ogólne rozeznanie w sytuacji.

– Tam, gdzie...

Inspektor zamilkł w pół zdania. Coś przyszło mu do głowy, musiał to tylko uchwycić.

Po chwili wiedział co.

Gdyby przeklinał, właśnie wylałby się z niego potok bluzgów.

## 9.

Niespełna pięć minut później Knap wpadł na zacieniony parking na tyłach oddziału Orange. Dyszał i zginał się w pół, lecz w końcu dopadł do pierwszego z radiowozów. Na miejscu był już pojazd straży pożarnej i dwa wozy wojskowe. Kilku żołnierzy czuwało, by ludzie nie stratowali się w progu budynku. Wszyscy co rusz zerkali na zegarki i telefony komórkowe.

Knap zdał sobie sprawę, że do siódmej pozostały już tylko dwie albo trzy minuty.

Wyciągnął legitymację i pobiegł ku stojącemu przy opancerzonej furgonetce majorowi. Nikt nawet nie próbował go zatrzymać. Uświadomił sobie, że podwójne tłumaczenie będzie jedynie stratą czasu.

Nie mógł sobie na to pozwolić.

Skręcił i przebiegł między radiowozem i pojazdem strażackim. Chwycił za ramię stojącego przy wejściu żołnierza.

– Wszystkich, którzy nie wyszli, zawróćcie do środka budynku! Niech się rozproszą po pomieszczeniach. Natychmiast!

– Ale...

– Nie rozumiesz? – wrzasnął Knap. – Do środka!

Żołnierz zbaraniał i niepewnie spojrział w stronę swojego zwierzchnika. Major ruszył w ich kierunku.



– Niech pan, na Boga, zawróci tych ludzi! – rzucił ostro do majora Knap.

– Przecież, do cholery...

Na widok legitymacji Knapa jedynie skinął głową. Odwrócił się do żołnierzy.

– Wstrzymać ewakuację. Niech ludzie zostaną w środku.

– Dziękuję.

Knap wreszcie zaczerpnął powietrza. Rozejrzał się wokół i popatrzył po kilkudziesięciu osobach zebranych na parkingu.

– Niech ci ludzie stąd odejdą. Dalej – zwrócił się wprost do majora. – I pańscy też. Gdzieś tu może być bomba.

– Przecież ten pakunek...

Widząc nieustępliwość na bladej twarzy Knapa, wojskowy odwrócił się do żołnierza z megafonem. Nachylił się w jego stronę i przekrzykując próbujących wydostać się z budynku ludzi, rzucił kilka rozkazów. Po chwili powietrze przecięły ostre, potęgowane wzmacniaczem komunikaty.

Drzwi do budynku zamknęły się, a w środku obok nich stanął żołnierz. Nie było słyhać, co mówi do zebranych ludzi, ale przez szyby Knap dostrzegł, że się cofają. Odetchnął z ulgą i otarł pot z czoła. Dawno nie przebiegł takiego dystansu w tak krótkim czasie. Pewnie oblałby sprawnościówkę, ale i tak był zadowolony.

Tłoczący się przed chwilą na parkingu pracownicy Orange'a rzucili się chaotycznie w stronę Alei Jerozolimskich. To dobrze. Chaos sprzyjał uciekającym, a liczyło się tylko, by byli jak najdalej stąd. Dezorganizacja w szeregach służb spowodowała panikę, jednak to była niska cena. Po drugiej stronie na szali leżało życie. Wiele żyć.

– Wyjaśni mi pan coś, inspektorze?

Major wbił w Knapa pytające spojrzenie. Żyły na jego ogorzałej twarzy były obrzmiałe, a oczy przekrwione. Zacisnął szczęki.

Knap wyciągnął telefon i zawrócił w stronę siedziby policji.

– Nie teraz – uciął krótko. W normalnych warunkach nie pozwoliłby sobie na taki brak taktu. Ale warunki za grosz nie były normalne. – Niech pirotechnicy przeszukają tę okolicę!

Zerknął na zegarek. Za dwie sekundy siódma. Biorąc pod uwagę tendencję zegarka do przyspieszania, jeżeli zamachowiec będzie punktualny, zostało im co najwyżej pięćdziesiąt sekund. Może mniej.

Wybrał numer i czując oplatającą gardło duszność, odczekał dwa sygnały. Nawrocka miała rację.

W uszach wciąż słyszał słowa szantażysty. „Będziecie uciekać, a ja będę miał ile sił, aż nabierzecie rozumu”. Kobieta utrzymywała, że Sharran podświadomie zniżał głos, gdy mówił o mordowaniu, cięciu i rzezi. Po chwili, gdy przechodził do słów konkretnie dotyczących zamachu, miał ponownie podwyższać głos. Twierdziła, że z każdym słowem się nakręcał. Jedno było kwintesencją drugiego. To uciekający, ewakuowani ludzie mieli być ofiarami. Jeżeli dobrze dedukował, odkryty ładunek jest tylko zmyłką, a reszta doskonale zaplanowaną strategią. Mówiąc o ucieczce, Sharran tak naprawdę nadal mówił o zamachu.

– Informacje dotarły już do ministra – zakomunikował mu Landau. – Premier jeszcze nic nie wie, ale...

– To nieważne. – Knap po raz drugi tego dnia komuś przerwał. – Nie wiem, czy nie jest za późno, ale sprowadźcie do nas tę kobietę od analizy głosu. Chyba zrobiła więcej niż cała reszta.

Odwrócił się i zerknął na budynek Orange’a. Jeżeli się mylił, a ładunki były dość silne, właśnie skazał na śmierć kilkadziesiąt niewinnych osób.

## 10.

Człowiek Cień z pełnym skupieniem wpatruje się w ekran komórki. Wyświetlają się na nim obrazy z dwu kamer przemysłowych i monitoringu miejskiego autobusu. Pospiesznie je przełącza. Powiększa i przypatruje się każdemu szczegółowi.

Analizuje.

Analiza jest szalenie ważna.

Nie może popełnić najdrobniejszego błędu.

Na serwery komunikacji miejskiej nawet nie trzeba się było włamywać. Nagrania na żywo są dostępne na stronie internetowej i wystarczy kilkuminutowy proces rejestracji. Przed kilkoma dniami sprawdził

korelację czasową obrazu i rzeczywistości. Wyszło lepiej niż podczas niejednej transmisji telewizyjnej. Opóźnienie było ledwie dwusekundowe.

Jest szósta pięćdziesiąt siedem.

Pozostały jeszcze trzy minuty.

Obraz z kamery autobusowej jest dobrej jakości i kolorowy. Wszystko się nagrywa, a w razie gdyby doszło do przestępstwa, twarz sprawców może natychmiast trafić do prasy. A jeszcze lepiej do serwisów internetowych zajmujących się wzajemną pomocą.

„Ukradł torebkę”.

„Wziął pozostawiony telefon”.

„Dotykał pośladeków”.

Prawie codziennie podobne komunikaty zalewają serwisy internetowe. Czasem twarze są zamazane, a czasem widoczne. Wszystko zależy od potrzeb portalu, odwagi administratorów oraz kalkulacji ewentualnych zysków i strat.

Dzisiaj wszystkie portale internetowe prowadzą relację na żywo z operacji antyterrorystycznej. Jeśli jeszcze tego nie robią, zajmą się tym już za chwilę.

Człowiek Cień przełącza ekrany.

Do autobusu na kolejnym przystanku wchodzi wielu ludzi. W środku brakuje już miejsc siedzących, a pojedynczy pasażerowie stoją. Matka pochyla się nad wózkiem dziecięcym i nim buja. Zdaje się, że coś mówi do malucha, ale nagranie pozbawione jest dźwięku. Szkoda. Naprawdę szkoda. Zabawnie byłoby podsłuchać rozmowy dwóch nastolatek ubranych w glany i czarne koszulki z logo zespołów. Trajkoczą jak najęte, pokazując sobie coś w telefonach.

Na kolejnym siedzeniu kuli się staruszka z niewielkim zawiniątkiem na kolanach. Zawiniątko się rusza. To chyba małe kocię trzymane w wiklinowym koszyku. A może szczenię? Staruszka głaszcze je po głowie i uśmiecha się bezzębными ustami. Grupa licealistów albo studentów stłoczonych w tyle autobusu przepycha się i dowcipkuje.

Obraz z kamery przemysłowej zainstalowanej na rogu biurowca Orange jest czarno-biały. To nie przeszkadza. Jakiś mężczyzna podbiega do tylnego wyjścia i czymś wymachuje. To pewnie policjant. Nadzorujący ewakuację żołnierz patrzy spłoszonym wzrokiem w stronę obiektywu, gdzieś pod nim

pewnie są jego przełożeni. Tłum się rozdziela. Część ludzi pozostaje w środku, a część biegnie po parkingu.

Chaos.

Człowiek Cień przypatruje się z temu z cierpliwym spokojem. Spogląda na zegarek. Jest szósta pięćdziesiąt osiem, czterdzieści sekund.

Dopiero teraz dostrzega ikonkę maila mrugającą na górze ekranu. Pospiesznie minimalizuje obraz kamer i uruchamia aplikację. W skrzynce znajduje się jedna wiadomość. Wysłana z oficjalnego serwera policji i bez tematu. Ciekawe, czy to niedopatrzenie wynikające z pośpiechu, czy celowe działanie.

Plik może być zainfekowany specjalnymi programami szpiegującymi. Z pewnością służby chciałyby się dowiedzieć, gdzie jest. Ale on im na to tak łatwo nie pozwoli. Wszystko w swoim czasie.

Trochę się zna na technice. Jego telefon jest wystarczająco zabezpieczony, żeby nie zdołali go zlokalizować. Poza tym nie sądzi, żeby mieli dość czasu, aby się tym zająć. O nie. Na pewno nie.

Plik dźwiękowy.

Są sprytniejsi, niż się spodziewał. Naprawdę. Pogłównia dźwięk w komórce i uruchamia plik. Po chwili wsłuchuje się w wypowiedane spokojnym, kobiecym głosem słowa. Mają dziwny pogłos, zupełnie taki jak...

Człowiek Cień nerwowo uśmiecha się pod nosem. Filtr. To się nazywa dobre zagranie.

*Ta'abbata Sharranie.*

*Jesteśmy gotowi na negocjacje. Potrzebujemy więcej czasu, by przeprowadzić proces zwolnienia z aresztu. Wymagają tego procedury, których nie można obejść. Proponujemy przedłużenie ultimatum do dziewiętej i nawiązanie rozmów. To tylko dwie godziny, które pozwolą...*

Wskazówka sekundowa na tarczy jego tissota nieuchronnie zbliża się do liczby dwanaście.

Człowiek Cień wciąż się uśmiecha.

Już czas.

Ma wszystko pod ręką. Kolejna aplikacja służy do wysłania sygnału na telefon, do którego podłączony jest ładunek.

*Powtarzam, jesteśmy gotowi na negocjacje. Jeżeli zostanie ranna choć jedna osoba, ta propozycja będzie nieaktualna. Nikt nie zostanie uwolniony...*

Palec Człowieka Cienia porusza się nerwowo nad ekranem. Szybko kalkuluje. Nie wie, że dokładnie w tym samym momencie jeden z saperów neutralizuje pierwsze zabezpieczenie bomby.

## ODCINEK 3.

### 1.

#### WIELKI PIĄTEK

GODZINA 7:00

*– To pieprzona atrapa! – Choć nadajnik zniekształcał głos, słowa były wyraźne. W krzyku saperów można było wyczuć zarówno rozczarowanie, jak i ulgę: – Tu nie ma materiału wybuchowego! Jakieś cholerne gówno z trocinami...*

– Sukinsyn miał rację. – Major spojrzał w stronę budynku, w którym przed chwilą zniknął Knap. – Skąd oni wiedzieli?

Stojący obok porucznik bezradnie wzruszył ramionami.

– Słucham? – ponownie odezwał się głos w nadajniku.

– Nic takiego. Dzięki. Możecie zwijać sprzęt – polecił major.

– Przyjąłem.

Major obszedł samochody schowane za specjalnymi, żaroodpornymi kurtykami. Grupa żołnierzy w mundurach ochronnych właśnie kończyła je rozsuwać i mocowała specjalny stelaż. Kurtyny miały zabezpieczyć teren przed ewentualnymi wtórnymi eksplozjami pełnych benzyny pojazdów. Poza tym ograniczały pole rażenia głównego ładunku.

Przed minutą natrafiono na niego na siedzeniu pasażera w nieprzepisowo zaparkowanym fordzie. Samochód stał tuż przy tylnym wyjściu z budynku Orange, w połowie na kopcach dla inwalidów, a w połowie na chodniku. Z auta już usunięto drzwi, a dwóch saperów stało w odwodzie. Jeden z nich sterował robotem wyposażonym w kamery i rozmaite czujniki, drugi obserwował ich podgląd.

Robot dotarł do celu, gdy minęła już siódma. Tymczasem nic się nie stało. Opóźnienie można było tłumaczyć na wiele sposobów, ale z pewnością było zaplanowane. Gdyby major wiedział o nagraniu z propozycją negocjacji, pewnie uznałby, że zamachowiec im uległ. Zawsze był umiarkowanym, ale jednak optymistą.

– Jak sytuacja? – zapytał po kolejnej minucie. – Macie coś?

Żołnierz nadzorujący odczyty robota nie odpowiedział. Stał odwrócony bokiem, pilnie wpatrując się w ekran.

– Sawicki! – Major podniósł głos. – Jak sytuacja?

Plutonowy Marek Sawicki ponownie nie zwrócił uwagi na słowa przełożonego. Ostatni raz zerknął na przenośny podgląd odczytów i podał go operatorowi robota. Nim ktokolwiek zareagował, rzucił się w stronę auta. Przebiegł sprintem kilkadziesiąt metrów i dopadł do jego środka. Delikatnie odsunął robota na bok. Pochylił się nad leżącym na tylnej kanapie pakunkiem i zacisnął szczęki. Jego oddech przyspieszył, a żyły nabrzmiały.

Z zawieszanej przy pasie szaszetki wyjął skalpel. Rozciął nim materiałową walizę i sprawnie wyszarpnął pęk kabli.

Major przytknął mikrofon do samych ust.

– Co ty robisz, do cholery?! – Wrzask huknął we wszystkich nadajnikach w okolicy. – Wracaj na pozycję! To może w każdej chwili pierdolnąć!

Sawicki bez słowa wciąż przebierał palcami. Miał poważną minę, a pot ściekał mu po czole i obu płatkach nosa. Otarł go rękawem munduru. Mimo pośpiechu co chwilę zerkał w stronę dowódcy i zgromadzonych w oddali ludzi.

Ciężko westchnął.

Stali dość daleko, ale jednak...

Ale może...

Odłożył skalpel i jeszcze raz odwrócił wzrok w stronę majora. Ten pieklił się i wskazywał w jego stronę operatorowi robota. Musiał wyłączyć mikrofon. Sawicki wiedział, że nie odważy się podejść w jego stronę. Porządny chłop, ale klasyczny saper. Do wszystkiego zabierał się z asekurancem godnym najwyższego podziwu. Aż dziw, że ponoć niedawno zdejstrował dziecko z kochanką.

Sawicki zaczerpnął powietrza i odsunął mankiet. Elektroniczny zegarek wskazywał siódmą trzy.

Najwyższy czas, aby zakończyć to przedstawienie. Zanim na miejsce przyjedzie żandarmeria wojskowa albo ktoś się we wszystkim połapie. Chwytał pudełko i wyrzucił je z auta.

Zza pasa wyciągnął nożyce do rozcinania kabli. Obrócił je w dłoni i się uśmiechnął. Jeszcze raz spojrział na dowódcę. Zdawało się, że major ruszy w jego stronę, ale w ostatniej chwili się zawahał i uniósł dłonie. No właśnie. Nie było bardziej przewidywalnych ludzi niż saperzy.

– Sawicki, rzuć to, do kurwy nędzy! Czyś ty zwariował?

– Dlaczego?

Uśmiech plutonowego poszerzył się jeszcze mocniej. Mężczyzna ponownie pochylił się nad pudełkiem. Opadł z kucyków i dotknął kolanami ziemi. Teraz klęczał, jakby szykował się do modlitwy. Jego tułów zgiął się w symbolicznym pokłonie, a dłoń z nożycami błyskawicznie sięgnęła ku kablom. Zręczne palce uchwyciły kilka z nich. Zdawało się, że wybiera je losowo, ale on miał swoje typy.

Uśmiechając się, patrzył na dowódcę. Nie musiał dokładnie obserwować tego, co robi.

– Sawicki! – ryknął jeszcze raz major.

Nożyce rozchyliły się z metalicznym szczęknięciem. Po chwili ich ostrza na powrót powędrowały ku sobie.

## 2.

Cztery kilometry od budynku Orange i Biura Operacji Antyterrorystycznych autobus linii 175 zatrzymał się w zatoczce przystanku. Drzwi otworzyły się ze znużonym sapnięciem mechanizmu. Do środka ruszył tłum rozemocjonowanych ludzi. Większość z nich miała ze sobą walizki lub torby podróżne, przez co wewnątrz pojazdu natychmiast zabrakło miejsca. Metalowe kółka tratowały wypastowane trzewiki, lśniące



obcasy deptały postawione na ziemi plecaki, a komentarze niezadowolenia mieszały się z przekleństwami.

Wielki Piątek.

Ostatni dzień, aby rzucić wszystko i dotrzeć na święta do rodziny. Albo machnąć ręką na świąteczne obżarstwo i polecieć na wakacje. Jeżeli ktoś myślał, że Polacy ściągają na te kilka dni z całego świata do kraju, miał tylko połowiczną rację. Drugie tyle pakuje się i wybiera się za granicę. Częściowo do rodzin. Ale coraz liczniej na krótkie wakacje w celu uniknięcia kłótni przy elegancko nakrytym stole. Nastała epoka komfortu, a nie rytuałów.

Tamara Umer wciąż nosiła na dłoni obrączkę. Robiła to z pełną świadomością, ocierającą się o perwersję. Rozvodu nie można było odkręcić, ale wciąż miała nadzieję, że to, co Bóg połączył, tylko Bóg rozdzieli. Oczywiście oboje z Dariuszem zaliczyli wzloty i upadki zakończone w całkiem elegancki sposób, ale definitywny koniec jeszcze nie nadszedł.

Jeszcze nie.

O byłym mężu wiedziała właściwie wszystko. Obserwowała go, kilkanaście razy dziennie zaglądała na jego ubogi profil na Facebooku, i choć nic się na nim nie zmieniało, zawsze z przyjemnością patrzyła na zdjęcie. Był na nim sam, uśmiechnięty, a w tle zieleniły się kładzione wiatrem palmy. To ona zrobiła tę fotografię. Dziesięć lat temu na wakacjach w Portugalii, kiedy jeszcze nic nie zapowiadało katastrofy. Byli szczęśliwi. Za kilka minut bus hotelowy miał zawieźć ich na uroczą skalistą plażę, gdzie serwowano zimne drinki i ciepłe przekąski. Nie poznała jeszcze Andrzeja, a Kinia pewnie nie skończyła jeszcze liceum.

Nie była o nią zazdrosna. Właściwie dlaczego miałyby być? Gówniarowata damulka z wiecznie naburmuszonym wyrazem twarzy i nochalem przypominającym haczyk wędkarski. Nic ciekawego. Sekretareczka podniecająca się, że pracuje dla ABW. Komunikatywna, ale infantylna.

O tak, kiedyś z nią rozmawiała. Umówiła się na tę samą godzinę do fryzjera, specjalnie aby spędzić wspólnie tych kilkadziesiąt minut. Przegadały dziesiątki tematów. Od ulubionego szamponu, po cechy, jakie najbardziej cenią u mężczyzn, i o dziwo, za każdym razem dochodziły do takich samych wniosków. Sto procent zgodności charakterów.

W facebookowych aplikacjach na pewno oznaczono by je jako siostry. A nawet bliźniaczki.

– Mam wrażenie, jakbyśmy znały się od dawna – rzuciła Kinia na pożegnanie.

– Ja też – zgodziła się Tamara. – Może umówimy się kiedyś na kawę? U fryzjera za dużo czasu traci się przez huk suszarek.

– Z przyjemnością!

Ekscytacja Kini nie była udawana. Wymieniły się numerami, jeszcze raz formalnie się sobie przedstawiły i wszystko było na najlepszej drodze, aby zostały dobrymi kumpelkami. Jednak przed umówionym spotkaniem Tamara stchórzyła. Obawiała się, że Kinia wszystko wygada Dariuszowi, poda mu imię nowej znajomej, a potem wszystko posypie się jak karciany domek. To nie miało sensu. Naszły ją wątpliwości i wyrzuty sumienia.

Trzeba by to rozegrać inaczej.

Albo dać sobie spokój i odpocząć.

Świadomość tego, że wszystko, co robi, może być bezsensownym trwonieniem czasu, notorycznie ją przygniatała. Tak naprawdę, to zdawała sobie sprawę, że ponowne zejście z byłym mężem jest tak prawdopodobne, jak wystąpienie ADHD u żółwia. Mogła to sobie wyobrazić, ale raczej jako fantazję. Ciekawostkę ze świata gwiazdnych wojen.

Musiała odpocząć.

Musiała nabrać dystansu.

Zrozumieć, że po kilku latach trzeba zebrać się do kupy i żyć dalej albo podwoić wysiłki.

Nie miała jednak świadomości jednego: że jej były mąż, Dariusz Umer, przed godziną zamienił się w zwęglony korpus, z którego całymi płatami odeszła smolista, pergaminowa skóra. Jego prawa dłoń została oderwana i leżała na dachu jednego z aut Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, ale wciąż nikt jej nie znalazł.

Choć nieświadoma, Tamara miała złe przeczucia. Od kilku dni dręczyły ją koszmary i wzdrygały niespodziewane napady paniki. Zrzucała to na karb pierwszych świąt, które postanowiła spędzić z dala od matki, byłego męża i Polski. Nadzieja, że tylko Bóg może rozdzielić pewne rzeczy, była jedynie czczą paplaniną. Nie zamierzała się oszukiwać.

W tym roku na Wielkanoc nie wysła Dariuszowi esemesa. Postanowiła to przed dwoma tygodniami, kiedy wykupiła pięciodniowy pobyt w uroczym hotelu pod Lizboną. Tym samym, obok którego przed laty zrobiła zdjęcie uśmiechniętego męża i kładzionych wiatrem palm w tle.

Teraz z niewielką walizką ustawiła się przy samych drzwiach. Od lotniska Chopina dzieliło ją kilka przystanków. Od Lizbony cztery godziny lotu. Jeszcze przed południem będzie mogła pograć się we wspomnieniach, zadumie i melancholii. Kilka razy upije się na umór, może nawet straci przytomność, a potem poskłada się do kupy i grzecznie wróci do starego nowego życia.

Zamyślona, nie zwróciła uwagi na podenerwowane pokrzykiwania pasażerów. Dopiero gdy ktoś pchnął ją, wciskając w żółty słupek, zdała sobie sprawę, że ludzie przeciskają się do wyjścia. Drzwi były jednak zamknięte. Nic dziwnego, skoro znajdowali się na środku ulicy, a autobus gnał solidną pięćdziesiątką.

– Zatrzymaj się! – dał się jeden z pasażerów.

– Stop! – wrzeszczeli pozostali.

Wciśnięta w sam kąt, zrozumiała, że ludzie w panice odsuwają się od skórzanej torby, która stała w przerwie między rzędami siedzeń przy stanowisku dla matek z wózkami. Na jej boku wytłoczono logo z pokraczonym słoniem, obejmującym trąbą napis „Cinnamon Elephant”.

Zegar na elektronicznym wyświetlaczu z przodu kabiny przeskoczył z godziny 7:00 na 7:01.

W tym samym momencie eksplozja rozerwała bok autobusu i z ponaddźwiękową prędkością rozrzuciła setki metalowych odłamków. Głowa Tamary Umer została niemalże oddzielona od korpusu. Choć nieświadoma, podzieliła los byłego męża.

Dwoje ludzi zostało rozłączonych na zawsze.

Knap w drodze do biura co kilka kroków podbiegał. Po chwili znów zwalniał i nasłuchiwał. Przygotowany na huk eksplozji, z każdą sekundą się rozluźniał. Czas powinien działać na ich korzyść.

Wyjrzał przez okno na korytarzu i dostrzegł saperów kierujących robota rozpoznawczego w stronę jednego z samochodów. Musieli coś w nim znaleźć i miał nadzieję, że zdążą sobie poradzić. Oby miał dobre przeczucie.

Wyciągnął telefon i podświetlił ekran. Nic. Żadnych wiadomości i żadnych połączeń. Lichocka lada moment powinna dotrzeć do jego ojca. A Michał? Pewnie śpi właśnie w najlepsze po całej nocy spędzonej przy komputerze. Przynajmniej socjalizował się z kumplem. A może to wszystko zwykłe bujdy i w rzeczywistości ostatnie dwanaście godzin przebaraszkował z którąś z koleżanek? Przedstawiał mu jakąś? Chyba nie. Ale to w tym wieku normalne. Sprawy prywatne trzyma się przed staruszkami pod kluczem i odsłania tylko rąbek tej tajemnicy.

Knap wybrał numer ojca z ostatnich połączeń, ale zatrzymał palec nad zielonym przyciskiem. Zamiast tego nasunął słuchawki i uruchomił playlistę. Do pokonania miał jeszcze korytarz i trzy piętra windą. Cisza zaczynała go niepokoić. A na ten nerwowy niepokój oczekiwania miał swój sposób. Po kilku sekundach zagłuszył go „Ride up in the Chariot” w gospelowym, radosnym wykonaniu The Golden Gate Quartet. Przywołał windę i zaczął pstrykać palcami w rytmie muzyki. Albo przynajmniej tak mu się wydawało.

Drzwi rozsunęły się i z kabiny wyszło kilku policjantów. Nie mieli zafrasowanych min, co dało mu dodatkowy zastrzyk energii. Żadnych złych wieści, żadnych złych plotek.

Byle z ojcem wszystko było w porządku.

Spuścił głowę, a kiedy policjanci minęli go, wślizgnął się do środka. W kabinie był sam. Dał jeszcze raz upust melodyjnemu pstrykaniu i odwrócił się od lustra. Lepiej nie oglądać się w chwilach pajacowania. Tym bardziej jeżeli ma się prawie sześćdziesiątkę na karku.

Gdy winda stanęła, uspokoił się i ponownie wyciągnął telefon. Wystarczyło, że zobaczył twarz pędzącego korytarzem policjanta, by natychmiast wyciszył muzykę. Zsunął słuchawki i poddał się panującemu wokół chaosowi.

Co się, u licha, stało?!

Co się mogło stać przez te parę sekund, które spędził w windzie?

Szybkim krokiem ruszył w stronę akwarium. Na ekranie telefonu wyświetliło się połączenie przychodzące, a po chwili rozbrzmiał dzwonek. Landau. W momencie gdy chciał odebrać, zobaczył aspiranta na korytarzu. Pędził z komórką przy uchu w stronę klatki schodowej.

– Panie inspektorze...

Nie musiał mówić nic więcej. Knap od razu wszystko zrozumiał. Pomylił się.

Zerknął w stronę okien, ale zdawało się, że na parkingu przed Orange'em nie dzieje się nic specjalnego.

– Gdzie? – zapytał, nie zatrzymując się.

– Sto siedemdziesiątka pięćka niedaleko Novotelu. Podobno autobus prawie rozpadł się na dwie części.

– Boże...

Dłoń Knapa powędrowała ku wewnętrznej kieszeni marynarki, ale pośpiesznie ją opuścił. Pchnął drzwi do sali konferencyjnej i wpadł do środka. Kilkanaście zebranych wewnątrz osób wpatrywało się w ekran telewizora. Prezenterka drżącym głosem odczytywała najnowsze informacje.

– Ile ofiar? – dopytywał się inspektor.

– Jeszcze nie wiemy, ale mamy poranny szczyt. Służby są w drodze, na miejsce dotarły już pierwsze karetki – odpowiedział mu któryś z podwładnych.

– Zamach samobójczy? – drążył Knap. – Czy bomba?

– Też ciężko powiedzieć, ale...

Zawada klepnął Landaua w ramię. Odwrócił się do inspektora i wycelował palcem w stronę telewizora.

– Na zdjęciach widać, że rozerwane zostało podwozie autobusu – stwierdził ponurym tonem. – To może świadczyć o bombie umieszczonej gdzieś na podłodze. Przy zamachach samobójczych robi się jatka w środku, ale pojazdy zazwyczaj pozostają w całości. Nafaszerowane tysiącami odłamków, rozdęte, lecz w jednym kawałku.

– Czyli on dalej gdzieś jest... – wymamrotał inspektor.

– Sądzę, że tak. Nie wywalił się do raju i hurys – przyznał Zawada.

Knap westchnął. Jeszcze raz spojrzął w stronę telewizora i mimowolnie przeczytał pasek informacyjny: PIERWSZY Z SERII ZAMACHÓW?

Znak zapytania na końcu zdawał się jakiś nienaturalnie mały. Zdanie było bardziej stwierdzeniem niż pytaniem, jakby dziennikarze mieli dar przewidywania.

– Proszę wracać do pracy! – Knap uniósł ręce i głośno klasnął. – Robimy to, co do tej pory, ale...

Podszedł do łysego policjanta, który usiadł przy najbliższym stanowisku.

– Sprawdźcie mi w rejestrze jedno auto – polecił i poruszył palcami, jakby pisał na klawiaturze. – W każdym z rejestrów.

– Tak? – wyraził gotowość policjant.

Knap podyktował numer rejestracyjny samochodu, przy którym pracowali saperzy. Po chwili na ekranie pojawiła się informacja, że przed niecałą godziną zgłoszono jego kradzież. Kolejna ślepa uliczka.

Niech to diabli.

Złe wieści przypieczętował Bielawski. Wślizgnął się do sali i natychmiast dopadł do inspektora.

– Mamy co najmniej piętnaścioro zabitych i dwa razy tyle rannych – wycedził. – Część z nich jest w stanie krytycznym. Będą ich rozwozić do trzech szpitali, na wypadek gdyby...

Komisarz urwał. Odchrząknął i wymownie pstryknął w grzbiet ściskanego notatnika.

– Niech nasz rzecznik zajmie się oświadczeniem dla prasy. – Knap zerknął w stronę Zawady. – Pan skonsultuje wszystko z Agencją Bezpieczeństwa. Nie chcę później wyrzutów z ich strony.

– Gwarantuję, że żadnych nie będzie – zapewnił Zawada.

Bielawski przestąpił z nogi na nogę.

– Warto wspomnieć o tym, że potrzebujemy dawców krwi i tak dalej... – Skreślił coś w swoim notatniku. – To będzie dobrze wyglądało piarowo. Jeśli pismaki się na tym skupią, będą mieć mniej czasu na linczowanie służb...

– I utrudnianie nam roboty – zgodził się Landau.

Knap przygładził dłonią zarost. Zatrzymał palce na brodzie i kiwnął głową.

– Tak, to dobra myśl – zdecydował. – A wasza trójka! – Wskazał na siedzących przy oknie funkcjonariuszy. – Chcę mieć nagrania z komunikacji miejskiej, kamer Orange’a i z naszego parkingu. Do tego monitoring przemysłowy. Coś musiało uchwycić sprawcę, choćby nie wiem jak się starał. Nie jest, do licha, niewidzialny... Swoją drogą, gdzie jest psycholog?

– Tu... – Z głębi sali dobiegło wymowne westchnięcie.

– Proszę o nakreślenie portretu psychologicznego. Zdaje się, że mamy nowe dane – polecił mu inspektor.

– Konsultuję go z doktor Nawrocką.

– Właśnie, co z nią?

– Ma tu być lada chwila – odpowiedział Karot.

Knap założył ręce za plecami.

– Skoro się konsultujecie, to może dotarliście do jakichś wspólnych wniosków?

– Właściwie tak... Jednego. – Psycholog podniósł się z fotela i rozejrzał po sali. Wreszcie wbił wzrok w biurko. – On nie przestanie i nie zmieni swojego planu – obwieścił ponuro. – Albo go dorwiemy, albo zginą kolejni ludzie. Negocjacje nie mają sensu. Jesteśmy o tym przekonani.

#### 4.

Henryk Rudnicki z trudem nadał za premierem. Mariusz Piotras mimo młodego stażu politycznego nie uznawał żadnych dyskusji i z trudem znosił jakiegokolwiek oczekiwanie. Liczyło się dla niego tu i teraz. Z naciskiem na teraz.

Rudnicki, jako wiceszef Centrum Antyterrorystycznego, został wezwany do kancelarii prezesa rady ministrów w trybie natychmiastowym. Jego przełożony osobiście nadzorował prace służb, a przede wszystkim wolał nie wkładać głowy w ognisko. Dlatego wyposażył podwładnego w pełnię plenipotencji, namaścił na drogę i zajął się analizowaniem raportu. Raport zajmował mniej niż stronę, a jego treść sprowadzała się do stwierdzenia, że

doszło do zamachu terrorystycznego. Cóż, wśród służb również panoszyła się polityka.

– Znalaziono również dwie atrapy ładunków wybuchowych... – relacjonował Rudnicki. – Straciliśmy przez nie mnóstwo czasu.

– W autobusach? – Premier narzucał tempo dyskusji i marszu.

– Nie. Przed budynkiem Orange, obok siedziby Biura Operacji Antyterrorystycznych. Miały odciągnąć uwagę służb. Poza tym zdaje się, że w swojej wiadomości zamachowiec sprowadził wszystkich na zły trop.

– I po co męczył się podkładaniem atrap? – zainteresował się premier.

Rudnicki bezradnie rozłożył dłonie. Przez chwilę mężczyźni szli w milczeniu. Wysoki i giętki Piotras, a obok niego niepozorny, krępy Rudnicki.

– Nie wiem – odezwał się wreszcie agent. – Może właśnie chciał zagrać na czas. Zrobił dokładnie to, co my powinniśmy.

– Równie dobrze mógł tam podłożyć prawdziwe bomby – zauważył premier.

– Może zabrakło mu materiału wybuchowego? Analizujemy substancję, której użył. Sądzę, że jeżeli to samoróbka, to będzie ją oszczędzał na...

Rudnicki zamilkł. Mężczyźni zatrzymali się przed podwójnymi drzwiami i premier nacisnął kłamkę.

– Na co? – zapytał, gdy weszli do środka. – Proszę powiedzieć, na co?

– Na następny raz. W końcu groził nie pojedynczym, ale serią zamachów...

Rudnicki przeniósł wzrok na zebranych przy stole mężczyzn. Na widok premiera natychmiast wstali z foteli. Szef rządu bacznie im się przyjrzał. Michał Abramowicz, jak każdy profesjonalny rzecznik, patrzył mu prosto w oczy, minister obrony narodowej Jacek Tomecki miał od rana czerwone plamy nadciśnieniowca, a wiceminister spraw wewnętrznych Norbert Graf jak zwykle sprawiał wrażenie spłoszonego zwierzęcia. Mimo prawie dwóch metrów wzrostu roztaczał wokół siebie aurę niepewności i zakłopotania. Między innymi przez to nie nadawał się do pierwszego szeregu. Choć jego kompetencje merytoryczne oraz przykładowa pracowitość nie budziły wątpliwości, nadmierne ambicje w tym przypadku stanowiły pole minowe. Jego wierność mogła się skończyć dosłownie w każdej chwili.



– Witam panów. – Piotras zajął miejsce u szczytu stołu. – Dziękuję za tak szybkie przyjście i poinformowanie mnie jako ostatniego. Kto wpadł na pomysł niebudzenia mnie, bo niby powinienem się wyspać po locie? – Premier popatrzył po wszystkich zebranych. – Nie ma na to teraz czasu, ale ostrzegam, że nie będzie następnego razu w takim komplecie. Zrozumiano?

– To była wspólna decyzja... – Graf położył dłonie na drewnianym blacie. Wyprostował się i zaczerpnął powietrza.

– Nie interesuje mnie czyja. Jesteśmy tu, bo zmuszają mnie do tego wymogi proceduralne. Przed wprowadzeniem stanu alarmowego jestem zobowiązany zasięgnąć waszej opinii, co uważam teraz za zbędne.

– Ale... – usiłował dojść do głosu Tomecki, ale zamilkł skarcony spojrzeniem Piotrasa.

– Jesteś przeciwny wprowadzeniu stanu alarmowego?

– Nie. Jednak powinniśmy ustalić jego poziom, a... – próbował odpowiedzieć minister.

– Delta – zdecydował premier. – Wytyczne NATO-wskie nie dają nam wyboru. Mamy najwyższy stan zagrożenia terrorystycznego i pieprzę konsekwencje wprowadzenia delty.

– To może zostać odczytane jako popadanie w panikę. – Abramowicz ukradkiem otarł kąciaki oczu. – Płkanie nad rozlanym mlekiem...

– Nie interesują mnie metafory ani jak coś może być odczytane. Twoją rolą jest zrobienie wszystkiego, by nasze działania odebrano jako dbałość o bezpieczeństwo. Kropka – przywołał go do porządku premier.

– Już mamy przechłapanie. Z takim bagażem cała opozycja będzie wrzeszczeć, że urządzamy stan wojenny – denerwował się rzecznik.

Piotras powoli sięgnął do okularów. Zdjął je i położył na stole przed sobą. Bez nich jego oczy wydawały się bardzo małe, a spojrzenie przenikliwe. Miał czterdzieści trzy lata, ale wyglądał na kilka młodszej. Do każdej sprawy podchodził z takim samym wigorem, co skończyło się największą rotacją w radzie ministrów w historii.

– Jedna prawdziwa bomba i dwie cholerne atrapy uzasadniłyby nawet wprowadzenie stanu wojennego – wycedził. – Nasi ludzie zajmowali się rozmontowywaniem zabawek, gdy prawdziwy ładunek rozerwał autobus. I jak mi przedstawiono, nie mamy jeszcze żadnego śladu zamachowca. To za mało na deltę? Czyście poszaleli?!

– Uważam, że powinniśmy negocjować. – Graf poufale zniżył ton. – Przynajmniej nieoficjalnie.

– Nie dostaliśmy odpowiedzi na pierwszą wiadomość – mruknął Abramowicz.

– Bo wysłano ją zbyt późno! Gdyby nie pańska...

– Panowie... – Piotras ponownie założył okulary i westchnął. – Na razie żadnych negocjacji. Przecież nie może zaatakować raz za razem, więc powinniśmy mieć trochę czasu.

– Skąd wiemy, że nie może? – Norbert Graf nerwowo zakręcił palcami. – Na razie robi wszystko tak, jak zapowiedział. A poza tym... – Spojrzenie wiceministra powędrowało gdzieś w róg pomieszczenia. – Poza tym mam wrażenie, że tu chodzi o coś więcej niż wypuszczenie trzech nic nieznaczących dżihadystów. Nie sądzicie?

W pomieszczeniu zapadła cisza.

## 5.

– Co to jest, do diabła, foniometr?

Knap pchnął drzwi do rozległego pomieszczenia na parterze siedziby policji. Poza biurkami i telefonami znajdowało się tu niewiele sprzętów. Sala operacyjna wciąż była niewykończona. Dlatego zdecydował o natychmiastowym zagospodarowaniu tego miejsca. W akwarium na górze wszyscy nie mogli się pomieścić, a osobisty nadzór nad całą ekipą był chwilowo zbędny.

Karot wepchnął do środka wielką tablicę. Stęknął, ustawiając ją przy ścianie.

– Przyrząd służący do wszechstronnej analizy głosu – wyjaśnił, blokując kółka stelaża. – Wiem, że już wcześniej Greta na nim pracowała...

– Wszystko jest do załatwienia.

Zawada nie zamierzał zwlekać. Natychmiast wybrał numer i zamienił kilka słów przez komórkę.

– Widzicie? – odezwał się po chwili. – Za kwadrans ściągną go z politechniki.

– Dzięki. – Knap klepnął go po ramieniu zwiniętym rulonem.

Przeszedł w stronę korkowej tablicy i rozwinął wielką mapę Warszawy. Musiał przyznać, że eksperyment z pojedynczym pomieszczeniem nie wypalił. Marzył o błyskawicznej, nieustającej burzy mózgow, ale przy takiej sprawie to zwyczajnie się nie sprawdzało. Presja czasu spowodowała jedynie chaos.

– Wszyscy do środka! – krzyknął w stronę korytarza. – Możemy się zadomowić. Siadajcie, gdzie chcecie.

Do pomieszczenia wszedł Bielawski i Landau. Pospiesznie skierowali się do metalowych biurka.

– Mam nadzieję, że będzie nam się tu dobrze pracowało. – Knap chwycił czerwony marker i zdjął zatyczkę. – Na górze, w akwarium, chłopaki mają działać według już opracowanego planu. Pokój dwadzieścia osiem też pracuje pełną parą, ale tu – zatoczył markerem krąg – tu będzie Jeruzalem tej operacji. Każdy może zażyczyć sobie, czego tylko zapragnie. Agent Zawada zdaje się wszystko załatwi. Jeśli zechcemy, zrobimy tu Pentagon.

Zawada pomachał wymownie telefonem. Jego chłopięca twarz była zroszona potem. Przedziałek niesfornie się rozwiął i kosmyk włosów opadł mu na czoło.

– Czekamy jeszcze na analizatorkę głosu, a...

Inspektorowi przerwał jęk wózka na kółkach. Młody policjant starał się go opanować i nie wpaść na tablicę ani któreś z biurka.

– Przyjechały akta naszych trzech znajomych. – Knap się nakręcał. Wolną rękę przytknął do wypukłości marynarki. Namacalna bliskość Pisma Świętego uspokajała go, a jednocześnie pozwalała się skupić. Biblia była lepsza niż kuleczki antystresowe. – Chcę ich analizy psychologicznej. Chcę jakiegokolwiek punktu zaczepienia, żeby urządzić tym gnojom Sodomę i Gomorę. Prawdziwą apokalipsę. Zrozumiano?

Karot ze spuszczoną głową podszedł do wózka. Począł, aż Knap podpisze protokół i zrobi miejsce młodemu policjantowi. Kiedy ten wyszedł, chwycił akta, po czym bez słowa wrócił na miejsce.

– Poza tym, co już wiemy o zamachowcu? Co wiemy o tym niewiernym?

Bielawski ukradkiem przewrócił oczami. Znał te napady szefa, kiedy wszystko odnosił do religii. Każda sprawa stawała się symboliczną krucjatą przeciwko złu i niesprawiedliwości. W sumie nie miał nic przeciw. Poślinił palce i zerknął do notatnika. Miał już gotowych co najmniej kilka uwag, a teraz z przyjemnością mógł je wyrecytować.

– Musi być dobrym informatykiem – rzucił, jakby bał się, że ktoś go ubiegnie. – Albo współpracuje z jakimś hakerem, co wydaje się mniej prawdopodobne.

Knap narysował na tablicy trójkąt i poprowadził od niego strzałki. Zanotował pierwsze hasło.

– Dodajmy też, że to radykał i muzułmanin – ciągnął Bielawski.

– Co do tego miałbym wątpliwości... – Karot podniósł głowę znad stosu akt. – To może być jedynie mylnie rzucony trop.

– A to uwolnienie dżihadystów to fanaberia? – Zawada odgarnął grzywkę. – Wysadza ludzi dla żartu, a apel o uwolnienie bojowników to przykrywka dewiacji?

– Uważam, że nie powinniśmy się upierać przy przesłankach, które sam nam podsuwa – stwierdził psycholog.

Inspektor zastukał kłykiem w tablicę.

– Racja. – Knap dostawił znak zapytania. – Lecimy dalej...

– Musi mieć dostęp do materiałów wybuchowych – podsunął Landau. – Jak najszybciej potrzebujemy wyników analizy, czego użył. O ile mi wiadomo, na terenie Polski nie doszło do żadnej kradzieży z magazynów wojskowych. Pozostają samoróbki z domowych składników, których część kupuje się na imienny wniosek. Zwykła saletra nie rozpieprzyłaby połowy autobusu.

Zawada pstryknął palcami.

– Agencja stara się ustalić jego związek z tamtą trójką – powrócił do zarzuconego wątku. – Jeżeli się uda, poznamy jego tożsamość.

– Albo ich. – Karot otworzył kolejną teczkę. – Wspominałem już o świecie, o którym mówi. Skoro to, że jest muzułmaninem, opatrzyliśmy znakiem zapytania, tak samo napiszmy o organizacji. To trop rzucony przez niego. Może być fałszywy, ale poznamy obraz, jaki sam tworzy. Jeżeli znajdziemy dowody, że kłamie, będziemy mogli szukać odpowiedzi dlaczego.

W piszczenie markera o tablicę wdarł się przenikliwy dźwięk dzwonka telefonu Landaua. Aspirant natychmiast odebrał. Po chwili wymownie zerknął na Knapa.

– Mamy już zapisy z kamer – obwieścił, przysłaniając słuchawkę.

## 6.

W pomieszczeniu zaległa cisza. Inspektor opuścił dłoń i zatkał marker. Przez kilka sekund próbował wyczytać coś z twarzy podwładnego. Landau był blady, stał ze wzrokiem wbitym w podłogę. Wydawało się, że oddycha w przyspieszonym tempie, jednak mogło to być jedynie złudzenie. Każdy z sygnałów można poddać dowolnej interpretacji. Z emocjami jest podobnie jak z wrózeniem z kart albo horoskopami. Czasem wystarczy dopasować ogólną historię, a okaże się ona diagnozą każdej sytuacji.

Strach podnosi ciśnienie tak samo jak radość. Rozpacz wzbudza drżenie głosu w równym stopniu co wzruszenie. Źrenice rozszerzają się w sytuacjach stresowych, ale także gdy myślimy o czymś przyjemnym. Karot być może miał pojęcie o analizie behawioralnej. Dla Knapa stała na równi z chiromancją, auspicjami albo wrózeniem z fusów. I jasne, że tak. Nawet w fusach mózg ludzki jest w stanie dostrzec popiersie Napoleona, zarys anioła albo hieroglify pisma Majów. Szkoda tylko, że tego ostatniego nikt jeszcze nie rozczytał.

Aspirant niedbale zakończył rozmowę i schował telefon. Jego spojrzenie przesunęło się po podłodze i przeniosło gdzieś za okno.

– Nic z tego – sapnął, zaciskając pięści. – Obie kamery na budynku Orange’a nie działały. Poza tym te od nas nie obejmują tej części parkingu.

– A druga strona budynku? – Bielawski przymknął oczy i obrócił w dłoniach notes. Musiał rozważać właśnie wszelkie miejsca, gdzie można było upchnąć kamerę. Przypominał mumię.

– Szukają jeszcze monitoringu miejskiego. Ale nie nastawiałbym się na cuda – odpowiedział Landau.

Knap nie odezwał się ani słowem. Zerknął na tablicę zabazgraną rezultatami burzy mózgów i odłożył marker. Tym razem twarze wszystkich jego podwładnych zdradzały jedną, nienazwaną emocję, będącą pomieszaniem niepokoju, zakłopotania i strachu. Spotkał się z czymś takim kilka razy w życiu i mógłby przysiąc, że za każdym razem roznosiło się to jak wirus. Pojawiało się niespodziewanie, wraz ze zmęczeniem, zwątpieniem i złymi wiadomościami.

Święta Rita została patronką spraw trudnych i beznadziejnych między innymi dlatego, że udało jej się pogodzić zwaśnione rodziny. Gdyby się zastanowić, jej kompetencje do radzenia sobie z prawdziwymi przeciwnościami nie wydawały się imponujące.

„Święta Rito, patronko spraw trudnych, orędowniczko w sytuacjach beznadziejnych...”

Potok myśli Knapa zatrzymała wibracja telefonu. Esemes. Natychmiast sięgnął po komórkę i odblokował ekran. Już dawno zrezygnował z pinu, bo obawiał się, że któregoś dnia po prostu go zapomni.

„Z Pańskim Ojcem wszystko w porządku, muszę tylko go przebrać. Proszę się nie martwić, zaczekam, aż Pan wróci. Lusia”.

Uff... Przynajmniej w sprawach rodzinnych święta Rita miała dobrą skuteczność. Tylko dlaczego trzeba go było przebierać?

Jakiś czas temu jego ojciec uznał, że dobrym sposobem zwrócenia na siebie uwagi jest użycie zamiast kremu po goleniu pasty do zębów. I to kilku warstw. Knap nigdy nie przypuszczał, że ta po zaschnięciu może przypominać cement.

Odwrócił się od tablicy i zerknął na zegarek, ale tym razem nie po to, by odczytać godzinę. Po prostu znowu uprzytomnił sobie upływ czasu. Podświadomość w ten sposób przypominała, że już dwa lata minęły, od kiedy ojciec zamieszkał razem z nim i Michałem. Prawie trzy, odkąd zmarła jego żona.

Kiedy zdawało mu się, że stanął już na nogi po jej śmierci, zaczął nakłaniać ojca, by się do niego przeprowadził. Nie wiedział, dlaczego nie zrobił tego wcześniej. Mieli dość miejsca, aby wszyscy się pomieścili, a jego żona wręcz ubóstwiała teścia. Zresztą z wzajemnością. Czasem obwiniał się

nawet, że pomyślał o rodzicu dopiero, gdy poczuł pustkę. Syn nie potrafił mu jej wypełnić.

To nie była prawda. Michał i Anna byli dla niego wszystkim, a „wszystko” ma to do siebie, że szczelnie wypełnia przestrzeń. Jednak potrzebował szoku, by również miłość do ojca przenieść na realny grunt. Przez wiele tygodni stary Knap nie chciał słyszeć o przeprowadzce. Nawet wśród pierwszych objawów zagubienia i nieświadomości zdawało się, że własne mieszkanie to jedyne, co rozpoznaje. Było to jeszcze przed epoką walki z setkami par oczu spozierających z kontaktów. Sprowadził go wreszcie niemal na siłę, w akompaniamencie demencyjnego płaczu i w towarzystwie zmiennych humorów. Nie było innego wyjścia.

Teraz przynajmniej mógł być spokojny. Lusia wszystkim się zajmie. A Michał... Michał na pewno jest właśnie w drodze do domu albo jeszcze śpi. Nie było żadnego powodu, aby był choćby w promieniu paru kilometrów od miejsca zamachu. Prawie nigdy nie jeździł autobusami, dzieci techniki korzystają z innych możliwości. Chociaż „prawie” nie znaczy „nigdy”. Zdarzało się, że chciał zaoszczędzić albo zwyczajnie nie miał już kasy. Po noclegu u kumpla różnie mogło się zdarzyć.

Czy miał numer do rodziców tego chłopaka? Czy w ogóle dopytał o to, do kogo Michał się wybiera? Kiedy syn przedstawił mu swój plan na spędzenie wieczoru, Knap zajęty był toaletą ojca. Najpierw chciał mu wybić ten pomysł z głowy, ale...

– Śniadanie podano!

Do pomieszczenia wszedł policjant, który przed kilkunastoma minutami wprowadził wózek ze stertą akt. Tym razem zamiast powypychanych teczek ustawiono na nim stosik talerzy, koszyk ze sztuczkami, pudełko pełne rozmaitego pieczywa oraz dzban czarnego naparu. Pod serwetkami kryły się kolejne miski i słóiczki. Wokół rozniósł się przyjemny aromat jedzenia oraz kawy.

– Stołówka przekazuje, że jest możliwość dokładki wszystkiego – oznajmił policjant. – I prosili podkreślić, że to w podziękowaniu za niewybranie w przetargu cateringu.

Knap skinął, dając wszystkim przyzwolenie na rzucenie się do konsumpcji. Sam nasunął słuchawki, ale nie włączył muzyki. Czasem cisza wystarczyła, żeby się skupił. Musiał pomyśleć. Musiał przetrwać kolejne

informacje i wyciągnąć z nich wnioski. Jedzenie nie mogło go rozpraszać. Był Wielki Piątek i ścisły post. O tej porze przed dwoma tysiącletkami Pan Jezus stanął przed Piłatem, by rzymski namiestnik zatwierdził wyrok śmierci. Za kilka godzin miał wyruszyć na miejsce swego stracenia. A historia lubi się przecież powtarzać.

## 7.

Greta Nawrocka nie przypominała przytłoczonego życiem, przeniesionego do równoległego świata naukowca. W drodze do Biura Operacji Antyterrorystycznej zdążyła doprowadzić się do porządku, jednocześnie jeszcze kilkakrotnie odsłuchując nagrania zamachowca. Gdy w towarzystwie Landaua wpadła do nowo aranżowanego centrum dowodzenia, wręcz buzowała energią. Przywitała się wylewnie z Karotem i rzuciła torbę na najbliższe biurko.

– A on? – Wskazała w stronę Knapa, gdy Landau przedstawił jej Bielawskiego oraz Zawadę. – K-kto to?

Inspektor nie zauważył jej wejścia. Stał przy oknie z nasuniętymi słuchawkami i przystępując z nogi na nogę, wymachiwał rękoma. Dyrygował wyimaginowaną orkiestrą. Był lekko zgarbiony, a jego przerzedzone włosy falowały w rytmie kolejnych taktów. Gospel wygrał z ciszą.

Utwór musiał właśnie przyspieszać, bo Knap wił się, jakby raziła go epilepsja. Brakowało jedynie, by upadł na podłogę i wypluł kawałek języka. Gwałtownie się odwrócił, wyrzucił dłonie w powietrze, po czym na widok Nawrockiej zamarł. Pospiesznie ściągnął słuchawki. Nie kryjąc zakłopotania, przygładził włosy, odchrząknął i skinął głową.

– Inspektor Knap – przedstawił go Landau. – A to doktor Greta Nawrocka.

– Greta Nawrocka... – powtórzył Knap. – Miło panią poznać! Proszę wybaczyć te wygibasy, ale starałem się właśnie...

Nawrocka podała mu rękę.



– Odstresować? Skupić? – Uśmiechnęła się. – Myślmy w takt muzyki, choć z-zazwyczaj nie zdajemy sobie z-z tego sprawy.

Knap uścisnął jej delikatną dłoń.

– A jak myśli zamachowiec? Powie mi to pani?

– Niech się pani przyzwyczajają – szepnął Bielawski. – Inspektor nie znosi marnotrawienia czasu.

– Ja też.

Nawrocka poprawiła kucyk. Sięgnęła do torebki i otworzyła zamek. Przez chwilę szukała wzrokiem Karota, ale ten wrócił do analizy dokumentów i nie wyściubiał z nich nosa. Zawada również powrócił na swoje stanowisko. Otworzył laptopa, a obok położył swój niewiele od niego mniejszy telefon. Na przemian zerkał to na jeden, to na drugi ekran. Tymczasem Landau przeprosił i oznajmił, że osobiście sprawdzi postępy pokoju dwadzieścia osiem.

Nawrocka wytrzymała lustrujące spojrzenia Knapa i Bielawskiego. Być może nieświadomie, a może z pełną premedytacją zachowali się jak na przesłuchaniu. Narzucili kilkusekundową ciszę, następnie inspektor wymownie zabębnił palcami w blat stolika, a komisarz wskazał na torbę.

– Jeżeli nie przekaże pani inspektorowi natychmiast swoich wniosków – odezwał się Bielawski – będziemy tak stali do wieczora...

Nawrocka drgnęła. Przyglądała bok ściśle opinającej jej biodro spódnicy i spojrzała Knapowi prosto w oczy.

– Analiz-zując głos, mamy wiele mo-możliwości. – Założyła dłonie na bluzce kryjącej niezbyt obfite piersi. – Możemy patrzeć na to z perspektywy parametrów technicznych. Do tego potrzebuję foniomietru.

– Będzie za kilka minut! – Zawada jak na zawołanie oderwał się od swojej pracy i wycelował w nią palec wskazujący. – Za mniej niż kwadrans. Daję głowę.

– Jak na razie skupiłam się na aspektach czysto językowych. – Greta nie zwróciła uwagi na deklaracje agenta. – Nałożony f-filtr może je modyfikować, ale pewne cechy pozostają sta-stałe. Nie da się ukryć eleganckiego sposobu wypowiedzi, nie da się zamaskować slangu, dialektu, gwary lub akcentu. Oczywiście akcent można wyciszyć, jednak nie zniwelować.

Bielawski z zainteresowaniem oparł się o blat stołu. Knap nawet nie drgnął. Wciąż tkwił w tej samej pozycji, jakby narzucił sobie pokutę po wcześniejszych wygibasach. Wyprostowany, z lekko zmrużonymi oczami i rozchylonymi ustami. Zdawało się, że ostatnie wydarzenia jeszcze mocniej rozwichrzyły jego zarost. Teraz przypominał cudownie wydłużone wiórki kokosowe przyklejone do zaróżowionej skóry.

– Do czego pani zmierza? – zapytał, gdy Nawrocka zamilkła. – Czy możemy wyciągnąć jakieś konkretne wnioski?

– Zdaje się, że tak. Choć to jedynie powierzchowna ana-analiza.

– Dziś wszystkie nasze analizy są powierzchowne.

Knap starał się ją zachęcić. Zlekceważył zrezygnowane spojrzenie Bielawskiego i zdobył się na uśmiech.

– Moim zdaniem to Polak. – Greta wygięła usta w podkówkę, ale jej słowa przykuły uwagę wszystkich. – Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Urodził się w Polsce, mieszka w Polsce, a co więcej, nigdy nie przebywał przez dłuższy cz-czas za granicą. Mogłabym również zaryzykować stwierdzenie, że nie mówi poprawnie po arabsku... Choć opieram to tylko na spo-sposobie wypowiedzi, a nie jakiegokolwiek znajomości tego j-języka.

– Wywnioskowała to pani po sposobie mówienia? – Knap z uznaniem skinął głową.

Podszedł do tablicy i nakreślił na niej kolejne hasła. Nie pojawiły się przy nich znaki zapytania.

– Na ile jest pani tego pewna? – Zawada najwyraźniej był bardziej sceptyczny. – To mogą być dane, które zawężą krąg naszych podejrzanych do minimum. Rozumie pani...

– Na sto procent – weszła mu w słowo Nawrocka. – Mówiłam już, że nie lubię niedopowiedzeń.

– Również tego, że...

Zawada przerwał. Zerknął na ekran laptopa i jednocześnie sięgnął ku komórce. Dioda umieszczona w jej obudowie rozblęśla czerwonym blaskiem. Po chwili zgasła i znów zapulsowała.

– Agencja Bezpieczeństwa dostała nagranie z monitoringu autobusu – oznajmił, uderzając w klawisze. – Zapisuje się zewnętrznie, więc eksplozja go nie uszkodziła.

Bielawski podniósł się znad stolika. Jego dłoń zostawiła tłusty ślad na śliskiej obwolucie notatnika.

– No i?

– Jedna z kamer uchwyciła zamachowca. Mamy sukinsyna.

## 8.

Człowiek Cień żałuje, że nie może okazać emocji. Właśnie by śpiewał, wiwatował lub tańczył. Wiwaty jednak powinien zachować na lepszy moment, a wybór tańca okazałby się problematyczny. Większość kultur plemiennych znała rytmy zwycięstwa, pogrzebowe, ale również te, które miały nastrajać do walki.

Wprowadzać w amok.

Mógłby się posiłkować rozbudzającym siły naparem. Albo wstrzyknąć sobie w żyłę substancje, które jeszcze mocniej ukryją jego emocje, a jednocześnie pozwolą na przeżywanie wewnętrznej euforii.

To jest zupełnie zbędne.

Plan, który dojrzał przez wiele miesięcy, nie potrzebuje elementów dodatkowych. Każda zmienna może doprowadzić do katastrofy. Powtarzał to sobie każdego dnia, aż do upadłego. Nic nie powinno wykroczyć poza schemat. Ani krok, ani machnięcie dłoni, ani pęd powietrza po jego pierdnięciu.

Nic.

Wszystko musi być trzymane w ścisłym rygorze, co do tej pory udawało się doskonale. Nie działo się nic nadzwyczajnego. Finalna realizacja planu była tak samo ryzykowna, a przy tym znacznie mniej złożona niż przygotowania do niej. Co za różnica, czy planował i przygotowywał zabicie dziesiątek ludzi, czy tego dokonywał. Pierwszy etap trwał ponad rok, na drugi składały się ułamki sekundy.

Człowiek Cień przeciera oczy.

Ze zmęczenia lub z jakiegokolwiek innego powodu zaszklily mu się, a może nawet z powieki spłynęła łza. W sumie nie boi się tego przyznać,

nie jest wyzutym z emocji mordercą. Być może, gdyby nie musiał się koncentrować na innych sprawach, nawet zapłakałby nad losem zabitych. Wszystko zostało usprawiedliwione. Cele wyższe uświęcały niskie pobudki. Takie od zawsze było chrześcijańskie myślenie i nie powinien się tym przejmować.

Ocenią go. Określą i będą stygmatyzować.

Być może będą marzyli o tym, żeby skropić jego grób świńską krwią albo licząc na sprowokowanie, obrzucają go inwektywami. Sięgną do najbardziej plugawych metod. Nie będą przy tym lepsi od niego. Zabiorą swoim obywatelom prywatność, poczucie bezpieczeństwa i rozum. To oni każą im się bać.

Człowiek Cień dotyka palcami skroni. Powoli je rozmasowuje i odpręża się.

Od początku doskonale wiedział, że polskie władze nie uwolnią wskazanych przez niego więźniów. Na pewno nie przed pierwszym zamachem. Wtedy nie mogli go brać poważnie i musieli wszystko postawić na próbę negocjacji. Ale ta rozgrywka musiała przebiegać na jego zasadach. Mógł negocjować, lecz najpierw uświadomił im, że ukarze każde ich oszustwo.

Przykładowo, krwawo i bez wahania.

Przypominają mu się ostatnie słowa niemieckiego mordercy Petera Kurtena. Tuż przed tym, jak gilotyna odcięła mu głowę, zapytał, czy będzie słyszał dźwięk własnej krwi tryskającej z szyi.

To zabawne.

Człowiek Cień nie zamierza iść na śmierć. Nie interesuje go własna krew ani przyspieszona wizyta w raj. Nawet wizja kilku dodatkowych hurys nie jest tak interesująca jak radość z życia.

Dlaczego nikt tego nie rozumie?

Dlaczego nikt nie rozumie, że ci ludzie mogli nie zginąć?

O tak. Od początku nie ludził się, że władze zareagują na ultimatum. Był pewny, że nie uwierzą mu przed pierwszym zamachem. A być może również przed drugim. To się zaraz okaże.

Już niedługo zrobi to po raz kolejny.

Znacznie szybciej, niż myślą.

A właśnie.

Teraz.  
Już.  
Pstryk!

## 9.

– Zapauzuj! – Knap uniósł dłoń i nachylił się w stronę monitora. – Patrzcie.

Na ekranie widoczny był zarys sylwetki w kurtce i głęboko nasuniętej bejsbolówce. Postać trzymała skórzaną torbę z logo ze słoniem. Przy odrobinie szczęścia powinni dostać przynajmniej częściowy profil tej osoby. Przy nieco większej jego dozie informatykom może uda się obrobić to na prawie kompletny wizerunek.

Knap zastukał palcem w monitor.

– Chłopaki z dwadzieścia osiem muszą to przybliżyć i wyostrzyć.

– Robi się! – zawołał Landau. Natychmiast połączył się z informatykami, którzy od prawie kwadransa ślęczeli nad rozgryzieniem nagrania. Wkrótce powinni przedstawić rezultaty swojej pracy, ale inspektor najwyraźniej chciał mieć pewność, że niczego nie przegapili.

– Najważniejsze, że wiemy, gdzie wsiadł do autobusu. – Zawada wyprostował się i odszedł kilka kroków na bok. – Wystarczy, że prześledzimy monitoring miejski i dowiemy się, gdzie mieszka. Nawet jeżeli już prysnął, nie zatarł przecież wszystkich śladów.

– Ich zbadanie potrwa. – Bielawski jak zwykle tryskał optymizmem. – Dzień, dwa, może nawet trzy...

– Dlatego powinniśmy rozesłać ten wizerunek do wszystkich służb. Niech zatrzymają każdego mężczyznę w podobnej kurtce lub czapce... – powiedział Knap.

Dostrzegł przelotny grymas na twarzy agenta. Trwał dosłownie ułamek sekundy, ale Zawada intensywnie zamrugał, a nogi się pod nim ugięły. W ostatnim momencie opanował się i chwycił oparcia fotela. Gdyby nie było zablokowane, na pewno by upadł.

– Agencja już się tym zajęła – oznajmił słabszym głosem. – Naciskają, by policja zrobiła to samo.

– Oczywiście. – Knap szturchnął Bielawskiego. – Komisarz osobiście tego dopilnuje.

Bielawski jeszcze raz sprawdził minutę nagrania i zapisał ją do notesu.

– Poczekam, aż informatycy wyostrzą obraz. To powinno potrwać tylko chwilę, a możemy trafić na jakieś istotne szczegóły. Bliznę, znamię, cokolwiek...

– Racja – przyznał Knap i odwrócił się w stronę Karota. Przed kilkoma minutami odciągnął psychologa od dokumentów, by obejrzał nagranie. – A pan? Zauważył pan coś ciekawego?

Karot poprawił okulary. Zmarszczył czoło tak, że skóra na jego łysinie przypomniała nie do końca rozprostowaną harmonię.

– Wahanie – powiedział, przytykając palec do ust. Przygryzł paznokieć, lecz zaraz się powstrzymał. – Ten człowiek dwa razy przekładał torbę. Mimo tego, że w jednym i drugim przypadku zabiłaby podobną liczbę osób. Położenie nie miało znaczenia. Poza tym ciągle zerkał na telefon, jakby coś sprawdzał.

– Godzinę? – spytał inspektor.

– Być może. Nie zauważyłem, czy ma na ręce zegarek. Równie dobrze mógł z kimś się kontaktować. To zbyt kompulsywne zachowanie. Poza tym nosi czapkę i postawiony kołnierz kurtki, ale z drugiej strony niespecjalnie się ukrywa. Bez problemu dałby radę się lepiej zamaskować.

– Dlaczego miałyby to robić?

Psycholog ponownie przytknął palec do ust i wzruszył ramionami.

– Jakość nie jest najlepsza, ale zdaje się, że drżały mu ręce. On był w takim samym stopniu zdesperowany, jak zdekoncentrowany. Nie przypomina kogoś, kto walczył w Iraku, Syrii czy Afganistanie. Popatrzcie, jak się porusza. – Karot sięgnął do myszki i przewinął fragment nagrania. – Chodzi powoli, dosłownie nieśmiało przeciska się między rzędami siedzeń. Poza tym stawia kroki przodem butów. To oznaka zagubienia, wątpliwości...

– Jak widać, rozwiął je dość szybko – burknął Knap.

Obszedł Bielawskiego i biurko. Bezszelestnie zbliżył się do stojącego kilka metrów dalej, odwróconego do nich plecami Zawady. Coś zwróciło jego

uwagę. Coś zwyczajnie mu nie grało. Pewien szczegół znał aż zbyt dobrze, choć wolał o nim nie pamiętać.

Agent pochylił się i obrócił czymś w rękach. Zrobił to szybko, jakby chciał się ukryć, a jednocześnie w jego giętkich ruchach pojawiła się niezdarność.

I nieostrożność.

Knap niespodziewanie chwycił go za dłoń. Ukradkiem, by nikt nie zwrócił na to uwagi, obrócił ją wnętrzem do góry. Agent nie stawiał oporu. Rozprostował palce odsłaniając niewielkie, biało-niebieskie opakowanie.

Fentanyl.

O tak, inspektor znał ten środek aż nazbyt dobrze. Niestety nie od tej słonecznej, znanej popkulturze strony. Trafiali się pacjenci, którzy potrafili wymusić albo wyłudzić na lekarzach przypisanie tego podobnego w działaniu do morfiny leku. Narkomani, potencjalni narkomani i chorzy pogrążeni w depresji. Mity na temat nadzwyczajnego działania fentanylu krążyły po internecie, w celach zakładów karnych i na korytarzach szkół. Standardowa dawka ponoć potrafi wywołać ciekawe efekty. Odrywa od rzeczywistości nie tylko tych, którym jest to niezbędne. Pozwala uwolnić się od prawdziwego bólu, ale potrafi ratować również od bólu duszy. Od tu i teraz. Zresztą takie jest zadanie tego środka.

Knap gwałtownie odciągnął Zawadę na bok.

– Co to, do cholery, jest? – szepnął mu prawie do ucha. Przypominał bardziej ojca martwiącego się o wyrodne dziecko niż strofującego szefa. I to wcale nie dlatego, że agent formalnie nie był jego podwładnym.

Zawada zaczerpnął powietrza.

– Fentanyl – mruknął.

– Czy zdaje pan sobie sprawę, że po tym środku jest się naćpanym? Racjonalne myślenie się wyłącza?

– Co do zasady tak.

– A pańscy przełożeni?

– Przyznaję, że nie – odparł agent bezbarwnym tonem. Jednak jego dziecięca twarz gwałtownie spoważniała. – Mam nadzieję, że pan ich nie uświadomi.

– Jezu, czy wie pan, że będę musiał pana odsunąć? Nie mogę mieć w zespole naćpanych ludzi. Powinienem to zgłosić do...

Tym razem Zawada obrócił się bokiem do Knapa. Upewnił się, że reszta ekipy jest wystarczająco zajęta, by nie zwracać na nich uwagi.

– Zdaje się, że nie mamy czasu na moralizatorskie pogawędki, ale coś panu powiem, inspektorze. Proszę tylko, żeby zostało to między nami. Widzi pan? – Ukradkiem wsadził palec pod bujną czuprynę. Część jego włosów uniosła się, a od skóry czaszki oderwał niemal niewidoczny plaster. – To tupecik albo peruka. Zwał jak zwał. Jestem łysy jeszcze bardziej niż ten wasz psycholog.

Knap westchnął. Przez chwilę milczał, wreszcie wydał z siebie kolejne westchnięcie. Wszystko, co wydarzyło się tego poranka, było jakimś absurdem. Nie powinien mieć żadnych zahamowań, żeby najszybciej wyrzucić stąd agenta na prochach. Na zbity pysk. Bez względu na przyczynę i współczucie. Jednak z drugiej strony...

– Pańscy przełożeni... – zaczął bez animuszu.

– Wiedzą o operacji i chemioterapii. – Zawada zacisnął usta. Dopiero teraz Knap zdał sobie sprawę, że są przez cały czas blade i suche. Gdy ponownie rozchylił wargi rozciągnął gęstą ślinę. – Byłem na zwolnieniu, a teraz wszyscy myślą, że już po problemie. W końcu co może stać się trzydziestodwuletniemu, pięknemu jak młody bóg facetowi. Prawda? Dla wygody przenieśli mnie z sekcji wykonawczej do kooperacji. Dlatego tu jestem. Grzebiąc w dokumentach i przekazując informacje między agencją i policją, nie mogę niczego spieprzyć. Nawet na haju. A proszę mi uwierzyć, inspektorze, że już się przyzwyczailem. Jestem tak samo trzeźwy i świadomy jak pan.

– Powinien pan bezwzględnie o tym porozmawiać z przełożonymi. Poinformować ich o środkach, które pan zażywa.

– Nie. – Zawada pokręcił głową. – Czy ktokolwiek poza mną ma prawo decydować, gdzie będę dogorywał? Czy w szpitalnym łóżku, czy w trakcie tego, co lubię? – Agent intensywnie zamrugał i spuścił wzrok. – Jak to się mówi, operacja nie zakończyła się pełnym sukcesem. Mówiąc krótko, zostało mi niewiele czasu.

Bezradnie rozłożył dłonie, opanował się i utkwiał w Knapie ponure spojrzenie. Nie zamierzał go o nic prosić, a jednocześnie oddawał się do jego dyspozycji.



Knap ciężko sapnął. Potok myśli przelewających się przez jego mózg przerwało znaczące chrząknięcie Bielawskiego.

– Ten kutas przesłał kolejną wiadomość. – Komisarz odchrząknął po raz kolejny. Gdy Knap i Zawada odwrócili się w jego stronę, wskazał na ekran.

– Przekazuję ją do dwadzieścia osiem. Choć to pewnie znowu bez sensu.

Inspektor wymownie chwycił Zawadę pod ramię. Skinął do niego porozumiewawczo głową. W tym momencie agent nawet na największym haju nie mógł niczego spieprzyć, a pozbawienie umierającego radości stanowiłoby niewybaczalny grzech. Nie zrobiliby tego.

– Nic nie widziałem ani niczego nie słyszałem – mruknął cicho do Zawady. Przeszedł kilka kroków, zatrzymał się przy Bielawskim i odezwał się już normalnym tonem: – Obstawiam, że właśnie nam podał, ile mamy czasu do kolejnego zamachu.

Nie miał nawet pojęcia, jak wielkim jest optymistą.

Tymczasem Greta Nawrocka po raz kolejny odsłuchiwała poprzednie nagranie zamachowca. Jej brwi zmarszczyły się, a usta zadrżały w delikatnym uśmiechu. Trafiała na coś bardzo ciekawego.

## ODCINEK 4.

### 1.

#### WIELKI PIĄTEK

GODZINA 8:00

*Wspominałem, co się stanie, jeżeli nadal moi bracia nie zaznają wolności. Wcześniej dotrzymałem danego słowa. Dotrzymam go i teraz. Musicie zrozumieć, że ani wy, ani wasze zastępy krzyżowców nie mogą zwyciężyć. Kolejna krew spłynie w samo południe ciszy krwawej. Następna o godzinie śmierci proroka Jezusa. I tak bez końca. Aż zginie ostatni z was.*

– Kurwa, on rozplanował całą serię... – Bielawski głośno wypuścił powietrze. Nie odrywał wzroku od monitora, jakby wygląd aplikacji mógł mu cokolwiek podpowiedzieć. – Samo południe...

Knap podwinął mankiet marynarki.

– Czyli za równe cztery godziny – mruknął. – To cały czas, jaki mamy.

– A jeśli znowu damy dupy, będą czekały na nas fajerwerki o trzeciej...

O ile w Koranie Jezus też umarł o trzeciej. Inspektorze?

Knap drgnął. Przeczesał dłonią zarost i zmrużył oczy.

– Nie jestem ekspertem od islamu – parsknął. – Nie mam pojęcia, jak w Koranie przedstawiono Chrystusa, ale to bez sensu. Jak dla mnie te słowa są całkowicie bez sensu.

– Co ma pan na myśli? – Karot odsunął się od biurka.

– O ile się nie mylę, muzułmanie nie znają pojęcia grzechu pierwородnego – wyjaśnił Knap. – A przecież Pan Jezus oddał życie za to, by zmyć z nas jego skutki. Zresztą to teraz nieważne – machnął ręką. – A pan ma jakieś koncepcje?

– Ja mam!

Wszyscy odwrócili się w stronę, z której dobiegł głos. Greta Nawrocka siedziała przy biurku w samym rogu pomieszczenia tuż przy wejściu. W dłoniach trzymała słuchawki. Na blacie obok laptopa stało niewielkie urządzenie przypominające stare modemy. Spora plastikowa skrzynka z szeregiem diodek i palisadą krótkich anten. Foniometr. Święty Graal analizy dźwięku, a przede wszystkim głosu. Ściągnięty przed chwilą przez Zawadę prosto z politechniki, gdzie służył badaniu odgłosów osiadających ścian budynku i naprężeń sufitów.

– Zamieniamy się w słuch! – zawołał Bielawski.

Knap zerknął na niego z politowaniem. Czasem ten jego sarkastyczny ton najzwyczajniej go irytował.

– Proszę – zachęcił Nawrocką do mówienia.

Zdawał sobie sprawę, że energiczna, wręcz entuzjastyczna postawa kobiety może być jedynie maską. Przykrywką dla stłamszonej osobowości, która znalazła się w całkowicie obcym środowisku. Rozumiał ją i jednocześnie jej współczuł. Tak delikatne charaktery nie powinny trafiać do obskurnego świata zbrodni. Nie zdawał sobie sprawy, jak trafna jest jego diagnoza.

Nawrocka odłożyła słuchawki i splotła przed sobą dłonie. Przypominała uczennicę, którą znienacka wywołano do odpowiedzi. W pierwszej chwili poruszyła się, jakby miała wstać, lecz wreszcie pochyliła się nad biurkiem. To była jej pozycja bezpieczna. Schowana za swoimi elektronicznymi zabawkami, za murem notatek i przemyśleń.

– Usunęłam z nagrania głos zamachowca – odezwała się rzeczowym, pozbawionym emocji tonem. Nawet się nie zająknęła. – Czasem dla zabawy robię to z nagraniami, nad k-którymi pracuję.

– Aby usłyszeć dźwięki tła? – Karot przesunął akta po blacie biurka.

– Zgadza się. Te odgłosy mogą nam wiele powiedzieć.

– Na przykład? – dopytał psycholog.

– Co nagrywający robił w trakcie sporządzania pliku, czy słyszał inne oso-osoby i tak dalej...

– I co pani usłyszała? – Bielawski niezmiennie pozostawał sceptyczny.

Nawrocka nie zwróciła na niego uwagi. Przeniosła spojrzenie na foniometr i wyprostowała się.

– Jestem pewna, że nie nagrywał tego w żadnym stud-dio ani innym specjalnie przystosowanym miejscu. To po pierwsze. Po drugie pogłos wskazuje, że znajdował się w niewielkim pomiesz-szczeniu. Zdaje się, że miał przy tym otwarte okno, przez które dostawały się odgłosy ulicy. Ruch samochodów, jakieś sze-szelesty, obstawiałabym nawet, że bicie dzwonów. – Kobieta zawiesiła głos. Po chwili podjęła z jeszcze większym przekonaniem: – On przygotował to wszystko wcześniej. Przynajmniej pierwsze nagranie. Drugie ma nieco inne t-tło. Wiedział, że jego żądania nie zostaną spe-spełnione, bo trzecie zdaje się również tworzyć całość. Muszę je przeanalizować...

– To niewiele zmienia. – Knap opadł na jeden z foteli. Zauważył, że Zawada przez ostatnie minuty nie odezwał się ani słowem, ale nie zamierzał testować trzeźwości jego osądu. Sam nie czuł się najlepiej. – Chyba że... – Coś przyszło mu do głowy. – Czy wiemy już, na którym przystanku ten człowiek wsiadł do autobusu?

Agent jakby wywołany do odpowiedzi obrócił w dłoni telefonem.

– Już to sprawdziliśmy – wycedził powoli Zawada. – Przynajmniej raz się przesiadał, ale do pierwszego autobusu wszedł na początku Kasprowicza.

– Na Bielanach?

– Tak. Na początku nitki metra.

Knap przymknął oczy. W myślach błyskawicznie wertował plan Warszawy. Znał to miasto od dziecka. Niemal każdą jego dzielnicę, ulicę i zabytek. Każdą pozostałość powstańczych bastionów, ukryte na podwórzach wyjścia z kanałów i miejsca masowych straceń. Mógłby bez problemu zrobić licencję taksówkarza. Ponad trzydzieści lat pracy w policji wzbogacało doświadczenie. Im okolica miała gorszą opinię lub dramatyczniejszą historię, tym więcej o niej wiedział.

– I nie mamy pojęcia, czy na ten przystanek przyszedł, czy przyjechał innym autobusem? – zapytał z wciąż przymkniętymi oczami.

– Nie. W agencji dopiero sprawdzają okoliczny monitoring. Ale do czego pan zmierza? – próbował uściślić Zawada.

Nawrocka podniosła się od biurka. Uśmiechnęła się i z podeksytowaniem przeciągnęła językiem po wargach.

– Do tego, żeby ustalić, gdzie przebywa zamachowiec – odezwała się rezolutnie. – Prześlijcie mi to ostatnie nagranie. Jeżeli dopisze nam

szczęście, właśnie popełnił swój największy błąd.

Knap wycelował w nią tryumfalnie dwa palce. Po chwili rozłączył je, przemieniając lufę pistoletu w znak wiktorii.

## 2.

Gdy oris Knapa wskazał trzynaście po ósmej, Greta Nawrocka ponownie zsunęła słuchawki. Wypięła ich kabel z foniomietru i uniosła kciuk. Wymowny gest natychmiast skupił uwagę wszystkich pozostałych.

– Już mam – obwieściła, nie kryjąc zadowolenia. – Głos zamachowca został usunięty, a jednocześnie podkreśliłam odgłosy tła.

– Coś ciekawego? – Knap podszedł do jej stolika. Położył dłoń na jednym z trzech niewielkich głośników i się odwrócił. – Możemy zaczynać?

Zawada i Bielawski byli gotowi. Karot z wysuniętym koniuszkiem języka wertował stos dokumentów, ale inspektor nie zamierzał go po raz kolejny od nich odrywać. Zastanowił się, czy nie poczekać na Landaua, który osobiście pofatygował się do pokoju dwadzieścia osiem, lecz uznał, że szkoda na to czasu. We czworo musieli dać się ponieść muzyce życia. To określenie przyszło mu do głowy jak podpowiedź hasła w komórce. Po prostu się pojawiło, wybrał je i delektował się nim.

Skinął głową i po chwili głośniki wydały z siebie narastający szmer. Coraz wyższe tony nadjeżdżającego pojazdu gwałtownie się obniżyły i zaczęły niknąć. Efekt Dopplera. Zjawisko wykorzystywane przez większość urządzeń służących do pomiaru prędkości. Odgłosy ulicy zlały się w jedno. Stukot kół, warkot silników, stłumione trąbienie utworzyły kakofoniczny koncert. Co chwilę wrzynał się w niego nieprzyjemny, przyprawiający o dreszcze jęk.

– Wiertarka? – rzucił cicho Knap. Nie mógł skojarzyć tego dźwięku. – Co to, u licha, jest?

Lubił muzykę. Wręcz uwielbiał otaczać się muzyką, ale wbrew szczerą chęciom jego zdolności słuchowe i poczucie rytmu praktycznie nie istniały. Nie raz, starając się rozpoznać dominujący instrument, zdawał sobie

sprawę, że nie ma nawet pojęcia, czy to instrument dęty, smyczkowy, czy jakikolwiek inny. Gospel poprawiał mu nastrój, fugi pozwalały się skupić, a kyrie działały jak ginkgo biloba – wzmagaly pamięć, koncentrację i przyspieszały łączenie faktów. Knap święcie wierzył w zdrowotny wpływ muzyki. Jednak dźwięk wiertarki mógłby pewnie pomylić z dudnieniem startującego samolotu albo nuceniem matki usypiającej dziecko.

– Możliwe, że tak. – Nawrocka zamknęła oczy i przechyliła głowę. O dziwo, nie wyśmiała go. – Ten dźwięk dobiega z za hałasu ulicznego i jest nieregularny. To na pewno jakieś urządzenie, ale trudno powiedzieć co dokładnie. A już na pewno nie ze stuprocentową pewnością.

– Dzwony! – Zawada wskazał na głośnik po lewej. – Z tamtej strony, wyraźnie je słychać.

Przez kilkanaście sekund wszyscy milczeli. Rzeczywiście, w tle rozpoznawalne było bicie najprawdopodobniej kościelnych dzwonów. Raz było głośniejsze, to znowu cichło.

– Dobiega z daleka – szepnęła Nawrocka. – Wiatr de-formuje dźwięk.

– Z jak daleka? – Knap kreślił swój muzyczny obraz. – Możemy to określić?

– Trudno powiedzieć. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że wsz-szystko słyszymy przez uchylone okno, to pewnie jakieś czterysta, może pięćset metrów. Ale równie dobrze okno mogło być jedynie nieszcz-szczelne. Wtedy można dzielić przez dwa. A nawet trz-trzy.

Przeszywający jazgot ponownie przytłumił wszystkie pozostałe odgłosy, a po chwili nagranie się zakończyło. Nic więcej. Żadnych wskazówek ani ułatwień.

Knap bez słowa podszedł do mapy Warszawy. Powiódł palcem wzdłuż ulicy Kasprowicza i zatoczył nim koło. Gdzieś w jego obrębie mógł czaić się zamachowiec.

Już wcześniej warkot wiertarki z czymś mu się kojarzył. Obrazy nakładały się i uzupełniały, tworząc zamkniętą całość. Knap sklejał je niczym wielką mapę złożoną z rozmaicie oznaczonych puzzli. Każdy z nich opisywał inny dźwięk, lecz wszystkie rozsypało na Bielanych. Mogło być lepiej, biorąc pod uwagę, że ta dzielnica jest większa na przykład od Kołobrzegu i ma cztery razy więcej mieszkańców. Mimo wszystko Knap

czuł, że jest na dobrym tropie. To nie słuch miał znaczenie, a zdolność dopasowania elementów.

– Jeszcze raz puśćcie to nagranie – poprosił, przymykając oczy. – I dajcie głośniej.

Zawada pochylił się nad Nawrocką i nacisnął play. Grzywka opadła mu na czoło, ale tym razem jej nie odgarnął.

Po chwili dźwięki ulicy, syren i bicia dzwonów wypełniły pomieszczenie. Zaległy w nim jak filmowy hit w sali kinowej pozbawionej ekranu. Wibrujący jazgot dopełnił ich industrialnej mieszanki. Muzyka dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku to dźwięki tła, które towarzyszą nam nieustannie. I z których obecności nie zdajemy już sobie nawet sprawy.

Knap rozwarł usta i przeciągnął językiem po szczecinie zarostu. Syreny karetki w niczym nie mogły im pomóc. Stanowiły dźwięk tak popularny, że wtapiały się w dowolny fragment miasta. Natężony ruch samochodów wskazywał na sporą ulicę, co również nie stanowiło specjalnej wskazówki. Natomiast wiertarka nasuwała mgliste skojarzenia.

– Cofnijcie o dwie czy trzy sekundy! – Knap nachylił się nad samym głośnikiem. – Dosłownie dwie sekundy...

Nawrocka ubiegła Zawadę i pospiesznie cofnęła nagranie. Był to moment, gdy wszystkie dźwięki zlewały się w zupełny chaos. Nie była w stanie wyłowić z niego niczego sensownego. Jednak na twarzy Knapa po raz pierwszy dostrzegła podekscytowanie. Inspektor szybkim krokiem przemierzył salę i zatrzymał się przed korkową tablicą. Powietrze świszcząło mu w gardle.

Jeszcze raz zerknął na mapę i naniósł na nią siatkę własnych myśli. Nawrocka bez wątpienia świetnie radziła sobie z analizą, ale przez to zbyt mocno skupiała się na szczegółach. Sam może i nie potrafił rozróżnić skrzypiec od altówki, ale umiał w pamięci odtworzyć większość miejsc, w których był. O ile zamachowiec nie przesiadł się nigdzie dalej, Bielany pozostawiały tylko jedną możliwość.

– Chyba wiem, gdzie on jest – wyrzeźił.

### 3.

Chwilę później Knap wybuchnął kaszlem. Niewidoczna dłoń znowu ścisnęła mu przełyk, a druga wlała do gardła popiół. Tak źle nie było od dawna. Pochylił się, opierając o biurko, ale duszność nie ustępowała. Nie mógł się nawet skupić na uspokajającym liczeniu. Odsunął się od klimatyzatora i zatoczył się w stronę okna. Niemal na oślep chwycił kławkę.

Zdał sobie sprawę, że Bielawski stoi obok i podaje mu kubek wody. Ktoś klepnął go w plecy, co oczywiście nie mogło nic pomóc. Pomiędzy kolejnymi kaszlnięciami zdołał wziąć oddech. Nie poczuł jednak żadnej ulgi, niewidoczne palce zacisnęły się jeszcze mocniej. Poranne powietrze muskało mu twarz, lecz pozbawione tlenu wnętrzości zaciskały się w supły.

Jezu...

Oczy zaszczyły mu łzami i świat wokół się rozmył. Jednocześnie kolory stały się dziwnie intensywne.

– Trzeba wezwać pogotowie! – Karot poderwał się znad dokumentów i wyciągnął komórkę.

Knap całą siłą woli skupił się na oddechu. Nie musiał go liczyć, wystarczyło, że jak japońscy mnisi skoreluje się z nim, a duszność ustąpi. Taka była teoria. Machnął dłonią, dając znać, żeby broń Boże nikogo nie wzywać. Wyprostował się, ale napad kaszlu z powrotem przygiął go do parapetu. Cała twarz mu spąsowiała, pot ściekał po czole i karku.

– Nie... już... lepiej... – wycharczał.

Bielawski odstawił kubek z wodą na biurko.

– W sensie, że lepiej czy nie lepiej? – Zafrasowany chwycił Knapa za ramię. – Jeżeli pan inspektor nie zacznie mówić pełnymi zdaniem, będziemy musieli wezwać...

– Lepiej.

– To nie było pełne zdanie.

Knap czuł, że żyły na skroniach nabrzmiały mu i pulsują w rytmie łomoczącego serca. Przetaczała się nimi gęsta, smolista krew.

Oddech i krew.



Oddech.

Krew.

Niewidzialne palce na jego szyi nieco złagodziły uścisk. Odcharknął i przytrzymał ślinę w ustach, obawiając się, że jeśli ją przełknie atak znowu się powtórzy. Zaczepnął głęboko powietrza. Z jego gardła dobiegł przy tym świergot niczym z wodnej dmuchawki, którą bawił się w dzieciństwie.

Przynajmniej się udało.

Znów mógł oddychać.

Przeciągnął dłońmi po twarzy, zbierając pot. Czuł się parszywie, ale nie miał czasu na odświeżanie i dochodzenie do siebie.

– Musi pan coś dla mnie zrobić – zwrócił się do Zawady.

Agent stał kilka metrów dalej, z lekko rozwartymi ustami i wciąż opadniętą grzywką. Fentanyl musiał go zubożnić na wygląd fryzury.

– Jasne. – Intensywnie zamrugał. – Co takiego?

Knap zostawił otwarte okno i ruszył w jego stronę.

– Wiem, że Agencja Bezpieczeństwa ma podgląd na wszystkie kamery miejskiej sieci. Potrzebuję zapisu jednej z nich...

Zawada wzruszył ramionami.

– Już się robi. – Odwrócił się do laptopa i wpisał kilka komend. Uzupełniając hasła, nachylił się nad klawiaturą. – Mamy tu dostęp do nagrań z sygnalizatorów świetlnych i regulatorów ruchu. Formalnie nie możemy przechowywać tych materiałów, więc...

– Może pan sobie darować.

– Przepraszam...

– Chcę spisu kamer z okolic Kasprowicza.

Zawada wywołał na pulpit i przybliżył mapę. Pojawiło się na niej kilka czerwonych punkcików.

– Będzie ich sporo, a przejrzanie wszystkich zajmie wiele czasu... – Powiększył aplikację na cały ekran. – Którą pan chce?

Knap uważnie przyjrzał się fragmentowi mapy.

– Ta powinna być dobra. – Zastukał palcem w ekran. – Włącz nagranie od piątej rano.

Agent kilkakrotnie kliknął i wywołał zapis jednej z kamer. Za jego plecami obok Knapa stanął Bielawski. Greta Nawrocka tymczasem

sztywnym krokiem wróciła do biurka. Napad duszności inspektora solidnie ją przestraszył. Mechanicznie nałożyła słuchawki i enty raz uruchomiła wiadomość od zamachowca.

– Przyspiesz. – Knap odkasznął, ale po duszności nie było już śladu. – Przed szóstą rano ruch nie mógł być duży.

Nagranie nabrało tempa. Pojedyncze postaci przemykały przez przejście dla pieszych, kilka osób z psami odbębniało poranny spacer, a zagorzali sportowcy robili pierwszą przebieżkę. Warszawski świt. Bielany w swoim rytmie budziły się do życia.

Nagle Zawada zastopował film.

– Jest. – Wskazał na mężczyznę w ciemnej kurtce, bejsbolówce i ze skórzaną torbą w dłoni. – Mamy skurwysyna.

Knap się uśmiechnął.

– Przyszedł od strony huty, więc wszystko się zgadza. – Machnął w stronę Nawrockiej, dając jej znać, by zdjęła słuchawki. – Czy jest pani w stanie stwierdzić, z której strony dobiega ten wibrujący dźwięk?

– Z prawej – odparła niemal natychmiast. – Nie wiem, czy to wschód, północ czy zachód, ale na prawo od urządzenia nagrywającego. Przeciwnie do dzwonów. Tylko...

– Musimy tam jechać. – Knap zerwał się z fotela, ale dostrzegł, że Nawrocka chce coś jeszcze powiedzieć. – Tak?

Kobieta spuściła wzrok.

– W trzecim n-nagranium mamy dokładnie to samo tło dźwięko-kowe co w pierwszym – wydyszała na jednym oddechu.

– I jakie to ma dla nas znaczenie?

– Że o ile nie przygotował go wcześniej, to właśnie wrócił do swojej k-kryjówki.

#### 4.

Niespełna kwadrans później Knap i Zawada siedzieli na tyle nieoznakowanego radiowozu prowadzonego przez Landaua. Aspirant robił

wszystko, by jak najszybciej, a przy okazji w jednym kawałku, dowieźć ich we wskazane przez inspektora miejsce. Trwał poranny szczyt i mimo zawodzenia syren oraz błysku stroboskopów jazda przypominała wyścig na roller coasterze. Aspirant co chwilę zmieniał pas, zjeżdżał na pobocze lub ścieżki rowerowe. Dryblował jak piłkarz na boisku.

– Kilometr przed celem wyłącz tę dyskotekę – rozkazał Knap. – Nie chcę go spłoszyć. To samo tyczy się reszty chłopaków.

Dwa wozy pełne antyterrorystów również były już w drodze. Czternastu ludzi gotowych na spotkanie z każdym przeciwnikiem i w każdych okolicznościach przygotowywało się do akcji według pospiesznych wytycznych Knapa. Nie wiedzieli niemal niczego. Rozpoznanie nie istniało, bo jak niby można rozpoznać teren, który oszacowano jedynie w sporym przybliżeniu. Po kierunku, z którego dobiegało wiercenie i bicie dzwonów, określił przybliżony rewir działania. Jeśli będzie trzeba, planował otoczyć całą dzielnicę, osiedle albo kwartał. Choć czternastu ludzi mogło do tego nie starczyć.

Poza tym istniało ryzyko, że pomylił skrzypce z altówką. Albo z wiolonczelą. Całą swoją teorię oparł na zaufaniu do zmysłu, którego rozwoju Bóg mu co najmniej poskąpił. Jednak w swoim życiu zaliczył już dość pogrzebów. Dźwięk dzwonów na nagraniu nie był dostojny i głęboki jak tych kościelnych. Przypominał bardziej odgłos pękającego balonika w zestawieniu z wystrzałem magnum.

Od razu ożyły mu w pamięci żałobne tony niewielkich dzwonów kaplicy Cmentarza Północnego. Skoro nagranie ujęło moment, gdy zamachowiec kierował się na Kasprowicza od strony huty, podejrzenie wydawało się słuszne. Cała teoria nabrała kolorów.

Do tego jazgot w tle wcale nie przypominał wiercenia. Był krótszy, a przy tym regularny. Tak regularny, jak tylko regularnie wykonuje się konkretną pracę i dba o własny sprzęt. Obrabianie kamienia. W okolicy cmentarza znajdowało się kilka zakładów zajmujących się wykonywaniem nagrobków. Większość z nich miała własne hale, a tylko w nielicznych cięto i szlifowano kamień na podwórzach. Jeszcze mniej z nich znajdowało się w położeniu przeciwnym do kaplicy cmentarnej. Trzy zespoły policjantów i dwie komórki Agencji Bezpieczeństwa przeglądały właśnie nagrania z wszelkich pobliskich kamer.

Knap i obie grupy antyterrorystów mieli krążyć po okolicy w nadziei, że pojawią się nowe dane. Złoty strzał, który doprecyzuje miejsce pobytu zamachowca. Albo miejsce jego dawnego pobytu. Liczył się przecież każdy ślad. Po nitce do kłębka rozwiązywało się najtrudniejsze sprawy kryminalne. Zgubiony włos niweczył plany napadów opracowywanych przez całe lata.

– Saperzy dotarli do rejonu Rodezja – zaskrzeczał głos w policyjnym radiu. – Co mają robić?

– Czekać. I nie zwracać na siebie specjalnej uwagi. Niech krążą po okolicy – rozkazał Knap.

Nie miał pojęcia, dlaczego na potrzeby taktyczne Bielany przechrzcili na Rodezję.

– Przyjąłem – dobiegło z głośnika.

Landau przyspieszył i po raz kolejny o milimetry wyminął rozjeżdżające się auta. Jego duma musiała zostać urażona. Nigdy nie chciał być drugi, a saperzy jakimś cudem go ubiegli. Teraz gra toczyła się o ostatnie miejsce. A raczej o jego uniknięcie.

– Myśli pan, że tym razem się uda? – Zawada obrócił się w fotelu. Opuścił podłokietnik i przymknął oczy. Był blady, a wpadające przez uchylone okno powietrze rozwiewało sztuczne włosy.

– Nie wiem. – Knap powoli wypuścił powietrze. – Staram się nigdy nie nastawiać.

– Ani na dobre, ani na złe?

– Nigdy.

– Mogę zapytać dlaczego?

Knap się uśmiechnął. Oparł głowę o zagłówek i rozprostował kark.

– Nie wie pan, że nazywają mnie „jezuitą”? – Nie czekając na odpowiedź, wyciągnął spod koszuli złoty krzyżyk i pocałował go. – Oddaję się jego opiece. Będzie to, co nas czeka.

– Wszyscy umrzemy? – Zawada odwrócił się w jego stronę. Żałośnie wydał wysuszone wargi. – O to chodzi?

– Tak. Ale jednocześnie robię wszystko, żeby odsunąć tę chwilę jak najdalej. Wbrew pozorom religia chrześcijańska nie zmusza wiernych do marazmu. Wręcz przeciwnie. Będzie, co Bóg zaplanował, ale swoją robotę musimy wykonywać jak najlepiej.

– Brzmi pan jak mormoni. Chociaż i tak zazdroszczę panu tej wiary...

– A pan? – Knap poczuł wibrację komórki. Poluzował pas i sięgnął do kieszeni. – Pan w nic nie wierzy?

– Kiedyś mówiłem, że wierzę w siebie. Do czasu aż się zepsułem...

Inspektor nie podjął tematu. Na ekranie jego telefonu wyświetliła się krótka wiadomość od Michała.

„Wszystko w porządku”.

Jego syn pewnie jeszcze nie miał pojęcia ani o zamachu, ani o groźbie kolejnych, ani... Przez chwilę narastała w nim nieuzasadniona wściekłość. Za to, że Michał wylegiwał się trzy godziny dłużej niż on i że jego utopijny świat wciąż nie doznał rysy. Zganił się za ten przyływ złości. Chwilę później pojawiła się myśl, że właściwie powinien być z tego powodu szczęśliwy. Przecież właśnie o to chodzi w wychowywaniu dzieci. Trzymanie ich pod kloszem i chronienie przed wszelkimi nieszczęściami świata. Prowadzenie za rękę przez życie, aby w końcu zdać sobie sprawę, że zamiast ręki od dawna trzyma się podsuniętą jej plastikową kopię.

Trzecią myśl, która przetoczyła się przez jego umysł w ciągu ułamka sekundy, wieńczyło pełne niepokoju pytanie: dlaczego? Dlaczego Michał napisał, że wszystko w porządku? Nie oddzwonił ani nie zapytał po prostu „co tam?” albo „czego chcesz?”.

„Wszystko w porządku”.

W tym krótkim stwierdzeniu wcale wszystko nie musi być w porządku. Z drugiej strony niepotrzebnie panikował. Co niby się mogło stać? O co miałby się martwić?

Wydarzenia poranka robiły z niego pierdołowatego glinę z zespołem zawodowej paranoi. Jednak czy współczesne pokolenie nie pisało po prostu „U mnie okej”. Albo po prostu: „OK”?

Dobra. Paranoja naprawdę dawała o sobie znać. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien zadzwonić, lecz przerwał mu skrzek policyjnego radia.

– Halo? Tu akwarium. – Bielawski nie ukrywał ekscytacji. – Informatycy obrabiają nagrania ze wskazanych kamer. Mówią, że mają kogoś bardzo podobnego, ale dla świętego spokoju walczą z ostrością. Zdaje się, że go mamy.

Knap ponownie pocałował krzyżyk

– Consummatum est...

## 5.

Edmund Karot zamknął kolejną teczkę. Założył gumkę i zrzucił ją na podłogę. Na biurku nie miał już miejsca. Najpierw planował odstawić laptopa, ale weryfikacja pewnych danych okazała się niezbędna. Przydatne informacje znajdował na stronach internetowych. Dzięki nim mógł rozważać obraz sytuacji z szerszej perspektywy. Z drugiej strony miał wrażenie, że każda z odkrywanych ciekawostek może się okazać zwykłym wabikiem w ślepe uliczki. Zamachowiec z pewnością z nimi pogrywał. A sparaliżowanie służb i zdobycie czasu to wszystko, czego potrzebował, by odnieść sukces.

Przynajmniej na razie.

Czas.

To był jego Święty Graal, o ile w przypadku islamskiego dżihadysty można mówić o Świętym Graalu. Ale właśnie z tym wiązał się problem, który od pewnego czasu gnębił psychologa.

Istnieje coś takiego jak iluzja wypukłości maski. Nie jest to test stricte medyczny, lecz w pewien sposób pozwala na przedstawienie sposobu postrzegania schizofreników. Mózg zdrowo myślącego człowieka, gdy podsuwa mu się obraz maski z wklęsniętej strony, daje się oszukać i natychmiast wywraca ją na drugą stronę. Jednak cierpiący na schizofrenię prawidłowo widzą wklęsnięcie.

Tyle że w tym przypadku zamachowiec nie działał jak schizofrenik, ale jak terapeuta, który chce zdiagnozować niczego nie podejrzewającego pacjenta. Karot miał wrażenie, jakby na przemian podrzucał im wypukłą i wklęsniętą maskę. Podsuwał tropy chrześcijańskie, islamskie i w ogóle religijne, a wszystko rozbijał o narrację dżihadystyczną... Do tego dochodziło żądanie uwolnienia trzech terrorystów. Dlaczego akurat tych? W ich aktach nie trafił na nic nadzwyczajnego. W polskich, a już na pewno europejskich więzieniach znalazłoby się na pęczki bardziej wartościowych potencjalnych zamachowców samobójców, profesjonalnych ścinaczy głów

albo opętanych świrów gotowych opracować plan uderzenia na Nowy York, Paryż czy Barcelonę.

Dlaczego akurat ci trzej?

Karot wstał i rozprostował plecy. Wertowanie dokumentów to najbardziej niewdzięczna robota, jaką można wykonywać. Miał ochotę przekląć dzień, w którym zdecydował się na karierę mającą przypominać naukowe działania doktora Lectera. Albo jeszcze bardziej tego Willa... Jak mu tam...

Nawrocka podniosła wzrok, przez chwilę wciąż wsłuchiwała się w nagranie, wreszcie ściągnęła słuchawki.

– Masz coś? – zapytała. – Powiedz, że coś m-masz.

Karot pokręcił głową.

– Masę bzdur. Nic nieznaczących głupot... – Oparł się pośladkami o skraj biurka i odezwał na tyle głośno, by zwrócić uwagę Bielawskiego. – Już analizując imiona, miałem wrażenie, jakby to wszystko był jakiś pieprzony żart. Muhmud Ibn Yusuf al-Aswani, czyli dosłownie tłumacząc: Asuański. Co by wskazywało, że to Egipcjanin, jednak zgodnie z aktami, które mamy, jest Syryjczykiem. Niby nic nadzwyczajnego, ale... Weźmy na tapetę tego Fajsala ibn Husajna. Czyli Fajsala syna Husajna. Mało kreatywne, no nie? Co ciekawe, właśnie tak nazywa się jordański następca tronu, ale to pewnie przypadek. Zresztą znalazłem jeszcze parę znanych osób o tym imieniu... Natomiast, żeby było ciekawie, Sajf Udin to po prostu miecz wiary. Nie wiem, czy zamachowiec wybierał ich losowo, czy, jeśli się zgłębić, wszyscy Arabowie mają tak pokręcone imiona...

– Jeden z nich to podobno Polak – zauważył Bielawski.

– Niby tak. Przynajmniej tak utrzymują nasze służby, bo sam twierdzi, że to gówno prawda. Zaklina się, że urodził się na terenie Tunezji i że z kimś go pomylili.

– Ciekawe...

Karot parsknął sarkastycznie.

– To jeszcze nie wszystko. – Wyprostował się i przesunął stopą stos dokumentów. – Na przykład w Koranie nie podano godziny, o której umarł Chrystus.

– Myślisz, że to coś zmienia? – Nawrocka obróciła w dłoni słuchawki. – Może doszukujemy się za głębo-boko...

– Nie wiem. Ale muzułmanie, choć mają go za proroka, nie wierzą, że został ukrzyżowany. Tak jak mówił inspektor, śmierć na krzyżu jest na potrzeby zatarcia grzechu pierwородnego. Oni nie mają z tym problemu.

– Żadni?

– Co żadni?

– Żadni muzułmanie w to nie wierzą?

Karot nachylił się nad klawiaturą. Pstryknął palcami i wpisał kilka haseł.

– Oczywiście strzelam, że są pewne sekty, ale...

– Trzeba to sprawdzić – zdecydował Bielawski. – Tak samo wybadać tych trzech gości z nagrania.

– Wiem – zgodził się psycholog. – Szczególnie interesuje mnie ten Polak. Wspomnienie o godzinie śmierci Jezusa może stanowić rys wynikający z kultury, w której wychował się sprawca.

Komisarz skinął w stronę Nawrockiej.

– Już pani doktor wspominała, że językowo wszystko wskazuje na to, że jest Polakiem.

– Konwertyta?

Nawrocka bezradnie rozłożyła dłonie.

– Cholera wie. Coś mi w tym wszystkim nie p-pasuje. Mam wrażenie, że ciągle umyka nam coś b-bardzo istotnego, ale nie mam pojęcia co...

Karot z plaśnięciem założył dłonie na tył łysej czaszki. Był tego samego zdania. Jakby jakieś słowo tkwiło mu na końcu języka, a za cholerę nie mógł go sobie przypomnieć.

## 6.

Norbert Graf kazał kierowcy zatrzymać samochód. Chwycił czarną aktówkę, ale zaraz odłożył ją na siedzenie obok. Nie powinien nosić ze sobą tych dokumentów. Lepiej, żeby czekały na niego na tyle rządowej limuzyny.

– Wracam za pół godziny – oznajmił, wysiadając. – W razie czego jestem pod telefonem.



Mimo że było ledwie kilkanaście stopni, a słońce przysłaniał cienki całun postrzępionych obłoków, założył ciemne okulary. Szybkim krokiem przeszedł na drugą stronę ulicy i zanurzył się w głąb osiedla. Wybudowane przed paroma laty bloki wciąż tchnęły świeżością. Szpaler dwumetrowych klonów nie przyjął się, a ich obsuszone, brązowe korony odcinały się od grafitowych elewacji. Jedynie zieleni starannie pielęgnowanych trawników ożywiała surową, aspirującą do nimbu ekskluzywności okolicę.

Na ogrodzonym placu zabaw pod czujnym okiem dorosłych bawiła się dwójka dzieci. Przepychały się na gumowej macie, która miała je uchronić przed wszelkimi niebezpieczeństwami tego świata.

Graf obszedł trawnik i zatrzymał się przed przeszklonym wejściem do klatki schodowej. Wpisał kod, a po chwili jechał pachnącą środkami czyszczącymi windą. Gdy drzwi się rozsunęły, Irmina stała już w progu mieszkania. Była wysoką, zgrabną blondynką przypominającą hipiszkę. Nosiła przetarte jeansy i koszulkę zawiązaną nad biodrami w supeł. Górne guziki były rozpięte. Zza kraciastego materiału wyglądały niewielkie, ale kształtne piersi.

– Miałeś być godzinę temu. – Kobieta przesunęła się, robiąc Grafowi miejsce. – Mogłeś chociaż napisać esemesa.

Norbert wszedł do jasnego, przestronnego mieszkania. Zdjął okulary i pomaszerował do połączonego z aneksem kuchennym salonu. Zaciągnął się przyjemnym aromatem kawy. Ten zapach zawsze kojarzył mu się ze spokojem i odpoczynkiem. Rzucił się na skórzaną kanapę, przewiesił nogi przez oparcie, po czym wyciągnął papierosa. Obrócił go między palcami, ale nie zapalił.

Obserwował, jak Irmina zamyka drzwi, poprawia włosy i kręcąc wąskimi biodrami, idzie w jego stronę. Obrócił się na bok. Na szklanym stoliku dostrzegł dwa otwarte podręczniki, stosik fiszek i kilka markerów. No tak. Uczyła się i pewnie nie miała bladego pojęcia o zamachu. Nie oglądała telewizji, w mieszkaniu nie było nawet telewizora, a przeglądane wiadomości ograniczała do informacji branżowych. Kiedyś uważał to za dyletanctwo, lecz teraz... Może był to najprostszy sposób na bycie szczęśliwym i unikanie zbędnych problemów. Sposób przetrwania wykształcony w genotypie przez pokolenia dorastające wśród propagandy albo tragicznych wieści.

Cała Irmina.

Nigdy nie zastanawiał się, czy to miłość, romans, czy układ obopólnych korzyści. Od dwóch lat opłacał jej stancję, dawał drobne na utrzymanie i rozrywki. W zamian za to oczekiwał wierności, seksu, a od wielkiego dzwonu poważniejszej rozmowy. Nie chodziło o filozoficzne dysputy, lecz o zwykłą, szczerą pogawędkę. Na telefonie pokazywał jej fragmenty wywiadów i oczekiwał komentarza. Jak wypadł? W co powinien się ubrać następnym razem? Co mógłby zrobić lepiej?

Irmina służyła za lustro rzeczywistości. Przeglądał się w nim i chłodno kalkulował swoje szanse w wyborach. To było kurewsko proste. Ta ułożona, zahukana dwudziestodwulatka spod Odessy stanowiła doskonałe odbicie przeciętności. Przeciętności postrzeganej w kategoriach polskiego obywatela. Jeżeli jego słowa kogoś raniły, mówiła mu o tym. Gdy zbyt ostro wypowiedział się o niepełnosprawnych protestujących w sejmie, podsunęła mu pomysł, jak powinien ich przeprosić. Gdy w jednej z debat o parytetach niefortunnie wyraził swoje myśli, podpowiedziała mu, co chcą usłyszeć kobiety.

Głos rozsądku.

Jednak z czasem dowiedziała się o nim zbyt wiele. Przez te dwa lata poznała jego słabości, motywacje i obawy. Sam wprowadził do swojego hermetycznego świata konia trojańskiego. Wojownicy wrogiej armii jeszcze z niego nie wyskoczyli, ale obawiał się, że skuszeni odpowiednią sumą mogliby dokonać zniszczenia. Obawiał się, bo z natury nie ufał ludziom. Choć gdyby na to patrzeć rozsądnie, Irmina nigdy nie dała mu ku temu żadnego powodu. Nawet gdy kazał ją obserwować, to przez dwa miesiące detektyw zdobył na nią tylko jednego haka. Okazało się, że szukała pracy, o czym nawet nie zająknęła się Grafowi. Najprawdopodobniej chciała mu zaimponować usamodzielnieniem. Wyjściem z układu utrzymanki i sponsora.

Jednak wiedziała zbyt wiele.

Ta myśl nie dawała mu ostatnio spokoju. A teraz, gdy tyle się działo, nie potrzebował zbędnych wątpliwości.

– Rozbieraj się – rzucił ostro.

– Ale...

– Powiedziałem, rozbieraj się. Nie mamy czasu.

Irmina posłusznie rozpięła dolne guziki koszuli i zsunęła jeansy. Graf nawet na nią nie patrzył. Zdjął garnitur i odłożył go na skórzany fotel. Kiedy kobieta chciała mu rozwiązać krawat, odtrącił ją. Sam rozsupłał węzeł i razem z koszulą odłożył go na drugi fotel. Bieliznę zdjęli niemal równocześnie.

– Nie chcesz... – Irmina urwała w pół zdania.

– Nie. – Graf pokręcił głową. – Dziś żadnego gadania. Muszę oczyścić umysł.

Delikatnie pchnął ją na kanapę i klepnął w pośladek.

– Pochyl się. I opuść głowę. Zamknij oczy.

Graf klęknął i sięgnął pod szklany stolik. Znajdowała się tam niewielka szuflada. Wyciągnął ją i ze środka wyjął lśniący przedmiot. Zacisnął palce na rękojeści kieszonkowego rewolweru Smith & Wesson 60CS. Kiedyś sam podarował go Irminie na wypadek nieprzewidzianego. Zgodnie z prawem nie powinno go tu być, ale zawsze dopuszczał drobne odstępstwa. Miał przygotowany scenariusz, gdyby pojawiły się problemy.

Popatrzył po skórzanej kanapie, białych poduszkach i lśniącej terakocie na podłodze. Jednym ruchem dopadł do Irminy. Chwycił ją za włosy i przyłożył broń do skroni.

Wiedziała zbyt wiele.

## 7.

Człowiek Cień jest zadowolony z wykonanego planu. Kiedy przed dwoma dniami zdecydował się dokonać zamachu, niczego nie był pewny. Wszystko się mogło zmieniać, a detale należało dopasowywać do rozwoju wydarzeń. Teraz mógł odsapnąć.

Zrobił wszystko tak, jak powinien. Żadnych błędów, żadnych niedociągnięć, żadnych wątpliwości. Pełna subordynacja i zorganizowanie. W dłoni nie ma już torby z logiem słonia. Nie myśli też o przesłaniu, jakie niesie za sobą Cinnamon Elephant. To już nie ma żadnego znaczenia.

Zostawił za sobą zgliszcza i popioły. Cynamonowy słoń jest milionem strzępków i jego pierwszą ofiarą. Nie żałuje go.

Mimo wszystko serce dudni mu jak oszalałe. To, co najważniejsze, jest dopiero przed nim. Nie czekał ani na wybuch, ani na informacje o liczbie zabitych. Nie interesowało go nic poza tym, że torba wylądowała tam, gdzie miała wylądować.

Na śmietniku historii, jak to kiedyś określił pewien filozof.

Na śmietniku historii znalazły się też marzenia wielu ludzi, ich drobne radości i zapewne sporo większe żale. Trudno. Naprawdę wolałby tego uniknąć, ale się nie udało.

Się nie udało. To brzmi tak trywialnie...

Człowiek Cień nie może znaleźć sobie miejsca. Przechadza się między pokojami jak lew zamknięty w ciasnej klatce. Ma ochotę ryczeć i zniszczyć wszystko, co znajduje się wokół. Wystarczyłaby jedna zapałka, żeby podpalić cały ten dom. Jedna zapałka i trochę benzyny. Trochę więcej benzyny i o kilka więcej zapałek wystarczyłoby, żeby podpalić cały świat.

Z taką myślą chwyta kubek, lecz nalewa do niego jedynie wody z kranu. Szybko ją wypija, po czym całą procedurę powtarza jeszcze dwa razy. Chyba wcale nie chce mu się pić, lecz w ten sposób rozładowuje napięcie.

Sam już nie wie.

Smak wody jest ponoć jednym z pierwotnych smaków rozpoznawanych przez człowieka. O dziwo, mleko matki nie zostało ujęte w tej karcie dań, bo zapomina się o nim już w trzecim lub czwartym roku życia. Podobnie dziecięce kleiki i papki.

Kurwa mać.

Myśl o dziecku jeszcze bardziej pobudza Człowieka Cienia. Chwyta odstawiony przed chwilą kubek i ciska nim z całej siły o ścianę. Porcelana rozpada się na drobne kawałki. Teraz będzie to musiał posprzątać.

Albo nie.

Nie!

Drobne bunty są czasem potrzebne i potrafią podnieść na duchu. Parokrotnie w historii zdarzyło się, że dowódcy ogłaszali kapitulacje, a oddziały buntowały się przeciw rozkazom zaprzestania walk. Rezultat bywał różny, ale on już prawie pogodził się z tym, że trafił nie do podręczników, a na śmietnik historii.

Człowiek Cień odgarnia stopą kilka fragmentów kubka. Robi duży krok i wychodzi z kuchni. Nie rozglądając się, przechodzi przez salon, aż wreszcie wpada do niewielkiej sypialni. Ta znajduje się na rogu budynku i jest z niej najlepszy widok.

Wygląda przez okno. Na niewielkiej uliczce nie ma nikogo, ale gdzieś w oddali pędzi na sygnale radiowóz. Albo karetka. Nigdy nie jest w stanie rozróżnić tych dźwięków. Straż pożarna dorzuca w pakiecie niskie tony, które każą usuwać się z drogi, ale pozostałe służby zlewają się w jedno. A musi pamiętać, że są tak samo niebezpieczne.

Mogą udaremnić dalszą część planu.

Bardzo chciałby, żeby to był już koniec, lecz nie tylko w jego rękach tkwiła decyzja o kapitulacji. O buncie zresztą też. Chociaż to wszystko było zbyt pokręcone, żeby się znowu nad tym zastanawiać.

Człowiek Cień odwraca się od okna i podchodzi do nocnej szafki. Przez chwilę przypatruje się leżącej na niej kartce. Wreszcie sięga po nią i przygląda ją dłonią. Robi to chyba tylko po to, aby obetrzeć z niej, to znaczy z tej cholernej, telepiącej się dłoni, pot. Jeszcze raz wczytuje się w kolejne podpunkty. Wszystko jest rozplanowane co do minuty, co do metra i co do nadziei. Człowiek Cień bowiem doskonale zdaje sobie sprawę, że nie ma żadnego planu, jeżeli nie ma nadziei. Musi wierzyć w sukces. Tylko to motywuje go do dalszego działania i pozwala wykonać jakikolwiek ruch.

Inaczej już dawno by się załamał. Inaczej w ogóle nie wstałby dzisiaj z łóżka, nie spędził w nim bezsennej nocy, ani nie zdecydował się na to szaleństwo. Znalazłby łatwiejsze rozwiązanie. Sznur z pętlą, garść tabletek albo towarzystwo kuchenki gazowej. Wszystko proste, łatwe i przyjemne.

A przede wszystkim pewne.

Nadzieja nie pozostawiła mu jednak żadnego wyboru. To ona opuściła klatkę, w której został uwięziony. Wbrew wszystkiemu nie mógł dopuścić, by nadzieja umarła ostatnia. Przed nią mógł zginąć prawie cały świat.

Prawie.

A gdyby ktoś próbował go powstrzymać...

Takiej możliwości nawet nie dopuszcza.

## 8.

Greta Nawrocka wyłączyła nagranie. Siedziała przy biurku, z założonymi słuchawkami i przymkniętymi oczami. Po kolejnym odsłuchaniu była przekonana, że Knap miał rację. Bezbłędnie odczytał ruch uliczny, ton dzwonów, a także odgłosy obróbki kamieniarskiej. Właściwie nigdy nie widziała, jak przecina się kamienie, ale to po prostu jej pasowało. Inspektor był osobą, która potrafi zarazić otoczenie własnymi koncepcjami. Broń Boże ich nie narzucić, ale właśnie rozsiać wirus, który zjednywał mu otoczenie.

Zupełnie przeciwnie do jej już niedługo byłego męża. Ten typ oczekiwał wiecznej uległości. Przekonywanie stanowiło dla niego nie tylko zbędny wysiłek i marnotrawienie czasu, ale przede wszystkim dyshonor. Świat miał mu być uległy od zaraz. Cecha, która na pewnym etapie związku wydaje się atrakcyjna, po latach staje się odpychająca. Tym bardziej jeżeli krok w krok z dumą maszeruje bezwzględna chęć złamania cudzego oporu. Choćby przemocą.

Może to wszystko przez to, że nie mogli mieć dzieci? Przecież przez całe lata ich małżeństwo z pewnością nie było przykładowe, ale nie odbiegało od pewnej normy. Całe szczęście, że nie mogli mieć dzieci. Greta nie potrafiła sobie wybaczyć, że poboczną ofiarą ich patologicznego związku padł Freddie, a co, gdyby mieli dziecko?

– Dbasz tylko o tego pierdolonego kota.

Doskonale pamiętała te słowa. I te, które usłyszała chwilę później.

– Spierdoliłaś mi życie, rozumiesz? Na takich jak ty powinny znajdować się tabliczki z oznakowaniem „wadliwy model”. Powinna być kurewska możliwość zwrotu towaru.

Niemożliwość posiadania dzieci leżała w ich przypadku po obu stronach, ale nie wiedzieć w którym momencie rzeczywistą winną stała się tylko ona. Potok oskarżeń błyskawicznie narastał. Wystarczyło kilka miesięcy, kochanka i Artur postanowił wypisać się z jej życia. Z niezrozumiałych powodów chciał jednak po sobie zostawić tylko zniszczenia.

Chwilę po tamtym gniewnym oskarżeniu chwycił Freddiego i cisnął go za barierkę balkonu. Kot przyplącił upadek z czwartego piętra złamaną łapą oraz kilkoma wybitymi zębami. Wtedy czara goryczy przelała się po raz pierwszy.

– Freddie zaliczył równię pochyłą. – Artur dopił wódkę prosto z butelki. – Tak jak ja, odkąd poznałem ciebie.

Czy zostawiła Freddiemu jedzenie?

Nie miała pojęcia, kiedy wróci do domu, i teraz tylko ta myśl ją rozpraszała. Nie powinna się jednak przejmować. Mała, kilkugodzinna głódówka może mu wyjść jedynie na zdrowie.

Greta otworzyła oczy i przejrzała punkty wynotowane w dokumencie tekstowym. Wciąż nie udało się jej uchwycić sedna. Wątpliwości, które dzieliła z Karotem, do niczego nie prowadziły. Rozważania na temat schizofrenii i wywróconej na lewą stronę maski były czystą teorią. Potrzebowali konkretów.

Jeszcze raz przyjrzała się analizie dokonanej przez foniometr. Wszystkie zmienne potwierdzały wysoką sprawczość słów zamachowca, jego stanowczość, konsekwencję i upór. Jednocześnie najsilniejszy związek emocjonalny z wypowiedzią jego głos przejawiał przy wzmiankowaniu nazwisk trzech terrorystów. Trudno było wykazać, czy zawiera się w nim empatia, przywiązanie, czy złość. Mimo wszystko zdawało się, że rzeczywiście ich uwolnienie mogło powstrzymać dalsze zamachy. Mordowanie nie stanowiło sedna działalności sprawcy. Było jedynie środkiem. Do tego wkalkulowanym w ryzyko i niezwiązanym z najdrobniejszym choćby poczuciem strachu. Nadawca wiadomości z pewnością nie bał się konsekwencji własnego działania.

Greta zdjęła słuchawki i rozejrzała się po sali. Karot niezmiennie skubał się w łysinę i przekładał kolejne kartki. Bielawski w zadumie ślęczał nad telefonem. Był gotów chwycić go w ułamku sekundy, by poznać najnowsze wiadomości. Jak kowboj przebierający dłonią w powietrzu nad kaburą. Odkąd informatycy przekazali informację o tym, że obrabiają rozmyty obraz z kilku kamer, nie odezwał się nawet słowem.

– Jaki był tytuł pierwszego maila?

Pytanie Nawrockiej przecięło ciszę. Karot utkwiał nieme spojrzenie w komisarzu.

Bielawski drgnął, bezmyślnie przesunął telefon i przygryzł wargi. W końcu wyciągnął notatnik. Jego pamięć najwyraźniej bazowała jedynie na odręcznych notatkach.

– „Uwaga bomba” – przeczytał. – Kolejne nazwał po prostu „uwaga bomba jeden” i „uwaga bomba dwa”.

– Całkiem wymowne – mruknęła Nawrocka.

– Bardziej wymowne być już nie mogło – wtrącił się Karot.

– I co z tego?

– Jemu naprawdę zależało na tym, żeby od razu zwrócić uwagę służb. Z drugiej strony mógł po prostu zadzwonić. Wtedy wszystko zadziałałoby jeszcze sprawniej.

– Dlaczego więc tego nie zrobił?

– Może nie mógł. – Nawrocka zabębniła palcami o blat biurka. – Nie pytajcie mnie tylko dlaczego. Jeżeli tak było, poznając odpowiedź, poznamy jego tożsamość.

Dlaczego więc tego nie zrobił? – zapytała się w duchu.

## 9.

Każdy był potencjalną ofiarą. Każdy mijany autobus, samochód i pieszy. Zamachowiec mógł uderzyć, gdzie tylko chciał, i pozostawić po sobie wyrwę jak niszczycielski meteoryt.

Albo jak szalony doktor, który sięga w głąb piersi i wrywa jedynie serce.

Knap patrzył za okno. Już dwukrotnie zaczynał pisać esemesa do Michała, ale potem kasował ich treść. Bał się wyjść w oczach syna na rozchwianego tyrana.

Czy „wszystko w porządku” to naprawdę wszystko, czy tylko trochę? A może prawie nic, tylko boisz się, synu, o tym powiedzieć? Wal śmiało, twój staruszek jest wręcz biblijnie wyluzowany.

Jak miałyby to, u licha, napisać?

Landau oderwał dłoń od kierownicy i ukradkiem pomachał. Właśnie wyprzedzili kanciasty ambulans pirotechniczny. Paskudna,



nieproporcjonalna furgonetka, przypominająca samochody dostawcze sprzed paru dekad, kryła w sobie sprzęt wart wiele milionów złotych. Trzyosobowy zespół również pozostawał w ruchomym odwodzie.

– Halo, inspektorze! – Euforyczny głos Bielawskiego poniósł się z głośnika policyjnego radia. – Nadaję do wszystkich jednostek. Kamera uchwyciła, jak ten sukinsyn wychodzi z Makuszewskiego. To ślepa uliczka. Nie mógł przejść na nią z żadnej innej. Poza tym oprócz przedszkola i parkingu znajduje się tam tylko jeden dom. No i zakład kamieniarski.

Knap wymienił z Zawadą porozumiewawcze spojrzenia. Agent rezolutnie pokiwał głową, przygładził włosy i zacisnął spierzchnięte usta. Nie mieli czasu na żadne wątpliwości. Musieli iść tyralierą i usuwać wszelkie przeszkody jak chwasty.

Inspektor sięgnął po nadajnik.

– Zrozumiałem. – Odwrócił się i odkaslnął. – Niech wszystkie jednostki kierują się w tamtą stronę. Pamiętajcie, że posesja może być zabezpieczona materiałami wybuchowymi. Słyszycie mnie?

Z obu wozów antyterrorystycznych padła odpowiedź twierdząca. Inspektor pochylił się nad nadajnikiem i przełknął gęstą ślinę. Tym razem to adrenalina osuszyła mu gardło.

– Zanim zaczniemy, muszę mieć potwierdzenie z góry. Do tego czasu podejrzany nie może nas zobaczyć. Zajmijcie się położeniem domu, jego wejściami i ewentualnymi drogami ucieczki. Myślę, że ruszymy za jakieś dwie minuty. Czekać na dalsze rozkazy.

Odłożył nadajnik i ponownie zmierzył wzrokiem Zawadę.

– Teraz czas na pana. Spodziewam się, że kancelaria premiera chce być informowana na bieżąco.

– Nie tylko premiera... – Agent wyciągnął telefon i natychmiast wybrał połączenie. Odwrócił się w stronę okna. Po chwili odezwał się urzędowym, przyciszonym tonem.

Knap zaczerpnął powietrza. Kątem oka wychwycił we wstecznym lusterku spojrzenie Landaua.

– Mam jechać bezpośrednio na tamtą ulicę? – Aspirant zwolnił przed dużym skrzyżowaniem. – Jesteśmy prawie na miejscu.

– Nie. Trzymaj się tak, żebyśmy mogli się tam dostać w maksymalnie pół minuty.

– Robi się.

Landau gwałtownie zakręcił i przeciął dwa pasy. Nie zważając na trąbienie innych kierowców, wepchnął się przed sznur aut. Jednocześnie zwolnił i zastukał w szybę.

– To tamta uliczka. – Wskazał kłykiem. – Objadę rondo i zawrócę. Jeżeli będzie trzeba, potem powtórzmy trasę kolejny raz.

Ulica Makuszewskiego bardziej przypominała parking albo pogłębioną zatokę autobusową niż ulicę. Przysłaniały ją rzędy aut stojących na terenie ogrodzonym metalową siatką. Wielki napis na wypłowiałym banerze krzyczał: „2 zł/h 24/24”. Można to było rozszyfrować na różne sposoby.

W głębi Knap dostrzegł kolorową fasadę przedszkola. Żadnego innego budynku nie pomalowano by w tęczowe barwy i nie umieszczono by na nim wielkiej sylwetki Kaczora Donalda pomiędzy oknami.

Dom, o którym wspomniał Bielawski, zapewne znajdował się naprzeciwko. Z tej perspektywy zasłaniał go szpaler zieleniących się krzewów, ale z pewnością nie była to duża budowla. Tył działki graniczył z widocznymi z daleka podwórzami zakładów przemysłowych oraz rozległym składem kamieni. Już od strony głównej ulicy rozwieszono informację o pomnikach nagrobnych wykonywanych na indywidualne zamówienie.

Bingo.

Byli w domu.

Inspektor odwrócił się do Zawady. Jednak agent wciąż przyciskał do ucha telefon i spoglądał w przeciwną stronę. Jakby wyczuł spojrzenie Knapa, rzucił kilka nerwowych zdań, po czym zirytowany westchnął. Wreszcie rozłączył się i oderwał wzrok od okna.

– Mamy pełną zgodę na podjęcie akcji – obwieścił. – Jednak nie możemy, po prostu, kurwa, nie możemy niczego spieprzyć. W przedszkolu naprzeciwko tego domu są dzieci.

– Ile?

– Piętnaścioro.

Knap wyciągnął z marynarki Pismo Święte. Pogładził palcem jego skórzaną obwolutę i nakreślił znak krzyża nad tłoczonym złoceniem.

– Zadzwon tam – zdecydował. – Niech przedszkolanki zabiorą je na drugą stronę budynku i nigdzie się nie ruszają. Do kibla, do ogrodu,

gdziekolwiek.

– Już to zrobiono. – Zawada uśmiechnął się blado. – Agencja jest przezorna.

– W takim razie... – Knap sięgnął po nadajnik. – Czy wszystkie jednostki mnie słyszą?

Kolejne zespoły zameldowały swoją gotowość. Ku radości komisarza grupa uderzeniowa zdobyła już plany budynku i utworzyła schemat działania. Jednostka lotnicza zabezpieczała teren z dwóch helikopterów. Aby się nie zdradzić hukami silników, sokoły miały nadlecieć jednocześnie z rozpoczęciem operacji na ziemi. Na miejsce ściągano również sześć ambulansów oraz dwa wozy straży pożarnej. Choć Knap miał nadzieję, że to tylko zbędne zabezpieczenia.

Landau po raz kolejny zawrócił na rondzie i skierował się w stronę Makuszewskiego. Tym razem pozwolił, by wyprzedziły ich wozy operacyjne. Znajdowali się niespełna pół kilometra od zakrętu, gdy Knap otworzył Biblię i przeczytał losowe zdanie. Drugą dłoń wciąż trzymał na nadajniku. Jego czoło zrosił pot, a rysy nabrały jezuickiej ostrości. Wyprostował się. Nie zwracał żadnej uwagi na wyczekujące spojrzenia Zawady i Landaua.

– Panie inspektorze?

Knap zlekceważył głos z głośnika. Pogрузzył się w kilkusekundowej, głębokiej modlitwie i odciął od wszelkich zewnętrznych bodźców. Był jednością ze światem, świadomym owocem Bożej miłości, a przede wszystkim niegodnym grzesznikiem. Żałował tego. Szczerze i głęboko, prosząc jednocześnie o odpuszczenie. O łaskę czystości.

– Panie inspektorze?

Tym razem jego palce zacisnęły się na plastikowej obudowie. Przyciągnął nadajnik do ust i odezwał się uniesionym głosem:

– „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: O cokolwiek byście prosili Ojca w imieniu moim, da wam”. Jeśli wierzycie, módlcie się teraz o powodzenie tego, co robimy, bo robimy, co słuszne. – Podniósł wzrok i popatrzył na Zawadę. – Jeśli nie wierzycie, módlcie się o wiarę.

Przez chwilę na łączu panowała niemal zupełna cisza. Przerywały ją jedynie pojedyncze trzaski i szmery. Wreszcie Knap ponownie przyłożył nadajnik niemal do ust.

– Wchodzimy. W imię Boga, wchodzimy! Dorwijmy ten zepsuty owoc!

## ODCINEK 5.

### 1.

**WIELKI PIĄTEK**

**GODZINA 9:00**

**DWIE GODZINY PO ZAMACHU**

*Punktualnie o dziewiątej rano inspektor Knap otworzył oczy. Przez ostatnie dwie minuty wsłuchiwał się w kolejne komunikaty grupy uderzeniowej. W tym momencie znaleźli się już u celu.*

Wyjrzał przez okno. Razem z Zawadą siedzieli w nieoznakowanym radiowozie, zaparkowanym kilkadziesiąt metrów od potencjalnej kryjówki zamachowca. Teren operacji został odcięty od świata. Ekipa policjantów w ostatniej chwili przez tylne wejście ewakuowała pobliskie przedszkole. Opiekunki i piętnaścioro dzieci były już bezpieczne. Również pracowników dwóch zakładów przemysłowych oderwano od pracy, ku zafrasowaniu ich szefów i właścicieli biznesów. Jeden z nich, zażywny siedemdziesięciolatek, odgrażał się, że za wszelkie straty będzie domagał się odszkodowania. I niech państwowa inspekcja pracy spróbuje mu zawrócić dupę, że trzyma personel na nadgodzinach.

Tacy już są ludzie.

Ich naturalnym odruchem jest również ciekawość. Ledwie wzdłuż ulicy rozciągnięto policyjną taśmę, a zebrał się za nią pokaźny tłum. Jak na zawołanie pojawił się też pierwszy wóz reporterski. Niezły wynik, biorąc pod uwagę fakt, że cała operacja została zorganizowana ad hoc.

Knap ciężko sapnął. Zmrużył oczy i popatrzył w niebo w poszukiwaniu helikopterów. Słyszał warkot ich wirników, ale w tym momencie obie jednostki były poza zasięgiem jego wzroku. Zgodnie z ostatnim

komunikatem obaj piloci wlecieli już w obszar „Rodezja”, czyli przestrzeń powietrzną nad Bielanami. Jeden z sokołów został wyposażony w sprzęt pozwalający zareagować na próby ewentualnej ucieczki: kamery termowizyjne, wideorejestrator oraz specjalistyczny lokalizator GPS. Drugi śmigłowiec funkcjonował jako karetka na usługach sił policyjnych. Był przystosowany do lądowania w najgorszych warunkach i na dosłownie symbolicznej powierzchni.

W nadajniku rozległo się piknięcie. Sygnał, że na pasmo komunikacji wszedł się ktoś z grupy uderzeniowej.

– Tu dziewiątka – odezwał się niski głos. – Jestem przy drzwiach wejściowych.

„Dziewiątka” był zastępcą dowódcy oddziału, który miał wejść do domu. Podobnie jak boiskowe, piłkarskie dziewiątki robiły też za nominalnego napastnika – pierwszą linię ataku i rozpoznania.

– Pomieszczenia na dole wydają się puste. Powtarzam, nie ma w nich nikogo.

– Nasłuch dźwiękowy również na zero. – Drugi głos brzmiał metalicznie.

Nasłuch dźwiękowy prowadzono z wozu zaparkowanego tuż obok radiowozu, w którym siedział Knap.

– Wchodzimy do środka – meldował „dziewiątka”.

– Zrozumiałem – odpowiedział Knap. Zacisnął pięści. Kątem oka widział, że Zawada nerwowo przeczesuje perukę. Rzeczywiście, jak na kogoś po dawce fentanylu prezentował się całkiem dobrze i zdawał się nad wszystkim panować. Na pewno bardziej niż osoba zderana przez potworny ból. To jego ślady zostawiły na tej chłopięcej twarzyczce stygmaty cierpienia. Podkrążone oczy, ziemistą cerę i ściągnięte nozdrza.

Dwa granaty hukowo-błyskowe wybuchły niemal równocześnie. Tępy odgłos eksplozji był w radiowozie wyraźnie słyszalny. Nieomylny znak, że akcja rozpoczęła się na dobre.

– Przedpokój pusty. Kuchnia pusta.

– Sypialnia jeden pusta.

Kolejne komunikaty powinny uspokajać, a jednak Knap czuł coraz szybsze bicie serca. Od ponad godziny nieznośna suchość w gardle tylko się pogłębiała. Mimo wszystko zdołał powstrzymać napad duszności. Panował

nad oddechem. Choć wbrew wszystkim teoriom to ani trochę go nie uspokajało.

A jeżeli to pułapka?

Jeżeli dom został nafaszerowany ukrytymi ładunkami wybuchowymi i zaraz zamieni się w kupę dymiących gruzów? Przeprowadzony pośpiesznie pies nie był w stanie tego sprawdzić. Przynajmniej z zewnątrz nie wywąchał śladu materiałów pirotechnicznych.

Z zewnątrz.

Ale co kryje się w środku?

A przede wszystkim kto się tam kryje?

Ośmiu ludzi musiało jak najszybciej przetrząsnąć każdy zakamarek i nie dać się zaskoczyć. Ośmiu ojców, braci i synów, którzy stali się teraz jedynie chwalebnyimi krzyżowcami. Wtargnęli na pole bitwy i mogli na nim pozostać na zawsze. Przy odpowiedniej sile rażenia ich szczątków nie byłoby nawet sensu szukać.

– Góra pusta – padł kolejny komunikat. – Zgodnie z planem dom nie ma żadnej piwnicy, nie stwierdziliśmy też ukrytych pomieszczeń. Powtarzam, nie ma go tu.

Knap uderzył się pięścią w udo i cicho parsknął. Wstrzymał w gardle przekleństwo.

– Zabezpieczcie teren – rzucił do nadajnika. – Potem wpuście do środka kryminalistów.

Pchnął drzwi i wygramolił się na zewnątrz. Miał dość potwierdzeń, że nie jest w najlepszej formie. Dysząc, ruszył w stronę głównego wozu operacyjnego. Dwóch policjantów skinęło do niego głowami. Po chwili drzwi furgonetki rozsunęły się i z trzaskiem zablokowały. Ze środka wybiegł Landau. Gdy tylko przybyli na miejsce, inspektor wyznaczył go na nadzorującego akcję.

– Wiemy, czyj to dom. – Aspirant głośno klasnął. Widać było, że ostatnie sekundy pozostawiły na jego twarzy wyraz nerwowego napięcia. – Współwłasność Mariusza i Aliny Zmysłowskich. Rodzice kilkuletniej córki. Z tego, co zdążyliśmy rozpytać, może nie są to żarliwi katolicy, ale chodzą do kościoła.

– Kiedy widziano ich po raz ostatni?

Landau nerwowo westchnął.

– Dopiero odbębniliśmy dwójkę sąsiadów. Oni mieszkają na tej równoległej uliczce i mamy tam niewiele domów. Wszystkich ludzi skierował pan do operacji...

Knap machnął ręką, dając znać, żeby aspirant poszedł za nim. Ruszył w stronę domu, który przypominał teraz oblężoną twierdzę. Był to niewielki, jednopiętrowy budynek z lat czterdziestych, z zagospodarowanym poddaszem i skromnym ogrodem. Posesja nie została ogrodzona żadnym murem, a kilka tui było już u kresu życia. Przypominały zardzewiałe dekoracje, które rozrzucono bezładnie po okolicy.

Gdzieś w oddali rozległo się bicie dzwonów, ale Knap tylko przez chwilę zwrócił na nie uwagę.

– Sąsiedzi widzieli zdjęcia zamachowca? – Zatrzymał się przed kilkoma cementowymi schodkami. Stał niemal na baczność z opuszczonymi dłońmi i przytykając do siebie stopy.

– Tak. – Landau zerknął w pustkę wybitych drzwi. – Nie mamy jego twarzy, a sylwetka jest dość przeciętna... – Odwrócił się w stronę inspektora. – Ale twierdzą, że to ten Zmysłowski. Ponoć rozpoznali kurtkę.

– Chcę o nim wiedzieć wszystko. I to na wczoraj.

– Już się tym zająłem. Właśnie przesłałem te dane naszemu abewuowcowi. Obstawiam, że zdobędzie informacje szybciej niż my...

Knap odsunął się, przepuszczając dwójkę techników kryminalistycznych. Popatrzył po jednorazowych kombinezonach, które nieśli w foliowych workach, i skinął głową. Wymienili serdeczne uśmiechy. Znał tych ludzi od prawie dwudziestu lat. Jak najlepsi znajomi, widywali się może nie często, ale dość regularnie przy podobnych okazjach. A tym spotkaniom niezmiennie towarzyszyły najintensywniejsze emocje. Nieco inne od tych odczuwanych przy lampce wina, ale jednak zacieśniające głęboką więź.

Popatrzył na Landaua. Aspirant wciąż tępo spoglądał w głąb domu.

– Co cię tak martwi, Tomciu? – zapytał stroskanym tonem. – Robimy sprawnie swoje, nie możemy mieć wyrzutów sumienia...

– Policjanci, którzy byli u tych sąsiadów... – Landau nie odrywał wzroku od werandy. – Oni zapewniali, że to normalna rodzina. Nikomu nie odwała ot tak, żeby wysadzać pieprzone autobusy. Piętnastu zabitych!



Dopuściliśmy, żeby ten kutas zabił piętnaścioro niewinnych ludzi. Nie znamy stanu wielu rannych...

Knap ścisnął ramię podwładnego. Po chwili wyciągnął z kieszeni Biblię. Obrócił ją grzbietem w stronę Landaua.

– Dotknij jej.

Aspirant przeniósł na nią zakłopotane spojrzenie.

– Słucham?

– Dotknij jej. Śmiało. – Knap dobrotliwie wyciągnął dłoń. – To dodaje energii. Musisz tylko chcieć w to uwierzyć. – Uśmiechnął się. – O największych zbrodniarzach sąsiedzi mawiali, że byli dobrymi ludźmi. My musimy wyłapać tych, w których zła nie rozpoznali nawet najbliżsi. To cały problem. Ale jeśli tylko starczy mi sił, przeprowadzę nas przez to. Masz moje słowo. Klnę się na Biblię.

## 2.

Greta Nawrocka, słuchając głosu zamachowca, starała się go sobie wyobrazić. Jaki był? Smukły i charyzmatyczny? Mężczyzna z autobusu sprawiał wrażenie niezdarne. Poruszał się niezgrabnie, bez jakiegokolwiek lekkości i elegancji. Nie pasował na zamachowca, lecz analizą jego zachowania miał zająć się Karot. Od dwóch kwadransów nie odezwał się nawet słowem, przeglądając na przemian akta i nagranie z monitoringu.

Tymczasem jej zadanie polegało na wyciągnięciu każdej wskazówki, każdego okrucha śladów z dźwięku. Głos i dźwięki tła miały być dla niej jak odcisk palca albo fragment włosa dla laboratorium. Jednak tę próbkę zanieczyszczał nałożony filtr. Nie pozwalał określić ani płci, ani wieku mówiącego. Mógł mieć dwadzieścia kilka, ale równie dobrze sześćdziesiąt lat.

Czy był to mężczyzna z autobusu?

Sposób mówienia i zaburzone częstotliwości wskazywały na to, że zamachowcem jest mężczyzna. Odpowiednio nałożony filtr wzbudzał

wątpliwości, lecz w tym przypadku całokształt czynników pozostawiał jedynie procent wątpliwości. Choć nie znosiła ich mieć.

Jak on wygląda? Jaki jest? Kim jest?

Długość męskiej krtani i odległość pomiędzy wiązadłami głosowymi oraz ustami determinują dźwięk głosu. W pewnym uproszczeniu po samym nagraniu można by odtworzyć wygląd organu oddechowego człowieka. Tylko co komu po tym? To ciekawostka z rzędu tych, które zapewniły rozwój kryminalistyki. Jeszcze sto kilka lat temu nie wierzono w to, że linie papilarne nie zmieniają się przez całe życie. Zamiast pobierania odcisków palców stosowano antropometrię. Mierzono długość ściśle określonych odcinków ciała przestępców i zakładano im karty. Rubryki zawierały obwody ich głów, odległości między paliczkami palców, szerokość nadgarstków, a nawet wielkość płatków uszu.

Jednak poza wartościami wymiernymi głos miał również swój zapach.

Nawrocka wyjęła telefon i wpisała numer. Po chwili na drugim końcu łącza rozległo się rżenie Knapa.

– Tak? Halo?

– Mówiliśmy o dźwiękach t-tła. – Nawrocka od razu przeszła do sedna. – O piątej rano nigdzie w Warsz-szawie nie ma takiego ruchu jak na nagraniu. Zamachowiec musiał to nagrać w-wcześniej.

Knap cierpliwie słuchał. Odezwał się dopiero, gdy w słuchawce zapadła kilkusekundowa cisza.

– Zdaje się, że wątpliwości mieliśmy co do nagrania drugiego i trzeciego. Choć moja stara głowa...

– Panie inspektorze – Nawrocka weszła mu w słowo – wątpliwości miałam tylko co do drugiego nag-grania. Jednak trzecie... Myśleliśmy, że stworzył je po prostu w tym samym miejscu co pierwsze.

– Tak pani mówiła. I wnioskowałam, że dlatego zamachowiec pewnie w międzyczasie wrócił do domu.

Greta westchnęła. Zerknęła na wyciemniony ekran komputera i poruszyła myszką.

– Popełniłam błąd. Skupiłam się na oddzielnym analizowaniu k-każdego z tych nagrań, a nie zajęłam się nimi wspólnie.

– Do czego pani zmierza?

– Do tego, że pierwsze i trzecie nagranie powstały jedno po drugim – wyjaśniła. – Dźwięki tła nie tylko są takie same, ale w wielu elementach są te same. Oddalająca się ka-karetka, bicie dzwonów, intensywność ruchu, odgłos szlifierki, czy jak się nazywa ten sprzęt... To nie mógł być z-zbieg okoliczności.

– Skoro tak, to i drugie nagranie musiał stworzyć wcześniej.

Inspektor wtrącił tę uwagę zupełnie mimochodem. To, nad czym Nawrocka głowiła się przez ostatni kwadrans, nie było dla niego żadnym zaskoczeniem. Jednak po chwili odezwał się zamyślonym tonem. Gdzieś w tle Greta usłyszała wycie syren.

– Nie mam jedynie pojęcia po co. Niech pani dopisze na mojej tablicy te dwa pytania.

– Dwa pytania?

– Wcześniej wspomniała pani, że jeżeli ustalimy, dlaczego przesyła pliki, a nie po prostu dzwoni, dowiemy się, kim jest. Dowiemy się też tego, jeżeli odpowiemy na pytanie, dlaczego nagrał je wcześniej. Choć być może obie kwestie prowadzą się do tego samego. Zanotowała pani?

Nawrocka drgnęła. Tok rozumowania i działania inspektora był doskonale konsekwentny. Skoro ona zadała kluczowe pytanie, on musiał zadać swoje. Taki typ. Jednak nie robił tego jak przeciętny zadufany w sobie mężczyzna, ale raczej ktoś wiedziony niespotykanym perfekcjonizmem. Niedbały pedant. To określenie pasowało do niego najlepiej.

– Pani doktor. – Knap odkaslnął.

– Tak?

– Choć dawniej słyszałem o pani zdolnościach, muszę przyznać, że nie sądziłem, jak bardzo analiza głosu może pomóc w tej sprawie. Jestem winny za to przeprosiny.

– Nie trzeba...

Tym razem to inspektor nie pozwolił jej skończyć.

– Przyjmuje je pani?

Nawrocka wyprostowała się i wolną dłonią odrzuciła do tyłu włosy. Facet właśnie dowodził jedną z zapewne najbardziej dramatycznych akcji w historii polskiego antyterroryzmu, ale marnował czas na przeproszenie jej. Do tego nie za bardzo wiedziała za co.

– Oczywiście, że przyjmuję.

W słuchawce świsnęło. Wyobraziła sobie, jak Knap z ulgą wypuszcza powietrze, jakby właśnie dowiedział się, że jego badania na śmiertelną chorobę dały wynik negatywny.

– W takim razie możemy wrócić do sprawy – odezwał się po chwili. – Sądzi pani, że dziś mogło go wcale tu nie być?

– Nagrania na pewno powstały co najmniej wczoraj – odparła Greta.

Ta odpowiedź nie usatysfakcjonowała inspektora.

– W sumie mógł stworzyć kilka wersji i wysyłać je w zależności od rozwoju scenariusza. To nie aż tak trudne.

– Mógłby – zgodziła się Nawrocka.

Knap wymownie westchnął.

– To by znaczyło, że na razie przewidział każdy nasz ruch. A co gorsze, że właśnie wdraża swój dalszy plan.

### 3.

Po zakończeniu rozmowy z Nawrocką Knap wdrapał się po sześciu schodkach i stanął obok wejścia do domu. Wyważone, odkształcone taranem drzwi leżały w przedpokoju, a jedna z miodowych szyb na werandzie została stłuczona. Jej fragmenty zachrzęściły pod żądającym natychmiastowej emerytury butem. Psia mać.

W tym samym czasie Landau wrócił do furgonetki operacyjnej, a Zawada niezmiennie obserwował akcję z nieoznakowanego radiowozu. Zapewne na bieżąco informował o jej przebiegu ABW. Koordynacja w tym wypadku polegała również na donoszeniu. Czy tego chciał, czy nie, właśnie tak należało to postrzegać. Rzeczywiście nie mógł nic spieprzyć. Niezależnie od tego, na co jest chory i jak bardzo otumania go fentanyl, prowadzenie na żywo sprawozdań dla szefów jest dziecinnie łatwe. Nawet stary Klemens by sobie z tym poradził. Doskonała zabawa na pocieszenie dla kogoś, komu nie zostało zbyt wiele czasu albo kogo dla zaspokojenia własnych wyrzutów sumienia warto karmić złudnymi nadziejami.

Knap ciężko westchnął. Nie lubił napadów defetystycznego myślenia. Przesunął się w stronę okna i przytknął dłoń do szyby. Znajdował się naprzeciwko kuchni, w której uwijał się jeden z techników. Na środku pomieszczenia stała walizka ze sprzętem, a wokół niej tabliczki z numerami dowodów. To w rzędach cyfr zostaną zamknięte ostatnie godziny życia rodziny Zmysłowskich.

Co tu się stało?

Czy naprawdę tak łatwo wyprać człowiekowi mózg i wywrócić jego system wartości do góry nogami? Z przykładnego katolika zrobić islamskiego terrorystę? Porządneho obywatela przekuć na fanatycznego mordercę?

Niestety wielokrotnie właśnie tak to działało. W Belgii, Wielkiej Brytanii, Niemczech czy we Francji. Wystarczył charyzmatyczny szaleniec, podatna ofiara, która znalazła się w życiowym dołku, i to wszystko. Sekty potrafiły przewartościować najbardziej odpornych ludzi, byle tylko mieć ich w swoich szeregach. Odpowiednie podejście wywiadów doprowadzało do zwerbowania na agentów ludzi, którzy zdawali się bezgranicznie oddani swoim ojczyznom.

Czasem trzeba było kalkulacji zysków i strat.

Czasem pieniędzy.

Najczęściej wystarczyło pociągnięcie odpowiednich strun, które odpowiadały za wewnętrzną melodię człowieka. Istniała teoria psychologiczna wskazująca, że wszyscy ludzie funkcjonują w rytmie własnych emocji, uczuć i pragnień. To te trzy zmienne mają determinować każde zachowanie.

Zza futryny wejściowej wychyliła się puciołowata brunetka. Proste włosy miała tak mocno ściągnięte w kucyk, że niemal napinały skórę na jej czole. Kaptur stroju roboczego odrzuciła na plecy, a jego górę poluzowała.

– Przedpokój jest czysty, już wszystko obfotografowaliśmy, więc może pan wejść, inspektorze. – Kobieta znikła wewnątrz domu. – Nie pobieraliśmy żadnych próbek. Natomiast w sypialni trafiłam na pozacierane ślady krwi.

Knap powoli ruszył za nią. Po chwili oboje stanęli w niewielkim westybulu, który służył za przedpokój, piwniczkę i graciarnię w jednym.

– Dużo?

– Nie. Ale na pewno więcej niż przy przeciętnym skaleczeniu. Poza tym ich układ wskazuje na nagłe rozbryzgnięcie jak po ciosie zadany nożem. –

Techniczka zamachnęła się, obrazując swoje słowa. – Ktoś chciał te ślady nieudolnie zetrzeć, lecz dał sobie spokój. Zresztą raczej nie zawracał sobie nimi specjalnie głowy.

Inspektor westchnął. Popatrzył po dwóch regałach, szafce na buty i uginającym się pod ciężarem ubrań wieszaku.

– Robiliście przegląd tych rzeczy?

– Nie. Analitycy muszą oprzeć się na fotografiach. Obracanie każdego szpargału trwałoby w nieskończoność.

– A to?

Knap wskazał na niewielki stolik. Na jego blacie leżała książka telefoniczna, gruby wolumin, bloczek karteczek samoprzylepnych i długopis. Kucnął, aby przyjrzeć się grzbietowi woluminu.

„Koran. Tekst arabski i tłumaczenie polskie”.

– Interesująca lektura w domu przykładnych katolików – mruknął inspektor.

Sam z ciekawości przed laty przeczytał świętą księgę islamu. Nie było w tym niczego złego, ale ilu Polaków po nią sięgnęło? Ilu z nich w ogóle o niej wiedziało? Była to pozycja równie egzotyczna jak Tora, Wedy albo buddyjskie sutry. Statystycznie podobny zbieg okoliczności zdawał się niemal wykluczony.

– Podaj mi, proszę, rękawiczki.

Techniczka bez słowa znikła w salonie. Po chwili wróciła z dwiema foliowymi woreczkami. Knap wyjął z nich lateksowe rękawiczki i starannie je naciągnął. Przypominał lekarza szykującego się do operacji bez pomocy instrumentariuszki. Wreszcie sięgnął po bloczek papieru i obrócił go w dłoni. Zrobił krok w stronę okna, by złapać więcej światła. Wyraźnie widział wgłębienia, jakie zostawił długopis prowadzony po wcześniej oderwanej karteczce.

Techniczka w milczeniu przypatrywała się jego ruchom. Przygryzła wargi i stanęła tuż za nim.

Knap przecesał dłonią kieszeń. Wyciągnął z niej stary paragon, który położył na karteczkach samoprzylepnych. Delikatnie zaczął go zamazywać długopisem jak dzieci kalkujące monety.

Po chwili wyłonił się niewyraźny napis. Litera po literze, słowo po słowie...

– Dobry Boże... – wycedził inspektor.

#### 4.

Norbert Graf zacisnął dłoń na rękojeści rewolweru. Irmina krzyknęła, ale nie przejmował się tym. Jednym ruchem mógłby zasłonić jej usta albo zakneblować. Kawałek materiału nad językiem potrafił zagłuszyć najdziksze wrzaski.

– Dochodzę!

Ostatnie razy wszedł w swoją kochankę i opadł na jej plecy. Rewolwer z brzęknięciem wylądował na podłodze. Graf obrócił się na bok i sięgnął po leżący na szklanym stoliku telefon. W jednej chwili stracił jakiegokolwiek zainteresowanie nagą kobietą. Irmina położyła się obok niego, ale się odsunął. Nie chciał, żeby widziała listę ostatnio wybieranych numerów. W ogóle nie chciał, żeby jej życie wniknęło w sprawy, które prowadził za drzwiami tego cholernego mieszkania.

Po raz pierwszy od dawna nie czuł potrzeby poradzenia się jej. Nie potrzebował wskazówek, uwag ani komentarzy. Sam doskonale wiedział, co powinien robić. Może była to kwestia chwili, a może właśnie dokonała się zmiana, która dojrzewała w nim przez ostatnie miesiące, ale pomyślał, że właśnie powinien zakończyć tę relację.

Ubrać się i wyjść stąd na zawsze. Marzył nie tylko o limuzynie z prawdziwego zdarzenia, lecz także o partnerce, która zrobiłaby wrażenie dosłownie na każdym. Sikowata Ukrainka, choć pracowita i całkiem ładna, na dłuższą metę nie pasowała do jego wizji. Kim byłby Kennedy bez swojej Jacqueline? Kobieta na poziomie, z odpowiednimi układami i pozycją mogłaby działać więcej niż niejedna agencja marketingowa. Taka jest prawda.

Być może brytyjska rodzina królewska lubi tworzyć bajki o księżętach wychodzących za dziewczyny z ludu, ale prawdziwy świat funkcjonuje inaczej.

Co by nie mówić, na kłótnie i przeprowadzki nie miał teraz czasu. Zresztą nie było mu żal paru rzeczy, które trzymał w tej tandetnie wykończonej klicie. Stanowiły raczej miły gest w stronę Irminy niż jakiegokolwiek zobowiązanie. Najłatwiej, gdyby teraz po prostu wyszedł i nigdy nie wrócił.

Wszystko zostałoby usprawiedliwione. Irmina może wreszcie sprawdziłaby wiadomości i zrozumiała, co naprawdę wydarzyło się w życiu człowieka, któremu oddała swoje dwa lata.

A gdyby wpadła w furję? Nie miała zbyt emocjonalnego charakteru, ale tego się nie dało przewidzieć. Próba kupienia sobie jej milczenia nie wchodziła w rachubę.

Graf położył dłoń na jej udzie. Drugą pośpiesznie wpisał pin telefonu.

Z trzech nieodebranych połączeń dwa wykonano ze służbowego numeru Abramowicza. Przez pieprzone dziesięć minut nie mogli mu dać świętego spokoju i czasu na zebranie myśli. Albo z pełną premedytacją chcieli odebrać nawet to.

Wróg czai się wszędzie. Musiał o tym pamiętać każdego dnia i o każdej godzinie. Jeżeli zapomni – zabiorą mu stołek, nim postawi na nim drugą stopę. A takie upadki bywają najbardziej bolesne.

Podniósł się i sięgnął po bokserki.

– Powiesz mi, co się stało? – Irmina położyła się na wznak. Graf zauważył, że jej małe piersi niemal całkowicie się zapadły i jedynie obrzmiałe brodawki przypominały, że patrzy na kobietę.

– Nic takiego.

Podniósł się i energicznie założył spodnie. Następnie wybrał na komórce ostatnie połączenie. Z telefonem przy uchu, bez skarpetek poszedł do kuchni. W momencie gdy Abramowicz podniósł słuchawkę, wysysał prosto z butelki sok pomarańczowy. Po seksie zawsze czuł piekielne pragnienie.

– Wygrał pan. – Rzecznik rządu o dziwo nie silił się na kurtuazję. – Premier właśnie zgodził się na negocjacje.

– Co proszę?

– Na dziesiątą trzydzieści została zwołana konferencja prasowa. Ale... No właśnie, jest pewne małe, drobnutkie „ale”.

Graf wyczuł w głosie Abramowicza satysfakcję i sarkazm. Skoro Tomecki dogadał się ze swoją świtą w sprawie konferencji, wszystko przebiegało po jego myśli. Rzecznik powinien związać manatki i zająć się przygotowaniami.



– Co to za „ale”? – dopytał ostrożnie.

– To pan ją poprowadzi. Ja mam robić jedynie za wsparcie techniczne.

Szach mat. Graf poczuł gwałtowne uderzenie krwi do głowy. Serce z impetem przywaliło mu w żebra i gardło. Przez chwilę nie wydusił nawet słowa, pozwalając Abramowiczowi kontynuować coraz radośniejszy wywód.

– W tym momencie służby przetrzysają dom tego skurwysyna. Jeżeli do konferencji go złapią, będzie co ogłaszać. W przeciwnym razie niech się pan lepiej dobrze przygotuje i wymyśli, jak się tłumaczyć. Ludzie będą chcieli naszych głów. – Abramowicz na chwilę zamilkł. Zapewne z rozkoszą wsłuchiwał się w szum przyspieszonego oddechu Grafa. Po chwili podjął na nowo: – Chciał pan negocjacji, to poinformuje pan o nich opinię publiczną. Premier uznał, że będzie pan w stanie najlepiej uargumentować swoje stanowisko. W sumie trzyma się to kupy, prawda?

Graf się rozłączył. Nachylił się nad zlewem, odkręcił kran i ochlapał twarz zimną wodą. Miał ochotę szorować ją aż do upadłego, aż skóra zaczerwieni się i będzie go piekła. Nie miał na to czasu. Wytarł się papierowym ręcznikiem i wrócił do salonu.

Na widok Irminy zmusił się do uśmiechu.

Wszystko w swoim czasie – pomyślał. Wszystko, kurwa, w swoim czasie.

## 5.

Jeden. Siedem. Pięć. A może to es? Raczej nie, bo krawędzie były zbyt ostre, a górna kreska przypominała wywinięty do góry dziób kaczki. A więc jeden, siedem i pięć.

Nieco dalej sześć, cztery i dwa.

A potem przerwa, nakreślona drżącą dłonią strzałka i w rzędzie niżej znowu koślawe cyfry. Pięć, jeden, siedem. A następnie dziewięć, cztery, zero. Albo nie do końca odbite osiem.

– Co pan tam ma? – Techniczka zaglądała Knapowi przez ramię. Nieme asystowanie wytrzymała tylko przez chwilę, a teraz zwyciężyła ciekawość.

Knap odłożył bloczek papieru między Koran z tekstem po polsku oraz arabsku i książkę telefoniczną, wydanie dwa tysiące dwanaście. Ze względu na wprowadzone niedawno RODO nie miała już szans doczekać się aktualizacji.

Jeszcze raz popatrzył na odbite na paragonie cyfry i znaczki. Odwrócił się, by techniczka nie musiała stawać na palcach.

– Co pani o tym myśli? – zapytał, skubiąc lewą ręką zarost. – Proszę potraktować to jako dowód...

Nim kobieta zdążyła odpowiedzieć, przesunął się w stronę wyważonych drzwi. Słońce zaszło za chmurami i w przedsionku zrobiło się ciemno. Przez brudne miodowe szyby przenikało niewiele światła.

– Sto siedemdziesiąt pięć to numer autobusu, w którym doszło do zamachu. – Knap porządkował informacje. Albo jedynie szufladkował nic niewarte domysły. Zależy, z jakiej perspektywy na to patrzeć. – Co to może być sześćset czterdzieści dwa?

– Numer przystanku?

– Nie. Zdaje się, że przystanki mają nazwy, nie numery. – Inspektor wyszedł na zewnątrz. Wokół kręciło się kilku policjantów, a kolejni walczyli z napierającym tłumem dziennikarzy. – Czy ktoś słyszał o linii sześćset czterdzieści dwa? – zawołał, przekrzykując panujący chaos. – Autobus, tramwaj, cokolwiek?

Na moment zapadła cisza. Po chwili ktoś nieśmiało bąknął, że z pewnością nie ma takiego numeru. Kilka innych głosów podzieliło to stanowisko. Jeden z dziennikarzy nawet znalazł potwierdzenie na stronie internetowej wydziału komunikacji.

Knap jeszcze raz obejrzał paragon z odbitą wiadomością. Gdyby mocno się przyjrzeć... Po szóstce dostrzegł jakiś niewielki wzorek, jakby długopis rozmazał się i zostawił dwa kleksy, ale...

Zbiegł szybko po schodach. Starając się nie dać powalić zadyszce na oczach kamer, podbiegł do radiowozu. Zawada wciąż zdawał swoim przełożonym relację z najnowszych wydarzeń, a Landau rozmawiał z funkcjonariuszami przy furgonetce operacyjnej.

Knap wyszarpnął z kieszeni telefon. Drżącą dłonią, kilkakrotnie nie trafiając we właściwe punkty ekranu, wybrał numer Bielawskiego. Odczekał kilka sygnałów, aż komisarz odebrał.

– O której godzinie podejrzewany wszedł do autobusu? – zapytał natychmiast. – Mamy ten moment na nagraniu kamery.

Bielawski wymownie cmoknął. Knap doskonale wiedział, że właśnie sięga po notes i pośpiesznie wertuje kartki. Trzy, dwa, jeden... Zagrywką na czas było jeszcze odchrząknięcie i wymowne „chwileczkę”.

– O szóstej czterdzieści dwie.

Trafiony, zatopiony. Knap rozłączył się i szarpnął drzwi radiowozu. Zawada odwrócił się w jego stronę, po czym niespiesznie schował telefon.

– Mamy coś nowego? – zapytał, szykując się do wyjścia. Był jeszcze bledszy niż wcześniej, a jego dłoń zauważalnie drżała.

– Niech pan siedzi. – Knap nachylił się w jego stronę. Przygłodził paragon i pośpiesznie wytłumaczył, jak odbił treść wiadomości. – Sto siedemdziesiąt pięć to numer autobusu. Pod spodem zamachowiec zapisał godzinę, o której ma do niego wsiąść. Skoro linijkę dalej mamy pięć, jeden i siedem, chodzić może tylko o numer autobusu. Pięćset siedemnaście.

– On jedzie przez całe miasto. Aż na Targówek.

– Właśnie...

Zawada przeciągnął dłońmi po twarzy i ciężko westchnął.

– Jeżeli dziewięć, cztery i zero to godzina... – Utkwił wzrok w Knapie. – O dziewiętej czterdzieści autobusy tej linii zatrzymują się pewnie na kilku, jeżeli nie kilkunastu przystankach...

– Dałoby radę włączyć na telefonie mapę? – Knap zrobił przeproszącą minę. W tej robocie przydawało się być na bieżąco z techniką.

Agent przez chwilę przebierał palcami po ekranie komórki, wreszcie odwrócił ją w stronę inspektora. Czerwone punkciki na planie Warszawy musiały wskazywać przystanki pięćset siedemnastki. Było ich kilkadziesiąt. Linia autobusowa ciągnęła się z zachodu na wschód przez wiele kilometrów.

– Dlaczego dziewięta czterdzieści? – Zawada ukradkiem oblizał wysuszone wargi. – Przecież kolejny zamach zapowiedział dopiero na południe... Myśli pan, że blefował?

– Nie wiem. – Knap podniósł mankiet i spojrzał na zegarek. Pomarańczowy sekundnik orisa płynnie obiegał tarczę. – Mam jednak wrażenie, że za niecałe piętnaście minut się przekonamy. Obstawienie w tym czasie wszystkich przystanków będzie niemożliwe.

Nie musiał dodawać, co to oznacza.

## 6.

Człowiek Cień właśnie wsiadł do autobusu. Przez ostatnie pół godziny zdążył się przebrać, zmienić puchową kurtkę na sportową marynarkę z idiotycznymi łątami na łokciach i zamiast pantofli nałożyć modne mokasyny. Również bejsbolówkę zastąpił nakryciem w stylu pomiędzy panamą a kapeluszem Ala Capone. Jeżeli zacznie padać, będzie wyglądał co najmniej głupio.

Na całe szczęście chmury zaciągające niebo wydają się niegroźne. Ich mleczny kobierzec oblekł już nie tylko słońce, ale całą przestrzeń od horyzontu do horyzontu. Albo raczej od wieżowców do obskurnych domków, przy których właśnie przejeżdża. Ma wrażenie, że rzuca się w oczy, a wszyscy pasażerowie przypatrują się mu z podwójną uwagą.

Taki jest plan.

Niech zapamiętają marynarkę, buty i kapelusz, a jego twarz w ich pamięci będzie stanowiła jedynie białą, nieciekawą plamę. Aby nią przesadnie nikogo nie interesować, zamiast okularów przeciwsłonecznych Człowiek Cień założył zerówki w typowych, choć nieco grubszych oprawkach.

Człowiek Cień jest swoim własnym cieniem. Kameleonem, który wtopi się w odcień swoich ubrań.

Jedynie torba, którą trzyma, jest podobna do tej wcześniejszej. Jednak logo i napis „Cinnamon Elephant” są znacznie subtelniejsze. Nawet jeżeli cynamonowy słoń z podniesioną trąbą miałby przynieść mu szczęście, lepiej, żeby go zbyt mocno z nim nie kojarzono. Poza tym i tak znowu będzie pierwszą ofiarą.

Zajmowanie myśli analizowaniem pieprzonego słonia, gdy jest się potwornie przerażonym, to całkiem dobre zajęcie. Pozwala zaczerpnąć tchu, choć na dworze jest niespełna dwadzieścia stopni, a klimatyzacja pracuje pełną parą. Lepsze to niż bezsensowne roztrząsanie wszystkiego na nowo.

Lepsze niż myślenie o każdym szczególe, o nadziei i tym, że...

Dość.

No więc, o ironio, słoń stał się symbolem szczęścia dopiero na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego stulecia – jeśli liczyć je od urodzin Chrystusa. W erze muzułmańskiej w najlepsze trwał wtedy wiek dwunasty.

Właściwie nie wiadomo dlaczego słoń stał się jego symbolem. Jedną z najbardziej prawdopodobnych teorii głosi, że w mitologii hinduistycznej bóstwo o głowie największego z lądowych ssaków było patronem pomyślności. Zresztą tym samym, którego symbol stanowiła swastyka...

Człowiek Cień spogląda za okno. Mijane ulice są szare, pogoda jest szara, lecz jego życie jest wypełnione czarną jak smoła ciemnością. Pustką. Gdzieś tam, w odległym tunelu żarzy się iskierka nadziei, lecz jest tak delikatna, że aż iluzoryczna.

Może karmi się iluzją?

– Przepraszam, czy wie pan która godzina?

Pytanie pada gdzieś z boku. Człowiek Cień powoli odwraca się, pewny że skierowano je do kogoś innego. Jednak to jego świdruje para oczu zza grubych okularów z pożółkniętymi szklami. Zgarbiona staruszka stoi pół metra od niego. Jedną ręką trzyma się metalowego uchwyty siedzenia, drugą wspiera na inwalidzkiej lasce.

– Zatrzymał mi się zegarek. – Staruszka stara się wygiąć powykęcany przez reumatyzm nadgarstek.

Co za niefortunna sytuacja. Nieważne już jest, czy ta stulatka zdoła go zapamiętać. Chodzi o samą wymowę okoliczności. Człowiek Cień nerwowo śmieje się w duchu, a jednocześnie jest mu po prostu smutno. Oto znalazł się w sytuacji, która jak dotąd była całkowicie wykluczona. Wszedł w interakcję z drugim człowiekiem w miejscu, gdzie...

– Proszę pana...

– Ach. – Podciąga mankiet koszuli.

Odczytuje godzinę, ale nie dzieli się tą informacją ze staruszką. Nie ma teraz dla niego niczego bardziej intymnego niż poczucie upływu czasu. Niech kobieta zapyta kogoś innego, niech da mu wreszcie spokój i nie zmusza, by jeszcze raz popatrzył na zegarek. Czas. Dopiero od niedawna rozumie, jak bardzo go dotyczy i kieruje każdym działaniem. Czas. Mówi

się, że przelatuje między palcami, ale to bzdura. To człowiek wpada w jego nurt i jest nim niesiony od poczęcia aż ku śmierci, gdy czas wyrzuca go ze swego koryta. Człowiek nie stoi gdzieś obok, by móc przepuścić go między palcami. Czas sztywno nas oplata, wlecze ze sobą i z pewnością nigdy się nie zatrzymuje.

– Mój też nie działa – bełkoce pod nosem. – Mój też szlag trafił.

Człowiek Ciebie ma ochotę krzyżeć, ale z całych sił się powstrzymuje. Skupia wzrok na blokowiskach ciągnących się wzdłuż ulicy i stara się policzyć okna w budynkach. Liczenie uspokaja.

Jego myśli wirują i niebezpiecznie zbaczą ku panice. Zaczyna się rozglądać jak spłoszone zwierzę i zastanawiać nad ucieczką.

Mimo wszystko nie jest myśliwym.

Nie teraz.

A może nie był nim nigdy. Spogląda w oko kamery i wtedy przychodzi mu do głowy jeszcze jedna myśl.

Spłoszone zwierzęta robią mnóstwo szkód. Dlaczego nikt o tym nie pamięta?

## 7.

Badania prowadzone na którymś z uniwersytetów skandynawskich dowiodły, że muzyka, której słuchamy, wpływa na nasz nastrój. Najbardziej radosne osoby poddane wielogodzinnemu oddziaływaniu ponurych dźwięków zaczęły wykazywać obniżone samopoczucie. Natomiast osoby cierpiące na depresję pod wpływem radosnych rytmów relaksowały się i nastrojały bardziej optymistycznie.

Zainspirowani tymi badaniami uczeni z Berlina poszli o krok dalej. Zaczęli się zastanawiać nad wpływem tembru głosu na charakter i psychikę człowieka. Skoro kilkadziesiąt minut słuchania muzyki może odmienić nastrój, to całe życie spędzone w towarzystwie własnego głosu tym bardziej. Okazało się, że rzeczywiście coś może być na rzeczy. Oczywiście barwa, natężenie oraz wysokość głosu zmieniają się pod

wpływem chwilowego nastroju, sytuacji i zamiarów mówiącego, ale dostrzeżono również sprzężenie zwrotne.

Przynajmniej tak to nazwano.

Osoby, których głos był niski, a naturalne tempo mówienia powolne, wykazywały się znacznie większą cierpliwością i stabilnością emocjonalną. Wyniki badań naprawdę były klarowne. Natomiast ci, których głosy były wyższe, a liczba słów wyrzucana na minutę większa od przeciętnej, byli częściej znerwicowani, podatni na depresję i manipulację.

Greta Nawrocka cały eksperyment sprowadzała do pytań: co było pierwsze, jajko czy kura? Głos czy nastrój? Karot natomiast uważał, że nie ma najmniejszego sensu się nad tym zastanawiać. Poddawali analizie jedynie określony wycinek życia zamachowca, więc to, czy był szurnięty od dziecka, czy oszalał tylko przy okazji, nie miało znaczenia. Najgorsze, że wcale nie zachowywał się jak szaleniec. Z jego zachowania mogli wyczytać pełną gamę emocji, a już samo to przekreślało teorię o szaleństwie.

I w tym momencie cała analiza Karota rozbijała się o betonową ścianę braku danych. Nikt, nawet FBI (przynajmniej oficjalnie), nie badał psychiki dżihadystów i niedoszłych zamachowców. U tych doszłych, rzecz jasna, można było przebadać jedynie strzępki tkanki mózgowej. A i to, o ile nie rozprawili się ze sobą z pełnym impetem.

Dostępne w internecie kilkanaście filmików służyło jedynie jako mało reprezentacyjna próbka. Na podstawie obserwacji zachowań zamachowca z rosyjskiego metra Karot starał się ocenić nagrane zachowanie kogoś zupełnie innego. Ta dość absurdalna analiza wykazała brak elementów wspólnych.

Również terroryści z Paryża, Londynu i Brukseli zachowywali się inaczej niż człowiek zidentyfikowany jako Mariusz Zmysłowski. Wykazywali się głęboką determinacją, konsekwencją i brakiem szacunku dla własnego życia. Przed dokonaniem zamachu w Londynie sprawca szedł pewnym krokiem, z naciskiem na tył stopy, a jego sylwetka była wyprostowana i giętka. Zachowywał się jak makler, który dokonał właśnie transakcji miesiąca. Terrorysta z Berlina w chwili, gdy kończyła mu się amunicja, wyrzucił pistolet jak ogryzek jabłka. Broń nie miała dla niego znaczenia. Sięgnął po nóż i rzucił się za uciekającym tłumem.

Tymczasem na nagraniu z autobusu podejrzewany ścisnął torbę ze słoniem, jakby była jego najcenniejszym skarbem. Przekładał ją i przez cały czas obserwował. Oczywiście, rozsądnie jest mieć na oku paczkę z kilkoma kilogramami materiału wybuchowego, ale po jej zostawieniu nie powinno się mieć wątpliwości. Zamachowcy samobójcy, korzystający z pasów szahida odpalanych przy pociągnięciu zawleczonej, zawsze odrzucali ją w górę. Mimo że było wygodniej pociągnąć ją w dół, nie robili tego. Chodziło o podświadomą chęć uchylenia się od ładunku wybuchowego. Decydowali się wysadzić, a jednocześnie zgodnie z naturalnym instynktem walczyli o przetrwanie.

Mariusz Zmysłowski nie zachowywał się jak szaleniec, a jednak jego przekładanie torby przypominało reakcje osoby chorej na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Dlaczego?

– Chwila przerwy, panie Karot. – Głos Bielawskiego wyrwał go z zamyślenia. – Mamy robotę prosto z kancelarii premiera.

– Oho... Brzmi kiepsko.

– I takie jest. – Komisarz stanął tuż obok jego stolika. Oparł o niego same czubki palców i przeciągnął nimi, jakby sprawdzał, czy na blacie osiadł kurz. – Musi pan stworzyć oświadczenie, że jesteśmy w pełni gotowi na negocjacje.

– A jednak... – Karot uniósł brwi i zmarszczył łysinę. – Poddajemy się?

– Nie.

– Ale?

Bielawski otarł pot z czoła.

– Mam nadzieję, że nadal gramy jedynie na czas. Musimy jednak stworzyć coś lepiej przemyślanego niż ostatnim razem...

– Zrobiłem, co mogłem.

Psycholog chciał jeszcze coś dodać, lecz komisarz natychmiast mu przerwał.

– Wiem. Ale teraz musimy zrobić więcej – wycedził. – Rozumie pan? Niech pan wykorzysta wszystkie swoje psychologiczne sztuczki, wizualizacje, plamy Rorschacha czy Bóg wie co, i nakłoni tego skurwysyna do negocjowania.

Gdyby to było takie proste. Po trzech godzinach przeglądania akt i analizowania zapisów kamer Karot miał dość. Poczucie zwątpienia



nawiedzało go coraz mocniej. Może psychologiczne sztuczki tak naprawdę są nic niewarte? Może cała analiza behawioralna to tylko bajeczka dla naiwnych, która razem z zapędami do profilowania powinna trafić na śmietnik nieudanych teorii?

Doskonale wiedział, że to nieprawda. Miał świadomość wszystkich dotychczasowych sukcesów i tego, że chwile zwątpienia to również ich naturalna konsekwencja.

– Wcześniej chciałbym jeszcze coś zrobić – mruknął, podnosząc się od biurka. – Sądzę, że jest mi to pan w stanie załatwić.

Bielawski słuchał pomysłu Karota z rosnącym zainteresowaniem.

## 8.

– Alina Zmysłowska, urodzona w siedemdziesiątym pierwszym roku, nigdy nie karana. Prowadzi jednoosobową działalność projektową. Wie pan, wnętrza domów, wizualizacje mieszkań, a do tego ogrodów, choć zdaje się, że jest dopiero w trakcie robienia właściwych papierów. Katoliczka, z katolickiej rodziny. Jej matka na sam widok policji o mało nie padła. Wszyscy twierdzą, że Zmysłowski to przeciętna polska rodzina z dzieckiem, sześciolletnią córką Oliwią. O Mariuszu można by wiele powiedzieć, ale na pewno nie przypomina terrorysty. Nie znaleźliśmy dosłownie żadnych punktów zaczepienia. Skończył filologię romańską i wykładał przez prawie osiem lat na uniwersytecie. Od dwóch pracuje jako tłumacz przysięgły, a na brak klientów nie może ponoć narzekać. Nie wiemy, czy Zmysłowski wyjeżdżali za granicę. Matka Aliny utrzymuje, że urlopy spędzali w domu na Mazurach. Podała nam adres i już wysłałem tam ekipę rozpoznawczą. Na wszelki wypadek. Sąsiedzi nie wiedzą nic o kłótniach małżeńskich, a Mariusza przedstawiają jako cichego, zamkniętego w sobie naukowca. Typ gryzipiórka. Prawie codziennie kupował róże w kwaciarni na rogu. Ostatni raz przed dwoma dniami. Swoją drogą, cała trójka była w kościele na obchodach Niedzieli Palmowej. Pamięta to kilka osób, bo ich córka brała udział w konkursie na najładniejszą palmę. Trudno ich wziąć za

terrorystów, panie inspektorze. Choćby nie wiem jak bardzo wyteęzało się wyobraźnię.

Landau umilkł i stracił niewidoczny pyłek z rękawa munduru. Na dłoni dostrzegł rozmazany ślad długopisu. Natychmiast zaczął go nerwowo pocierać palcem.

– Wyobraźnia to pole dla grzeszności – wymamrotał Knap. Rozciągnął mapę na podłodze wozu operacyjnego i pospiesznie nakreślił miejsca, gdzie znajdują się przystanki linii pięćset siedemnaście. – Widzicie ten? – Wskazał na jedno z nich. – To przystanek Jerozolimskie, Berestecka zero jeden.

Zawada klęknął, przypatrując się mapie. Ta pozycja sprawiała mu wyraźny dyskomfort, więc po chwili opadł na kolana. Dwóch antyterrorystów stanęło po jego bokach.

– Blisko komendy – zauważył Landau.

– Zgadza się. A jeszcze bliżej budynku Orange, który bezsensownie ewakuowaliśmy. Dziwny zbieg okoliczności, prawda? – Knap odwrócił się do Zawady. – Szkoda tracić czas na wertowanie zapisów kamer, ale czy mógłby pan sprawdzić rozkład odjazdów z tego przystanku? Mamy już tylko kilka minut...

Cierpliwość i opanowanie inspektora potrafiły wyprowadzić z równowagi niejednego jego dawnego szefa. W sytuacjach kryzysowych zachowywał zimną krew, jakby całkowicie go nie dotyczyły. Alarm bombowy? Normalne. Zagrożenie atakiem biologicznym? To pewnie tylko ćwiczenia. Kiedy wspiął się na wyższe stopnie w hierarchii i sam został panem i władcą wydziału, ta cecha charakteru wpłynęła korzystnie na cały personel. Ludzie poruszający się dotąd w stanie nieustannego alarmu, pod jego ręką zyskali nieco spokoju. Może właśnie dlatego jako człowiek spoza tak zwanego układu dostał tę fuchę?

– Punt dziewięta czterdzieści! – Zawada natychmiast się podniósł. – Jasna cholera! Trzeba tam natychmiast wysłać uderzeniowców. Gdy tylko wsiądzie do autobusu, muszą go zneutralizować!

Knap skinął głową. Kazał nadać odpowiedni komunikat i z powrotem pochylił się nad mapą. Mieli już tylko cztery minuty. W grę nie wchodziły żadne nerwowe ruchy, bo zamachowiec, widząc obławę, mógłby wysadzić się wcześniej. Nieważne, że uprzednio nie zdecydował się poświęcić własnego

życia. Należało go ukradkiem odsunąć od cywilów i dopiero wszcząć procedury rozbrojeniowe. Albo neutralizacyjne. Dla opinii publicznej to nie miało znaczenia. Dla śledztwa trochę tak. Flaki zazwyczaj były słabszym materiałem dla wywiadu niż odpowiednio zmotywowany język.

– Ten szaleniec przez dwie godziny obserwował, jak przetrząsamy budynek, w którym umieścił atrapy bomb. – Knap podniósł się znad mapy i zerknął w stronę domu Zmysłowskich. – Obserwował naszą pracę, jednocześnie aktywując ładunek w autobusie. Przez cały ten czas mieliśmy go pod nosem, a on robił swoje.

Po raz pierwszy tego dnia inspektor nie opanował emocji i uderzył otwartą dłonią w bok pojazdu.

Ten dzień w ogóle miał się okazać dniem pierwszych razów.

## 9.

W tej samej chwili, w której Knap nie zdołał pohamować gniewu, Greta Nawrocka podniosła się od foniomietru i przeciągnęła. W nowo zaaranżowanej siedzibie sztabu operacji została sama. Karot z Bielawskim przeprosili ją i jak oszaleli wypadli na korytarz, a reszta znajdowała się przy domu zamachowca. Samotność w tym wypadku nie działała krzepiąco. Zazwyczaj najlepiej czuła się we własnym towarzystwie, ale odkąd zjawiała się na komendzie, trawił ją głęboki niepokój. Świadomość, że jest się elementem układanki odpowiedzialnej za ludzkie życie, potrafi przytłoczyć.

Przed kilkoma godzinami wszystko wskazywało, że ten dzień potoczy się całkiem normalnie. Wstanie rano, przeanalizuje ostatnie radiowe przemówienie wodza Rzeszy, wyciągnie z niego wnioski i umieści w swoim nabierającym kształtów dziele. „Zapach głosu”. Tyle że zapach głosów, które opracowywała, był martwy i nie mógł nikomu wyrządzić krzywdy. Nie mógł już zranić, obrazić ani przestraszyć. Choć dzięki nagraniom utrzymywał się w powietrzu od wielu lat.

Freddie pewnie umierał teraz z głodu i nerwowo obgryzał pazury. Zawsze tak robił, gdy na czas nie dostał miski. Zabawne, że jej życie zamknęło się w czterech ścianach z kulejącym kotem i cudzymi głosami. A jej mąż?

Dlaczego w ogóle myślała o tym skurwysynie?

Rozmasowując skronie, przeszła wzdłuż pomieszczenia. Stawiała równe, długie kroki i starała się skupić na informacjach, które wyciągnęła do tej pory. Strzępach dźwięku, fałszywych tonach i zmiennych częstotliwościach.

Parametry. Parametry. Parametry.

*Parole. Parole. Parole.*

Jej mózg domagał się odpoczynku, lecz nie mogła mu na to pozwolić. Podeszła do ustawionego na parapecie ekspresu i ustawiła pod nim filizankę. Maszyna zmieliła ziarna i strumień czarnej, gorącej kawy wylał się ze stalowego kraniku. Zaciągnęła się jej intensywnym aromatem.

Upiła łyk i z filizanką w dłoni przeszła między stanowiskami. Wokół biurka Karota ciągnął się mur akt, więc musiała je obejść naokoło. Kątem oka zerknęła na ekran laptopa, na którym było zastopowane nagranie z kamery monitoringu autobusu. Mężczyzna w kurtce i bejsbolówce przeciskał się właśnie między rzędami siedzeń. Dłoń zaciskał na skórzanej torbie i...

Zaraz.

Coś przykuło jej uwagę, tylko nie do końca była pewna co.

Chwyciła myszkę i uruchomiła nagranie. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się, jak przechodzi do miejsca, w którym ostatecznie umieścić ładunek wybuchowy. Patrzyła po twarzach niczego nieświadomych ludzi. Przebiegł ją dreszcz na myśl, że właśnie obserwowała ostatnie chwile ich życia. Gdyby o tym wiedzieli, być może dwójka nastolatków nie bawiłaby się właśnie telefonami, a paniusia w eleganckiej garsonce oderwałaby się od iPada. Co zrobiłaby przytulona do siebie para staruszków?

Czy gdyby wyrzucić im przyszłość, coś by zmienili? Spojrzeli na siebie inaczej? Czulej? A może wyznaliby sobie jeszcze raz wszystkie uczucia i ze świadomością życia przeżytego tak, jak chcieli, potulnie czekali na swój koniec? W objęciach czy osobno – starając się sobie przypomnieć, jak wyglądali pięćdziesiąt lat temu? Myśleliby o sobie czy raczej pograżyli się w modlitwie?

A przede wszystkim – czy teraz byli jedynie poskręcanyimi zwęglonymi ciałami, czy może udało im się jakimś cudem przeżyć? Może leżeli wspólnie na jednej sali w szpitalu i robili dokładnie to, co zrobiliby, wiedząc, że zaraz umrą.

Nawrocka otarła łzę i jeszcze raz przewinęła nagranie. Tym razem obserwowała już tylko zamachowca. Karot skupił się na jego zachowaniu, sposobie poruszania się i mimice. Od początku twierdził, że coś mu w tym wszystkim nie pasuje. Jej również, a teraz chyba nasuwało się rozwiązanie zagadki.

Dopiła kawę i odstawiła filiżankę. Wypuściła ją jednak zbyt wcześnie. Naczynie zawiroowało na krawędzi biurka, po czym runęło prosto na podłogę. Z brzęknięciem rozpadło się na wiele kawałków.

– Cholera!

Nawrocka chciała się schylić i uprzątnąć bałagan, lecz nagle kilka stycznych jej umysłu się załączyło. Popłynął nimi prąd i rozświetlił uśpioną dotąd część mózgu. Wszystko stało się oczywiste.

Natychmiast rzuciła się do telefonu. Nie pamiętała numeru inspektora, ale dzwonienie do Karota byłoby marnowaniem bezcennych sekund.

Landau.

Zapisała przecież numer do aspiranta, a ten powinien być z Knapem. Odszukała kontakt i nerwowo lawirując między biurkami, czekała, aż odbierze. Sygnał, dwa, trzy... Gdy już straciła nadzieję i miała się rozłączyć, aspirant przywitał ją krótkim „halo”. W tym głosie bez problemu mogła rozpoznać zdenerwowanie, niepewność i zniecierpliwienie. Dzwoniła nie w porę.

– Wiem, co tu się dzieje. – Mówiąc to, już układała w głowie następne zdania. – Ten człowiek z walizką nie jest osobą, której szukamy. Rozumie pan? To nie on za tym stoi!

Po wymownym westchnięciu Landaua zrozumiała, że choć doszła do przełomowych ustaleń, już było za późno. Albo prawie za późno.

Punktualność to cecha nader pożądana, gdy samemu jest się punktualnym. W przeciwnym razie może prowadzić jedynie do irytacji lub rozczarowań. Autobus linii pięćset siedemnaście, co się rzadko zdarza, na przystanek Berestecka zero jeden zajeżdżał dokładnie o czasie. Czterdzieści minut po dziewiątej. Wsiadła z niego para obściskujących się nastolatków, a ich miejsce w środku zajęła ciężarna kobieta. Siadła tuż przy wejściu i złożyła swoje zadbane dłonie z pomalowanymi na róż paznokciami na wydatnym brzuchu. Najwyraźniej lubiła podkreślać wszem wobec swój błogosławiony stan. Łącznie z jej dzieckiem w autobusie znajdowało się teraz dwadzieścia osiem osób. I przemywany przez pewną dziewczynkę w torbie bez biletu pekińczyk.

Oddział antyterrorystów dotarł na miejsce osiem sekund po tym, jak drzwi autobusu zamknęły się, a dokładnie w chwili, gdy wytoczył się z zatoczki.

– Kurwa mać! – Dowódca oddziału walnął pięścią w deskę rozdzielczą. – Łączcie mnie z inspektorem.

– Mam jechać za nim? – zapytał kierowca.

Dowódca popatrzył na niego spode łba. Kolejny cios zamiast na plastikowej okładzinie mógł wylądować na jego głowie.

– Oczywiście – wycedził. – Zachowując bezpieczny odstęp. Nie rozpieprz się o ten autobus i jedź tak, żeby móc go w razie czego wyprzedzić. No, wybierzcie, do cholery, ten numer inspektora!

Po chwili z głośnika popłynął chropawy głos Knapa.

– Monitoring z wnętrza pojazdu będzie na żywo przesyłany do biura operacji – wyjaśnił. – Informatycy mają wytypować podejrzanego, o ile znajduje się w środku. To pozwoli nam podjąć działania dopiero po rozpoznaniu podejrzanego i uniknąć pomyłki.

Dowódca poruszył głową, rozciągając mięśnie karku.

– A jeżeli on się zaraz wysadzi? – zapytał. – Nie lepiej zdjąć go od razu?

– Nie wysadzi się. Jeżeli planuje ciąg zamachów, zostawi ładunek, i to wszystko. Obstawiamy, że nie ma skłonności samobójczych.

– Rozumiem – odparł dowódca.

– Czekać na moje dalsze rozkazy – polecił Knap i się rozłączył. W pojeździe grupy operacyjnej zapanowała cisza. Kierowca starał się

utrzymywać równą odległość od autobusu, a przede wszystkim nie wpuścić przed siebie innych pojazdów.

Na kolejne rozkazy nie musieli jednak długo czekać. Inspektor odezwał się, jeszcze nim przebili się przez kolejne zakorkowane skrzyżowanie.

– W środku z pewnością znajduje się zamachowiec – informował monotonnym tonem. – Jest ubrany w biało-czarny kapelusz, jasną marynarkę i białe spodnie. Zgodność ze zdjęciem z monitoringu sięga prawie stu procent. Gdyby się nie przebrał, byłaby setka.

Dowódca nadal kręcił głową, napinając mięśnie.

– Na kolejnym przystanku nie dajmy rady włączyć naszych ludzi do akcji, ale za dwa już tak.

Knap był przygotowany na tę odpowiedź.

– Wysłałem już tam wsparcie snajperskie. Czekają na was.

– Zrozumiałem.

Gdy autobus zajechał na przystanek, policyjny wóz zatrzymał się tuż za nim. Dowódca wychylił się i rozejrzał po jego wnętrzu. Przy tylnych oknach siedziało dwóch podpitych bezdomnych. Dalej kilkoro dzieci, kombatant w wojskowej czapce i grupka nastolatek. Jedna z nich cmoknęła w powietrze i popędziła do wyjścia. Wyskoczyła dosłownie w ostatniej chwili.

Mariusz Zmysłowski stał mniej więcej w środku pojazdu. Jego twarz częściowo zasłaniało rondo kapelusza, ale brązowa torba, którą ścisnął w dłoniach, nie pozostawiała złudzeń. Dowódca przyglądał mu się z narastającą złością.

Ich spojrzenia się spotkały. Przez przyciemnianą szybę Zmysłowski nie mógł dostrzec żadnego z antyterrorystów, ale dowódca odniósł wrażenie, że przez twarz mężczyzny przebiegł grymas lęku. Albo determinacji. Jakby podświadomie wyczuł, że nieoznakowana srebrna furgonetka jest wypchana ludźmi, którzy mają go dopaść. Może był podejrzliwy? Może wcześniej wyszukał w internecie informacje o hucznym wręczeniu oddziałom policji nowego sprzętu? Nikt wtedy nie myślał o jego utajnieniu. Minister przekazywał go na oczach kamer, wśród fanfar i radosnych okrzyków.

– Jazda. – Dowódca pochylił się do przodu. – Wyprzedź ten pieprzony autobus i zatrzymaj się za kolejnym przystankiem.

Wóz skoczył do przodu i włączył się do ruchu. Dowódca odwrócił się, ale Zmysłowski jedyne mignął mu wśród innych ludzi. Wśród bezbronnego, niewinnego tłumu, który mógł posłać do nieba jednym ruchem palca.

Jeżeli się zdradzili, zamachowiec już wiedział, że wszystko skończone. Jego determinacja osiągałaby właśnie szczytowy pułap. Z takiej sytuacji bez wyjścia mógł widzieć tylko jedną ucieczkę.

Cholera.

– Melduję, że go widziałem – rzucił do nadajnika. – Panie inspektorze, cel jest w środku.

Knap, nim się odezwał, kilkakrotnie odkaszlnął. Pewnie jednocześnie prowadził rozmowę na kilku łączach i siadało mu gardło. Zdarza się.

– Dołączy do was oddział drugi – oznajmił. – Do autobusu wsiądzie trzech ludzi, których ubezpieczać będą snajperzy. Jeżeli pojawi się jakiegokolwiek ryzyko, dadzą znać i cel zostanie zlikwidowany. Jeżeli się uda, wyprowadzą go na zewnątrz. Jeżeli będzie sięgał do torby, zostanie obezwładniony. Rozumiecie? Robimy wszystko, żeby obyło się bez ofiar.

– Nie wiem, czy nas nie rozpoznał. – Dowódca zerknął w lusterko, szukając autobusu. Był niedaleko za nimi. – Nie wiem, czy nie powinniśmy go sprzątnąć.

– Nie mamy pełnej pewności.

– To on! – krzyknął dowódca.

– Nie mamy pewności, czy jest uzbrojony. Nie chcę mieć na sumieniu niewinnego człowieka – wyjaśniał inspektor.

– On już jest winny! – Dowódca uderzył głową o zagłówek i wymownie przewrócił oczami. – Jest winny!

– Powtarzam, że nie mamy pewności. Proszę o meldunek z przystanku.

Po tych słowach Knap zakończył połączenie.

– Pierdolony jezuita. – Dowódca zacisnął szczęki.

Policyjny wóz zjechał w kolejną zatoczkę. Po chwili autobus z głuchym stęknieniem zatrzymał się kilka metrów za nim. Drzwi otworzyły się i trzech ubranych po cywilnemu antyterrorystów ruszyło do trzech różnych wejść. Pewnym krokiem szli naprzeciw wysiadającym.

Dowódca obserwował, jak przeciskają się między pasażerami. Rozejrzał się, starając się ocenić, gdzie mogą być ukryci snajperzy. Dach albo klatka



schodowa dziesięciopiętrowca po drugiej stronie ulicy nadawałyby się doskonale. Mieliby ich jak na patelni.

Nagle przy tylnym wejściu autobusu dostrzegł poruszenie. Mężczyzna w kapeluszu wypadł na zewnątrz i powalił wchodzącego policjanta. Coś pokrzykując, pognął na oślep przed siebie. Kapelusz spadł mu z głowy i upadł na chodnik.

– Kurwa! – Dowódca pchnął drzwi pojazdu. – Za nim!

Z tylnego przedziału wypadło pięciu ciężko uzbrojonych funkcjonariuszy. Bez zastanowienia rzucili się w pościg za uciekającym. Ich kroki zadudniły na asfaltowym podłożu. Po chwili skręcili, przecinając trawnik i lawirując między szpalerem drzew.

– Snajper! – Dowódca wrzasnął do nadajnika. – Inspektorze, niech sprzątnie go snajper!

Knap bez przerwy na linii czekał na kolejne informacje. Odezwał się od razu, choć teraz jego głos nie był już tak opanowany.

– Dorwicie go – zarządził. – Snajperzy będą strzelać, gdy będzie ryzyko wybuchu.

– Szlag by to!

Dowódca pędził co sił za swoimi ludźmi. Z każdą sekundą dystans między nimi i uciekającym się zmniejszał. Ruch na ulicy był zbyt duży, by mógł ratować się ucieczką na drugą stronę. Jediną drogę stanowił chodnik, na którym mieli go na wyciągnięcie ręki. Przechodnie rozchodzili się, lecz mężczyzna umyślnie wpadł na drobną kobietę. Powalił ją, ale gdy zobaczył, że antyterrorysty, zamiast rzucić się jej z pomocą, wciąż go ścigają, nagle się zatrzymał.

Odwrócił się w stronę otaczających go policjantów i obrzucił ich dzikim wzrokiem. Głęboko dyszał. Po jego zaczerwienionej, okrągłej twarzy ściekał pot. Zbierał się na kilkudniowym, ciemnym zaroście.

Dowódca zrobił krok w jego stronę.

– Rzuć torbę! – wrzasnął. – Rzuć tę pieprzoną torbę!

Jaki zasięg mogłaby mieć bomba ukryta w jej wnętrzu? W promieniu dwudziestu metrów kamizelki kuloodporne i pozostałe zabezpieczenia zapewne na niewiele by się zdały. Wysadzając się, zabrały ze sobą do grobu co najmniej sześciu policjantów. Zapewne razem z podnoszącą się z ziemi kobietą.

Dowódca zrobił kolejny krok w jego stronę. Wyciągnął broń i wymownie nią poruszył.

Gdyby spojrział teraz na zegarek, zobaczyłby, że właśnie wskazał dziewiątą pięćdziesiąt dziewięć.

– Dlaczego, do cholery, nie uwierzyliście? – Człowiek Cień błyskawicznie sięgnął ku torbie. Ze środka wystawała prowizorycznie zrobiona zawleczka. Jego palce trąciły ją.

Poświęcenie to najwyższa forma człowieczeństwa. Takie były jego ostatnie myśli.

## ODCINEK 6.

### 1.

**WIELKI PIĄTEK**

**GODZINA 10:01**

**TRZY GODZINY PO ZAMACHU**

*– Skurwiel sięga do torby! – Wrzask jednego z funkcjonariuszy poniósł się w eterze. – Boże! Zaraz się...*

Knap zamknął oczy. Nadajnik ślizgał mu się w spoconej dłoni. Bariera opanowania właśnie została przełamana i dopadło go przerażenie. Lada chwila mogły zginąć dziesiątki ludzi. Powinien wydać rozkaz bezwzględnego zneutralizowania celu. Za wszelką cenę jednak chciał go pochwycić żywcem. Ryzykując nawet życie podwładnych. To, że miał poparcie Zawady i jego szefów z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, nic nie zmieniało. Odpowiedzialność spoczywała tylko i wyłącznie na nim.

Boże, błagam...

Dłoń inspektora trąciła połę marynarki, za którą kryła się Biblia, akurat w momencie, gdy z głośnika dobieły się przeraźliwe trzaski i dudnienie. Zdawało się, że radio zgubiło częstotliwość, a czyjaś ręka pogłodziła szum braku sygnału. Okropny, nieharmonijny szmer.

Knap opuścił głowę. Schował twarz w dłonie, jednocześnie wsłuchując się w te nieokreślone dźwięki. Chciał wyłowić najbardziej subtelne spośród odgłosów tła. Tak, zdaje się, określała je Nawrocka.

Trzaski i brzęczenie zlały się w jedno. Kompletnie rozmyty obraz, z którego nie był w stanie zupełnie nic wyczytać. Znacznie wyraźniej usłyszał westchnięcie Zawady i powiew wiatru niosący po podwórzu śmieci. Razem z nimi nadpłynęły strzępy rozmów dziennikarzy oraz członków

ekipy. Gwar względnie normalnego życia mógł zlać się z odgłosami masakry. Mógł, ale...

Knap zaczerpnął powietrza i pochylił się niżej nad głośnikiem. Niemal dotykał nosem drżącej membrany.

Nagle zapadła cisza.

Jakby znalazł się w doskonale wyizolowanej klatce Faradaya. Otworzył oczy i odruchowo zlustrował uwijających się wokół ludzi. Zawada odwrócił się w jego stronę. Policjanci stojący przy taśmach odgradzających podwórze od ulicy kłócili się z napierającym tłumem. Śmigłowiec przeleciał tuż ponad posesją Zmysłowskich, wzbijając tuman kurzu, ale nie wywołując przy tym żadnego dźwięku.

Dopiero po chwili łoskot jego wirników zapulsował w uszach inspektora.

– Cel zlikwidowany – poinformował głos na łączu. Snajper nieudolnie starał się hamować emocje. – Obiekt nie żyje. Jest, kurwa, trupem...

Knap drżącą ręką wcisnął przycisk nadawania.

– Przyjąłem – sapnął.

Opuścił głowę na pierś i głośno odkaszlnął. W ustach zebrała mu się gęsta, ciągnąca ślina. Świat zawirował. Błada twarz Zawady zlała się w jedno z pozbawionym koloru otoczeniem. Dziesiątki przewijających się wokół ludzi przypominały jedynie cienie na najdalszym tle obrazu.

Powoli wylaniał się z niego Landau. Na złamanie karku biegł przez podwórze w stronę radiowozu. W wyciągniętej dłoni ścisnął telefon, który bez słowa podał Knapowi. Inspektor jak w transie przytknął go do ucha.

– Halo?

– Tu Greta Nawrocka. Jest tam pan, inspektorze?

Zdobył się na niewyraźne mruknięcie.

– Ten człowiek nie jest tym, kogo sz-szukamy! – Analityczka starała się mówić powoli, ale jej słowa zlewały się w wartki potok. – Jesteśmy z Edmundem te-ego całkowicie pewni. Rozumie pan? On jest zastraszony. Na nagraniu porusza się niezgrabnie, bo jest ranny. Osoba odczuwająca ból ma zmieniony głos. Podniesiony, nieregularny, o zmiennej częstotliwości...

Knap jak oparzony wysunął się z radiowozu. Jakim cudem ta kobieta mogła to odkryć? Powoli przytomniał, a barwy wokół nabierały ostrości.

– Przez cały czas ktoś nim kiero-rował – ciągnęła Nawrocka. – Dlatego bez przerwy gapił się w komórkę. Wyodrębniłam jego głos z nagrania

z autobusu i ten fragment z pewnością nie pokrywa się z g-głosem zamachowca. Filtr nie ma żadnego znaczenia. Dlatego jego zachowanie nie pasowało Edmundowi do profilu terrorysty... Prawdziwy sprawca od początku sobie z nami pogry-grywał.

Ostatnie zdania Greta wypowiedziała na jednym wydechu. Jej sylabizujące jąkanie było prawie niesłyszalne.

– Dziękuję.

Knap opuścił dłoń i odszukał wzrokiem Landaua. Aspirant stał kilka kroków od niego. Mierzył go pytającym spojrzeniem, ale inspektor oddał mu telefon bez słowa komentarza. Jeżeli Nawrocka ma rację, od paru godzin podążają fałszywym tropem. Fałszywym tropem był Koran, dźwięki obróbki kamienia i dzwonów kaplicy cmentarnej. Od samego początku ktoś wodził wszystkie służby za nos, prowadząc je dokładnie tam, gdzie chciał. Do budynku Orange, na pobliski przystanek, do domu Zmysłowskich...

Po raz pierwszy od lat Knapa dopadło zwątpienie. Pismo Święte za połą marynarki wydało mu się ciężarem, a nie pociechą. Mimo to złożył dłonie do modlitwy, a potem się przeżegnał.

„Wszystkie troski wasze przerzucicie na Niego, gdyż Jemu zależy na was”.

– Przerzucam je, Panie, i wybacz mi to – szepnął. – Daj mi siłę...

Nie zdawał sobie sprawy, że wszedł do domu Zmysłowskich. Oprzytomniał, dopiero gdy ktoś ścisnął go za ramię.

– Panie inspektorze!

Techniczka kryminalistyki miała kombinezon i nasuniętą maseczkę. Zza okularów ochronnych jej oczy wydawały się nienaturalnie wypukłe. Stali w przedpokoju, w tym samym miejscu, w którym niedawno jego uwagę zwrócił Koran.

– Pod kartką, którą pan znalazł... – Techniczka rozluźniła uścisk. Najwyraźniej upewniła się już, że jej słucha. – Trafiłam na jeszcze jedną. Odbił się na niej początek notatki Zmysłowskiego. Musi pan to zobaczyć.

Kilka minut wystarczyło, by sensacyjne wieści od Greta Nawrockiej i odkrycie techniczki złączyły się w spójny przekaz. Chwilę po tym, jak techniczka poinformowała Knapa o notatce odczytanej z bloku karteczek, okazało się, że jej oryginał znaleziono przy zastrzelonym mężczyźnie. Była to jedna z nielicznych rzeczy, które Mariusz Zmysłowski trzymał w torbie z logo Cynamonowego Słonia. Poza nią ze środka wyciągnięto kilka długopisów, tabletki na uspokojenie oraz bandaż. Żadnej bomby, żadnych granatów czy choćby scyzoryka.

Notatka była krótka. Zawierała adres oraz jeszcze jeden numer autobusu, którym można było dojechać do wskazanego miejsca, i godzinę odjazdu. Tym razem ustalenie znaczenia rzędu cyferek nie trwało długo. Wystarczyło posłużyć się ustalonym już wcześniej kluczem.

– To prywatna posesja – oznajmił Knap.

Starał się w myślach odtworzyć plan miasta. Kojarzył ulicę, a do tego był pewny, że nie znajdują się przy niej żadne bloki. Same małe firmy, domy i kilka działek na sprzedaż. Ponadto niewielki, ale przytulny parczek oraz dziesiątki słupów ogłoszeniowych. Typowe rubieże wielkiego miasta, na których nikt nie zapanował nad chaosem architektonicznym.

– Jeżeli to druga kryjówka... – Inspektor sapnął. Modlił się, by duszność nie wróciła. Przynajmniej nie teraz. Nie w tej chwili. – Mógł jechać właśnie tam.

– Po co? – zapytał Zawada.

– Może to punkt przerzutowy? – Knap ruszył w stronę radiowozu. – Może miał tam odebrać pieniądze, może wziąć ładunki wybuchowe? Do licha, wiem tyle samo co ty.

– Albo nadal robi wszystko, żebyśmy tracili czas – zauważył Landau.

– Dlatego większość jednostek ma się stąd nie ruszać – polecił Knap, a następnie zwrócił się bezpośrednio do Landaua: – Zostań tu i zabezpieczaj teren. Niech dziennikarze pomyślą, że po prostu część sił się zmywa, bo nie ma tu nic do roboty.

Aspirant skinął głową.

– To wszystko?

– Nie. Powiedz, pirotechnikom, żeby jechali za nami. Pirotechnicy, czterech ludzi i nikt więcej. Poza tym informuj mnie na bieżąco o tym, co tu się dzieje.

- Bankowo.
- Słucham?
- Ma to pan jak w banku, inspektorze.

Knap wymownie westchnął. Wcale nie był przekonany, czy dobrze robi, zostawiając majdan pod nadzorem Landaua. Aspirant był jednym z tych młodych wilczków, którzy charakteryzowali się korporacyjnym zaangażowaniem, ale przy okazji potrafili wszystko korporacyjnie sfakapować. Czy jak to się nazywało. Woleli przy tym odnieść wiele drobnych sukcesów niż zapracować na jeden porządny.

Kilka minut później, gdy jechali na południowy zachód stolicy, Knap miał w głowie już coś całkiem innego. Starał się przeprosić Boga za chwilę zwątpienia i prosił o dodatkowe siły. Zwątpienie to słabość. Na zwątpienie remedium nie stanowi wiara, lecz wewnętrzna siła. Jego wiara nigdy nie została zachwiana.

– Myśli pan, że go tam nie zastaniemy? – Zawada pochylał się nad kierownicą. Uparł się, że będzie prowadził, co miało mu pomóc zebrać się w sobie. Każdy miał swoje metody.

– Staram się nie myśleć.

Knap chwycił się dłońmi boków fotela. Agent jechał jak szalony. Pędził co najmniej sto pięćdziesiąt na godzinę pasem awaryjnym, omijając jednocześnie nierówności studzienek kanalizacyjnych.

– Boi się pan śmierci? – zapytał, dostrzegłszy, jak Knap zapiera się nogami o gumowy dywanik. – Jezuici w ogóle boją się śmierci?

– Czują pokorę przed Bogiem.

– Jest pan w dobrych rękach, inspektorze. Nawet jeżeli jestem po narkotykach.

– Chciałbym w to wierzyć.

– Moja była dziewczyna też najpierw się bała. Potem się przyzwyczaiła i nawet czerpała z tego przyjemność. – Zawada przyhamował i skręcił na główny pas, omijając sznur aut. Zaśmiał się nerwowo. – Zaufała mi jako kierowcy, ale jako choremu już nie do końca. Odeszła, tłumacząc się, że będzie dla mnie tylko dodatkowym obciążeniem. Rozumie pan takie myślenie?

– Prawdę mówiąc...

- Nie chcę, żeby pan odpowiadał – wszedł inspektorowi w zdanie Zawada.
- Swoją drogą pirotechnicy jadą niedaleko za nami.

Tym razem Knap się nie odezwał. Założył ręce na piersi i odciągnął pas. Ukradkiem zerknął na telefon, sprawdzając, czy nie nadeszła żadna nowa wiadomość od Michała. Niestety skrzynka odbiorcza była pusta. Nie mógł sobie teraz pozwolić na wysłuchiwanie żali agenta, bo w niczym nie potrafił mu pomóc. A może jednak? Może właśnie żale i rady rzucane w takich chwilach stają się impulsem do prawdziwych zmian? Zamiast to sprawdzić, skupiał się na sobie i swoich problemach.

Zapatrzanie w siebie to słabość ludzi małych.

Psia mać...

Gdy rzuciło nim do przodu, a auto z piskiem opon stanęło w miejscu, wiedział, że dotarli do celu. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie ma żadnego planu. Standardowe procedury obejmowały przeszukiwanie posesji, ale do każdej należało podchodzić indywidualnie, a na indywidualne podejście nie było czasu.

Znajdowali się przed metalową, zwieńczoną ostrymi szpikulcami bramą. Za ogrodzeniem ciągnęły się rzędy palet z pustakami, ceglami i kawałkami rur. Pomiędzy nimi leżały kable, metalowe szyny oraz stelaże.

**SKŁAD BUDOWLANY.**

Zardzewiała tablica rozwiewała wszelkie wątpliwości.

Knap upewnił się, że adres się zgadza. W chwili, gdy na wąskie pobocze zajechał wóz pirotechników, a zaraz za nim policyjny opel, miał już nakreślony prowizorycznie plan działania. Żadnej filozofii, same proste rozwiązania. Tym bardziej że czas nie sprzyjał strategicznym dywagacjom. Jedna grupa miała pozostać przy bramie, druga okrążyć skład od tyłu, a Knap z Zawadą postanowili wejść na jego teren. To wszystko. Pirotechnicy dostali rozkaz trwania w odwodzie.

Na szczęście posesji nie strzegły wygłodniałe psy, a brama była zamknięta jedynie na zapadkę. Centrala miała zająć się ustaleniem właściciela, lecz wszystko wskazywało, że skład jest nieczynny. I to od długiego czasu.

Knap pchnął bramę i ruszył przed siebie. Obszedł rozpadające się taczki, przerdzewiałą cysterne, wreszcie skręcił w zaśmieconą alejkę. Słyszał, że Zawada idzie po jej drugiej stronie. Pospiesznie obszedł rząd worków



z cementem i spotkał się z agentem na końcu przejścia. Nie miał pojęcia, czego szukają ani czego się spodziewać. Po raz pierwszy od dawna rozpiął kaburę i upewnił się, że służbowy glock jest na miejscu.

– Co dalej? – Zawada rozejrzał się wokół. Na jego twarzy rozlały się rumieńce.

– Tam – wskazał Knap. Poczłapał w stronę metalowego baraku. Był obklejony rozpełzłymi plakatami, podartymi ogłoszeniami i reklamami. Na blasze białą farbą napisano numer telefonu.

– Główny magazyn? – rzucił Zawada.

Inspektor wzruszył ramionami. Zniechęcony, obrócił w dłoni solidną kłódkę i pociągnął za łańcuch. Blaszane drzwi nawet nie drgnęły. Nim zdążył zareagować, Zawada przywalił w nie cegłówką. Przy trzecim razie skobel odgiął się na tyle, że kłódka stała się już tylko dekoracją. Przy czwartym całe mocowanie zleciało na ziemię.

– Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego nie ma cierpliwości. – Zawada ciężko odsapnął. – Nigdy i dla nikogo.

Pchnął drzwi, które ze zgrzytnięciem przesunęły się po chropawym betonie. Po chwili wyłoniło się zza niego nosowe pomrukiwanie w głębi budynku.

– Boże!

W delikatnym świetle Knap dostrzegł kilka skulonych sylwetek. Poruszały się, starając zwrócić na siebie ich uwagę, ale mocne więzy ograniczały ich ruchy.

– Ubezpieczaj mnie! – krzyknął do Zawady.

Bez zastanowienia wpadł do środka i obiegł stertę pustych palet. Popiskiwanie zamieniły się w ekstatyczne jęki. Pod ścianą budynku siedziała skrępowana kobieta z dwójką dzieci, a linę ich oplatającą przywiązano do zwieszonoego ze stropu haku. Knap w półmroku z trudem rozróżniał kształty, jednak nie miał wątpliwości, że właśnie odnalazł rodzinę Mariusza Zmysłowskiego. To było jego wynagrodzenie za umieszczenie ładunku wybuchowego w autobusie.

Jak oszalały szarpał za linę, chcąc zerwać ją z haku, lecz była zbyt mocna. Rzucił się na ziemię szukając węzła.

– Już, spokojnie, jesteście bezpieczni – wymamrotał. – Nie ma się czego bać... Nie ma się...

Pewnie powtórzyłyby to jeszcze kilka razy, gdyby nie przerwał mu upiorny jazgot. Jak oparzony uskoczył na bok. Tuż obok jego buta coś błysnęło.. Psychodeliczny rytm zlał się z piskami zakneblowanych dzieci, waleniem jego serca i łomotem krwi pulsującej w skroniach. Nie mógł tego wytrzymać.

Dopiero po chwili zrozumiał, że na ziemi leży czyjś telefon komórkowy. Odruchowo po niego sięgnął.

– Niech go pan nie rusza!

Zawada rzucił się w ich stronę, ale było już za późno.

### 3.

„I zgromadzili ich na miejsce zwane po hebrajsku Armagedon”.

Biblijny cytat zadudnił Knapowi w głowie. Armagedon. Że też właśnie musiał o tym pomyśleć.

Chwycił telefon i kilkakrotnie nim potrząsnął, jakby w ten sposób mógł go wyłączyć. O dziwo, jazgotliwa melodia urwała się, a w miejsce ikony nadchodzącego połączenia na wyświetlaczu pojawił się timer.

100.

99.

98.

Co sekundę pokazywała się kolejna liczba. Knap, lekceważąc paniczne jęki, odwrócił się w stronę Zawady.

– Co to jest do diabła! Co to odlicza?

– Jasna cholera... – Agent przyglądał dłonią twarz. – Niech pan spojrzy!

Bez słowa wskazał na biegnący po ziemi kabel. Łączył linię krępującą Zmysłowskich i niewielką metalową skrzynkę przytwierdzoną do ściany. Znajdowała się co najwyżej półtora metra od nich. Na niej również umieszczono niewielki ekran, zsynchronizowany z telefonem i wskazujący te same liczby.

88.

87.

– Połączenie musiało aktywować mechanizm! – wrzasnął Zawada. – To zaraz wybuchnie!

Knap dopadł do liny i na oślepie starał się odnaleźć węzeł. Sznur ślizgał mu się w dłoni, ale nie mógł trafić na jego koniec. Szarpał go, wywołując jeszcze bardziej przerażone popiskiwanie skrępowanych. Dwójka dzieci była obrócona do siebie plecami. Ich matkę związano z ich boku. Wszyscy mieli kneble i kajdanki na kostkach stóp.

– Niech to diabli! – Knap wierzchem dłoni otarł pot z czoła. Pojedyncze krople spływały mu po nosie i osiadały na zaroście. Mimowolnie się wzdrygnął. – Pirotechnicy nie zdążą tu nawet przyjść... Pomóż mi!

Chwycił linę i zaczął nią trzeć o krawędź haka. Solidny splot jednak nie ustępował. Zawada złapał sznur z drugiej strony i we dwóch, jak na dzwonnicy, starali się go przeciągać.

64.

63.

– To nic nie da!

Knap z rezygnacją rozejrzał się wokół. W półmroku niewiele widział. Rozróżniał kształty, krawędzie, ale nawet gdyby na podłodze obok leżały wielkie nożyce, pewnie zlałyby się z podłożem. Zawada na pewno miał latarkę w telefonie, ale nie mogli tracić czasu na bezsensowne poszukiwania. Przez ułamek sekundy jego wzrok spoczął na twarzy kilkuletniej dziewczynki. Na jej wielkich, rozwartych przerażeniem oczach i małych ząbkach, które odsłaniała, starając się oddychać przez usta. Materiałowy knebel prawie jej to uniemożliwiał. Inspektor w pierwszej chwili chciał go wyrwać, lecz zdał sobie sprawę, że tym ruchem jedynie wzmoże wszechobecny chaos. Do pisków doda spazmatyczny płacz i wrzaski.

49.

48.

47.

– To gówna nie puszcza! – Zawada, parszcząc, zgiął się w pół. Z wysiłku cały drżał, ale nie udało mu się choćby naderzeć liny.

– Odsuń się. – Knap wyszarpnął z kabury pistolet i naprężył sznur. – Uwaga!

Huk wystrzału poniósł się po hangarze wielokrotnym echem. Wibrował w gęstym powietrzu jeszcze przez kilka sekund. Knap zacisnął usta i wyciągnął linę w stronę padającego od drzwi światła. Pocisk uszkodził ją, ale nie przedarł. Spoza konopnych splotów wystawały strzępki stalowego wzmocnienia. Dlatego nie mogli niczego osiągnąć ocieraniem jej o hak.

38.

37.

Nagle do głowy przyszedł mu jeszcze jeden pomysł. Zmrużył oczy i starając się przebić ciemność, popatrzył na sufit oraz zwisający z niego hak. Widział tylko zarys, a poza tym strop tonął w mroku.

– Wstańcie! – krzyknął w stronę skrupowanej rodziny. – Proszę was, wstańcie szybko.

Jako pierwszej pomógł podnieść się matce. Wszyscy byli skrupowani tak ciasno, że ich próba jednoczesnego uniesienia się przypominała taniec pijanego. Udało się dopiero za kolejnym razem.

– Chwyć tę linę i ją napręż. – Knap podał Zawadzie fragment sznura. Pospiesznie obszedł przerażoną gromadkę ofiar, specjalnie by wszyscy zobaczyli jego twarz. Chciał ich uspokoić. – Na mój znak podskoczcie. Macie dość siły?

Popiskiwanie nie były jednoznaczną odpowiedzią. Mimo tego inspektor również chwycił linę i naprężył ją z drugiej strony.

– Trzy, dwa, skaczcie!

Kobieta i dwójka dzieci oderwali się od ziemi, ale nic to nie dało. Ciężar Knapa i Zawady jedynie nieznacznie naruszył konstrukcję haka. Ze stropu obsypały się fragmenty rdzy, a blacha jęknęła.

– Jeszcze raz. Na trzy! – Knap zarzęził z wysiłku. Za wszelką cenę musiał teraz powstrzymać napad kaszlu. – Raz, dwa... trzy!

Szarpiąc za linę, miał wrażenie, jakby jednocześnie zaciskał ją na swoim gardle. Tym razem rozległo się brzęknięcie, a hak naderwał się, luzując nieco linę.

– Spróbujmy go zupełnie oberwać.

Zawiesili się z Zawadą na sznurze i zaraz polecili prosto na siebie. Hak rąbnął o posadzkę kilka metrów od nich.

15.

14.

– Wyprowadź ich!

Zawada próbował zdjąć kajdanki z nóg Zmysłowskiej, ale te były zapięte. Musieli sobie poradzić w inny sposób. W momencie gdy starał się pociągnąć za sobą całą rodzinę, do środka wpadli zabezpieczający akcję funkcjonariusze. Rzucili się do skrupowanych.

– Wynieście ich na rękach. – Knap dopadł do leżącego na środku pomieszczenia worka z piaskiem. Chwycił go w ręce i zatoczył się pod jego ciężarem. – Na Boga, wynieście ich i uciekajcie!

Policjanci pospiesznie rozwiązali resztkę liny. Dwóch z nich zabrało dzieci, a Zawada przerzucił sobie przez ramię ich matkę. Przy wejściu zdał sobie sprawę, że Knap nie podąża za nim. Stanął i odwrócił się, dysząc z wysiłku.

– Uciekaj! To rozkaz! – Ryknął inspektor.

Knap, ledwie trzymając się na nogach, przytknął do metalowej skrzynki worek. Oparł się o niego całym ciałem.

3.

Miał wrażenie, że zegar zatrzymał się na tej cyfrze. Jednak po nieskończonej długiej chwili wskoczyła kolejna.

2.

Z ulgą odnotował, że Zawada wy dostał się z baraku. Żałował jedynie, że nie może się teraz przeżegnać. Jeszcze mocniej napał workiem na mocowanie ładunku. Jednak odsłonięty fragment wyświetlacza nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

1.

To koniec.

4.

Knap nachylił się i zagryzł zęby. Błagał Boga, żeby eksplozja rozerwała go za jednym razem, oszczędzając mu długotrwałej agonii. Szkoda, że nie zdążył pożegnać się z synem, a ich ostatnia rozmowa otarła się o kłótnię. Szkoda, że nie miał czasu podziękować Grecie Nawrockiej. Choć, o ironio,

to właśnie dzięki niej właśnie przytulał się do bomby. Gdzieś tam, po drugiej stronie już czekała na niego żona. Cieszył się na myśl o tym spotkaniu. Cieszył, że jego śmierć nie będzie pusta, ale również się jej bał. Okrutnie się bał...

Wszystkie emocje kotłowały mu się naraz w głowie. Zaczął dygotać, a z oczu pociekły mu łzy. Zmieszały się z potem i poszerzonymi strumyczkami spłynęły ku brodzie.

0.

Zacisnął oczy i wypuścił powietrze. W tym samym momencie poczuł, że eksplozja urywa mu nogę. Tępy dreszcz przebiegł od uda ku biodru i rozlał się wokół krocza.

Mimo to nie zachwiał się. Wciąż dociskał worek z piaskiem do metalowej obudowy, która...

Zaraz, zaraz... Obudowa była cała, a huk eksplozji nie brzęczał mu w uszach. Poza tym nie czuł bólu, a dreszcze na udzie zdawały się jeszcze wyraźniejsze.

Ze świstem wypuścił powietrze.

To porzucona komórka, na której rozpoczęło się odliczanie, wibrowała mu w kieszeni. Schował ją przed tym, jak zaczął się szamotać z liną.

Niech to diabli.

Puścił worek piasku i upewnił się, że jest cały. Bez wątplenia nie został rozerwany ani na strzępy, ani nawet na kilka większych kawałków. Nogi i ręce były na miejscu. Mechanicznie wyszarpnął komórkę z kieszeni, po czym zerknął na ekran. Nie musiał go odblokowywać, by odczytać esemesa.

„Państwo Islamskie darowało im życie. To wyraz dobrej woli i znak potęgi Allaha. Uwolnijcie wskazanych braci”.

Knap rzucił telefon na ziemię. Jak w transie, na miękkich nogach skierował się do wyjścia. Nim oprzytomniał, dopadł do niego sanitariusz i dwóch policjantów. Bez słowa odsunął ich ręką. Przebijające zza chmur słońce grzało mu twarz. Czuł przesiąknięty spalinami zapach powietrza i muskanie wiatru na dłoniach. Roześmiał się, hamując jednocześnie wciąż ciekące mu z oczu łzy. Dotknął dłonią wypukłości marynarki, pod którą ukryte było Pismo Święte.

Boże...

Kątem oka dostrzegł pędzących w stronę magazynu pirotechników i zatrzymujący się na podjeździe wóz straży pożarnej. Przed nim stała już rozświetlona stroboskopami karetka. Dwójka ratowników pochylała się nad Zalewskimi, którzy mimo zrzuconych sznurów wciąż się ściskali.

– Panie inspektorze! – Zawada chwycił go za rękę. – Bomba nie wybuchła... – stwierdził, jakby dokonał przełomowego odkrycia. W jego oczach skrzyła się nieukrywana radość. – Już myślałem...

– Ja też – przyznał Knap.

Czuł głęboką ulgę i wdzięczność dla całego świata. Uczucie, które musiało ogarniać hippisów po zażyciu całej walizki narkotyków. Peace and love.

A wystarczyło przytulić się do bomby.

– Co z nimi? – Wskazał w stronę Zalewskich. Nie miał pojęcia, jak długo przyciskał worek do skrzynki z atrapą ładunku i czy ktokolwiek się już nimi zajął. Dla niego wszystko trwało nieskończenie długo, a jednocześnie umknęło jak ułamki sekund.

– Dzieci są przerażone. Matka zresztą też. Zanim ich stąd ściągniemy, ma przyjechać jeszcze psycholog i potowarzyszy im w drodze do szpitala – odpowiedział Zawada.

– Kontaktują? – Knap skierował się w ich stronę.

– Są w szoku, ale...

Inspektor przyspieszył kroku. Uczucie błogości wypierała świadomość odpowiedzialności. Musi działać. Nie może ulec obozwładniającej uldze. W końcu zabawa rozkręca się w najlepsze. Sprawca jest na wolności i grozi kolejnymi wybuchami.

– Nazywam się Adam Knap, jestem inspektorem policji – przedstawił się, siadając na kocu termicznym obok Aliny Zalewskiej. – Przepraszam, że teraz...

Wymownie spojrzął na ratowników i lekarza.

– Proszę dosłownie o minutę. Nie więcej.

– Minutę. – Lekarz pokręcił głową i nachylił się nad dziećmi.

Knap chwycił kobietę za dłoń. Miała zmierzwione włosy, podkrążone oczy i krwawy ślad przy nosie. Wyglądała na co najmniej czterdzieści lat, ale pomyślał, że to ostatnie wydarzenia ją postarzyły.

– Co z moim mężem? – zapytała, powstrzymując płacz.

– Proszę pani...

– Co z moim mężem, do kurwy nędzy! Wiecie, co ten skurwiel z nim zrobił?

Knap musiał skłamać. Jeżeli chciał czegokolwiek się dowiedzieć, nie miał innego wyjścia. Delikatnie pogładził dłoń Aliny Zalewskiej i zdobył się na uśmiech.

– Staramy się to ustalić – wymamrotał cicho. Nawrocka od razu odkryłaby kłamstwo. – Myślę, że to nie potrwa długo. Ale może nam pani w tym pomóc...

Zawiesił głos. Kobieta pochyliła się i zaczerpnęła głęboko powietrza. Koszula na jej wydatnym biuście się napięła. Była pognieciona, a część rękawa rozdarta. Ostatnie słowa Knapa rozbudziły w niej iskrę nadziei, za co inspektor miał ochotę przyłożyć sobie w twarz.

– Nic nie wiem o tym człowieku. – Zalewska mówiła powoli i dość niewyraźnie. Knebel pozostawił czerwony ślad w kącikach jej ust. – Groził nam bronią, przywiózł tutaj, a Mariusz... Ten drań robił nam dla niego zdjęcia. Chyba jako dowód, że żyjemy, i szantażował go nimi. Słyszałam rozmowę... – Kobieta przełknęła ślinę i się obróciła. Upewniała się, że jej dzieci są tuż obok. Nieco uspokojona, odezwała się znowu. – Słyszałam rozmowę, że jeśli coś zrobi, dowie się, gdzie jesteśmy. Gdy się tu zjawiliście, myślałam, że to Mariusz i że przyszedł po nas. A potem, że to może ten drugi...

Knap drgnął. Pochylił się w stronę Zalewskiej i odruchowo ściągnął poły marynarki.

– Ten drugi?

Kobieta spojrzała na niego pustym wzrokiem. Przez chwilę miała otwarte usta, które sklejała ślina. Nagle jakby przypomniała sobie, o czym mówiła i skinęła głową.

– Ten skurwysyn rozmawiał z kimś innym. Szantażował nie tylko mojego męża, ale jeszcze kogoś. Krzyczał na niego przez telefon, że jeżeli nie zrobi tego, co każe, to ze wszystkim skończą. Nie wiem, co miał na myśli...

– Kiedy słyszała pani tę rozmowę? – dopytał inspektor.

– Nie wiem nawet, która jest teraz godzina. – Kobieta przyłożyła dłoń do nosa. – Ale zdaje się, że dzisiaj, kilka godzin temu...

No to mamy trochę obsuwy, pomyślał Knap.

Mógł już porozwozić bomby po połowie Warszawy.



## 5.

Norbert Graf położył dłoń na klamce drzwi gabinetu premiera. Był przygotowany na najgorsze. Pospiesznie zwołana konferencja prasowa, którą miał prowadzić, powinna rozpocząć się za kilka minut. Tymczasem ani nie przygotowano mu oświadczenia, ani nie rozeznał się w sytuacji. W limuzynie poinformowano go o akcji na terenie opuszczonego składu budowlanego. Nie dostał przy tym żadnych szczegółów. Był wściekły, ale gotowy do dalszej walki.

Z całej siły pchnął drzwi..

– Panowie!

Mimo że zarówno z Piotrasem, jak i z Abramowiczem widzieli się tego ranka, wymienili uściski dłoni. Na szczęście Tomecki i ta gnida z wywiadu gdzieś zniknęli. Pewnie w swoim gronie świętowali zrzucenie brudnej roboty właśnie na niego. Na ich miejscu zrobiłby dokładnie to samo.

– Proszę usiąść.

Piotras wskazał mu miejsce przy niewielkim, fornirowanym czeczotą stole. Wszyscy trzej usiedli i przez chwilę w milczeniu mierzyli się wzrokiem. Wreszcie premier odchrząknął, po czym skinął na Abramowicza. Najwyraźniej było to przygotowane z góry zagranie. Sam nie zamierzał zniżyć się do poziomu słów, które miały paść. Albo Graf miał tylko takie wrażenie.

Rzecznik złożył dłonie w trójkąt. Czubki palców przytknął do podbródka.

– Media już wiedzą, że policja zastrzeliła Polaka – odezwał się oskarżycielskim tonem. – Wiedzą też, że był prawdopodobnie szantażowany przez rzeczywistych sprawców.

– Domyślają się czy wiedzą?

– A co to za różnica?

Graf wzruszył ramionami. Regulator wiedeński wiszący w rogu gabinetu wskazywał dwadzieścia jeden po dziesiątej. Bezszelestny ruch wahadła przypominał narzędzie tortur opadające nad brzuchem skazańca. Z każdą

sekundą konferencja była bliżej. Wrabiali go. Czyżby Abramowicz robił wszystko, żeby się nie przygotował? Żeby wyszedł drętwy z przerażenia i spalił się przed tłumem podekscytowanych dziennikarzy?

– Jeżeli tylko się domyślają, podam im to w geście dobrej woli. Jako oficjalny komunikat.

– Nie udobruchamy ich tym. – Piotras ukradkiem naciągnął mankiet i zerknął na zegarek. – W ogóle mamy cholernie mało atutów.

– Zlikwidowaliśmy zamachowca! – obruszył się Graf. – Co z tego, że był szantażowany? To on podłożył bombę w autobusie.

Jego wywód przerwało trzaśnięcie drzwi. Tomecki w ten sposób oznajmił swoje wejście. Sztywnym krokiem ruszył w stronę stołu i nie czekając na pozwolenie, chwycił za jedno z krzeseł. Graf miał wrażenie, że również on wymienił ukradkowe spojrzenia z premierem. Zupełnie jakby wszyscy odgrywali przed nim przedstawienie. Był gotów ukuć spiskową teorię dziejów.

– Dlaczego nie było tam antyterrorystów? – Tomecki od razu przeszedł do ataku. – Na miejscu znaleziono ponoć atrapę ładunku wybuchowego...

– Jeszcze nie dostałem raportu.

– Pańskie ministerstwo sprawuje nadzór nad śledztwem! A popełniono niewybaczalny błąd. Rozumie pan? To katastrofa wizerunkowa dla wszystkich służb.

Graf starał się zachować spokój. Odchylił się na krzesło i naparł na oparcie. Naprężył mięśnie pleców, jednocześnie wypychając klatkę piersiową. W rządzie będzie, dopóki zachowa popularność. Wyborcy go lubili jako swojskiego chłopaka. Sondáže wskazywały, że nawet elektorat opozycji cenił go jako polityka. Był aktywny, pomysłowy i pozornie bezkonfliktowy. Po prostu potrzebny. A najlepszym sposobem na pozbycie się go było ośmieszenie przed obiektywami kamer. Tym bardziej w sprawie, której przypatrywała się cała Polska.

– Panie premierze – Tomecki odwrócił się do Piotrasa – w związku z wprowadzeniem alarmu delta proponuję, by ministerstwo obrony przejęło nadzór nad akcją.

– I całą odpowiedzialność? – Graf prychnął. – Wie pan, że to farsa. Jedyne, co możemy, to zmienić prowadzącą sprawę.

– Owszem. Inspektor Knap powinien zostać odsunięty.

– Bzdura – włączył się do rozmowy Abramowicz. – Kiedy ogłosimy, że własnym ciałem zasłonił bombę, zostanie narodowym bohaterem. Będziemy mu wręczać medale.

Graf odsunął krzesło i powoli się podniósł. Błat stolika nie sięgał mu nawet do pasa, ale podparł się o niego. Przyszedł moment, żeby to on odegrał swą rolę. Poza tym nieoczekiwanie przyszedł mu pomysł obrócenia sytuacji na własną korzyść.

– Jeżeli mam prowadzić konferencję prasową... – znacząco spojrzał na premiera – ...muszę sprawiać wrażenie choć odrobinę decyzyjnego. Nie marionetki wystawionej na pożarcie, bo wszyscy od razu się połapią. Do rzeczy. – Zawiesił na moment głos – Źle jest zmieniać tańczącą małpę w trakcie przedstawienia, ale czasem dla dobra pokazu po prostu lepiej ją odstrzelić. Rozumiecie panowie? Ludzie skupiają się na upadających bohaterach, więc dajmy im jednego. Przynajmniej nie pociągnie nas ze sobą.

## 6.

Dwie minuty później Graf i Piotras stali w kuluarach sali konferencyjnej. Przez uchylone drzwi słyszeli panujący na niej gwar. Dziennikarskie hieny i sępy już zwietrzyły zapach ofiary i szykowały się do konsumpcji. Graf nie był dla nich niczym więcej niż padliną. Odpowiedzialność premiera budziła tylko niewielkie wątpliwości. Abramowicz, po tym jak usunął się w cień, mógł spokojnie umyć ręce, a największym wygranym zdawał się Tomecki. To w nim szukano ratunku. Ludzie mają zaskakującą łatwość oddawania spraw resortom siłowym, jeżeli czują byle zagrożenie. Armia, żandarmeria, wojska obrony terytorialnej, harcerze – nagle stają się lepszą wersją nieudolnej policji. A oni martwili się wspomnieniem stanu wojennego sprzed czterdziestu lat...

Wystarczyło ledwie kilka godzin.

– To ja powinienem tam wystąpić. – Piotras nerwowo przygładził włosy. Już nie wyglądał na najmłodszego szefa rządu w historii. Od rana jego rysy

wyostrzyły się, a spojrzenie spochmurniało. – Nic na to nie poradzę. Walczymy o przetrwanie i albo jakoś ich przekonamy, albo oprócz zamachów będziemy mieć rewolucję.

– Dlaczego nie wysłał pan Abramowicza? – Graf oparł głowę o ścianę i głęboko zaczerpnął powietrza. – Nie powinienem stać tam ani ja, ani pan. To robota rzecznika.

– Zagroził mi dymisją. Rano publicznie pan zadeklarował poparcie dla negocjacji, więc...

– Z całym szacunkiem, ale obaj wiemy, że tylko marzy o wyrobieniu sobie gruntu. – Graf poprawił mankiety koszuli i odsłonił spinki. – Gramy w jednej drużynie. Przynajmniej tak mi się zdawało do czasu, aż sam zostałem twarzą nowej kampanii reklamowej. Podstaw swoją dupę. To nasza marka.

Piotras wydał wargi w namiastce uśmiechu.

– Albo sondaże runą, albo się wypromujemy. – Klepnął Grafa w ramię. – To zależy od pana.

Odwrócił się i w obstawie ochroniarza ruszył w stronę głównego holu. Graf przez chwilę patrzył na jego plecy. Wreszcie zebrał się w sobie i pewnym krokiem wszedł do sali konferencyjnej. Powitała go seria maszynowa fleszy. Nie zwracając na nie uwagi, pomaszerował prosto do drewnianego pulpitu. Nie miał przygotowanego tekstu ani choćby zarysu tego, co powinien powiedzieć. Z premedytacją wypchnięto go na pożarcie.

W kilku zdaniach streścił najnowsze informacje. O zabitym człowieku, podejrzaniach, że był jedynie szantażowany, ale mimo tego podłożył bombę w autobusie, a przede wszystkim o tym, że trafiono na nowe tropy. Od początku planował to powiedzieć. Smaczek dla świata mediów. Kąsek, z którego przynajmniej nie będzie musiał się tłumaczyć. Niedopowiedzenie, na którym można zbudować sukces.

Bez zająknięcia wspomniał o uwolnieniu zakładników zamachowców, nie nadmieniając przy tym, że byli rodziną zabitego. To mogło poczekać. Wreszcie rozpoczął kilkuminutową elegię o ofiarach eksplozji. Apelował do ich rodzin, prosił o przebaczenie, płakał. Z rewolwerem przyciśniętym do skroni Irminy był mniej przekonującym aktorem niż teraz. Właśnie wznosił się na wyżyny.

Kiedy skończył, poprosił o chwilę ciszy. Dla uczczenia zabitych i ich rodzin. Pierwotnie planował ją wykorzystać i chyłkiem wymknąć się z sali, ale postanowił trwać na posterunku. Misja nie była jeszcze skończona. Nie powiedział tego, czego od niego oczekiwano.

– Czas na pytania. – Z poważną miną skinął głową. – Mamy pięć minut i muszę wracać do obowiązków...

Pierwsza wyrwała się wysoka blondynka we wściekle czerwonej garsonce. Jej piskliwy głos przebił się ponad innymi.

– Dlaczego to pan, wiceminister spraw wewnętrznych, prowadzi tę konferencję? Czy nie powinno...

Graf natychmiast wszedł jej w słowo. Na szczęście jego mikrofon był podpięty do nagłośnienia.

– Rząd reprezentuje w tej kwestii jednolite stanowisko. Podkreślam, reprezentuje. Zgodziłem się wziąć polityczną odpowiedzialność za tę akcję.

– Dlaczego pan?

– Jestem to winny podległym resortowi funkcjonariuszom... Oni ryzykują znacznie więcej.

Dziennikarka nie ustępowała. Przepchnęła się między kostkami stacji radiowych i telewizyjnych i stanęła kilka metrów od niego. Graf kojarzył jej twarz z telewizji. Młoda, przebojowa, żądna krwi. Mogła wiele napsuć.

– Pojawiły się głosy, że w toku akcji doszło do poważnych błędów. Być może zabito przy tym właściwie niewinnego człowieka...

– On nie był niewinny – odparł jej Graf z całą stanowczością. Powtarzał to po raz kolejny w ciągu kilku minut. – Oczywiście wystąpiły pewne uchybienia w związku z wdrożoną procedurą antyterrorystyczną. Jednak nie możemy się teraz na nich skupiać. Najważniejsze jest ujęcie zamachowców i zapewnienie bezpieczeństwa obywatelom. Ewentualne konsekwencje wobec dowodzących akcją zostaną z całą mocą wyciągnięte, kiedy osiągniemy te najistotniejsze cele. Inspektor Adam Knap z Biura Operacji Antyterrorystycznych to doświadczony policjant. Jednak, proszę pamiętać, mamy do czynienia z niezwykle, bezprecedensową sytuacją. Rząd robi wszystko, co może, aby służby miały wszelkie możliwe środki i jak najszerzą swobodę działania. Jesteśmy jednocześnie gotowi na podjęcie rozmów z... organizatorami zamachu, jeżeli miałyby to powstrzymać dalszy rozlew krwi. – Graf odsunął się od mikrofonu

i nerwowo pogładził blat mównicy. Przez chwilę milczał, wreszcie, gdy dziennikarze zaczęli szeptać, odezwał się głośniejszym głosem niż dotąd: – W tej kwestii były wśród nas rozbieżne stanowiska. Osobiście uważam, że zamachowców należy bezwzględnie złapać i osądzić. Żadnej taryfy ulgowej, żadnych odstępstw, żadnych rozmów. Pięść państwa wymierzona prosto w ich nosy. Ponoszą mnie emocje, bo mówię jako syn, mąż i przyszły ojciec. Krew za krew. W takiej sytuacji nie powinniśmy nigdy się wahać.

Przez cały czas obserwował reakcje dziennikarzy. Przez chwilę wydawało się, że ich niechęć narasta i przerwą tę bezmyślną tyradę nienawistnymi pytaniami. Tymczasem milczeli jak zakłęci. Miał namacalny dowód, że właśnie zyskał ich przychylność. Cokolwiek czekało go za rogiem, na tej prostej chwilowo prowadził.

## 7.

Edmund Karot wyminął strażnika i wszedł do niewielkiego pokoju przesłuchań. Przy metalowym, przytwierdzonym do podłoża stoliku już siedział mężczyzna w więziennym kombinezonie. Zaraz za nim stał drugi strażnik.

– Zapewniano mnie, że to będzie rozmowa w cztery oczy. – Karot zatrzymał się w progu. – Mówimy tu o tajemnicy państwowej...

Strażnik wzruszył ramionami. Oparł się bokiem o ścianę i położył dłoń na kaburze.

– Dyrekcja więzienia nie wyraziła zgody. A ja, proszę mi wierzyć, nie zamierzam się przysłuchiwać.

Karot był w kropce. Przy wejściu zdał nawet telefon komórkowy, więc jakakolwiek próba skontaktowania się z Bielawskim albo Knapem stanowiłaby trwonienie cennych minut.

Bez namysłu podszedł do stolika i odsunął krzesło. Za pomocą metalowego łańcucha zostało przytwierdzone do podłoża. Na wypadek gdyby ktoś chciał się nim bronić, atakować albo próbować wyważyć drzwi. Zapewne w historii więziennictwa każda z tych sytuacji miała miejsce.

– Nazywam się Edmund Karot – odezwał się, siadając. – Jestem cywilnym współpracownikiem policji. Psychologiem.

Fajsal ibn Husajn odjął od twarzy skute dłonie i spojrzał na niego obojętnym wzrokiem. Rzeczywiście nie przypominał araba. Miał co prawda ciemne oczy, ale dość jasną karnację i włosy w kolorze orzecha. Prosty nos, wąskie usta i wydatne policzki sprawiały, że mógł się zgubić w tłumie przeciętnych Polaków. Jedyne kruczoczarny, gęsty zarost zwracał uwagę. Wyglądał jak sztuczna broda doczepiona do twarzy podrzędnego aktora.

– Teraz podejrzewacie, że jestem świrnięty? Chcecie mi dać żółte papiery?

Jego mowa również nie nosiła śladów obcego akcentu. Bez wątplenia mógł być mężczyzną, który stworzył nagrania. Gdyby tylko w najpilniej strzeżonym więzieniu w Polsce udostępniono mu sprzęt i pozwolono na kilka dni urlopu.

– Nie. – Karot się uśmiechnął. – O ile wiem, nie ma żadnych zastrzeżeń co do pańskiej kondycji psychicznej.

– A szkoda. Bo te cztery ściany przyprowadzają mnie o wariactwo.

Karot położył dłonie na stoliku i wyprostował się. Od Fajsala dzieliło go nie więcej niż siedemdziesiąt centymetrów. Powinien sprawiać wrażenie jak najbardziej szczerego i otwartego na wszelkie możliwe scenariusze. Zapewniono go, że osadzeni nie mają pojęcia o zamachach, a wiadomości im przekazywane są ściśle filtrowane. Takie obostrzenia dotyczyły tylko bloku terrorystycznego i w tych okolicznościach mogły się okazać wyjątkowo przydatne.

– Jaka była pańska rola w organizacji terrorystycznej? – Karot przesunął się nieco bliżej. Tworzył wrażenie intymności rozmowy, a zarazem nie przekraczał dystansu bezpieczeństwa. – Państwo Islamskie, zgadza się? Wcześniej Front Al-Nusra? Dlaczego jest pan dla nich tak ważny?

Fajsal z rezygnacją pokręcił głową.

– Ja ważny? Nie mam z tym nic wspólnego, zostałem z kimś pomyłony albo specjalnie mnie wrobiono.

Najpierw zakwestionował swoją ważność, a dopiero później sam udział. Wymowne, pomyślał Karot.

– Udaremniliśmy próbę odbicia pana z więzienia. – Zdawał sobie sprawę, że błąd to ryzykowna zagrywka. Jednak jeżeli chciał się czegośkolwiek

dowiedzieć, musiał grać ostro. – Mamy mnóstwo dowodów, że chodziło im właśnie o pana. Nie podkłada się bomb dla kogoś wrobionego.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

Rozluźnienie palców i napięcie kajdanek mogły świadczyć o stresie. Spuszczony wzrok o braku przekonania. Nieco przechylona na bok głowa i przełknięta głośno ślina o tym, że poruszyli niewygodny temat. Każdy z tych gestów wiązał się także z kłamstwem.

– Dlaczego nie chce się pan przyznać? Większość z was robi to od razu, z dumą akcentując poświęcenie dla... nazwijmy to: wiary. Nie zaprzecza pan chyba, że jest muzułmaninem.

– Mówiłem, że urodziłem się w Tunezji.

– To niczego nie przesądza.

– Jednak pan nie zaprzeczył.

– Bo oczywiście, że jestem muzułmaninem. Od lat mieszkam w Polsce, ale wiary się nie zmienia. Tyle że nie trzeba się przez nią od razy wysadzać. Prawda?

Kręcenie młynkiem palcami, chrząkanie i spojrzenie uciekające gdzieś w róg pomieszczenia. Kolejne symbole niepewności, lecz również kłamstwa. Karot postanowił przejść do sedna. Wszystko albo nic. Karty na stół.

– Może nie taka była pańska rola? – Pochylił się nad stolikiem. – Pan wcale się nie miał wysadzić. Ale za to wysyłał pan innych z pasami szahida albo bombami w plecakach? A może konstruował bomby? Opracowywał plany? Werbował nowych członków albo ich szkolił? Co?

Każde z pytań Karot zadawał po krótkiej przerwie. Obserwował przy tym najdrobniejszą reakcję Fajsala. Mężczyzna nie okazał jednak żadnych niespodziewanych emocji. Wciąż był zdenerwowany, wciąż unikał kontaktu wzrokowego i kręcił palcami. W tych okolicznościach nic nadzwyczajnego.

W drodze do więzienia Karot przemyślał możliwe role w organizacji terrorystycznej. Od szeregowca przez współpracowników po same szczyty. Wszystkich Bin Ladenów, Nasrallahów i innych. Nakłuywał nimi ego Fajsala, ale czuł, że za każdym razem nie trafia w sedno. Omijał wrażliwe nerwy i nie wzbudzał wyraźnych reakcji. Pozostała mu jeszcze tylko jedna opcja. Ostatnia karta, która ostała się w niezbyt szerokim rękawie.

– A może był pan odpowiedzialny za ich finansowanie?



Tym razem wzrok Fajsala powędrował po twarzy Karota. Kąciki jego ust delikatnie drgnęły. Wyprostował się i odgiął delikatnie ramiona. Niechybne znaki prezencji, mówiące „oto ja”, „jestem z siebie dumny”.

– W dupie mam wasze domysły.

Błysk w oku Fajsala zgasł tak szybko, jak się pojawił.

## 8.

Knap z kubkiem wody przemierzał główny korytarz komendy. Nie złamał się i nie skusił na kawę, choć zaproponowano mu ją już chyba milion razy. Pod pretekstem, że przydałoby się coś, co go rozbudzi. Albo, co gorsza, co uporządkowałoby jego myśli. Dlaczego akurat kawa? Podnosi ciśnienie i bardziej mąci zmysły, niż je prostuje. Zwiększa poziom adrenaliny, w której niemal już się topił.

Był rozczarowany. To uczucie najlepiej oddawało jego stan. Alina Zmysłowska do niczego im się nie przydała. Ani razu nie widziała twarzy porywacza, a za każdym razem, gdy słyszała, że z kimś rozmawia, korzystał z syntezy. Pewnie tego samego, którym zniekształcił nagrania. Miał go nawet wtedy, gdy pojawiał się w pomieszczeniu, gdzie przetrzymywał ją z dziećmi. Dbał o zachowanie anonimowości i doskonale mu się to udało.

Materiał biologiczny znaleziony w składzie budowlanym również nie nastrajał optymistycznie. Wszystko wskazywało, że mają do czynienia nie tylko z fanatykiem, ale przede wszystkim z profesjonalistą. Z osobą, która planuje każdy swój krok. A przede wszystkim nie popełnia błędów.

Czy był to samotny wilk, czy głos całej organizacji ubiegającej się o wolność swoich członków? Szalenciec czy chłodno kalkulujący islamski dewot? Udzielanie odpowiedzi Knap uznał za wybieranie między dzumą i cholera.

– Pańska prasa...

Sekretarka musiała mieć detektor jego kroków. Gdy tylko przechodził obok jej gabinetu, wynurzyła się i zamachała dwiema gazetami. Obie były

darmowe, a w okolicy kolportowali je uczniowie pobliskiego liceum. Inspektor prosił, żeby je od nich odbierać i zostawiać mu w gabinecie. Co prawda upchnięto w nich więcej reklam niż treści, ale uznał, że dzięki temu nastolatki poczują się potrzebni. To się nazywała prawdziwa praca u podstaw. I szkoła charakterów w jednym.

– Dziękuję.

Knap odebrał gazety i skierował się na dół. W akwariu praca musiała biec swoim zwykłym tokiem. Wolał skontrolować, jak się mają sprawy w nowo zaaranżowanym centrum operacji. Ku swemu zdziwieniu zastał w nim tylko Nawrocką i Bielawskiego. Wymieniali właśnie gorączkowo uwagi i nie zauważyli jego wejścia.

Wymownie siorbnął z kubka wodę i zgniótł pustą tekturę. Wyrzucił ją do śmietnika.

– Błagam, powiedzcie, że coś macie i że nie muszę czekać kilku godzin na wyniki z laboratorium. – Kiedy już zdobył ich uwagę, ruszył w stronę biurka Nawrockiej. – Bóg dał mi cierpliwość, ale poskąpił czasu.

Greta przemilczała tę sentencję. Jednak jej usta wydeły się przez moment w ledwie dostrzegalnym uśmiechu.

– Edmund dzwonił z więzienia – oznajmiła bez ogródek. – Właśnie rozmawiał z tym całym F-Fajsałem i przedstawił ciekawą koncepcję. Twierdzi, że Fajsał miał coś wspólnego z finansowaniem zamachów.

– Krótko mówiąc, chcą go wyrwać, bo skończyła się kasa – dokończył za nią Bielawski. – Albo boją się powiedzieć, że w sumie to sponsorują ich żydowskie banki. Albo...

Knap minął komisarza i ukradkiem odkaslnął niebezpiecznie zbierającą się w przełyku ślinę. Rzucił gazety na biurko. Jedna z nich zsunęła się i spadła na kolana Nawrockiej. Inspektor wykonał ruch w jej stronę, ale w ostatniej chwili powstrzymał się przed sięgnięciem. Skonsternowany cofnął rękę i bąknął coś, co pewnie było przeprosinami.

– Nie ma za co!

Nawrocka, powstrzymując wybuch śmiechu, podniosła gazetę i zamachnęła się, by złożyć ją na pół. Wtedy, przez ułamek sekundy, coś przykuło jej wzrok. Rozłożyła strony i spojrzała na nie z odległości. Typowy odruch dalekowidza, który nie ma na nosie okularów. Nie zobaczyła niczego ciekawego, a jednak dziwne wrażenie pozostało.

Przyglądała dłonią pomarszczoną stronę.

– Jakieś fajne wyprzedaje? – Bielawski jak zwykle zaśmiał się z własnego dowcipu. – Czy nie może pani uwierzyć, że inspektor czyta tę szmirę? To akt dobrej woli i...

– Ciii! – Nawrocka przyłożyła palec do ust.

Odwróciła się w stronę ściany i jeszcze raz powoli zaczęła przeglądać informacje na obu stronach. Trzecią część obu zajmowały reklamy. Poza tym zamieszczono wywiad z nieznanym jej poetą oraz rozkład wydarzeń kulturalnych. Niby nic ciekawego.

Zacisnęła wargi i wczytała się w kilkunastopunktowy program. Musiało być coś, co zwróciło jej uwagę. Raczej nie interesowała się współczesną poezją, koncert rapowy również odbiegał od jej gustów muzycznych. Podobnie spotkanie graficiarzy, wieczór fanów joggingu i...

– Jezu.

– Co takiego? – Knap nachylił się, chcąc zerknąć na gazetę.

– W samo południe ciszy k-krwawej. – Nawrocka spojrzała na niego pustym wzrokiem. Jej mózg najwyraźniej jeszcze analizował ostatnie informacje. – Tak powiedział w nagraniu zamachowiec. Że dokona zamachu w samo południe ciszy krwawej. Nie zwrócili-liśmy na to uwagi.

– Ale? – Bielawski teatralnie przewrócił oczami. Czekał raczej na okazję, żeby ją wykpić, niż pogratulować odkrycia. – Śmiało, czekamy na propozycje. Niech się pani nie spieszy...

– Patrzcie. – Nawrocka położyła gazetę na stole i wskazała dolne linijki tekstu. – Południowe spotkanie religijne pod wezwaniem ciszy krwawej. Pałac Kultury i Nauki. Spotkanie w holu, a następnie przemarsz do wybranej sali, gdzie odbędzie się przedliturgi-giczne czuwanie.

– Pałac Kultury i Nauki? – Knap przetarł twarz dłońmi. – Sugeruje pani, że chcą wysadzić Pałac Kultury i Nauki?

Nawrocka skinęła głową. Gdyby Karot mógł teraz dokonać analizy mowy jej ciała, stwierdziłby, że jest uosobieniem pewności siebie. Po zahukanej, wiecznie uciekającej w świat nauki myszce w trakcie rozvodu nie było śladu. Jednak Nawrocka po raz pierwszy od dawna czuła się naprawdę potrzebna. Miała na świecie do odegrania swoją rolę, dla której „Zapach głosu” stanowił jedynie tło.

– I to za równą godzinę – dodała. – Choć z pewnością zrobi wszystko, żebyśmy nie zdążyli go ewakuować.

Knap rzucił się do wyjścia.

## ODCINEK 7.

### 1.

**WIELKI PIĄTEK**

**GODZINA 11:01**

**CZTERY GODZINY PO ZAMACHU**

*– Południowe spotkanie religijne pod wezwaniem ciszy krwawej? – Zawada przegładził rękoma gładko ogoloną twarz i westchnął. Razem z Knapem przemierzali korytarz komendy policji. Kilka kroków za nimi podążała Greta Nawrocka. – To brzmi jak spotkanie jakiejś sekty. Albo wydarzenie podobne do tych debilnych dowcipów na Facebooka. Kojarzy pan, inspektorze? W tym roku sylwester u prezydenta albo warsztaty angielskiego u kogoś tam. Dla każdego coś miłego.*

Knap pchnął drzwi do sali operacyjnej. Na chwilę zatrzymał się w progu.

– Nie wiem, o czym mówisz – mruknął. – Ale wolę dmuchać na zimne.

– Moi przełożeni nie będą do tego przekonani.

– Mam wystarczającą liczbę swoich ludzi. Jeżeli Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego woli trzymać się od tego z daleka, rozumiem. Wystarczy, że w razie wpadki polecą moja głowa. Proszę się nie martwić.

Zawada zatrzymał się tuż obok Knapa. Położył dłoń na klamce i spuścił głowę.

– Nie w tym rzecz, inspektorze.

– A w czym? – Knap wszedł do środka i powiódł wzrokiem po zebranych na sali funkcjonariuszach. Kilkanaście osób uwijało się w ukropie przy telefonach, drukarkach i faksach. Nie czekając na odpowiedź Zawady, odezwał się podniesionym tonem: – Uwaga! Słuchajcie mnie wszyscy!

Zmęczone spojrzenia obróciły się w jego stronę.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia. – Knap odwrócił się do Nawrockiej, jakby szukał u niej wsparcia. – Musicie rzucić wszystko. Zorganizujcie natychmiastową ewakuację Pałacu Kultury. Kto może, niech jedzie na miejsce. Sprowadźcie tam pirotechników i grupę uderzeniową. Poza tym całe zaplecze, karetki, straż. Wiecie, o co chodzi.

Wiedzieli. Kilka osób zabrało się do notowania, kilka pokiwało głowami. U wszystkich było widać bezgraniczną determinację. W ciągu ostatnich godzin biuro operacji wypełniło się stertami akt, luźnych dokumentów i notatek. Podobnie jak w utworzonym przez Knapa centrum dowodzenia cztery piętra niżej, tu też pośrodku stała tablica z nabazgranymi markerem hasłami. Inspektor przypuszczał, że Bielawski w ten sposób koordynował działania obu ekip. Człowiek z notatnikiem, jak często nazywano go za plecami, potrzebował wszelkich form zapisu informacji. Knap jednak nie miał pojęcia, gdzie się teraz podziewa. Chwilowo uznał jego obecność za zbędną.

– Odetnijcie wszystkie okoliczne ulice – kontynuował, dostrzegłszy nerwowe zaciskanie rąk przez Nawrocką. – Plac Defilad, dworzec autobusowy, przejście przy metrze. Wszystko.

– Zablokujemy Warszawę. – Policjant o kwadratowej twarzy ulicznego zakapiora założył dłonie za głowę. Koszula opięła się na jego bicepsach. – Zrobimy totalny paraliż.

Knap bezradnie rozłożył dłonie.

– I dlatego, że zdajesz sobie z tego sprawę, będziesz tym dowodził.

Uśmiechnął się ponuro, po czym odwrócił się w stronę drzwi. Giętkim krokiem przemaszerował między Nawrocką i Zawadą. Ich miny obrazowały dokładnie to, co sam odczuwał. Z jednej strony determinację i zniecierpliwienie, a z drugiej powątpiewanie. Jednak skoro już zdecydował, nie było odwrotu.

– Wyznaczcie objazdy – rzucił za siebie. – I to natychmiast. Wszyscy do roboty! Poza tym – zwrócił się ciszej do Zawady – niech pan skontaktuje się z przełożonymi. Domyślam się, że to od nich ministerstwo czerpie wszystkie informacje.

– Pewnie tak... – Agent ruszył za Knapem. Włożył dłonie do kieszeni i wymownie westchnął. – Nie chciałbym robić za wtykę, ale muszę przekazywać wszystkie wiadomości. Proszę mi tylko...

– Taka pańska rola. – Knap przyspieszył kroku. – Proszę się nie tłumaczyć. Powiedziałem, że wszystko biorę z pełną odpowiedzialnością na siebie.

– Nie zamierzam zrobić z pana kozła ofiarnego.

– Pańscy przełożeni już to zrobili.

Inspektor zerknął na okienko nad wyjściem z windy. Czerwone zero oznaczało, że na kabinę musieliby czekać co najmniej pół minuty. Nie zatrzymując się, skierował się w stronę schodów. Zaczepił kilka oddechów, jakby chciał się upewnić, że starczy mu sił na zbieganie. Nie zakasłał. A to była podstawa.

Jednak jego formę obrazowało tempo, w jakim minęło ich kilku policjantów. W zbieganiu po schodach był przy nich jedynie zdziadziałym amatorem. Dyszącym i wspierającym się na barierce. Spowalniającym całą operację. Chory wilk na czele stada. Zawada, nieważne, co mu dolegało i czym się faszerował, zasuwał dziarsko jak komandos. Nawet Greta Nawrocka z wyraźną troską zwalniała, byle tylko dopasować się do jego możliwości.

Żałość.

Zeskoczył z ostatnich trzech stopni. Wyglądało to raczej cyrkowo, ale na szczęście nic sobie nie zrobił. Jednocześnie niczego nikomu nie udowodnił. No, może tylko to, jak bardzo chciałby wrócić do czasów, gdy młody i zwinny zaliczał kolejne szkolenia terenowe z notą celującą, niejednokrotnie ocierając się o rekordy wojewódzkie. A potem, jak na zawołanie, coś w nim pękło. Z miesiąca na miesiąc zdziadział i wlaź na równię pochyłą. Cóż, nic dziwnego, skoro pokolenie jego syna wkraczało w siłę wieku.

Właśnie, Michał. Nie miał nawet czasu do niego zadzwonić i upewnić się, że...

Szarpnął klamkę samochodu i starał się skupić na tym, co robi. Musiał przestać martwić się o Michała. Zdał sobie sprawę, że Zawada i Nawrocka przez cały czas toczą ze sobą zażartą dyskusję.

– Nie było w historii takiego zamachowca, który by dawał poszlaki. – Agent obiegnął auto i otworzył tylne drzwi. – Ani Unabomber, ani inne świry nie bawili się w kotka i myszkę. Po co mieliby to robić?

Nawrocka, nie zatrzymując się, weszła do radiowozu.

– Co pani robi? – Knap uruchomił silnik. W lusterku uchwycił spojrzenie analityczki. – Lepiej, żeby...

– Wie pan, że kiedyś byłam negocjatorem. – Nawrocka przesunęła się, robiąc miejsce Zawadzie. – Nie mamy czasu, żeby sprowadzać kogokolwiek z zewnątrz. Mogę się przydać.

Inspektor ruszył z piskiem opon. Pas wcisnął w jego pierś Pismo Święte. Nie wiedział, czy podjął słuszne decyzje, ale nie miał teraz czasu tego roztrząsać. Możliwość analizowania to luksus, na który mogli sobie pozwolić politycy. Sam musiał się zdać na opatrność.

– Jak każdy – szepnął. – Przyda się pani jak każde dziecko Boże w tej walce z Szatanem.

Mistrz bon motów – pomyślała Nawrocka.

## 2.

Daniel Nalepa otarł serwetką utyłaną w tłuszczu dłoni. Opakowanie po frytkach z KFC leżało przed nim na biurku. W środku zostało już tylko kilka okruchów. Postanowił, że przynajmniej ich nie będzie wybierał. Jak na Wielki Piątek to marne wyrzeczenie, ale nie zamówił w końcu kubelka skrzydełek. Musiał mieć przecież dość siły, siedzieć w robocie i nie zasnąć. Musiał być uważny i czujny.

Musiał być...

Kolejną usprawiedliwiającą myśl przerwał dzwonek telefonu. Przez chwilę wahał się, czy to leżący na biurku samsung, czy jego komórka. Ten pierwszy był nowym zakupem zarządu, w drugim poprzedniego wieczoru przez przypadek zmienił dzwonek. Wskazówką do rozwiązania zagadki był wygaszony ekran telefonu na biurku.

Nalepa westchnął. Po spałaszowaniu frytek zrobił się jeszcze bardziej śpiący niż wcześniej. Cholera, zamiast tłuszczu potrzebował kawy. Wielkiego kubka. Albo jeszcze lepiej całego wiadra.

O, tak. Całego wiadra.



Wyjął komórkę i przez chwilę przyglądał się niewielkiemu wyświetlaczowi. Tłusty palec zostawił na nim smugę.

Kaśka.

Westchnął po raz kolejny i nacisnął klawisz odbioru.

– Czego dusza pragnie? – Przełknął ślinę i stłumił beknęcie. Tego jego żona nie znosiła, a po trzech latach małżeństwa udało jej się na niego wpłynąć, by choć czasem się pohamował.

– Będiesz dzisiaj wcześniej?

W piskliwym głosie kryła się nadzieja. Wczoraj podsycił ją zapewnieniami, że jego zmiennik ma się pojawić już w południe, a nie o czternastej, lecz było to czcze gadanie. Nie porozumieli się. W firmie wciąż traktowano go jak chłopca od czarnej roboty. O urlopie w Wielki Piątek nawet nie było mowy. Nikogo nie obchodziło, że Kaśka chce go zabrać na święta do swoich rodziców, ani to, że ci mieszkają w Londynie, a oni wykupili bilety na kwadrans po siedemnastej. Pół roku temu, żeby było tanio i pewnie.

– Jeszcze nie wiem. – Nalepa zmiął opakowanie po frytkach i cisnął je do śmietnika. – Pojawiły się problemy i moja obecność może okazać się konieczna...

– Ale wczoraj obiecywałeś!

– Nic na to nie poradzę. Przecież...

Kaśka nie dała mu skończyć. W małżeństwie był takim samym popychadłem jak w pracy.

– Wiesz, że przed szesnastą musimy być na lotnisku. Wiedziałeś to, do cholery, od paru miesięcy!

– Wiem, i nie spóźnimy się.

Nalepa podniósł się od biurka i zerknął na rząd ekranów. Obrazy z kamer nie pokazywały niczego nadzwyczajnego. Jak zwykle. Ostatnią interwencję przeprowadził, gdy dwóch gówniarzy chciało rozkręcić kraty ochronne na tarasie widokowym. Dał im wtedy nieźle popalić. Na tyle, że sprawa mogła się otrzeć o policję, ale rozeszło się po kościach. Wtedy przynajmniej czuł władzę.

– Zdamy, jak bum-cyk-cyk – zapewnił. – O nic się nie martw.

– Nie martwić się? Z tobą się nie da.

Nim zdążył zaprotestować, Kaśka się rozłączyła. Nalepa gniewnie wcisnął komórkę do kieszeni i pchnął krzesło. Pieprzone święta. Zapowiadał się prawdziwy rodzinny spęd, zakończony monstrualną klapą i paroma godzinami naśmiewania się z niego przez braci Kaśki. Tępe bufony. Nie rozumieją jego żartów, a ich jedynym celem w życiu jest sranie powyżej własnych tyłków. Tylko dlatego, że studiują na brytyjskiej uczelni, zarabiają brytyjską pensję i mówią z udawanym angielskim akcentem.

Tępe gnojki.

Pieprzone, tępe gnojki.

Opadł na krzesło dokładnie w momencie, gdy telefon ponownie zadzwonił. Tym razem nieco głośniej i bardziej jazgotliwie. Do tego ekran samsunga się rozjaśnił.

Bingo. Delektując się chwilową władzą, niespiesznie odebrał.

– Ochrona, słucham?

– Co ty tam robisz? Dzwonię i dzwonię! – Ton jego szefa nie brzmiał obiecująco. Na pewno nie zamierzał mu przekazać informacji, że lada chwila ktoś go zamieni.

– Jestem tu i...

– Gówno tam. – Szef zmiany kipiał. – Dzwoniła do mnie policja, i to jakieś kurewskie szychy. Nie działa się dzisiaj nic niezwykłego?

– Nie.

– Jesteś pewny, że niczego nie przegapiłeś?

Nalepa głęboko nabrał powietrza. Czuł, że się poci pod pachami. Nie zszedł ze stanowiska nawet na minutę. Raz pobiegł się wysikać, ale trwało to maksymalnie kilkanaście sekund. Kibel był tuż obok.

– Nie – zapewnił z przekonaniem. – Co się stało?

Szef parsknął w słuchawkę. Był wściekły.

– Przejrzyj zapis kamer z ostatniej godziny. Rozumiesz? Szukaj czegokolwiek lub kogokolwiek podejrzanego.

– Czego konkretnie mam szukać? Co się dzieje?

Kolejne parsknięcie.

– Możemy mieć przejebane. – Szef nie był skory do precyzyjnych wyjaśnień. – PRZEJEBANE.

Nalepie nie trzeba było powtarzać, by zrozumiał, że jest bardzo źle. A nawet dużo gorzej niż źle i że być może właśnie uratowano go od

świętecznej katorgi u teściów.

W końcu nie ma tego złego, co by...

### 3.

– Grupa antyterrorystyczna nie dotrze przed nami. Nie zdążą zebrać manatek i przebić się przez miasto. Landau robi, co może, ale nie zakrzywi czasoprzestrzeni.

Knap nie miał pojęcia, dlaczego tłumaczy się Zawadzie. Może chodziło też o to, że po trosze tłumaczył się przed samym sobą. Skoro okazało się, że jego ludzie przy domu Zmysłowskich tworzą tylko zbędny tłum, powinien ich odwołać. Tymczasem zabezpieczał tyły, odgrywając tam szopkę. Pycha zawsze się mściła. Czuł wewnętrzną potrzebę sięgnięcia do Biblii. Kilka wybranych na chybił trafił wersów powinno go uspokoić. Zamiast tego, gorączkowo zaciskał dłonie na kierownicy i skupiał się na drodze. Z biegiem lat nie tylko forma fizyczna wali się na łeb. Kiedyś rwał się do prowadzenia, a teraz cały zlany potem marzył o tym, żeby dotrzeć na miejsce i wysiąść z auta.

Zdażyły ich już wyprzedzić dwa nieoznakowane radiowozy i furgonetka. Kilka kolejnych słychać było coraz mocniej z tyłu. Po raz kolejny nie mieli ściśle nakreślonego planu. Opierali się na skojarzeniu Nawrockiej i czystym przypadku. Nie ma co ukrywać, że to słaby fundament.

A mimo to Knap miał przecucie, że postępuje właściwie. Wcześniej towarzyszyła mu niepewność, lecz odkąd wyjechali z parkingu komendy, wstąpiła w niego nowa energia. Narastała z każdym metrem, gdy byli bliżej celu.

Wyminął sznur aut i już prawie u celu, jak za najlepszych lat, przeciął kilka pasów ruchu. Lawirując między autobusami, wjechał na chodnik i ostatnie kilkadziesiąt metrów pokonał po trawniku. Zawieszenie opłajało z wysiłku, a opony ślizgały się na wilgotnej trawie. Jeden nieopatrzny ruch kierownicą skierowałby ich prosto na szpaler bezlistnych drzew.

Knap odzyskał przyczepność dopiero na trotuarze przed głównym wejściem. Niedaleko stał już wóz straży pożarnej oraz radiowozy, które ich wcześniej minęły.

– Niech pani na razie zostanie w środku.

Knap odwrócił się do Nawrockiej, ale ta nie posłuchała. Szybko wyszła z auta i skierowała się w stronę budynku.

– Oddam się do pańskiej d-dyspozycji w PKiN-ie.

– Tutaj! – Knap niechętnie podniósł głos. Natychmiast w duchu się za to zganił. – Musi pani poczekać przed wejściem. Inaczej będę zmuszony...

– Okej.

Nawrocka ostentacyjnie zatrzymała się w pół drogi i wyciągnęła z kieszeni papierosa. Inspektor posłał jej przepaszające spojrzenie, ale zaraz się odwrócił. Nie chciał, żeby Zawada dostrzegł jego zdenerwowanie.

– Szybko...

Powiódł wzrokiem w górę po fasadzie monumentalnego pomnika socjalizmu. Prawie ćwierć kilometra hołdu dla zbrodniczego, szatańskiego systemu. A teraz to...

W momencie, gdy zbliżył się do wejścia, drzwi się otworzyły i ze środka wypadł tłum ludzi. Trzech policjantów starało się nad nimi zapanować, ale udawało się im jedynie kierować ich ku klatkom schodowym.

– Panie inspektorze! – Wysoki jak tyczka sierżant wykonał coś na kształt ukłonu. – Szef ochrony jest na miejscu. Już czeka.

Knap jeszcze raz zerknął za siebie. Greta Nawrocka patrzyła w jego stronę i zaciągała się papierosem. Uniosła lewy kciuk. W tej sytuacji nawet pluton posiłków byłby wart tyle samo co kopnięcie w tyłek na szczęście.

Knap przepchnął się między pospiesznie wychodzącymi ludźmi i szarpnął za boczne drzwi. O dziwo, ustąpiły. Że też wszyscy na oślep podążali za sobą...

– Gdzie ta...

Nie musiał kończyć pytania. Pomieszczenie ochrony mieściło się dosłownie kilka kroków od niego. Częściowo przeszklona budka stanowiła przedłużenie jednego z pomieszczeń. Drzwi były otwarte, a gruby, przypominający zapaśnika mężczyzna rozmawiał obok nich z jednym z policjantów.

– To ochroniarz – wyjaśnił funkcjonariusz. – Jest w budynku od szóstej rano.

Knap gestem dał znać, żeby weszli do biura. Po chwili zamknął za wszystkimi drzwiami i przyjrzał się ochroniarzowi. Do granatowego mundurku miał przypiętą tabliczkę z imieniem i nazwiskiem. Daniel Nalepa.

Zawada natychmiast przeszedł do rzeczy.

– Ma pan tu jakąś listę gości? Wydarzeń kulturalnych? Cokolwiek?

Ochroniarz nerwowo splótł dłonie.

– Jest rozpiska wynajmu sal. To właściwie tyle...

– Którą zarezerwowano na spotkanie religijne? – Knap uznał, że należy doprecyzować. – Odbywa się pod wezwaniem ciszy krwawej. Ale mogli to podać inaczej... Podobno sala jeszcze wczoraj nie była znana.

Nalepa podszedł do ściany i zdjął zawieszony na stalowym bolcu kalendarz. Na całej stronie rozpisano kolejne wydarzenia. Ochroniarz przeciągnął po niej palcem, wreszcie zabębnił nim na wysokości jednej z ostatnich linijek.

– Mam.

– Tak?

Knap i Zawada wymienili spojrzenia. Ochroniarz nie był zbyt rozgarnięty, a jego mózg, choć pracował na pełnych obrotach, co chwilę się zawieszał. Przez kilka sekund tkwili w zupełnej ciszy. Wreszcie Zawada nie wytrzymał i cicho zaklął.

– Nie mamy czasu! – warknął wyraźniej.

Nalepa odsunął kalendarz i zmarszczył czoło.

– Zaraz, kurwa, nie wiem. – Powiódł wokół furiackim wzrokiem. Niewiele brakowało, żeby wpadł w totalną panikę. – Przepuszczałem dziś trzy grupy turystów, mam tu jakiś burdel, potem...

Zamilkł. Przełknął ślinę, a jego grdyka przeskoczyła nad krzywo zawiązanym węzłem krawata. Z pewnością należał do ludzi, którzy zamiast wiązać, zakładają go zawsze przez głowę.

– Zaraz, chwileczkę. – Ciężko sapiąc, pochylił się nad klawiaturą. Kilka razy kliknął i powiększył obraz jednej z kamer.

– Co się stało? – Knap stanął tuż za nim.

Nalepa ponownie otarł pot z czoła.

– Proszę spojrzeć. Chyba mamy problem.

#### 4.

Knap zerknął na monitor. Obraz był kolorowy i w całkiem dobrej jakości. Na systemie monitoringu najwidoczniej nie oszczędzano. Co z tego, skoro przed kilkanaście laty grupa mężczyzn przebranych za księży bez problemu skoczyła ze spadochronami z trzydziestego piętra budynku. Wystawili całą ochronę na pośmiewisko i wywołali ciekawą społeczną dyskusję. Czy robiąc coś nielegalnego, czym nikomu nie zaszkadzili, powinni podlegać karze? W końcu nikt by ich pewnie nie złapał, gdyby sami nie ujawnili w internecie filmików ze swoich skoków.

Etyka. Moralność. Pytania o to, czy skoczkowie mogli zrobić krzywdę tylko sobie, czy również postronnym osobom. Jediną konsekwencją ich poczynań okazało się podniesienie okratowania tarasu widokowego i zlikwidowanie elementów umożliwiających wspinaczkę. Filmiki ze skoku i przygotowań do niego stały się w sieci hitami. Michał twierdził, że oglądano je na całym świecie, i to miliony razy. Przez kilka dni, może tydzień, co w internetowej rzeczywistości zdawało się wiecznością, Pałac Kultury i Nauki został wypromowany w każdym zakątku globu. Nie jako spuścizna stalinizmu, ale jako centralny punkt stolicy Polski. Syn Knapa postulował postawienie przebierańcom kilku flaszek w dowód uznania akcji marketingowej.

Inspektor zamrugał. Przez ułamek sekundy jego myśli zboczyły na tor tych wspomnień. Zmęczenie brało górę i wprowadzało chaos. Ważne, że niewidzialna dłoń dała sobie spokój z jego gardłem. Duszność znikła. Mógł oddychać bez przeszkód, jak dawniej.

– To do tej sali wchodził ludzie. – Nalepa z przekonaniem wskazał na ekran. – Zwróciłem na nią uwagę, bo w grafiku jest pod pozycją „zarezerwowano”. Zazwyczaj wpisujemy nazwę najemcy, ale tym razem zaklepał chyba kilka sal...

– Czy widział pan, żeby ktoś stamtąd wychodził? – Zawada po raz kolejny wymienił z Knapem porozumiewawcze spojrzenia. – Może to spotkanie już

się skończyło?

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Zauważyłbym. – Nalepa jak zaczarowany wpatrywał się w ekran. – Na pewno bym zauważył. To nie był jakiś wielki tłum, ale sala może pomieścić co najmniej sto osób.

– Ile ich weszło? – dopytał Knap.

Ochroniarz podrapał się w czoło. Przyglądził palcami tłustawe włosy i cicho cmoknął.

– Nie wiem. Nie muszę pobierać przepustek od zorganizowanych grup, nie trzeba też biletów ani niczego takiego.

– A na oko? W porównaniu do innych grup?

– A bo ja wiem... – Nalepa starał się zebrać myśli. Teraz nerwowo gładził się po podbródku. – Pięćdziesiąt. Może siedemdziesiąt. Raczej nie więcej, bo ponad siedemdziesiąt to już cały korytarz, a nie musiałem nigdzie interweniować. Wiecie, panowie, czasem duże wycieczki całkowicie tarasują przejście...

Knap już go nie słuchał. Wyciągnął telefon i wypadł na zewnątrz. Jeden z aspirantów nadzorował właśnie wyprowadzenie ostatnich osób zebranych na parterze. Przez parę minut udało się opanować chaos i wprowadzić pozory dyscypliny. Ewakuacja przebiegała niemal podręcznikowo. Gdyby udało się jeszcze wyłowić z tłumu matki z najmniejszymi dziećmi, dostaliby szóstkę z plusem.

Inspektor uświadomił sobie, że nie ma przy sobie nadajnika. Wracanie do auta byłoby w tych warunkach głupotą, więc skierował się w stronę aspiranta. Zobaczył, że ten ma do munduru przytroczone przenośne radio.

– W ilu obstawiacie dół? – zapytał z daleka.

– Ośmiu – padła natychmiastowa odpowiedź. – Czekam na kolejnych ludzi...

– Proszę zabezpieczyć wejścia i nakazać wszystkim wolnym udać się pod salę numer sześćdziesiąt dwa. To dwudzieste siódme piętro.

Aspirant przepuścił ostatnich ludzi i obrócił się do Knapa.

– Mamy tam wejść? To w tej sali jest zamachowiec?

Inspektor pokręcił głową.

– Broń Boże. Musimy zaczekać na grupę szturmową.

– A jeżeli on na nich nie zamierza czekać?

– Nie wiem. – Knap odkaszlnął. Tylko raz, ale klatka piersiowa przez chwilę wydała mu się dziwnie sztywna. Jakby nałożono na niego ciasno dopasowane ubranie z betonu. – Najpierw musimy dotrzeć na to cholerne piętro – sapnął. – A przed chwilą unieruchomiono wszystkie windy.

Niech diabli wezmą procedury – pomyślał, ale nie powiedział tego na głos. Jakoś się tam dowlecze, choćby miał wyzionąć ducha.

## 5.

– Jeden ruch, jeden gest nieposłuszeństwa, a wszystkich was zastrzelę. Zrozumiano? Komórki na ziemię! Na ziemię! A teraz stańcie z rękoma rozłożonymi na boki. O tak. Właśnie. Rozproście się tak, żebyście obracając się wokół siebie, nikogo nie dotknęli. Ej, paniusiu, a ty co? Święta krowa? Dobrze. Teraz możecie opuścić dłonie i odpocząć. Jeżeli zbliżycie się do siebie na mniejszą odległość, zabiję was. Jeżeli drgniecie, zamienicie choćby słowo, zabiję was. Zabiję was jak pieprzonego psa, który dobiera się do mojej suki. Czy to jasne?

Mężczyzna z czarną pończochą na głowie przemaszerował wzdłuż ściany. Stawiał giętkie, ale nieco chybotliwe kroki. Rozglądał się bacznie po sali. Wreszcie dopadł do okien i jednym ruchem pociągnął sznurek opuszczający rolety. W pomieszczeniu zapanował półmrok.

Kolejna roleta ze stukotem spłynęła po szybie. Zaraz potem jeszcze dwie. Fioletowy materiał przepuszczał niewiele światła, a poza tym rozpraszał je, sprawiając wrażenie, jakby salę wypełniała mgiełka ciemnego kurzu.

Zamaskowany mężczyzna odchylił krawędź jednej z rolet i zerknął w dół. Co najmniej sto metrów niżej mrugały stroboskopy kilku radiowozów. Wokół kłębili się ludzie, a w głębi placu zebrali pierwsi gapie. Wyprowadzona z wieżowca grupka turystów wciąż pozostawała pod eskortą policji.

Zamaskowany mężczyzna gwałtownie się odwrócił. Ten ruch kosztował jego obciążone sprzętem ciało wiele wysiłku, ale musiał się upewnić, że



wszyscy dobrze zrozumieli. Nie mógł sobie pozwolić na bunt.

– Pięknie stoicie.

Rzeczywiście, odkąd ich ustawił, chyba nikt nie drgnął.

Przerzucony przez ramię plecak ciążył mu jak nigdy. Właściwie już podjął decyzję, nie było mowy o żadnym odwrocie, a jednak... Wątpliwości są ludzkim odruchem. Tak samo jak kwestia priorytetów, którą przez ostatnie dni zajmował się setki razy. Może nawet tysiące. Setki tysięcy.

Mężczyzna pochylił się i wyjął z bocznej kieszonki plecaka telefon. Zero. Żadnych nieodebranych połączeń ani wiadomości. A powinni już mieć jego numer. Przynajmniej tak byłoby, gdyby wszystko szło zgodnie z planem. A może jeszcze nie?

Jeszcze raz podświetlił ekran, żeby sprawdzić godzinę. Jedenasta trzydzieści jeden. Akcja trwała już od prawie trzydziestu minut. Do budynku udało mu się wejść bez problemu, a żaden z goryłowatych ochroniarzy nawet nie zwrócił uwagi na duży plecak. Tak samo na dziwnie usztywniony chód przez to, że wzdłuż tułowia i biodra trzymał schowany karabin. Zastawa M70, nazywana jugosłowiańskim kałasznikowem, była doskonałą bronią. Szczególnie jeśli miało się przy sobie sześć trzydziestonabojowych magazynków. Do tego wersja z kolbą składaną miała ponoć ułatwiać celowanie i usprawniać mobilność. Może tak, a może nie. Właściwie wolałby tego nie sprawdzać.

Zamaskowany przeszedł wzdłuż kolejnej ściany i zatrzymał się przy drzwiach. Wcześniej przysunął do nich biurko, ale tylko na tyle, by zablokować pierwszą próbę ich wyważenia. I dało mu czas na reakcję.

– Może te pieprzone władze się jeszcze nad wami zlitują? – Nachylił się w stronę cycatej brunetki z zaczerwienionymi oczami. – Jak myślisz? Tak czy nie? Skażą was na śmierć bez żadnych skrupułów? Tak?

Ostatnie pytanie zadał, niemal krzyżąc. Kropelki jego śliny musiały zbryzgać twarz kobiety, jednak ta nie była zdolna wydusić z siebie choćby słowa. Trudno.

Popatrzył po szarych twarzach dwóch mężczyzn w garniturach, aż zatrzymał wzrok na wysokiej modnisi. Długie, proste włosy sięgały jej niemal do pasa. Prostokątne oprawki okularów poszerzały niezbyt urodziwą twarz.

– Zgromadzenie pod wezwaniem ofiary krwawej? Ciszy krwawej? Czy jak temu tam? – zapytał ją ponownie, nie spodziewając się reakcji.

Tym razem odpowiedział mu pełen rozpaczy szloch. Chętnie by się dołączył i poszlochał wspólnie.

Jeszcze raz zerknął na telefon.

Nic. Cisza. Silencium.

Dłoń zaczęła mu się trząść na tyle, że musiał ją schować razem z komórką do kieszeni. Nikt nie powinien tego zauważyć. Ten krótki moment wahania jakby go otrzeźwił. Strach, że wszystko się posypie, działał jeszcze lepiej niż amfetamina, kokaina lub speed.

– Widzicie? – ryknął w stronę nasto-, może dwudziestolatki w bluzie z pacyfką i kolczykiem w brwi. – Widzicie, kurwa, jak bardzo głęboko mają was wszystkich w dupie?!

Zamaskowany mężczyzna zaczął głośno sapać. Jednym machnięciem zastawą wywołał rozpaczliwy pisk spędzonego do sali towarzystwa. Jednak to wcale mu nie pomogło. Nie szukał poczucia władzy, siły ani nie czerpał przyjemności z upokarzania.

Bał się.

Był pobudzony strachem, niepewnością i świadomością upływającego czasu.

Tik-tak. Tik-tak. Ciągłe brzęczało mu w uszach, choć w pobliżu nie było żadnego zegara, a jego kwarcowy casio na nadgarstku pracował w bezgłośnym cierpieniu.

Komórka. Może to rozsadzające czaszkę tykanie zagłuszyło jej dzwonek i właśnie przegapił najważniejszy telefon w swoim życiu? Po raz kolejny człowiek w masce obrócił w dłoni aparat. Wciąż nie było żadnych informacji o próbie skontaktowania się z nim.

Tykanie niczego nie zagłuszyło.

Po raz kolejny zamachnął się karabinem, jakby szykował się do rzezi. Znowu wywołał tym piski, spazmatyczny płacz i pojedyncze krótkie krzyki. Siedemdziesięciokilkulatek w kremowym garniturze i z węzłem czerwonego krawata, wbitym jak sznur stryczka w grdykę, zachwiał się. Zrobił krok do przodu, jakby zaraz miał runąć na ziemię. Nie odezwał się jednak nawet słowem. Natychmiast wrócił na miejsce i spuścił wzrok.

Człowiek w masce, mijając go, zwolnił i naprężył mięśnie. Zacisnął palce na kolbie karabinu. Niefrasobliwie podrzucił plecakiem, przypominając wszystkim, że tam czeka prawdziwa niespodzianka. Gdy znowu znalazł się przy drzwiach wejściowych, odezwał się zniechęconym tonem:

– Macie jeszcze dwadzieścia sześć minut. Choć zdaje się, że naprawdę nikogo nie obchodzicie. Premier nie zamierza ruszyć tu swojego dystyngowanego dupska, minister woli posuwać kochanki, a prezydent pewnie już zlecił redagowanie przemówienia, w którym będzie opisywał, jak bardzo was żałuje. Jak bardzo wasza ofiara nie poszła na marne i jak dumne powinny być wasze rodziny, że oddaliście życie za kraj. Zgadzaście się? Nie słyszycie już tych słów wypowiedzianych ponurym głosem i transmitowanych w każdej cholernej stacji telewizyjnej? A co powiedzą o mnie?

Człowiek w pończosze nagle dopadł do stojącego obok blondyna. Złapał go za podbródek, przyciągnął do siebie i jednym ruchem zwałił na ziemię. Ciężkim butem stanął na jego dłoni. Poruszył się i wbił podkutą podeszwę w zgięte palce. Rozległ się odgłos podobny do rozgryzania chrupkich lizaków.

– Wstawaj, kurwa! Nie zamierzasz chyba przeleżeć ostatniego kwadransa swojego życia?!

## 6.

Knap ledwo dyszał. Zarządził odblokowanie windy do piętnastego piętra, ale resztę drogi ze względów bezpieczeństwa pokonali schodami. Sala sześćdziesiąt dwa mieściła się niedaleko szybów wind. Prowadziły do niej drewniane, dwuskrzydłowe drzwi z mosiężną klamką. Wyłożone lastryko ściany korytarza zdawały się grube i nie zachęcały do poszukiwania alternatywnych sposobów wejścia. Tym bardziej że nad głowami policjantów ciągnęły się nieudolnie ukryte rury. Woda, gaz, nieczystości? Gdyby mieli to wszystko sprawdzać, zamachowiec mógłby zrobić jatkę w budynku i miałby jeszcze czas wystrzelać z okna mieszkańców paru

dzielnic. Widok z pewnością kusił, choć Knap już dostał informację, że w sali zasunięto rolety. Snajperzy przynajmniej chwilowo stracili możliwość działania.

Zgiął się w pasie i starał uspokoić oddech. Serce dudniło jak oszalałe, a w ustach zebrała się gęsta ślina. Na szczęście duszności nie zdołały go zatrzymać w pół drogi. Dwa kilkusekundowe przystanki wystarczyły, by kilku podwładnych zdążyło go wyprzedzić, ale i tak nie było źle.

– Za dziesięć minut będziemy mieć aparaturę nasłuchową.

Zawada już zdążył zapoznać się z sytuacją. Nie było widać po nim śladów wspinaczki po kilkunastu piętrach. Fentanyl musiał nie tylko odprężyć, ale i pobudzać. Może norweskie narciarki powinny rozważyć go zamiast środków na astmę? Knap wreszcie się wyprostował.

– To będzie dziesięć minut za późno – mruknął. – Co z grupą uderzeniową?

– Już jedzie – odparł Zawada. – To też kwestia minut.

Inspektor zerknął na wysłużonego orisa. Czerwona wskazówka sekundnika nieubłaganie parła do przodu. Powinien jak najszybciej podjąć decyzję, co robić dalej. Właściwie nie miał żadnego pojęcia o tym, co dzieje się w sali. Drzwi były zbyt grube, aby przez nie cokolwiek podsłuchać. Scena była absurdalna. Sześciu policjantów dzieliło kilka metrów od potencjalnego zamachowca. Równie dobrze w środku mogło nie być jednak nikogo. Nalepa sprawiał wrażenie ograniczonego umysłowo i Knap nie do końca ufał jego słowom.

Co robić? Może powinien po prostu zapukać i grzecznie wejść do środka. Cześć, dzień dobry, jestem inspektorem policji, poddajcie się.

Dlaczego zamachowiec nie przedstawił jeszcze żadnych żądań ani nie ogłosił wszem wobec, gdzie się znajduje?

Knap zerknął na oko kamery, której podgląd sprowadził ich na to piętro. Była zawieszona pod sufitem, kilka metrów od wind. Poruszała się w wąskim zakresie, by monitorować ruch na korytarzu i przy sali.

Przed wspinaczką powinien przejrzeć zapis z ostatniej godziny. To nie zajęłoby wiele czasu, a zyskaliby pewność. A tak? Opierali się na niezbyt przekonującym ochroniarzu i tym, że po ogłoszonej z głośników ewakuacji w sali mieli zostać odwiedzający. A jeżeli nagłośnienie nie zadziałało? Dlaczego nie uruchomiono syren alarmowych?

– Przepuść mnie, do jasnej cholery!

Kobięcy głos przywołał Knapa do rzeczywistości. Odwrócił się od kamery i dostrzegł, że Greta Nawrocka szarpie się przy wyjściu z klatki schodowej z dwoma policjantami. Niewiele brakowało, żeby wdała się z nimi w bójkę.

– Zabezpieczajcie drzwi, a ją przepuście... – westchnął. – Mówiłem pani, żeby się nie ruszać...

– Zapomniałam. – Nawrocka spojrzała na niego z pretensją. W ciemnych oczach kryła się złość i determinacja. – Na dole usłyszałam, że n-namierzono salę. I że czekamy na grupę sztur-turmową. Dobrze rozumiałam?

– Jest pani cywilem. – Zawada stanął tuż obok. Położył dłoń na ramieniu analityczki, ale ta się odsunęła.

– Jestem współpracownikiem policji – odcięła się kobieta. – I gdyby nie ja, g-gównem by z tego wyszło. Poza tym...

Knap wiedział, do czego zmierza Nawrocka. Dostrzegł, jak spogląda w stronę drzwi i stara się opanować oddech. Próbował odgadnąć, czy jego przyspieszone tempo wynika ze zdenerwowania, czy wspinaczki po piętrach. W końcu winda nie podwoziła jej na piętnastą kondygnację. Musiała przebiec kilkaset stopni, a miała jeszcze dość siły, by szarpać się z policjantami.

– Jestem n-negocjatorem. – Nawrocka wyprostowała się i wypięła do przodu niezbyt obfite piersi. – Jąkam się. I co z te-tego? – Podeszła do Knapa i zatrzymała się tuż obok. Wiedziała, że to on podejmie decyzję, a Zawada nie będzie miał nic do gadania. – Ma pan inne wyjście, inspektorze?

Dłoń Knapa powędrowała ku Biblii. W ostatniej chwili się powstrzymał i założył ją za plecy. Prawda była taka, że nie miał żadnego planu. Do przybycia sił uderzeniowych nie powinien podjąć najdrobniejszych działań. A czas uciekał.

Nawrocka przyglądała dłonią garsonkę i wypuściła ustami powietrze.

– Nie ma pan – odpowiedziała za niego.

Nie zatrzymywana przez nikogo, ruszyła w stronę dwuskrzydłowych drzwi. Jej kroki poniosły się po korytarzu.

Zawada bąknął coś niezrozumiałego i rzucił się za nią.

– Ma moje pozwolenie. – Knap spuścił głowę. – Przepuście ją.

- Zamontujmy jej chociaż kamerę!
- Mamy jakąś pod ręką?
- Nie, ale w kilka minut...
- Dość. – Inspektor nie zamierzał dłużej tego ciągnąć. – „Tarczą jest dla mnie Bóg, co zbawia prawych sercem”.

Usłyszał kliknięcie naciskanej klamki, odgłos otwieranych drzwi i wrzask dobiegający ze środka.

## 7.

Mariusz Piotras przetarł szmatką okrągłe soczewki okularów. Nie osiadł na nich żaden pyłek, ale dzięki temu miał co zrobić z rękoma. Po prostu. Lepsze to niż nerwowe zaciskanie jednej dłoni w drugiej albo chowanie ich do kieszeni. Lepsze od absolutnie niedopuszczalnej pozycji zamkniętej i obejmowaniu się za pierś. Lepsze od cosekundowego łypania na tarczę zegarka. Za radą Abramowicza publicznie nigdy nie pokazywał się z żadnym z trzech rolexów z prywatnej kolekcji. Zrezygnował też z zabytkowego leonidasa i omegi. Balticus volans również był droższy od standardowego kwarca z kiosku, ale przynajmniej uchodził za polską markę. A to wyborcom się podobało.

- Panie premierze! – odezwał się ponaglającym tonem minister Tomecki.
- Służby czekają na odpowiedź.

Abramowicz pochylił się nad wielkim stołem i przesunął plik kartek.

- Ryzyko jest akceptowalne – wycedził. – Absolutnym priorytetem jest ocalenie zakładników.

– Zgadzam się – odparł premier.

Norbert Graf przełknął łyk zimnej kawy. Jeszcze pół godziny temu był przekonany, że zostanie odsunięty od sprawy, ale najwidoczniej jego koncepcja się spodobała. Rząd obrał kurs wojny. Po konferencji prasowej wszyscy chcieli prezentować już tylko jedno stanowisko i zrozumieli, że poświęcenie wiceministra na razie nie wchodzi w rachubę. Jego wystąpienie na konferencji wywołało lawinę pozytywnych komentarzy. Stał

się współczesnym Beckiem mówiącym o tym, że nie ma rzeczy cenniejszych niż honor. Osiemdziesiąt lat po wystąpieniu legendarnego ministra nie było rzeczy cenniejszych niż bezpieczeństwo i duch walki do końca.

Zresztą, w myśl sloganu: „Poland first to fight”, Polska zdawała się być na nieustannej wojnie. Taki naród...

– Musimy doprowadzić to do końca. – Graf obrócił w dłoni pustą filiżankę.  
– Wybraliśmy właściwy kurs.

Piotras nasunął okulary z powrotem na nos. Tym razem zajął dłoń rytmicznym bębnieniem w słuchawkę telefonu. Od jego polecenia miała rozpocząć się błyskawiczna lawina połączeń, której finalnym ogniwem był inspektor prowadzący operację w Pałacu Kultury.

– Będziemy mieli na rękach krew tej kobiety... – wycodził.  
– Nie my. – Tomecki przysunął się do stołu. Piotras wiedział, że zawsze tak robi, jeżeli chce podkreślić wiarygodność swoich słów. – Krew będzie na rękach zamachowca. Ewentualnie antyterrorystów.

– Na nas spocznie nimb niezłomnego państwa – powiedział Abramowicz.  
Ta uwaga wzdrygnęła premierem. Nie był cynikiem, a jednak przebywając od dawna w otoczeniu Tomeckiego i Abramowicza, czerpał wzorce pełnymi garściami. Wszystkie ideały z biegiem lat brały w łeb. Nie spostrzegł momentu, od którego każda jego decyzja stała się polityczną kalkulacją. Pozbawioną jakiegokolwiek ideologii, ale nakierowaną na doraźne korzyści. Procent w sondażu popularności partii, dwa procent w rankingu zaufania do polityków. To było wszystko.

Jaką decyzję podjąłby przed dwoma laty? Chciałby mieć czas zadzwonić do żony i o to zapytać. Jaki byłem wtedy, a jaki jestem teraz? Od tygodnia prawie nie rozmawiali, od dwóch ich małżeństwo przeżywało kolejny kryzys. Wszystkie do tej pory udało się im przetrwać, ale teraz...

– Panie premierze...

Ponaglenie Abramowicza przyprawiło go o dreszcze. Czuł pot zbierający się na karku i skroniach. Zaciśnięta na słuchawce telefonu dłoń była mokra, jakby właśnie wyciągnął ją spod kranu. Musiał podjąć decyzję. Musiał wydać rozkaz rozstrzelania, choć sam miał nigdy nie oglądać egzekucji. Chyba że trafiłby przez nią przed Trybunał Stanu i został zmuszony do oglądania zapisów z kamer antyterrorystów. Tak jak bohater Kubrickowskiej „Mechanicznej pomarańczy”, skrępowany i z założonymi na

powieki rozwieraczami, zmuszony do oglądania kronik z obozów koncentracyjnych.

– Ekhm.

Chrząknięcie Grafa wzięło się w jego mózg jak lodowy sopel.

Podniósł słuchawkę i wybrał ostatni numer. Nie musiał długo czekać na odpowiedź. Mężczyzna po drugiej stronie odezwał się już po pierwszym sygnale.

– Delta jeden. Proszę o rozkazy.

Piotras zacisnął dłoń tak mocno, że aż zbiełały mu kłykcie. Obudowa telefonu jęknęła.

– W razie zagrożenia bezpośredniego wyrażam zgodę na poświęcenie agentki – mruknął ledwie słyszalnym głosem. Zebrał się w sobie i po chwili dodał nieco głośniejszym głosem: – Jeżeli negocjatorce nie uda się przekonać szantażysty do jedenastej pięćdziesiąt pięć, też wyrażam zgodę. To ostateczna klauzula czasowa. Nie możemy się wstrzymywać ani minuty dłużej.

Odłożył słuchawkę.

Klamka zapadła.

## 8.

### PIĘĆ MINUT WCZEŚNIEJ

Po kilkunastu sekundach i nerwowej wymianie zdań Nawrocka weszła do środka. Drzwi się za nią zamknęły i na korytarzu zapadła zupełna cisza. Zawada utkwiał niepewne spojrzenie w inspektorze. Kilku innych policjantów w napięciu obserwowało wejście do sali sześćdziesiątej drugiej. Zupełnie jakby wszyscy spodziewali się zaraz usłyszeć strzały. Albo oczekiwali na eksplozję, która rozerwie całe piętro na strzępy.

Knap zastygł w bezruchu. Jedyne jego usta przetrawiały dźwięki bezgłośnej modlitwy. Po chwili podniósł głowę i zwrócił się do dwóch stojących na uboczu funkcjonariuszy:



– Obstawiajcie drzwi. Gdyby cokolwiek się działo, wchodzimy do środka. Jeśli Bóg da, czekamy w spokoju na jednostkę szturmową.

Policjanci bez słowa zacisnęli dłonie na broni. Jeden z nich poprawił kamizelkę kuloodporną i sprawdził mocowanie kasku.

– Wszystko jasne? – Knap zwrócił się bezpośrednio do Zawady: – Może pan zameldować przełożonym, że do środka wszedł negocjator.

– Jasne. – Agent przestąpił z nogi na nogę. Jego twarz pozostawała niezmiennie blada. – Wszystko jest cholernie jasne.

– Przynajmniej mamy pewność, że zamachowiec jest w środku.

– Zaciągnięte rolety były dla mnie wystarczającym dowodem.

Uwaga Zawady wprowadziła inspektora w gorszy nastrój. Od początku zdawał sobie z tego sprawę, ale żywił się nadzieją, że kiedy Nawrocka pchnie drzwi, okaże się, że sala jest pusta.

Jedyną nadzieję należy pokładać w Panu.

Poprawił kaburę i przeciągnął dłoń po szczecinie zarostu. W tym samym momencie na korytarz wpadł Landau. Zaraz za nim pojawiła się grupa sześciu antyterrorystów. Wszyscy wyposażeni w pełen rynsztunek bojowy, a dwóch ostatnich taszczyło walizki z elektroniką. Kiwnęli głowami do Knapa. Doskonale wiedzieli, co robić. Nie musieli go pytać o pozwolenie ani plan działania. Ćwiczyli to setki razy.

– Panie inspektorze... – Landau wbił wzrok gdzieś za nim. – Musimy przygotować się do szturm... Jeżeli jego groźby są prawdziwe, mamy mniej niż kwadrans.

Są prawdziwe. Co do tego Knap nie miał wątpliwości.

– Róbcie, co konieczne. W środku jest nasz negocjator...

Jedna z walizek wylądowała tuż przy drzwiach. Antyterrorysta, który ją przyniósł, pośpiesznie wyjmował zawartość. Trzy czujniki ciepła i detektory dźwiękowe zostały w ciągu paru sekund przyklejone do framugi, ściany oraz szpary przy podłodze. Na wyjętym z drugiej walizki laptopie natychmiast pojawił się obraz.

– Zróbcie miejsce...

Na rozkaz Knapa lżej uzbrojeni policjanci z ulgą odsunęli się od drzwi. Zamiast nich pojawili się czterej ciężko uzbrojeni antyterrorysty.

– Drugi pluton sprawdza możliwość opuszczenia się do sali z tarasu – wyjaśnił Landau. – Na ewentualne wejście będzie potrzebna pańska zgoda.

Knap jedynie skinął głową. Szturm powinien być ostatecznością, z której z pewnością zostanie rozliczony. Kątem oka dostrzegł, że Zawada na uboczu rozmawia przez telefon. Właśnie zdawał relację z sytuacji. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego pozostawała w kontakcie z ministerstwem i kancelarią premiera. Formalnie nie mogły tam zapaść wiążące decyzje, ale w razie nacisków podlegał jeszcze ścisłemu dowództwu policji. A to od lat stawało się coraz bardziej upolitycznione.

– Są tutaj. – Jeden z antyterrorystów wskazał na ekran laptopa. Osłona twarzy zniekształcała jego głos. – Natomiast zakładnicy znajdują się na środku pomieszczenia.

Dwie sylwetki były zarysowane intensywnym kolorem czerwonym. W tle przewijało się mnóstwo rozmytych różowawych punktów.

– Wygląda na to, że ma karabin. – Kolejne komunikaty padały z lodowatą obojętnością. – Na razie nie jestem w stanie ocenić niczego więcej...

Knap kucnął i wbił wzrok w szerokokątny monitor. Świadomość, że od Nawrockiej i zamachowca dzieli go dwa, może trzy metry, przyspieszyła przepływ krwi w jego ciele. Nie chodziło już tylko o współpracownika. Nie tylko o niewinnych ludzi, ale przede wszystkim o kogoś, do kogo poczuł być może coś więcej.

Ta myśl wydała mu się zupełnie niepoprawna. Niepoprawna i całkowicie nie na miejscu.

– Jesteśmy w stanie podsłuchać, o czym mówią? – Skinął w stronę detektora dźwięku.

Antyterrorysta sapnął.

– Pracuję nad tym, ale drzwi są cholernie dobrze spasowane.

– Możemy spróbować je przestrzelić? Skoro wiemy, gdzie się dokładnie znajduje zamachowiec...

– Nie bardzo – włączył się do wymiany zdań jeden z policjantów uzbrojonych w karabiny. – Nawet biorąc pod uwagę, że obiekt się nie poruszy, nie mamy pojęcia, z czego są wykonane. Chyba że akceptuje pan ryzyko, że jedynie go ostrzeżemy.

– To wykluczone. – Knap podniósł się i zerknął w stronę Zawady. Ten wciąż rozmawiał przez telefon. – Jakie mamy inne opcje?

– Ładunek wybuchowy. – Landau przygryzł przez moment wargę. – Umieszczony na drzwiach, będzie miał ograniczony zasięg rażenia.

– Przy zamachowcu jest nasz negocjator!

Nasz negocjator. Co za pokraczny eufemizm. Przez głowę Knapa przebiegł milion myśli i wizji rozwoju sytuacji. Każdy równie tragiczny.

– Musi się oddalić od zamachowca. – Antyterrorysta wyciągnął z przenośnego kontenera niewielki ładunek. – To nasza jedyna szansa, żeby wszystko załatwić... Jeżeli zaczniesz się rzeź...

– Musimy poczekać. – Knap ponownie poczuł przyływ duszności. – Mamy jeszcze czas.

– Bardzo niewiele, panie inspektorze. A jeżeli zamachowiec odejdzie od drzwi, stracimy jedyną szansę.

Dlaczego pozwolił jej tam wejść? Do licha, czy mógłby poświęcić jej życie dla ocalenia kilkudziesięciu ofiar?

Co gorsza miał świadomość, że Nawrocka była w stanie to zrobić. I być może właśnie robiła wszystko, żeby utrzymać zamachowca w zasięgu eksplozji.

Tuż przy sobie.

## 9.

– To nie pan jest za to odpowiedzialny. Wiem to. W-wiedzą to wszystkie służby, wszystkie organy i wie to najlepiej pan. Dlaczego zgo-zgodził się pan tak działać? Z powodu szantażu? Przypuszczam, że t-tak, bo nie wygląda pan na takiego, którego skusiły pie-pieniądze. A może to coś całkowicie innego? Rozwiążemy to i pomożemy panu z tym sobie poradzić. Nie trzeba do tego k-kolejnych ofiar. Daję panu słowo, że może się obyć nawet bez nich. Jeszcze wszystko można...

– Niech się pani zamknie! Zaraz rozwalę ich wszystkich... A panią jako pierwszą.

– Naprawdę to tyle warte? Wydaje się pa-panu, że nie ma innego wyjścia, ale ono zawsze istnieje. Rozumie pan? Zawsze.

Głos Nawrockiej był całkowicie spokojny. Analityczka mówiła powoli i wyraźnie. Mimo że detektor dźwięków powodował nieco zniekształceń,

była słyszalna niemalże jak przez telefon.

– Jeszcze jedno słowo... Jeszcze jeden pieprzony, wydukany wyraz...

Natomiast głos uzbrojonego mężczyzny był niski i niepewny. Zdawało się, że jest bliski płaczu. Mówił szybko, niedbale akcentując słowa. Mimo tego nie było wątpliwości, że jest Polakiem.

– Po raz kolejny trafiliśmy jedynie na kogoś szantażowanego? – Landau kucnął tuż obok inspektora i co chwilę przenosił wzrok z ekranu monitorującego podczerwień na wyświetlacz programu dźwiękowego.

– Zdaje się, że nasz negocjator jest o tym przekonany. – Knap potarł brodę. Był skołowany, choć w zasadzie spodziewał się takiego rozwoju wydarzeń. Nie wiedział tylko, po czym Nawrocka doszła do tego wniosku. A może po prostu blefowała? – Zróbcie trochę głośniej – poprosił. – Chcę usłyszeć reakcje zakładników.

– To może nie być wykonalne.

Policjant operujący programem wpisał kilka komend. Z głośników rozległ się szum. Po chwili dało się rozpoznać odległy jęk, który przerodził się w płacz.

– Ta kobieta jest przerażona – ponownie odezwała się Nawrocka. – Jak się pani nazywa?

Odpowiedź była zbyt cicha, by ją zrozumieć, ale analityczka zaraz powtórzyła.

– Wanda? Wanda jak?

Ponownie skrzeknięcie.

– Widzi pan. Ta kobieta to Wanda Jaworska. Ile może mieć lat? Co najwyżej czter-czterdzieści, a pan jednym ruchem pozbawi ją życia. Jej dzieci stracą matkę, mąż żonę, a p-pan...

– Zamknij się, kurwo!

– Niech pan do niej nie podchodzi. To niepotrzebne. Jeżeli policja chciałaby przeprowadzić atak...

Knap w napięciu wpatrywał się w ekran, na którym przesuwały się czerwone cienie. Zarys zamachowca zaczął blednąć, co znaczyło, że oddala się od drzwi. Nagle zawrócił i szybkim krokiem zbliżył się do Nawrockiej. Zdawało się, że się zamachuje. Landau bezradnie uderzył pięścią w podłogę.

Z głośników dobiegł stłumiony jęk. Zarys sylwetki Nawrockiej przesunął się jeszcze bliżej drzwi.

– Panie inspektorze?

Szef grupy uderzeniowej ruchem zaciśniętej w pięść dłoni dał znać, że w każdej chwili są gotowi do wejścia.

– Nie. – Knap pokręcił głową. – Obowiązuje plan wejścia przy użyciu materiałów wybuchowych – szepnął, starając się opanować łamiący głos. – Takie mam wytyczne.

Dopóki Nawrocka była tuż obok drzwi, nie mógł niczego zmienić. I choć modlił się, żeby odeszła, jednocześnie zdawał sobie sprawę, że to pociągnęłoby tylko komplikacje. Szturm na tak niewielkie pomieszczenie zakończyłby się masakrą. Chyba że przy ogromnej dozie szczęścia udałoby się naprowadzić snajperów z zewnątrz. Istniała możliwość ustalenia pozycji szantażysty i przeniesienia jej na podgląd dostępny na ich stanowiskach. Mimo to na ewentualnej linii strzałów znajdowali się zakładnicy. Nie było możliwości skontaktowania się z nimi bez wiedzy zamachowca. Choć ludzie w akwariium starali się ustalić dane osób znajdujących się w sali, musiało zabrać to mnóstwo czasu. Poza tym nikt nie wierzył, że uda się z nimi po prostu wymienić esemesami.

– Ty pieprzona szmato! Pozwoliłem ci tu wejść, a ty zamierzasz mi robić wodę z mózgu?!

Szantażysta już nie kontrolował emocji. Krzyczał, zdzierając głos i wymachując bronią. Po raz kolejny zamachnął się w stronę Nawrockiej. Na podglądzie jego sylwetka zdawała się wręcz pulsować kolejnymi krwistoczerwonymi punktami.

– Od razu powinienem cię zabić!

Zarys karabinu skierował się w stronę analityczki. Z głośników dobiegł dźwięk odbezpieczenia broni.

– Jezus Maria...

Zawada przytknął dłoń do ust. Knap dyszał, nie starając się już nawet powstrzymać opadających na niego duszności.

– Zlikwidować cel. Powtarzam: zlikwidować cel – wyrzucił z siebie jednym tchem.

Komunikat z nadajnika przetoczył się jak grzmot przed burzą.

## 10.

– Jeżeli zostawi mnie pan tu sa-samą, a wypuści resztę ludzi, to będzie bardziej symboliczne. Ten, kto zmusił pana do takiego działania, na pewno tak uważa. Proszę zrozumieć, policyjny negocjator, a tłum niewinnych ofiar. Co jest bardziej wymowne?

Knap, słysząc te słowa, uniósł dłoń. Wstrzymał przystępujących do szturmowania antyterrorystów i przystawił ucho niemal do samego głośnika. Spośród szmerów starał się wyłowić każdy najdrobniejszy odgłos. Sapnięcia, łkanie, ciężki oddech zamachowca. Wszystko mogło mieć teraz znaczenie. Zdawało mu się, że słyszy również krew przetaczającą się po jego organizmie, a rzeźnię w jego płucach przypominało gulgot wisielca.

– Pałac Kultury, niech pan zrozumie, to też symbol. Nie liczba zabitych, a wymowne symbole. Na tym zależy temu gnojnikowi, który tu pana wysłał. Proszę wyjrzeć za okno. On już ma swoją widownię, ale nie potrzebuje dziesiątek niewinnych ofiar. Nimi chce obarczyć pana.

– Morda!

Kontur zamachowca poruszył się przy drzwiach, ale tym razem jedynie przeszedł wokół Nawrockiej. Ta kontynuowała zaskakująco spokojnym tonem.

– Nie zależy mi na W-Wandzie Jaworskiej ani na tamtym nastolatku. Ani na nikim z zakładników. Ich nie musi pan zabijać. Może się pan teraz z nim skontaktować? Na pewno się ze mną zgodzi.

Zapadła cisza. Zamachowiec stał o krok od analityczki i opuścił broń. Knap nerwowo przełykał ślinę, lecz duszność coraz mocniej zaciskała się mu na gardle. Landau i Zawada nachylali się tuż obok nad monitorem laptopa. Twarz agenta nie zdradzała żadnych emocji. Jednocześnie w tej pozycji uwidoczniło się nienaturalne ułożenie jego peruki. Nie poprawiał jej ani nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Pajęczyna popękanych naczynek wokół jego nosa nieco się powiększyła.

– Jeżeli teraz nie wejdziemy, stracimy szansę... – Landau machnął palcem przy ekranie. – Będzie mógł zabić, kogo chce, praktycznie pod

naszym nosem...

– Zgoda. Niech pani przejdzie na koniec sali. Reszta będzie mogła wyjść – usłyszeli nagle głos zamachowca.

Wypowiedziane nosowym tonem słowa wywołały niemą euforię. Jeszcze przed chwilą taki obrót sprawy wydawał się całkowicie nieprawdopodobny. Jeden z policjantów bezgłośnie zaklaskał, Landau głęboko odetchnął, lecz Knap bez cienia radości podniósł się znad laptopa. Zerknął na drzwi i gestem przywołał uwagę dowódcy grupy uderzeniowej.

– Zdejmijcie ładunek i zostańcie na pozycjach – nakazał, odchodząc nieco na bok. – Wszyscy pozostali niech zejdu z pola widzenia. Kiedy ludzie zaczną wychodzić, musicie czekać. Nie możemy go wtedy sprowokować, bo będzie tu rzeźnia. Nie może nikogo z was zobaczyć!

Knap stanął tuż przy szybach wind. Miał stąd perspektywę na obramowanie drzwi, fragment ściany obok i wejście na jedną z klatek schodowych. Obok niego rozłożyli się funkcjonariusze ze sprzętem elektronicznym. Laptopy nadal miały dane, przekazując z sali chaotyczne odgłosy. Tłum czerwonych punkcików zaczął się poruszać i wyostrzać.

– Dziękuję. To dobra decyzja.

Głos Nawrockiej wciąż pozostawał ciepły i opanowany. Popychana przez zamachowca przesunęła się na bok. Szansa zakończenia wszystkiego pojedynczym wybuchem została bezpowrotnie stracona, ale teraz nikt się tym nie przejmował.

Pirotechnik pospiesznie rozłączał zamocowany na drzwiach ładunek. Gdyby eksplodował przez przypadek lub wskutek strzelaniny, zamiast rzeźni mieliby tu hekatombę. Z mocowaniami udało mu się uporać dokładnie w momencie, gdy klamka się poruszyła i pchnięto drzwi.

Ze środka wylało się mrowie przerażonych ludzi. Po chwili drugie skrzydło drzwi z łoskotem uderzyło o ścianę, a następnie zostało niemal wyłamane przez napierający tłum. Wśród krzyków i zamieszania policjanci z grupy uderzeniowej starali się sprawnie kierować uciekającymi. Było to utrudnione, skoro mieli pozostać niewidoczni. Dwaj pokazywali drogę ku klatkom schodowym, a kolejny, stojąc przy windach, dawał do zrozumienia, że te są nieczynne.

– Przygotujcie się na przechwycenie zakładników. – Knap przyciągnął do ust nadajnik. – Nie wiemy, czy nie ma wśród nich zamachowca. Nikt nie

może opuścić budynku. Grupy medyczne muszą czekać na klatce schodowej.

– Zrozumiano.

Spanikowana, krępa nastolatka zatrzymała się obok Knapa. Ciężko dyszała, rozglądała się wokół pustym wzrokiem, wreszcie z jej oczu popłynęły łzy. Twarz pozostała jednocześnie zupełnie obojętna. Sprawiała wrażenie, jakby nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Nagle popędziła na oślep w głąb korytarza.

Wśród krzyków i zamieszania Knap z trudem wyławiał dźwięki nasłuchu z pomieszczenia. Zlały się w jedno z tymi, które słyszał wokół siebie. Zerknął na ekran laptopa. Czerwone punkty zbiły się w gęstą masę przy wyjściu. Nawrocka i zamachowiec pozostali z tyłu.

– Nakieruj odbiorniki na lewo – polecił operatorowi urządzenia. – I wytłum, ile się da, odgłosy z samego przejścia.

– Robi się.

Antyterroryści obstawiali drzwi. Starali się zajrzeć do środka, nie rzucając się jednocześnie w oczy. Jeden z nich przykucnął i z karabinem w dłoni asekurował uciekających. W każdej chwili był gotów się podnieść i wpaść do sali sześćdziesiątej drugiej.

– Czas z tym skończyć. – Drżący głos zamachowca brzmiał jak odczytywany wyrok śmierci.

Knap momentalnie poderwał się, dając znać, by rozpocząć szturm. Kątem oka zauważył, że kontur Nawrockiej dziwnie oziębł. Jej sylwetkę wypełniło więcej niebieskich niż czerwonych plam.



## ODCINEK 8.

### 1.

**WIELKI PIĄTEK**

**GODZINA 12:00**

**SZTURM**

*„A ty, synu człowieczy, nie bój się ich ani się nie lękaj ich słów, nawet gdyby wokół ciebie były osty i ciernie i gdybyś się znalazł wśród skorpionów”. W Biblii jest ponoć kilkaset sformułowań, które mają krzepić wiernych. Dawać im siłę, pomagać wyzbywać się strachu, dodawać odwagi. Niemal tak, jakby głównym przestaniem Boga było tchnięcie w człowieka ducha, który wyrwie go z paraliżu. Bo biblijny lęk zazwyczaj paraliżował i zatrzymywał w miejscu. Zniechęcał do działania i odbierał zapach. Łamał. Jeżeli ludzie się bali, to mieli się bać śmiertelnie.*

„Nawet gdyby wokół ciebie były osty i ciernie i gdybyś się znalazł wśród skorpionów”.

Właśnie to zdanie przemknęło przez głowę Knapowi, gdy wpadł do sali numer sześćdziesiąt dwa. Przepchnął się wśród ostatnich uciekających i w spóźnionej asyście antyterrorystów znalazł się w środku. Przewrócone biurko i krzesła utrudniały orientację. Niemo obserwował, jak zamachowiec, wymachując karabinem, biegnie w stronę okna. Nim dopadły go laserowe celowniki, szarpnął roletę, uderzył w szybę kolbą i natarł ciałem w skruszoną tafłę.

Rozległo się stłumione brzęknięcie. Po chwili powiew wiatru wpadł do środka i załopotał fioletową roletą. Kilka kawałków szyby rozbiło się o podłogę. Bezwładne ciało wywinęło się na drugą stronę i znikło w czeluści.

Chryste!

Knap dostrzegł, że Greta Nawrocka leży obok ściany. Miała podkulone nogi i twarz odwróconą w stronę okna. Przez moment wydawało mu się, że się nie porusza.

Antyterroryści błyskawicznie zabezpieczali salę. Pirotechnicy dopadli do porzuconego przez zamachowca plecaka i karabinu. Knap jednym ślizgiem znalazł się przy analityczce. Chwycił jej dłoń, chcąc sprawdzić puls, lecz zauważył, że pierś kobiety faluje w przyspieszonym oddechu. Opanowany głos musiał być tylko doskonałą fasadą.

– Nic pani nie jest? Wszystko w porządku?

– Bywało le-lepiej...

Nawrocka podparła się i podniosła na klęczki.

– Nie jest pani ranna?

– Dlaczego miałabym być, do ch-cholery, ranna?

Dopiero po chwili Knap zdał sobie sprawę, że zamachowiec musiał pchnąć ją na ścianę. Kobieta pewnie zatoczyła się i upadła, ale wcześniej gwałtownie oddaliła od czujników ciepła. Dlatego wyglądało, jakby coś się jej stało, a czerwone punkciki na zarysie jej ciała natychmiastowo poblądły, przybierając niebieski odcień.

Odetchnął. Głęboka ulga odtrąciła niewidzialne łapy zmierzające do jego gardła. Przełknął napływającą do ust ślinę i się uśmiechnął. Miał ochotę rechotać jak głupi, położyć się na podłodze i niczym dziecko w śniegu wywijać orła. Miał ochotę tupać z radości i krzyczeć.

Wokół nie było krwi. Prawdopodobnie tej drobnej, ruchliwej kobiecie kilkadziesiąt osób zawdzięczało życie. A ona jeszcze kilka minut temu była gotowa poświęcić się i zrobić wszystko, aby wraz z zamachowcem znajdować się jak najbliżej drzwi. Pewnie teraz by się do tego nie przyznała, lecz Knap wiedział, że właśnie tak było. Jako dawny policyjny negocjator musiała sobie zdawać sprawę z policyjnych technik szturmu. Być może nawet na jakichś szkoleniach podsuwano to rozwiązanie. Jako samobójcze, ale uświęcające środki. Zaszczytne. Warte medalu z pompą kładzionego w atlasowym etui na wieku trumny.

Powiew zimnego wiatru wzdrygnął inspektorem. Antyterroryści zabezpieczyli już salę, a pirotechnicy pracowali przy porzuconym plecaku z kolejną walizą sprzętu. Saperzy pozostawali w odwodzie. W razie

wykrycia ładunku wybuchowego i problemu z jego rozbiciem konieczne byłoby wywiezienie go na poligon. Tam kontrolowana eksplozja zakończyłaby sprawę. Być może jakiś dowcipniś nawet umieściłby w pobliżu papierową makietę Pałacu Kultury i uwiecznił jego symboliczny koniec na filmiku.

Jednak w wypadku, gdyby...

Knap popatrzył po rozrzuconych na podłodze telefonach. Przypomniał sobie, że zamachowiec kazał je wyrzucić, by porwani nie mogli z nikim się skontaktować. Kilka z aparatów właśnie dzwoniło, gdzieś rozległ się dźwięk przychodzącego esemesa. Nagle pojedyncze obrazy połączyły się w spójną całość.

Gwałtownie poderwał się i chwycił Nawrocką za ramię. Analityczka jęknęła, ale pozwoliła mu się podnieść.

– Szybko!

Nie miał czasu na tłumaczenie. Ciągnąc kobietę za sobą, rzucił się w stronę wyjścia. Naprężył ramię i stawiał kolejne kroki, opierając się na bokach butów.

– Uciekajcie!

Antyterrorysty powiedli za nim spojrzeniami, ale sprawiali wrażenie, jakby go nie usłyszeli. Dalej robili swoje.

– To zaraz wybuchnie! Ładunek nie jest w plecaku!

Pirotechnicy odwrócili się od walizy. Pospiesznie wymienili kilka zdań, których Knap nie zrozumiał. Krew pulsowała mu w głowie i zatykała uszy. Duszność znowu wróciła. Rzęząc z wysiłku, wypadł na korytarz, posadził Gretę za załomem ściany i upewnił się, że jest przytomna. Błyskawicznie zawrócił, by wyprowadzić swoich ludzi. Trzech antyterrorystów posłusznie wycofało się z sali. Czwarci pospieszał pirotechników.

– Nie rozumiecie?! – Knap rzucił się, by obiec leżące na boku biurko.

Jeden z pirotechników bezradnie rozłożył dłonie i ruszył w jego stronę. Na jego twarzy malował się wyraz pretensji i niezrozumienia. Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz nie zdążył.

Eksplozja zatrzęsała budynkiem i obróciła salę sześćdziesiątą drugą w ruinę. Kłęb dymu wypełnił korytarz. Ryk alarmu przeciwpożarowego zmieszał się z szumem wytryskującej wody, czymś rozpaczliwym

wrzaskiem i zastygł w niespodziewanej ciszy. Knap pomyślał, że ogłuchł. Albo że właśnie umarł.

## 2.

Cisza. Okrutna, przejmująca cisza trwała pewnie kilka sekund, lecz Knapowi wydawało się, że to całe godziny. Leżał skulony na boku, ale nie czuł bólu. Wszystko zostało gdzieś za nim. Otaczała go nieprzenikniona ciemność, ciepło i swąd, który wgryzał się w gardło, obrzydliwy posmak spalenizny. To on stał się punktem zaczepienia dla świadomości. W końcu cisza zmieniła się w kakofonię dźwięków. Ponownie odezwały się syreny, wrzaski i pokrzykiwania. Szum wody zestroił się z wilgocią, którą Knap poczuł na łydkach.

Odkaszlnął.

Z trudem podniósł się na kolana i pospiesznie ocenił swoje obrażenia. Nie było źle. Eksplozja rozerwała ładunek po drugiej stronie solidnego biurka. Jakimś cudem to jedynie się przesunęło, ale nie zamieniło w tysiące śmiertcionośnych odłamków. Wilgoć na łydkach to tylko woda ze spryskiwaczy. Nie wyczuł krwistej lepkości.

Zamrugął.

Nieprzenikniona ciemność zaczęła się rozjaśniać. Drobiniki kurzu wirowały w powietrzu. W wytłuczonych oknach wisiały jedynie szczątki rolet, więc do środka wpadało więcej światła.

Czyjeś ręce pochwyciły go pod ramiona. Zdołał się jednak wyrwać i podnieść własnymi siłami.

– W sali są ranni ludzie! – wrzasnął do ratownika. – Co najmniej dwóch pirotechników!

Drugi ratownik zatrzymał się i złapał go za łokieć. Przez ułamek sekundy mierzyli się spojrzeniami, jakby całkowicie skołowani nie mieli pojęcia, co robić. Zresztą nie było to odległe od prawdy.

– Nic mi nie jest. – Knap zakaszlał i się odwrócił. – Ratujcie tamtych, na Boga.

Podpierając się o ścianę, charcząc i rżąc, wydostał się wreszcie z chmury pyłu. Dotarł na korytarz, gdzie natychmiast pod boki wzięli go Landau oraz Zawada. Mówili coś, lecz był jeszcze zbyt otumaniony, żeby ich zrozumieć. Wśród rozplywającego się dymu dostrzegł Nawrocką. Pędziła w ich stronę. Z daleka zauważył, że pod jej oczami łzy mieszały się z makijażem.

– Może pan chodzić! – Analityczka pisnęła radośnie.

Jakby to, że przebierał nogami, było najważniejsze. Kobieta zresztą zaraz się zreflektowała i pospiesznie otarła łzy. Knap zarejestrował, że dotyka jego twarzy, sam złapał ją za dłoń, a potem znów otumanienie rozciągnęło wokół ciemność. Nie walczył z nią.

Dał się sprowadzić piętro lub dwa w dół. Chwilę później ktoś pchnął go na nosze. Nim zdołał zaprotestować, znajdował się już na trotuarze przed Pałacem Kultury. Na tle rozpogadzającego się nieba ciągnął się jęczyczek dymu. Czarna chmura układająca się w kształt wędki albo...

– Nic mi nie jest – zdobył się na stanowczość. Zdał sobie sprawę, że dwóch ratowników chce go właśnie wpakować do karetki. Przebrał nogami i zeskoczył na ziemię.

Głęboko zaczerpnął powietrza. Bez swędu dymu kolory natychmiast się wyostrzyły. Zgięty w pół, jeszcze kilka razy zaczerpnął powietrza i powoli je wypuścił. Wreszcie się wyprostował. Z trudem powstrzymał odruch wymiotny, ale o dziwo po chwili poczuł się prawie zupełnie dobrze. Szok? Raczej nie, już podczas wcześniejszych oględzin nie dostrzegł większych obrażeń. Poza tym gdyby cokolwiek mu się stało, ratownicy nie patrzyliby na niego niepewnie, a na siłę wiązaliby go do noszy.

Tuż obok Knap dostrzegł Landaua.

– Co z naszymi ludźmi? – zapytał, lekko się zataczając.

Aspirant zrobił krok w jego stronę, lecz żadna interwencja nie była konieczna. Knap stał sztywno jak mocno wstawiony pan młody.

– Sierżant Osiwa jest ranny. To tylko powierzchowne obrażenia.

– A pirotechnicy?

Do Landaua dołączyła Greta Nawrocka. Zawada pewnie właśnie o wszystkim meldował Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Relacja na żywo musiała już dotrzeć na samą górę.

– Co z pirotechnikami? – powtórzył pytanie inspektor.

Landau spuścił głowę. Ratownicy zostawili Knapa i pobiegli w stronę budynku. W ogólnym chaosie nikt nad niczym nie panował. Z pewnością w pobliżu nie było lekarza, który zmusiłby ich do zabrania go do szpitala.

– Jeden nie żyje. – Aspirant wreszcie podniósł wzrok. – Drugi jest właśnie w drodze do szpitala... Walczą o jego życie.

– A terrorysta?

– Będzie trzeba go zeszkrobać z dachu nad głównym wejściem.

– Amen...

Knap mechanicznie otrzepał marynarkę i ruszył w stronę radiowozów.

– Skąd pan wiedział, że ładunek nie jest w plecaku?

Głos Zawady dobiegł gdzieś z boku. Dopiero po chwili dostrzegł, że agent wynurzył się zza karetki. Chwycił inspektora pod ramię i wsparł o siebie. Knap uznał, że nie ma sensu się opierać.

– Zamachowiec kazał im porzucić telefony na etapie, gdy jeszcze realizował plan – wyjaśnił oględnie. Wiedział, że i z tego ABW potrzebuje raportu. – W środku nie było jeszcze negocjatora, wszystko miał pod kontrolą. Mógł przecież je zabrać albo kazać wyrzucić, ale ludzie mieli położyć je na podłodze obok siebie.

– Dalej nie rozumiem...

Knap westchnął. Szarpnął drzwi i z ulgą zwałił się na przednie siedzenie opla.

– To miało utrudnić ewentualne poszukiwania telefonu, który aktywował ładunek – mruknął, oglądając nogawki spodni. – Do tego gdyby chciał zablokować drzwi, położyłby biurko tuż za nimi. Tymczasem on rozciągnął je dobry metr dalej. Wszystko było zaplanowane. – Knap zmiął materiał, wyzymając wodę. – Chodziło o to, by falę eksplozji skierować w głąb pomieszczenia. Już się z tym kiedyś spotkałem i...

Zamilkł. Dalsze wywody nie miały już sensu. Powiedział wszystko, co mogłoby przydać się Zawadzie w razie pytań przełożonych. Drażnienie szczegółów i rozmywanie tematu byłoby tylko marnotrawieniem czasu. Poszukał wzrokiem Nawrockiej. Analityczka stała tuż obok auta i paliła papierosa. Co chwilę ukradkiem zerknęła w jego stronę, ale nie chciała sprawiać wrażenia, że podsłuchuje.

– Skoro robimy tu burzę mózgow – zwrócił się w jej stronę. – Skąd pani wie, że to nie był główny zamachowiec? Że ktoś go jedynie szantażował,

a cała zabawa trwa dalej?

Chciał znać odpowiedzi na te pytania. Nie mógł sobie pozwolić na zatrzymanie się w pół kroku. Gdyby to była prawda, znaczyłoby to, że prawdziwy terrorysta wciąż pozostaje na wolności. I że jego obietnice kolejnych zamachów to nie tylko czcze słowa.

Nawrocka rozejrzała się za śmietnikiem, wreszcie rzuciła papierosa na ziemię i zgmiotła go obcasem.

– Nie miałam pojęcia – przyznała z rozbijającą szczerością. – Cały czas polega-łam na tonach jego głosu. Gdy wspominałam o kimś nad nim, zaczynał m-mówić wyższym tonem. A potem zyskałam pewność.

– Potem? – Zawada starał się ukradkiem sięgnąć do kieszeni, ale dostrzegłszy spojrzenie Knapa, powstrzymał się. Na jego twarzy wystąpił grymas bólu.

Nawrocka nie zwróciła na to uwagi. Minęła go i oparła się o otwarte drzwi opla.

– Gdy powiedziałam, ż-żeby skontaktował się ze zleceniodawcą. Od razu zrozumiałam, że ktoś taki istnieje. Musielibyście sami zobaczyć jego reakcję, nie pozostawiała wątpliwości. Gapił się w swój tele-efon, jakby oczekiwał tam wszystkich odpowiedzi. A żadnej nie d-dostał. Zrozumiałam, że to jest moment, kiedy muszę przedstawić mu ofertę wypuszczenia zakładników.

Knap dostrzegł, że dioda na przenośnym nadajniku rozbłysła czerwonym światłem. Ktoś łączył się z wewnętrznym pasmem radiowozu. Obrócił się i sięgnął po mikrofon. Dopiero przy tym ruchu poczuł tępy ból w łydce. Jednak nie obyło się całkowicie bez strat. Choć lekkie stłuczenie było najmniejszym wymiarem kary.

Jeszcze raz zobaczył przed sobą pełną pretensji twarz pirotechnika. Do końca uważał, że Knap jedynie bezsensownie odrywa go od pilnej pracy. Chwilę potem już nie żył... Chyba że to jego kolega miał mniej szczęścia.

Czerwona dioda mrugnęła po raz kolejny.

Knap włączył przycisk odbioru i naciągnął kabel nadajnika.

– Panie inspektorze, jest tam pan? – Bielawski wreszcie się odnalazł. Był zdenerwowany i mówił tak szybko, że kolejne wyrazy zlewały się w słowotok. – Informacje z Pałacu Kultury spływają do nas jak krew z nosa. Halo? Jest tam pan?

– Jestem.

Bielawski odetchnął. Po chwili odezwał się jednak niewiele weselszym tonem:

– Na naszym serwerze właśnie pojawiła się kolejna wiadomość od szantażysty. Musi ją pan jak najszybciej odsłuchać.

### 3.

– To tylko transkrypcja. – Norbert Graf położył przed Piotrasem dwie strony zadrukowane dużą czcionką. Premier, mimo że nosił okulary, miał niezły wzrok, jednak znane było jego upodobanie do wyraźnych czcionek. Jego niespełna półgodzinne exposé zajmowało prawie pięćdziesiąt stron. Druk był naprawdę wielki.

Druga kopia transkrypcji wylądowała przed Tomeckim, a kolejna przed Abramowiczem. Czwartą Graf zachował dla siebie, choć wiadomość zamachowca zdążył już odsłuchać dwukrotnie. Poza tym, przemierzając korytarz kancelarii premiera, odczytał ją jeszcze parę razy. Nikt o randze niższej niż sekretarz stanu nie mógł bez imiennego zezwolenia odebrać tych dokumentów. Dlatego, choć niechętnie, udał się po nie osobiście. Przynajmniej z treścią zapoznał się jako pierwszy. No, poza kilkoma policyjnymi służbistami, którzy bez politycznego błogosławieństwa nie mieli pojęcia, co robić.

Piotras odchrząknął. Upił łyk wody i odstawił szklanę na skraj stołu. Nim zerknął do tekstu, przestawił ją jeszcze dalej. Odchrząknął jeszcze raz i zaczął czytać na głos:

– „Krzyżowcy odnieśli kolejną klęskę. Nigdy się nie nauczycie. Jeżeli nadal pozostaniecie głusi na te słowa, wasza krew nigdy nie przestanie płynąć. Będziecie zabijani raz po raz. Nasze macki odrastają jak u ośmiornicy. W każdej z nich Allah umieścił pęk bomb i miecz, który będzie ścinał wasze chrześcijańskie głowy”. – Piotras wyprostował się i przełożył kartki. Nasunął głębiej okulary, po czym wrócił do czytania: – „Wschód słońca już dawno minął. Południe również. Teraz czekają was



kolejne ofiary, dopóki nie otworzycie oczu i nie zobaczycie. Dopóki nie wyteżycie słuchu i nie usłyszycie. Dopóki nasi trzej bracia nie znajdą się na wolności”.

Piotras odsunął od siebie kartki i wbił wzrok w stół. Dłonie oparł na kolanach. Taka pozycja pozwalała mu się skupić i jednocześnie sprawiała, że czuł się komfortowo. Rozciągnięte mięśnie nie zdradzały zdenerwowania.

– Co o tym powiecie? – zapytał ponuro. – Co o tym, do cholery, powiecie?

Tomecki obrócił między palcami długopis i odłożył go, zwracając na siebie uwagę.

– Powinniśmy poważnie zastanowić się nad negocjacjami. I coś zaoferować temu skurwysynowi.

– Idiotyzm. – Graf prychnął. – Sami widzieliście, że...

– Chyba nie chcę cię słuchać, Norbert.

Przytyk ze strony premiera wprowadził Grafa w konsternację. Od razu zrozumiał, że przez kilka minut, kiedy poszedł po transkrypcję wiadomości szantażysty, rozmowa toczyła się na jego temat. Zachowanie Piotrasa zdradzało, że raczej nie zakończyła się dobrym dla niego rezultatem. Wręcz przeciwnie.

– Mam się zamknąć? – Postanowił grać do końca. – Bo nie podoba wam się karta, której użyłem? Wszystkie media zareagowały pozytywnie na to, co powiedziałem...

– Bo obarczyłeś nas odpowiedzialnością. Pokazałeś się jako samotny rycerz, który chce brać udział w pieprzonej walce o dobro.

– Dlatego teraz powinniśmy iść tą drogą.

– Do jakiego momentu? – Piotras ponownie odłożył okulary na stół. – Aż zdetonuje kolejną bombę? Do trzech razy sztuka? Co?

– Zrzucmy odpowiedzialność na służby.

Piotras nerwowo się zaśmiał i pokręcił głową. Bez okularów miał nawyk nerwowego mrużenia oczu.

– Nadal walczysz? Nadal chcesz zrobić wszystkich prócz siebie? – Nim Graf zdążył się odezwać, premier zwrócił się do Abramowicza: – Wymyśl, jak zacząć negocjować, żeby jak najmniej bolało.

Rzecznik złożył dłonie w piramidkę i wymownie westchnął. Czuł, że teraz tryumfuje nad Grafem. Od rana obmyślał plan działania, więc mógł bez

zastanowienia przedstawić swoją koncepcję.

– Na zachętę ogłosiśmy, że do konkretnej godziny wypuścimy jednego z więźniów – zaproponował. – Tylko czymś takim możemy powstrzymać dalsze zamachy... Jednocześnie nie wyjdziemy na totalnych przegranych. W publicznym przekazie powiemy, że działamy dla dobra obywateli i podkreślimy, że uwolnieni nigdy nie dokonywali ataków na Polaków.

Piotras wymownie spojrzał na Grafa.

– Czy policyjny psycholog już stworzył wiadomość?

– Dostałem informację, że jeszcze musimy chwilę poczekać. – Wiceminister Tomecki był trupio blady. Dłonie trzęsły się mu jak u parkinsonika. – W tym momencie...

Piotras mu przerwał.

– Chcę ją mieć za trzydzieści minut. Razem z ofertą, o której wspomniał Michał. I nie wiem, czy tym razem to będzie tylko zagrywka na czas, bo naprawdę robi się cholernie niemiło.

Premier podniósł się od stołu. Spojrzał jeszcze raz na Grafa i pokręcił głową. Ostentacyjnie pchnął w jego stronę kartki, po czym ruszył w stronę wyjścia. Abramowicz podążył zaraz za nim. Tomecki jeszcze przez kilka sekund wpatrywał się w dawnego kolegę, wreszcie również wstał i ciężko odstawił krzesło. Westchnął. Ociągając się, poczłapał w stronę drzwi.

Graf został sam. Pałac wzniesiony z kart się walił, a jego zostawiono w środku. Był zgniłym owocem, od którego wszyscy się odsunęli.

#### 4.

– Ten człowiek miał przy sobie wszystkie dokumenty. Patolodzy trochę się babrali w jego flakach, ale w końcu wyciągnęli dowód osobisty i kilka innych szpargałów. A teraz główna uwaga. Od czterech lat był leczony w zamkniętej placówce psychiatrycznej, z której wyszedł na dwa miesiące. Miał się stawiać trzy razy w tygodniu na obserwację, a potem znów na cykl badań... Co więcej, w telefonie znaleziono stare esemesy z wytycznymi...

Głos Landaua płynął z nadajnika osadzonego przy desce rozdzielczej nieoznakowanego opla. Aspirant pozostał na miejscu, nadzorując prace zespołu antyterrorystycznego. Choć praktycznie nie mieli już wiele do roboty, to czysto formalnie ich obecność nadal była niezbędna. Przynajmniej do momentu ostatecznego potwierdzenia, że w zamachu nie brało udziału więcej osób.

Byłych zakładników przesłuchiowano teraz jednego po drugim w pośpiesznie utworzonym na placu Defilad centrum operacyjnym. Tam też zorganizowano punkt opatrunkowy dla lżej rannych, sprowadzono psychologów i rodziny poszkodowanych. Machina ćwiczona co najmniej dwa razy do roku mogła zostać sprawdzona. Spisywała się całkiem nieźle.

Tym razem Knap siedział na fotelu pasażera. Samochód prowadził Zawada, a Greta Nawrocka coś pilnie notowała, rozłożona na tylnej kanapie. Nie używali stroboskopów ani nie starali się omijać korków. To nie było potrzebne. Pozostawali w stałym kontakcie ze wszystkimi służbami. Inspektor starał się poukładać w głowie ostatnie wydarzenia. Czy znajdował się w radiowozie, na komendzie czy gdziekolwiek indziej, nie miało to znaczenia.

Trop znowu się urywał. Przesłana przez zamachowca wiadomość ponownie została doskonale zaszyfrowana, według Nawrockiej użyto tego samego filtra co wcześniej, a zdaniem informatyków namierzenie serwerów, skąd wyszła, graniczyło z cudem. Jego przygnębienie wcale nie wynikało z tego, że w cuda nie wierzył. Wręcz przeciwnie, ale...

– Masz coś jeszcze? – zapytał, opierając głowę o szybę. – Cokolwiek?

– Niestety – Landau westchnął.

Ano Niestety. Szary krajobraz przesuwiał się w powolnym tempie. Mimo że nie było jeszcze pory szczytu, zablokowane centrum spowodowało tłok na wszystkich głównych arteriach.

– To nic. – Knap nawet nie odwrócił się w stronę nadajnika. – Wracaj do pracy...

Nacisnął przycisk zwalniający wewnętrzne pasmo i odchylił głowę do tyłu. Nisko osadzony zagłówek nie pozwalał na odprężenie. Przetaczające się myśli ciążyły na karku i wywoływały nieprzyjemne mrowienie. Przynajmniej duszność nieco ustąpiła, a posmak spalenizny zamienił się w ledwie wyczuwalną goryczkę.

Knap opuścił o kilka centymetrów szybę. Do środka auta wpadło świeże, chłodne powietrze. Mimo że słońce coraz częściej przebijało się zza rozproszonych chmur, temperatura nie przekraczała kilkunastu stopni.

Zawada pochylał się nad kierownicą. Od kilku minut kątem oka obserwował inspektora, wreszcie ukradkiem sięgnął do kieszeni. Wyciągnął biało-niebieskie opakowanie. Zwolnił i wycisnął niewielką tabletkę. Odchrząknął, starając się zebrać w ustach więcej śliny.

– Co tak naprawdę panu dolega?

Słyszając pytanie Knapa, o mało nie upuścił tabletki pod siebie. Wahał się tylko chwilę. Wreszcie wrzucił ją do ust i natychmiast połknął.

– Nie wygląda pan jak ćpun. – Knap lustrował go pilnym spojrzeniem. W jednej chwili ożył.

– A pan już z daleka wygląda na jezuitę.

Zawada się uśmiechnął. Przyspieszył i dynamicznie wyminął kilka wolno ruszających aut. Wierzchem dłoni otarł kropelki potu z czoła.

– Jeżeli bym panu powiedział, zrobiłoby się panu smutno. – Uśmiech nie zniknął z jego ust. – A być może byłoby nawet panu mnie szkoda, inspektorze. A tego wolałbym za wszelką cenę uniknąć.

– Skoro tak...

Knap dostrzegł, że czerwona kontrolka nadajnika zaczęła pulsować. Pasma wewnętrzne. Natychmiast sięgnął po urządzenie i przyciągnął mikrofon do ust.

– Knap. Słucham?

– Mówi Edmund Karot. Łączę się dzięki komisarzowi Bielawskiemu.

– O co chodzi?

Karot sapnął.

– Jestem w zakładzie karnym – wyjaśnił pośpiesznie. – Przed chwilą rozmawiałem z Fajsalem i dostałem telefon z ministerstwa. Wiadomość do zamachowca ma wyglądać jednak nieco inaczej, niż zakładaliśmy...

– Zaraz, zaraz... – Knap starał się jak najszybciej przetrwać te informacje. – Co pan robił w zakładzie karnym? I o co chodzi z tą wiadomością?

Psycholog zlekceważył pierwsze pytanie.

– Mamy grać na czas zwodzeniem, że już niedługo wypuścimy chociaż jednego z terrorystów. Jeżeli chcemy przekonać szantażystę, musimy dać

mu coś więcej. Poczucie, że to on decyduje. Jestem przekonany, że wskaże właśnie na Fajsala, choć naszą rozmowę muszę jeszcze przeanalizować.

– Dlaczego miałby na niego wskazać?

Karot nie odpowiedział od razu. Przez chwilę na łączu panowała cisza.

– Bo nie pasuje mi do dwóch pozostałych – mruknął wreszcie. – Choć domyślam się, że to mało satysfakcjonujący argument.

## 5.

Dalsza droga do siedziby biura operacji nie zajęła im więcej niż kwadrans. Zawada prowadził uważnie, choć po fentanylu jego źrenice wyraźnie się rozszerzyły. Ulice były zakorkowane i Zawady nie kusiło, żeby urządzić szaleńcze rajdy. Poza tym jak dotąd agent nie przejawiał podobnych skłonności. Może naprawdę ten środek wcale nie otumania? Ani nie dopinguje do prucia dwusetką pasem awaryjnym i wpadania na molo w Sopocie z ekstatycznym uśmiechem na ustach.

Każda używka i każdy narkotyk...

Gdy ta myśl formułowała się w głowie Knapa, jego spojrzenie spotkało się w lusterku ze wzrokiem Nawrockiej. Przez kilka sekund obserwowali się w milczeniu. Choć widzieli tylko swoje oczy i część czoła, oboje się do siebie uśmiechali. Jak dzieciaki, które umówiły się na randkę w szkolnym autobusie.

Albo ćpun po odprężającej dawce fentanylu...

Knap czuł głęboką ulgę. Kilkadziesiąt minut wcześniej był przekonany, że będzie musiał pożegnać nie tylko nowo poznaną interesującą kobietę, ale jeszcze karierę i – co najważniejsze – wielu niewinnych zakładników. Cena życia jednego pirotechnika nie była wysoka. Wiedział, że to okrutne, lecz niestety takie były realia ich pracy. Człowiek z gniewnym wyrazem twarzy pozostawił w świecie swoich bliskich głęboką wyrwę. Poza nimi i poza westchnięciami paru dalszych kumpli nikt nie odczuł tego zniknięcia. Nie ugiął się żaden krzew, po tafli żadnej z wód nie poniosły się wywołane opadniętą łżą zmarszczki.

Poezja.

Okrutna, ale prawdziwa.

Do końca wypełniał swoje obowiązki i oddał życie w szlachetnej sprawie.  
Panie świeć nad jego duszą.

Rozważania o śmierci natchnęły Knapa niepokojem. Zanim dojechali do centrum operacji, zdecydował, że musi napisać do syna. Nieważne, czy wyjdzie na despotę, sadystę, czy tylko nadopiekuńczego ojca, musi to zrobić i kropka. W przeciwnym razie zamartwianie nigdy się nie skończy. Proste rozwiązania są najlepsze. Tak zresztą ciągle powtarza Michał. Kolejna dwójka z chemii? „A po co się miałem uczyć na cokolwiek więcej, skoro mam w dupie chemię? Dwójka wystarczy. Pamiętaj, tatku, proste rozwiązania są najlepsze. Jak najmniej wysiłku, żeby osiągnąć sukces”.

Najtrudniej było jednak stworzyć finalną wersję wiadomości. Odwieczne pytanie, czy wszystko w porządku, brzmiało zbyt głupio. Może i jest starym ojcem, zdarzało się, że Michała brano za jego wnuka, ale nie jest jeszcze zdemencjały. Przynajmniej tak mu się zdawało. Powinien umieć napisać prostego esemesa.

„Jesteś w domu?”

To brzmiało dobrze. Nie niosło ze sobą żadnego przekazu, a w razie czego będzie mógł się wytłumaczyć tym, że chciał się dowiedzieć, jak się ma ojciec. Mógł odegrać przy tym scenkę, że bardziej ufa synowi niż opiekunce. To zawsze działało i dawało mu punkty przynajmniej na parę dni. Swoją drogą Lusia Lichocka mogłaby się również odezwać. Niby napisała, że zaczeka, aż wróci, ale w obecnej sytuacji można było żywić uzasadnioną obawę, że stary Klemens wziął ją za włamywacza i zasztyletował. Ewentualnie pomylił z deską do prasowania i solidnie przyłożył jej żelazkiem.

Knap odsunął te myśli. Lusia jest profesjonalistką i z pewnością potrafił spacyfikować bardziej krewkich staruszków niż jego ojciec. Poza tym ten zawsze ją lubił. I nawet w chwilach totalnego otępienia przy niej stawał się łagodny jak baranek.

Baranek Boży...

Kolejna uciekająca myśl stanowiła jedynie dowód, że mózg zaczyna pracować coraz bardziej pokrętnymi torami. Siódma godzina nieustannej koncentracji przepaliła jakieś styki i groziła przyspieszeniem nomen omen

dziedzicznej demencji. Ciekawe, kiedy sam zacznie dostrzegać oczy i nosy w gniazdkach elektrycznych? A może zamiast nich po tych wszystkich latach pracy wszędzie będzie widział terrorystów? Kot sąsiada? Wysłannik Al-Kaidy. Kret przekopujący ogródek? – Mściciel Państwa Islamskiego. Tyle że ilu prawdziwych terrorystów dorwał w życiu? Działania operacyjne polegały przede wszystkim na prewencji, a praca w BOA stanowiła ukoronowanie kariery. Ciepła posadka bez przesadnej roboty. I tak było do dzisiaj.

Z zamyślenia wyrwał go dopiero kobiecy głos odczytujący wiadomość dla zamachowca. Jej treść stworzyli wspólnie Nawrocka i Karot. Knap nawet nie zorientował się, że w samochodzie analityczka prawie przez cały czas pracowała. Oczywiście, poza tymi kilkoma przyjemnymi sekundami, gdy po prostu na siebie patrzyli.

Nagranie trwało niewiele ponad dwie minuty, gwarantowano na nim ustępstwa wobec szantażysty oraz proponowano, by wybrał już pierwszego z trójki ludzi, którzy mieli zostać uwolnieni. Jedyne żądanie ze strony władz dotyczyło bezpośredniego kontaktu. Treść została już zatwierdzona zarówno przez ABW, jak i najważniejszych polityków. Ciężar wymiany informacji wziął na siebie Zawada. Teraz stał wpatrzony w ekran komputera i jeszcze raz wsłuchiwał się w kolejne słowa. Nawrocka dokonała obróbki głosu odczytującej wiadomość tak, że miał brzmieć jeszcze bardziej przekonująco. Jak to określiła, zwiększała jego ciepłość.

– Zrobione – oznajmiła, gdy nagranie dobiegło końca. – Podoba się?

Knap z determinacją skinął głową.

– Dawajcie to do pokoju dwadzieścia osiem – nakazał. – Niech chłopaki jak najszybciej próbują się z nim skontaktować. Ciekawe, kiedy się odezwie.

– Ma pewnie ręce pełne roboty – ponuro skwitował Zawada. – Naprawdę bombowej.

Najbliższa godzina powinna przynieść rozwiązania. Od opracowania planu do jego wdrożenia w życie minęło wiele miesięcy. Wszystko rozpoczęło się właściwie przez przypadek. Jedna rozmowa, kilka rzuconych mimochodem uwag i nagła myśl, że może się udać. Że wcale nie jest się skazanym na beznadziejne, zwykłe życie w szarym społeczeństwie w szarym kraju.

Pojawił się załączek pomysłu. Ot, nawet nie płód, coś znacznie mniej niż zygota idei, ale za to zdeterminowana, by zawładnąć nim bez reszty. Nie mógł się przed tym bronić. Wszelkie próby odpędzenia natarczywie powracającej myśli przynosiły rezultat dokładnie odwrotny. Nie mógł jeść, spać, pracować ani się odprężyć.

Chciałby być głupi. Przez wiele dni również ta myśl przyprawiała go o dreszcze. Marzenie o byciu idiotą, któremu nie zakiełkowałyby w głowie taka koncepcja. Dlaczego był tak słaby? Pokusa okazała się silniejsza niż jakiegokolwiek zasady moralne, wpojone od dziecka uczciwość i dobro.

Nie był złym człowiekiem. Brzydził się okrucieństwami, choć przez wiele lat zdążył się z nimi oswoić. Mimo to żałował tych wszystkich ofiar, ich rodzin i bliskich. Jednak nie miał innego wyjścia. Żeby on wygrał, oni musieli odpaść z ponurej gry, jaką jest życie.

Okazja czyni złodzieja. Tak właśnie jest i kiedy to wreszcie pojawił, wszystko stało się jasne. Kręgosłup moralny również można zgnać w pałąk. Wystarczy schylić się po leżącą na ziemi monetę albo zgubiony przez kogoś koleczek. Interpretacja to tylko kwestia perspektywy.

Tak więc okazja czyni złodzieja, a cel uświęca środki. Po trzech miesiącach wewnętrznej walki pogodził się z tym, co było mu pisane. Zawsze wierzył w nieuchronność losu i jakąś formę predestynacji. Z udziałem Boga albo i bez niego, każdy dzień został ludziom rozpisany długo przed narodzinami. Mieli wpływ i możliwość zboczenia z tej drogi, tyle że pobocze wysłane było gównem i trupami innych śmiazków.

Nie należało się sprzeciwiać. Nie warto było kombinować i próbować oszukać los. Skoro na jego drodze pojawił się taki zakręt, musiał w niego wejść. Z nadzieją, że dalej kryje się lepsze życie, szczęście i reszta dawno już zapisanych spraw.

Nie było ucieczki ani możliwości zatrzymania się w miejscu. Gdzieś za nim pędziły rozpędzone amerykańskie osiemnastokółowce, których



trąbienie popędzało go, gdy tylko na moment zwolnił. Musiał bez przerwy być w ruchu i realizować to, co zesłało mu przeznaczenie.

Tak więc została jeszcze tylko ostatnia godzina. Może dwie, jeżeli ci idioci będą bardzo oporni. Nie mieli pojęcia, gdzie jest ani kim jest. I tego należało się trzymać jak najdłużej. Liczyło się zaskoczenie oraz sprawność działania.

Zresztą nie martwił się. Obmyślił wszystkie warianty i jak dotąd nie zdarzyło się nic nieprzewidzianego. Wszyscy zachowywali się tak, jak im zagrał. A co najlepsze, nie mieli o tym zielonego pojęcia. Chcieli być twardzi i mocni, a stawali się tylko pośmiewiskiem. Finalne nagranie mogłoby trafić do mediów, a potem zmieść te wszystkie kukły, które pozowały na mężów stanu.

Została im godzina. Może dwie, jeśli będą bardzo niesforni.

A potem wystrzeli.

Korkiem zmrożonego szampana.

## 7.

Greta Nawrocka pomyślała o Freddie. Mały, tłusty skureczybyk musi być w szoku, że został sam na tyle godzin. Od wielu miesięcy ich rozstania trwały nie dłużej niż godzinę, kiedy to robiła pospieszne zakupy w osiedlowym sklepie lub wychodziła na krótki spacer. Jakiś czas temu kupiła nawet smycz i obrozę, żeby mógł jej towarzyszyć, ale kot potraktował to jako kretyński pomysł. Ochoczo schodził na sam dół, ale po wyjściu na dwór wpadał w amok. W panice wdrapywał się po niej, zaciągał pazurami ubrania i lokował w bezpiecznej pozycji na jej karku. Najwyraźniej uznał, że cały świat dybie na jego bezcenne siedem żyć.

Po tym jak pekińczyk sąsiadów powitał go histerycznym szczekiem, Freddie dochodził do siebie przez trzy dni. Nic nie jadł, zaszył się pod łóżkiem, a na wszelkie próby kontaktu reagował prychnaniem. Spacerów najwidoczniej były nie dla niego.

Greta jeszcze raz ze słuchawkami na uszach analizowała nagrania zamachowca. Łącznie trwały nieco ponad siedem minut, ale zdawało się, że uzyskali z nich wszystko, co mogli. Karot uparcie twierdził, że z psychologicznego punktu widzenia działania zamachowca są całkowicie niespójne. Starał się wyciągnąć wnioski z rozmowy odbytej w zakładzie karnym, ale – jak to nazwał – trafił jak kret w ślepy zaułek. Albo jeszcze gorzej.

Nie dawał jej spokoju użyty przez szantażystę filtr. Rzadko zdarzało się, by przestępcy tak skrupulatnie maskowali swój głos. Czyżby zdawał sobie sprawę, że ta analiza może pozwolić go namierzyć? Islamscy terroryści byli z siebie zbyt dumni, żeby ukrywać swoje tożsamości. Tym razem twórca nagrań nie chciał zdradzić się głosem. Jednak było to możliwe tylko wtedy, gdy...

– Słuchajcie wszyscy! – Nawrocka zdjęła słuchawki i rzuciła je na stolik. Jej czarne jak sadza oczy rozświetlił blask podekscytowania. Odwróciła się w stronę Knapa i przytknęła palec do brody. – Ile osób było przesłuchiwanym w sprawie terroryzmu przez ostatni rok albo dwa?

Inspektor zdziwił się jej nagłym ożywieniem. Odsunął laptop, na którym od kilku minut sporządzał raport, i zerknął w sufit. Zmarszczył czoło, jakby to pomagało mu w koncentracji. W jednym momencie cała jego twarz pokryła się delikatnymi bruzdami.

– My prowadziliśmy bodaj pięć postępowań grupowych i kilka indywidualnych. – W zamyśleniu wydał wargi. – Połowa została umorzona. Ale myślę, że nasz łącznik z ABW ma jeszcze szerszą wiedzę.

Knap zerknął w stronę skulonego przy biurku obok Zawady. Agent przed chwilą zakończył rozmowę z wiceszefem Centrum Antyterrorystycznego Henrykiem Rudnickim i przysłuchiwał się wymianie zdań.

– Agencja prowadziła kilka niezależnych postępowań. – Niedbale wzruszył ramionami. – Ale praktycznie wszystkie we współudziale ze służbami zagranicznymi.

– Czy przesłuchania podejrzanych były rejestrowane?

Zawada odłożył telefon i przyjrzał się bacznie Nawrockiej.

– Zazwyczaj tak...

– U nas wszystkie. – Knap, kryjąc uśmiech zadowolenia, przygładził zarost. Odkąd objął stanowisko, nakazał bezwzględne nagrywanie

przesłuchań. Było to pomocne nie tylko w toku prowadzonych postępowań, ale pozwalało uniknąć wypaczeń przy transkrypcji. – Do czego pani zmierza?

Nawrocka podniosła się z fotela i oparła pośladkami o skraj biurka. Porządkując myśli, powiodła wzrokiem po pełnej zakreśleń tablicy, wielkiej mapie Warszawy i szeregach pośpiesznie zorganizowanych stanowisk. Zatrzymała spojrzenie na niewielkiej skrzynce foniomietru.

– Gdybym dostała próbki dźwiękowe, mogłabym je odpowiednio obrobić – obwieściła tryumfalnie. – Nałożyłabym filtr używany przez zamachowca i porównała je z przesłanymi przez niego nagraniami. Jeżeli choć raz służby miały go na oku, poznalibyśmy drania.

Rzutem na taśmę – pomyślał Knap. Z Boską opatrnością zdarzają się cuda.

## 8.

Gdyby linie telefoniczne przepustowością choć trochę przypominały warszawskie ulice, w ciągu następnego kwadransa całkowicie by się zakorkowały. Zawada walczył z przełożonymi o pozyskanie materiałów posiadanych przez ABW, Karot konsultował przypadek szantażysty z biegłym psychiatrą, a Knap, zmuszony do grzebania w polityce, skonsultował sprawę z wiceministrem obrony. Chwilę później musiał użerać się z jego dobrym kolegą ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym w jednej osobie.

Wszystko było na dobrej drodze, o ile inspektor zamierzał brać na siebie pełną odpowiedzialność. Za handel danymi, tajnymi informacjami, materiałami wywiadowczymi i tak dalej, i dalej... Godził się na wszystko, chcąc jak najszybciej dostać zgodę na ich wykorzystanie. Sam nie mógł prawie kiwnąć palcem. I mimo że brał udział w kilkunastu takich przesłuchaniach, a większość postępowań osobiście nadzorował, robił za chłopca do bicia. W razie czego wszelkie gromy tego świata miały być ciskane na jego głowę.

Wstępnie wszystkie zgody otrzymał już po pięciu minutach. Po kolejnych pięciu każdy z rozmówców prosił, by po rozmowie nie został nawet ślad, a gdy i ten etap mieli za sobą, pozostało rozpocząć poszukiwanie danych. W polskim bałaganie mogło to potrwać najdłużej. Zresztą nawet akta spraw prowadzonych przez biuro Knapa od momentu, gdy zostawały opieczętowane jako umorzone lub niewarte uwagi, przepadały w czeluściach archiwum. Chłopaki z pokoju dwadzieścia osiem mieli odnaleźć zapisy nagrań na dyskach wewnętrznych. Oczywiście ich przechowywanie również nie było do końca legalne. Właściwie nie usuwając ich, łamali nie tylko przepisy ustawy, ale również kilka konwencji i rozporządzeń unijnych. Bezpieczeństwo, jak się okazało, miało wyższy priorytet od praworządności.

Korek telefoniczny byłby tym większy, że w chwili gdy inspektor był zajęty użeraniem się z decydentami, na jego numer dwukrotnie dzwoniła Lusia Lichocka. Że też nie znalazła lepszego momentu. Kiedy wreszcie opadł na fotel i postanowił oddzwonić, jego komórka zawibrowała.

Znowu Lusia. Jak nakręcony rzucił się do aparatu. Tym bardziej że Michał, odkąd wysłał mu esemesa, nie raczył się odezwać, a silenie się na kolejną próbę kontaktu przekraczało ich standardy. To mogła być zwykła próba sił nastolatka i podstarzałego gliny. Chwilowo prowadziła drużyna gówniarzy.

– Halo? Mam nadzieję, że u pani wszystko...

– Nie wiem, za jaką panią mnie bierzesz.

Psia mać. Knapa oblał zimny pot. Przez kilka sekund w milczeniu przytykał słuchawkę telefonu do ucha i starał się połączyć fakty. Gdyby nie był na nogach od piątej rano, być może jego mózg zadziałałby sprawnie. W obecnych warunkach trochę trwało, nim przyporządkował głos z drugiego krańca linii do Lucjana Gawrona, patologa, który zwyczajowo zajmował się sprawami podrzuconymi przez służby. Przeważnie były nimi mocno uszkodzone zwłoki.

Gdyby chwilę się skupił, nie pomyliłby Lucka i Lusi na wyświetlaczu telefonu. Choć w ostatnim czasie jego wzrok szwankował w szybszym tempie, niż nadążał wymieniać szkła okularów. Wina leżała pośrodku. Gdzieś pomiędzy gałkami ocznymi i mózgiem.

– Przepraszam, Lucek, byłem przekonany, że to opiekunka mojego ojca...

– Jak się ma stary Klemens? Na szczęście jeszcze nie miałem okazji go badać.

Ponury dowcip był powtarzany przy okazji każdej rozmowy.

– Wybacz, ale jestem zajęty. – Knap przytrzymał słuchawkę ramieniem i wrócił do przeglądania najnowszych dokumentów. – Na partyjkę brydza możemy się umówić najwcześniej w przyszłym tygodniu.

– Chodzi o twojego trupa.

Słowa doktora od razu przełączyły Knapa w stan czuwania. Nie odezwał się, pewny, że lekarz sam dokończy.

– Nie jest w zbyt dobrym stanie, co chyba zostało mu usprawiedliwione. – Gawron rzeczywiście podjął po chwili. – Nic dziwnego, gdy rozwała go kilka ponaddzwiękowych pocisków snajperskich, ale nie o to chodzi. Moją uwagę zwróciło coś zupełnie innego.

– Co takiego? – Knap zadał pytanie na zachętę i zarazem przerywnik wyvodu patologa. Obstawiał, że zwłoki, które do niego pewnie właśnie jechały, są w jeszcze gorszym stanie. O ile udało się cokolwiek zeszkrobać z dachu PKiN-u. – Zamieniam się w słuch.

Gawron wymownie chrząknął.

– Pewnie wielu drobnych cech już nie sposób się doszukać... – zawiesił na moment głos, po czym ponownie odchrząknął. – Denat ma uszkodzone zatoki i nadgryziony język. To z pewnością nie miało związku ani z ucieczką, ani zakończeniem życia jako kukła na strzelnicy.

– Mamy jakieś propozycje?

– Nie. – Patolog uciał krótko. – Na razie żadnych. Po prostu miałem nadzieję, że te informacje mogą wam pomóc. Dlatego zawróciłem sobie dupę i zadzwoniłem do ciebie, mój drogi Adamie.

## 9.

Norbert Graf pociągnął mały łyk whisky schłodzonej kilkoma kostkami lodu. Starał się zebrać do kupy i najlepszym miejscem do tego wydał mu się sejmowy barek. Na szczęście nie było już śladu po przejściowych

problemach z koncesją na alkohol. Asortyment nie pozostawiał złudzeń. Najlepiej politykowało się na rauszu.

Jednak Graf nie zamierzał się upić. Skupiony, ze stopami oplecionymi wokół nogi krzesła i rękoma opartymi na stoliku, kalkulował swoją sytuację. Powinien czekać na rozwój wydarzeń. W ogóle być może powinien wszystko rozegrać znacznie rozważniej. Poniosła go chwila i zaczynał tego kurewsko żałować.

Upił kolejny łyk drinka i otarł usta serwetką. Kątem oka wychwytał znajomy kształt. Krągłość pośladków uwydatnioną przez cienki materiał granatowej spódnicy, a wyżej wklęsniętą talię i wreszcie wypukłość biustu. Wydatnego, podkreślonego przez obcisłą koszulę i powiększający stanik. Z boku przypominał dwa globusy zabrane prosto z sali geograficznej. Z tym że Graf wiedział, że wszystkie odmalowane na nim ziemie są równie ogniste.

Podniósł się od stolika i łukiem skierował w stronę baru. Poruszał się tak, by brunetka nie mogła go wcześniej zobaczyć. Przynajmniej tyle radości pozostało mu w życiu.

– Co piękna pani powie na kolejkę czegoś mocniejszego? – zapytał, kładąc dłoń na szczupłym ramieniu. – Wódka, grappa, a może po prostu spirytus?

– Cześć, Norbert. – Kobieta odwróciła się i pocałowała go w policzek. Nie była zaskoczona, więc domyślił się, że dostrzegła go wcześniej. Nawet to mu się nie udało. – Niezły numer wywaliłeś. Naprawdę dobrze ci to wyszło.

– Tak myślisz?

– Jestem pewna.

– Więc powiedz, co mi z tego?

Kobieta uśmiechnęła się ponuro.

– Wiem. – Poglądziła Norberta po policzku. – Wylatujesz. Wszyscy o tym mówią.

Graf oparł się o brzeg baru i pochylił się nad brunetką. Miała na imię Eliza i była jedną z jego dawnych przelotnych miłości, z którymi wciąż utrzymywał kontakt. Piastowała ciepłą posadkę w sekretariacie sejmu i jak zawsze była ze wszystkim na bieżąco.

– Naprawdę tak mówią?

– Ano. – Eliza skinęła głową. – W coś ty się wpakował, Norbert? Po jaką cholere ci to było potrzebne?

Graf wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może w niewłaściwym momencie pomyślałem, że nadszedł mój czas?

– Zawsze byłeś narwany.

– I chyba to lubiłaś.

Eliza poprawiła kołnierzyk koszuli i skinęła do barmana. Po chwili wyładował przed nią kieliszek rozwodnionego martini.

– Nagle zastanawiasz się nad tym, co ja lubiłam? Martw się raczej o to, co lubią wyborcy. Przecież nigdy nie myślałeś o niczym innym. Wiesz o tym najlepiej.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Czy kiedykolwiek cię oszukałam? – Kobieta upiła drinka i spojrzała wymownie na Grafa. – Gdyby nie to, może by się między nami lepiej ułożyło.

– Nie ułożyło się, bo jestem politykiem?

– Nie. – Pokręciła energicznie głową. – Nie ułożyło się, bo przestałeś być zabawnym, fajnym mężczyzną. A teraz, przepraszam cię, ale wracam do swojej telefonicznej nory.

Graf odsunął się, robiąc miejsce, by Eliza wstała. Powoli zsunęła się ze stołka, położyła na blacie dwa banknoty i machnęła na pożegnanie do barmana. Przez chwilę mierzyła wzrokiem Grafa. Nagle, gdy ten się uśmiechnął, chwyciła szklankę i chlapnęła jej zawartością w jego stronę.

Rozwodnione martini rozbryzgało się na granatowej marynarce. Norbert nawet nie zdążył uskoczyć.

– Ej, za co to?

– Za tę Rosjankę czy inną sikse. Jak ją potraktujesz tak jak wcześniejsze... Nie daruję ci tego. – Kobieta, kołysząc biodrami, ruszyła do wyjścia. – Pamiętaj, że odkąd się rozeszliśmy, zostałam twoją mamuszką. A skoro wali ci się świat, muszę się za ciebie wziąć z podwójną energią.

– Mamusi...

Graf popatrzył za nią, aż zniknęła na korytarzu, wreszcie sięgnął po chusteczkę i wytarł marynarkę. Jeśli nie chce, żeby została plama, powinien jak najszybciej ją zaprać. Rzucił kolejny banknot na te zostawione przez Elizę i skierował się do łazienki. Minał kilka osób pochłoniętych

siorbaniem kawy, wzbogaconym o przeglądanie najnowszej prasy. Wykwintna, parlamentarna moda parodii wyższych sfer.

Kiedy dotarł do łazienki, poczuł wibrację komórki. Krótką i pojedynczą. Esemes.

Wyjął telefon i pospiesznie go odczytał.

„Nieznany numer próbował się z tobą połączyć dziś o godzinie...”

Szybko przełączył aplikacje, aby odsłuchać wiadomość. Przyłożył telefon do ucha i zamarł.

*Walka do samego końca, tak? Albo my, albo wy, jak to mówicie na waszym europejskim zachodzie? Ja podejmuję wyzwanie, a pan, mam nadzieję, również nie stchórzy. Jeżeli wygram, tak naprawdę nic się nie stanie, ale jeżeli przegram – zostanie pan Saladynem krzyżowców. Do zobaczenia, panie wiceministrze. Allah jest wielki.*

Głos brzmiał dziwacznie. Był nieco stłumiony, a przy tym nienaturalnie chrapliwy i niski. Zupełnie jakby nałożono na niego jakiś specjalny filtr. Graf zapomniał o płamie na marynarce.

## 10.

– O czym mogą świadczyć obrażenia zatok i języka? Czy mają dla nas jakiegokolwiek znaczenie?

Knap podszedł do białej tablicy i przyjrzał się zapisanym wcześniej uwagom. Nabazgrany trójkąt z kilkoma strzałkami przypominał oko opatrności. Jednak opatrność wydawała się zaskakująco nierychliwa, bo nadal dziesiątki haseł nie układały się w całość.

Dżihadysta?

Dostęp do mat. wybuch.

Członek org. terror.?

Informatyk.

Polak.



Dlaczego dzwoni?

Dlaczego sporządza nag. wcześniej?

Dwa ostatnie pytania napisane były starannym, zamaszystym pismem. Knap przypomniał sobie, że w trakcie rozmowy telefonicznej poprosił, by zanotowała je Greta Nawrocka. Teraz analityczka siedziała przy biurku i na przemian odsłuchiwała wiadomości i wertowała swoje zapiski. Pod względem skrupulatności dorównywała Bielawskiemu. Pod względem niecierpliwości wyprzedzała go o lata świetlne. Nie mogła się doczekać nagrań z przesłuchań i pokazywało to całe jej ciało. Gniewnie zaciśnięte usta, rozbiegane spojrzenie, stopy wybijające o podłogę sobie tylko znany rytm. Niewiele brakowało, by zerwała się do rytualnego tańca, który przyspieszyłby bieg wydarzeń.

– To obrażenia, jakie pojawiają się przy waterboardingu. – Zawada splótł dłonie na piersi. – Nadgryziony język, uszkodzone zatoki...

Knap zatrzymał się w pół kroku. Agent mógł mieć rację, a skojarzenia były bardziej oczywiste niż te dotyczące haseł wynotowanych na tablicy.

Waterboarding stanowił formę tortur albo, jak kto woli, przesłuchań stosowanych między innymi przez CIA wobec islamskich terrorystów. Czy praktykowało ją również ABW? Jeżeli tak, wiedziało o tym pewnie mniej osób, niż w ogóle zostało przesłuchanych.

Działanie wydawało się dziecinnie proste, a rezultaty ponoć przerastały najśmielsze wyobrażenia. Choć, jak się okazało, część przesłuchiwanym zaczynała nawet wymyślać niestworzone historie, byle tylko nie być poddawanych dalszej torturze.

Knap na jednym ze szkoleń widział nagranie z takiego przesłuchania w Rodezji albo na innym końcu świata, bo oficjalnie prawo międzynarodowe nie zezwala na podobne metody. Poddawaną przesłuchaniu osobę krępowano do przechylonej pod niewielkim kątem ławki, a jej głowę umieszczano poniżej poziomu stóp. Na twarz kładziono jej mokłą tkaninę, na którą powoli wylewano wodę.

Brzmi niewinnie, a jednak przesłuchiwani dusili się i mieli wrażenie, że toną. Nikt nie wytrzymał więcej niż kilkunastu sekund. Potem śpiewali jak najęci. A co najważniejsze, nie było żadnych zewnętrznych śladów. A te wewnętrzne nikogo nie interesowały.

– Tortury? – Nawrocka podniosła się znad papierów. – W ten sposób sprawca mógł go nakłonić do podporządkowania...

– Jakby uprowadzenie rodziny było zbyt słabym argumentem.

– Perswazja dwupoziomowa. – Zawada się uśmiechnął. – Skuteczniejsza niż sam szantaż.

Knap westchnął. Miał dziwne wrażenie, że Zawada o waterboardingu wie więcej, niż powinien. Albo niż było zgodne z międzynarodowymi standardami. Na twarzy agenta pojawiły się wypieki, a jego oczy nagle ożyły. Mogła to być oczywiście sprawka fentanylu, ale to chyba naiwne myślenie.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz przerwało mu uderzenie drzwi o ścianę. Do pomieszczenia wpadł komisarz Bielawski. W dłoni ścisnął kilka kartek, którymi wymachiwał jak dziecko mieczem-zabawką.

– Mam wszystkie sprawy. – Zatrzymał się przy biurku i skinął w stronę Zawady. – W tym dane od ABW. Łącznie w ciągu ostatnich dwóch lat prowadziliśmy trzydzieści jeden postępowań w związku z zagrożeniami terrorystycznymi. Abstrahując od tych dotyczących współpracy z zagranicą, zostaje dwanaście. – Zamilkł, upewniając się, że podane przez niego informacje wywarły odpowiednie wrażenie. – Ale nie bójcie się – dodał po chwili. – Z tej parszywej dwunastki pięciu deportowaliśmy, dwóch zmarło, a tylko jednego ostatnio zgubiliśmy z obserwacji.

Knap energicznie zatarł dłonie. Wreszcie opatrność okazała mu odrobinę przychylności.

Odwrócił się w stronę Nawrockiej.

– Jak długo zajęłoby pani nanoszenie tych filtrów na ich głosy?

Analityczka wzruszyła ramionami.

– Od momentu, gdy dostanę nagrania, nie więcej niż godzinę. Pewnie szybciej. Miałabym stuprocentową pewność.

– Stuprocentową? – zdziwił się Zawada, najwyraźniej nieprzekonany.

– Niewiele mniejszą. – Nawrocka nie traciła entuzjazmu. – Czynniki zewnętrzne zawsze wpływają na pewną deformację, podobnie sam proces obróbki, lecz...

Urwała na dźwięk telefonu Knapa. Mały aparat niemal podskakiwał na blacie biurka. Inspektor pospiesznie po niego sięgnął i odebrał. Przez niespełną minutę prowadził nerwową wymianę zdań. Wreszcie cisnął

komórkę z powrotem na biurko. W jednej chwili jego zapał ostygł. Pochylił się, oparł o krawędź krzesła i wbił wzrok w podłogę. W tej pozie, z rozchylonymi połamami zbyt dużej marynarki wyglądał na co najmniej dziesięć lat starszego. Wieloletni emeryt, który przyszedł odwiedzić groby przyjaciół.

Przestąpił z nogi na nogę, ale nie podniósł głowy.

– Poddajemy się – oznajmił pustym tonem. – Wypuszczą Fajsala ibn Husajna. Sprawca odpowiedział na naszą wiadomość i góra podjęła decyzję. To koniec. Przegraliśmy.

*Eli, Eli, lama sabachthani?*

## ODCINEK 9.

### 1.

**WIELKI PIĄTEK**

**GODZINA 13:00**

**KONIEC**

*Sprecyzujmy to, żeby uniknąć później rozczarowań. Za wszelką cenę chcemy przecież ich uniknąć, bo mogłyby się skończyć kolejnymi ofiarami. Nie macie pojęcia, jak wiele bomb przemieszcza się dzisiaj po waszej stolicy. Nie macie pojęcia, jak wiele leży ukrytych. Gdybyście wiedzieli, strach by was sparaliżował.*

*Zapewniam was. Nie odważylibyście się wypętnąć z waszych kryjówek i wrócić do domów.*

*Dlatego sprecyzujmy, żeby nie było rozczarowań. To bardzo ważne. Nie sądzicie?*

*Potrzebuję samolotu w typie Pipera PA-31 Navajo. Na pewno bez problemu ustalicie, jaki mam gust. Co najmniej ośmioosobowy dolnopłat, z pełnym bakiem paliwa i w doskonałym stanie. Zresztą żeby taki był, sami zadbacie, ale o tym za chwilę. Na pokładzie mają się znaleźć dwa komplety spadochronów do skoków z małej wysokości. I z góry wam mówię, że Fajsal zna się na rzeczy, więc nie usiłujcie ich podmienić na coś innego. Umożliwicie start z pasa awaryjnego lotniska Chopina jeszcze przed drugą po południu.*

*Jak widzicie, macie mało czasu.*

*Zrozumiecie na pewno, że w związku z tym wszystkim będziemy potrzebowali również zabezpieczenia. Albo nazwijmy to gwarancjami. Gwarancja brzmi lepiej, a poza tym nasz układ dotyczy jeszcze dwóch*

więźniów. O nich porozmawiamy następnym razem. Na razie skupmy się na Fajsalu, a daję wam głowę, jak komicznie by to nie brzmiało, że to wspaniały pilot.

Co do gwarancji. Wspominałem, że sami zadbacie o to, aby samolot był w doskonałym stanie. A to dlatego, że na jego pokładzie z moim muzulmańskim bratem ma się znaleźć również bohater, który prowadził pełną wojowniczych haseł konferencję prasową. Wiceminister Norbert Graf, o ile dobrze pamiętam. Poza nim w charakterze świadka i ewentualnego zapewnienia wam równowagi sił może się zameldować nieuzbrojony gliniarz, żołnierz albo nawet komandos. Nie robi mi to żadnej różnicy.

To odroczy kolejny zamach o dwadzieścia cztery godziny. Potrzebujecie tego czasu. Kolejne zegary już są nastawione i odmierzają sekundy... Możecie przerwać odliczanie.

*Bóg jest wielki.*

Wiadomość od szantażysty pojawiła się kilkanaście minut po tym, jak władze oficjalnie zgodziły się na uwolnienie jednego z więźniów.

– Ministerstwo zgodziło się na jego warunki. – Zawada odłożył telefon i parsknął z irytacją. – Fajsal ibn Husajn zostanie odwieziony na lotnisko za kilkanaście minut. Nie ma czasu podstawiać żadnego samolotu z naszą aparaturą. Musimy skorzystać z udostępnionej maszyny prywatnej.

– Szlag... – Bielawski rzucił na biurko notatnik. Ten się odbił i spadł na drugą stronę. – Powinno się mu podrzucić jakiś nadajnik. Cokolwiek...

– Zdaje się, że nikt nie chce ryzykować. – Zawada westchnął. – Kwestia priorytetów...

– Priorytetów? – Bielawski pokręcił głową. – Wiceminister jako zakładnik?

Agent podszedł do okna i przyłożył czoło do szyby. Dłonie oparł o chłodny marmurowy parapet.

– „Ludzie sami piszą swój los” – wyrecytował z pamięci. Nie wiedział tylko, czego to fragment. – Graf zawsze sprawiał wrażenie chojraka, który chce zostać bohaterem. Pieprzony pozer.

Knap i Nawrocka się nie odzywali. Co jakiś czas posyłali sobie posępne spojrzenia. Po uśmiechach z samochodu nie została już nawet najdrobniejsza zmarszczka. Wreszcie inspektor szybkim krokiem przeszedł

między rzędami biurek i zatrzymał się przy tablicy. Rozpisana burza mózgów podkreślała uczucie bezsilności. Miał wrażenie, jakby od momentu, kiedy przenieśli się do tego pomieszczenia, minęło nie kilka godzin, nawet nie parę dni, lecz całe tygodnie. Długie tygodnie ciężkiej harówki zwieńczone rozczarowaniem. Zasiane przez nich ziarno nie przyniosło najdrobniejszego plonu.

Zamachnął się i z impetem pchnął metalowy stelaż. Tablica zachwiała się, po czym runęła na bok. Markery rozsypały się wokół. Knap ciężko sapnął, bezsilność przyprawiała go o wściekłość. Dawno mu się to nie zdarzyło, lecz napięcie całego dnia właśnie sięgnęło zenitu. Stoicka cierpliwość i opanowanie również miały swoje granice.

– Że też taki jezuita... – starał się rozładować atmosferę Zawada.

Wymownie pokręcił głową i podniósł z podłogi pisaki. Czubkiem buta przesunął tablicę, tak by nie zagrażała przejścia. Nie silił się, aby przywracać ją do pionu.

Knap wciąż ciężko dyszał. Z zakłopotaniem spuścił głowę i założył dłonie na kark. Mogli wpaść na wszystko wcześniej, mogli nie dopuścić do żadnych ofiar, mogli...

Bezwiednie zaciskał i rozluźniał szczęki. Jego zęby zgrzytnęły. Gdyby tylko mieli jakiegokolwiek informacje wywiadowcze o planowanych zamachach, a tak dzisiejszy poranek spadł na nich całkiem niespodzianie. Wypracowane schematy sprawdziły się tylko połowicznie. Dopiero teraz widoczne się stało, jak bardzo sztuczny i naiwny scenariusz przewidywały wszystkie szkolenia. Warszawa to nie Nowy Jork czy Londyn i nikt nie zamierzał rozpylać gazów bojowych lub wbijać się w Pałac Kultury porwanymi samolotami. Plan działania zamachowca okazał się łopatologicznie prosty. Do tego w każdym aspekcie wieńczył go szantaż. Banalny sposób, aby wymanewrować służby i bezkarnie panoszyć się po stolicy. Albo gdzieś zupełnie indziej.

Zawada sięgnął po telefon i powiódł wzrokiem po wszystkich wokół. Delikatnie się uśmiechał. Był to wyraz niepewności, być może sposób zamaskowania lęku, ale sprawiał wrażenie chłopca, któremu można teraz powierzyć największe tajemnice. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Ja z nim polecę. – Przeczesał palcami włosy i odgarnął grzywkę. – Umiem pilotować awionetki i wszyscy wiedzą, że nie mam nic do stracenia.

Zdaje się, że jestem dobrym materiałem. A przynajmniej najlepszym z dostępnych.

## 2.

To, że Zawada zgłosił się na ochotnika, musiało sprawić niebotyczną ulgę wielu osobom. Wyznaczanie na siłę czy wydawanie straceńczych rozkazów nikomu nie było w smak. Ochotnik załatwiał sprawę. Odsuwał odpowiedzialność.

Obecność komandosa na pokładzie awionetki również zdawała się zbędna. Jakikolwiek manewry nie wchodziły w grę nie tylko dlatego, że ryzykowano by życiem wiceministra, ale przede wszystkim z uwagi na ryzyko kolejnych zamachów. Gwarancja dwudziestu czterech godzin spokoju, choć być może złudna, napawała nadzieją. W zasadzie nie mieli niczego więcej. Oczekiwania wobec analiz przesłuchań, do których wkrótce miała się zabrać Greta Nawrocka, były nadal wysokie. Jednak wszystko zabierało czas.

Czas. Czas. Czas.

Desperacko potrzebowali tej doby. Poza tym ucieczka Fajsala z Polski, Unii Europejskiej albo Europy w ogóle, wydawała się niemożliwa. Nawet gdyby jakimś cudem doleciał na ukraińskie stepy i starał się przebić dalej na wschód, miał znikome szanse. Oczywistym było, że uruchomione zostaną procedury pościgowe. Szantażysta, o dziwo, nie domagał się żadnych gwarancji ani nie żądał uwolnienia więźnia na przykład na kontrolowanym przez talibów terytorium w Afganistanie. Kilka takich sytuacji miało już miejsce w przypadku wymian zakładników z Amerykanami. W dwóch akcjach za pośredników robili nawet polscy agenci, którzy byli przez mudzahedinów traktowani z większą sympatią niż jankesi.

Knap zwolnił przed szlabanem blokującym wjazd na teren lotniska. Strażnik dokładnie obejrzał jego legitymację, po czym ukontentowany skinął głową i wskazał, którądy powinni jechać.

Kolejne kilkadziesiąt metrów pokonali pasem wzdłuż terminali, wreszcie zjechali na boczną płytę lotniska. Knap rozejrzył się po dachach hangarów, gdzie zgodnie z pospiesznie nakreślonym planem mieli rozłożyć swoje stanowiska snajperzy. Na wszelki wypadek. Kontrola lotów została zmuszona do zamknięcia przestrzeni powietrznej nad Warszawą do odwołania. Wojskowe maszyny również miały czekać w odwodzie. Decyzją ministra tysiące pasażerów utknęło właśnie na lotniskach, a samoloty skierowano do innych portów.

– Miał pan kiedykolwiek przecucie zbliżającej się śmierci?

Pytanie Zawady zawisło w aucie jak najgorszy odór, którego nie da się pozbyć zwykłym wietrzeniem. Knap zacisnął dłonie na kierownicy.

– Tak – odparł, znowu zwalniając. – Kiedy moja żona umierała, doskonale zdawałem sobie sprawę, że lada dzień będzie po wszystkim. Nie tylko dla niej, ale również dla mnie. Chciałem, żeby Bóg też wezwał mnie do siebie.

– I nie stracił pan wtedy wiary?

– Z pewnością zostałem poddany próbie.

– To nie jest odpowiedź, inspektorze – stwierdził agent.

Knap zatrzymał samochód obok dwóch wozów straży pożarnej. Kilkanaście metrów dalej stały już karetki oraz rząd radiowozów. W cieniu hangaru dostrzegł pojazd grupy szturmowej. Kolejne środki bezpieczeństwa, których użycie groziłoby katastrofą.

Rozpiął pas i popatrzył na Zawadę. Agent zdawał się jeszcze bladszy niż zwykle. Jego oczy nabiegły krwią i przypominały ślepią królika. Starał się opanować emocje, ale nie był w stanie.

– Przepraszam – szepnął. – To, kurwa, żałosne.

Również rozpiął pas i głęboko zaczerpnął powietrza. Poklepał się dłońmi po twarzy, po czym, nie czekając na reakcję Knapa, pchnął drzwi.

Kiedy obaj znaleźli się na płycie lotniska, jeszcze raz zerknął w stronę inspektora.

– Najgorsze jest to, że nie mam się z kim choćby pożegnać – rzucił nad dachem radiowozu. – Dziwne mam zachcianki, co? Kobieta, o której panu mówiłem, ma mnie w dupie, rodziców nigdy nie poznałem, a brat...

Zawada uciął i machnął ręką. O bracie najwyraźniej wołał w ogóle nie mówić.



Opanował się, słysząc za sobą szybkie kroki. W ich stronę szedł Henryk Rudnicki. Wiceszef ABW miał marsową minę i już z daleka wykonał niezgrabny gest powitania. Tuż za nim podążał zwalisty agent w bojowym rynsztunku. Prawdziwa gwardia przyboczna wodza.

– Słowa mojego uznania! – Rudnicki wyciągnął rękę. – To kapitan Garot, poznajcie się, panowie.

Mężczyźni wymienili pospieszne uściski rąk.

– Za parę minut będziemy mieli tu strefę zero. Pierdolone czasy...

Garot skinieniem głowy wskazał, by ruszyli w stronę wozu antyterrorystów.

– Potrzebujemy jeszcze... – Przerwał w pół zdania. Szturchnął przełożonego. Po chwili przyciszonym głosem wycedził: – Inspektor doskonale by się nadał...

Obaj agenci zmierz yli Knapa bacz nym wzrokiem.

– Do czego miał b ym się nadać? – Knap wcale nie sprawiał wrażenia zaciekawionego.

### 3.

Fajsal ibn Husajn nie zdradzał żadnych emocji. Siedział sztywno w podskakującej na wybojach więźniarce i patrzył prosto w niezasłonięte niczym oczy policjantów. Dwóch innych, którzy znajdowali się po jego bokach, było gotowych do nagłej interwencji. Tyle że jaką interwencję mógłby chcieć podjąć więzień, którego transportowano prosto ku wolności? Za kwadrans lub dwa miał wzbić się nad powierzchnię ziemi i skierować w dowolną stronę. Jego bezpieczeństwu służyły dwa spadochrony i zakładnicy, którzy razem z nim mieli się znaleźć na pokładzie. Plan prawie doskonały. Choć, gdyby znać szczegóły, być może z doskonałością miał jeszcze więcej wspólnego niż tylko „prawie”.

Przez zakratowaną, przyciemnioną szybę niewiele było widać. Do środka wpadało rozproszone dzienne światło, lecz ledwie przebijało półmrok. Klimatyzacja pracowała pełną parą, schładzając przedział do równych

dziewiętnastu stopni. Temperatura idealna, jeśli ma się na sobie ciężki policyjny rynsztunek, a jedynym odsłoniętym miejscem są oczy. Fajsal również nie mógł narzekać. Ubrany był w intensywnie czerwony jednoczęściowy kombinezon. Spod niego wystawał kołnierz również czerwonej koszuli.

– Co się, kurwa, gapisz? – Siedzący naprzeciw niego policjant nie wytrzymał. – Spodobałem ci się?

Fajsal nie spuścił wzroku. W ogóle się nie poruszył. Od paru minut przebywał w tej samej pozycji. Jedynie kąciki jego ust ledwie zauważalnie drgnęły.

Nie powiedziano mu, dokąd jest transportowany. Równie dobrze mógł się spodziewać, że zmienia adres zakładu karnego albo wbrew procedurom w tajemnicy został poddany ekstradycji choćby do Stanów. Tam groziłaby mu kara śmierci. Wynalazek o tyle przydatny, że żaden szantaż nie przywróci życia komuś, kto zadyndał na stryczku albo przypalił się na krześle elektrycznym.

– Pieprzony gnój – fuknął policjant i odwrócił się w stronę okna.

Ci, którzy siedzieli po bokach Fajsala, nie odezwali się. Trzymali w pogotowiu broń i byli gotowi na likwidację każdego zagrożenia. Więziarka została zabezpieczona niewiele słabiej niż wozy bankowe. Zgodnie z testami przeprowadzonymi w trakcie przetargu, podwozie powinno wytrzymać nawet najazd na niewielką minę, a boki ostrzał z małokalibrowej amunicji. Powinny, nie znaczyło, że wytrzymają.

Fajsal nagle rozluźnił mięśnie i się poruszył. Z zaciekawieniem powiódł wzrokiem po wnętrzu pojazdu. Nikt nie miał o tym pojęcia, ale przez ostatnie minuty był całkowicie pochłonięty modlitwą. Pobyt w celi i więzienny rygor nauczyły go pełnej koncentracji. Kilka razy na dzień świat zewnętrzny przestawał dla niego istnieć. Musiał jednak zrezygnować z wymaganej bezwzględnej czystości. Co prawda w razie braku dostępu do wody Koran dopuszcza obmycie się nawet piaskiem, ale tego brakowało mu tym bardziej. Podobnie jak dywanika i orientacji w kierunkach świata. Allah jest jednak wyrozumiały. Miłosierny i Litościwy. Król dnia Sądu.

Cokolwiek by się działo, nie należało się bać. Wszystko wydawało się lepsze od więziennej monotonii, przerywanej szykanami strażników i współosadzonych. Dwukrotnie musiano go izolować, by nie został po

prostu zatłuczony. Raz skończył ze złamaną szczęką, poobijanymi zębami i wybitym zębem. Trzy albo cztery bito go tak, by nie zostawić śladów. To wszystko w ciągu kilku miesięcy.

Każda podróż jest dobra.

Każde wyzwanie przygotowane przez Allaha powinien przyjąć z radością.

Jeszcze raz popatrzył na siedzącego naprzeciw policjanta. Wcześniej miał na nim zawieszony wzrok, lecz skupiony na modlitwie nie widział niczego. Dopiero teraz zwrócił uwagę na grubą kamizelkę kuloodporną, kominiarkę i kask przypominający te używane przez kolarzy. Do tego wokół szyi antyterrorysty biegł kabel nadajnika. Podobną kompanię miał tylko kilka razy wcześniej po zatrzymaniu i w drodze na przesłuchania.

Zabawne.

Terrorysta i antyterrorysty.

Twarzą w twarz.

Nagle pojazdem szarpnęło i zakołysało. Więźniarka z impetem weszła w zakręt, a potem mocno zwolniła.

– Jesteśmy prawie na miejscu – rozległ się głos z interkomu. – Przygotować się do wyjścia.

Fajsal z zainteresowaniem utkwiał wzrok w oknie. Gdyby nie kajdany, poderwałby się i ochoczo wybiegł na zewnątrz.

#### 4.

Wysyłanie inspektora policji i zarazem szefa oddziału antyterrorystycznego do bezpośredniego udziału w akcji nie stanowiło powszechnie przyjętej praktyki. Presja czasu i okoliczności brutalnie weryfikowały wyćwiczone scenariusze. Właściwie sama propozycja, sam zamysł mógł przez Knapa zostać odebrany jako policzek. Mimo to jedynie odszedł na bok i położył dłoń na klapie marynarki. Wyczuł obwolutę Pisma Świętego. Potrzebował jedynie kilku sekund, aby wszystko przemyśleć. Właściwie decyzję podjął od razu.

Prawie sześćdziesięcioletni glina, który ma za zadanie przeprowadzenie akcji jak prosto z filmu. Nawet szkolenia nie przewidywały podobnego scenariusza, a na świecie może kilka osób miało podobne doświadczenie. Sprowadzenie żadnej z nich nie wchodziło w rachubę. Podobnie jak w ogóle znalezienie kogokolwiek odpowiedniego. Więźniarka z Fajsalem ibn Husajnem miała przybyć już za kilka minut.

Knap słyszał, że Rudnicki do niego podchodzi. Ciężkie kroki szurały po betonowej płycie lotniska.

– Żaden z moich ludzi się nie wciśnie. – Wiceszef ABW stanął tuż obok. Ich ramiona się prawie zetknęły. – Z pańskich też raczej nie. Nikt nie wpadł na to, by do służb brać ludzi, którzy zmieszczą się do luku podłogowego zasranej awionetki.

– Co za ironia, prawda? – mruknął Knap.

Poprawił marynarkę i spojrzał w stronę hangarów. Do jednego z nich wjechał kolejny pojazd grupy szturmowej. Jednak to niczego nie zmieniało. Od lat, aby zostać członkiem oddziału, należało spełnić ściśle przestrzegane kryteria fizyczne. Innymi słowy, być solidnym chłopem.

– Podobno po zamachach z jedenastego września Amerykanie zatrudnili do konsultacji filmowców z Hollywood – dodał po chwili inspektor. – Wcześniej ich wywiadowi scenariusz podobnych wydarzeń nie mieścił się w głowach...

– Słyszałem o tym – odparł Rudnicki.

Przestąpił z nogi na nogę. Zerknął na zegarek i położył dłoń na ramieniu Knapa. Inspektor odwrócił się w jego stronę.

– Zrobię to – oznajmił. – Nie traćmy czasu.

Agent natychmiast skinął w stronę zebranych kilka metrów dalej ludzi. Gdzieś zza nich wyjechał odkryty dwuosobowy jeep.

– Kierowca zawiezie pana na miejsce. – Rudnicki machnął do mężczyzny w uniformie pilota. – To nasz porucznik... Jak pan widzi, żeby się zmieścić do luku, trzeba by mu odrąbać nie tylko głowę, ale i golenie.

Knap się nie odezwał. Upewnił się, że w kaburze ma broń, przeładował ją, po czym zasunął bezpiecznik.

– Musi pan tylko ubezpieczać Grafa – dorzucił Rudnicki. – Nie wychylać się ani nie kombinować. Pamiętajmy, że Fajsal nie może się dowiedzieć, że jest pan w środku. Wtedy będzie po wszystkim.

Aż tak spontanicznie planowanej operacji Knap nie pamiętał. Od początku do końca szantażysta wszystko rozgrywał w taki sposób, jakby doskonale przewidywał policyjne procedury i za wszelką cenę starał się ich uniknąć. Żadnej sztampy, żadnego planu, żadnych schematów. Musieli wreszcie wyrwać się z jego gry i narzucić własne reguły. Albo chociaż spróbować.

Knap zacisnął pięści. Zanim wszedł do jeepa, obszedł go i zbliżył się do Zawady. Agent właśnie omawiał coś z pilotami. Spostrzegł inspektora i odwrócił się w jego stronę. Jeszcze o niczym nie wiedział. Szykował się na samobójczą, ale samotną misję i nie liczył już na żadne wsparcie. Obecności Grafa nie traktował raczej w kategoriach towarzystwa. Był błąd, lecz gotowy do działania. Niepewność i strach sprzed paru minut zastąpiła determinacja. A może również kolejna dawka fentanylu.

Knap zmierzył go wzrokiem i mrugnął.

– Z Bogiem! – krzyknął do niego, otwierając drzwi jeepa.

– A pan...?

– Być może spotkamy się w środku – odpowiedział inspektor. Nim jeszcze raz zerknął w stronę Zawady, kierowca wcisnął gaz do dechy. – Będę miał na ciebie oko – mruknął już do siebie.

– Będzie pan musiał mi zdać telefon – poinformował go agent w stroju pilota, który nie odrywał wzroku od płyty lotniska.

– Już?

– Przed wejściem do luku. Obawiamy się, żeby ten sukinsyn nie miał jakiejś metody jego namierzenia. Wtedy bylibyśmy spaleni.

Knap bez słowa wyciągnął komórkę z kieszeni. Nie miał żadnych nieodebranych połączeń ani esemesów. Milczenie Lichockiej było jeszcze zrozumiałe, ale brak odpowiedzi od Michała niepokoił. Jasne, zbuntowani nastolatki rządzą się swoimi prawami, a czas płynie dla nich w innym tempie, ale podobna sytuacja zdarzyła się po raz pierwszy. Co jak co, ale łatwiej o esemesową kłótnię niż o brak reakcji. W końcu jego syn zawsze miał telefon w pogotowiu...

Mógł jeszcze zadzwonić, ale coś go powstrzymywało. Być może nie chciał mącić sobie w głowie przed samą akcją. Co miałyby zrobić, gdyby Michał nie odebrał? Zadręczały się jeszcze bardziej. Z kilku pytań i wątpliwości

zrodziłoby się kilkadziesiąt albo kilkaset. Na żadne z nich nie znalazłby odpowiedzi.

Odblokował telefon i wybrał pole wiadomości tekstowych. Na chwilę oderwał wzrok, by się zorientować, gdzie się znajdują. Jeep pruł bocznym pasem w stronę hangarów, przed którymi stały niewielkie awionetki. Dzielilo ich od nich kilkaset metrów. Jeżeli chciał cokolwiek napisać, musiał się spieszyć.

Jak na złość z głowy uleciały mu jakiegokolwiek pomysły. Z tym że teraz nie zamierzał już podpytywać o to, co słycać albo jak mija dzień. Błazenady i podchody musiały się skończyć.

Kierowca jeepa gwałtownie zwolnił, wyminął pojazd techniczny i zanurzył się w cieniu hangaru. Byli właściwie na miejscu. Kanciasty, pomalowany na biało kadłub awionetki miał niespełna trzynaście metrów długości. Ze skrzydła samolotu wił się długi wąż łączący go ze stojącą kilkanaście metrów dalej cysterną. Żądania zamachowca zostały wzięte na serio. Setki litrów lotniczego paliwa tłoczono do zbiorników.

Knap przesunął palcem po ekranie, by telefon się nie zablokował. Jeszcze się wahał, lecz...

– Panie inspektorze... – Agent w mundurze pilota otworzył mu drzwi. Trudno byłoby o wyraźniejszą sugestię pospieszenia się.

Knap westchnął. Popatrzył po smukłej sylwetce samolotu, po jej przeszklonym przedziale pasażerskim i chromowanym dziobie. Czarne łopaty śmigła lśniły w świetle zapalonych w hali reflektorów. Na granatowo białym boku awionetki wyklejono litery: SP-NSA. Choć Knap nie miał pojęcia, czy to nazwa marki, linii lotniczych, czy inicjały właściciela.

Wywołał podgląd na klawiaturę i powoli, litera po literze wystukał krótkiego esemesa.

„Kocham Cię, Synu”.

Nigdy nie napisał podobnych słów.

Niespełna dwie minuty później Knap kulił się w luku pod podłogą awionetki. Miał niewiele ponad półtora metra długości i sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt centymetrów głębokości. W sam raz, by położyć się na boku, podciągnąć kolana i oprzeć głowę o twardą krawędź. To nie była wygodna pozycja. W porównaniu do tego nawet dla wyćwiczonego sześćdziesięciolatka madejowe łóżce wydawało się komfortowym miejscem.

A jeżeli ogarnie go duszność? Jeżeli niewidzialna dłoń zaciśnie się na jego gardle i nie będzie mógł pomóc Zawadzie?

Klaustrofobia napędzała napady duszności. Panika dławiła i odbierała oddech. Jednak Knap za wszelką cenę starał się odprężyć. Nigdy nie miał problemu z zamkniętymi przestrzeniami. Przez wiele lat jego gabinet liczył nieco ponad cztery metry kwadratowe i z trudem mieściły się w nim biurko, dwa krzesła i regał robiący za namiastkę biblioteczki.

Ale wtedy, do licha, miał przynajmniej jasno! Okno zajmowało prawie połowę jednej ze ścian i wpuszczało naprawdę sporo światła. W luku podłogowym jedynym jego źródłem była niewielka kratka wywietrznika. To przez nią mógł obserwować wnętrze awionetki. W zależności od kąta obserwacji widział albo dwa fotele i fragment kokpitu wypełniony elektroniką, albo tylne rzędy skórzanych siedzeń i prostokątne, przysłonięte roletą okno. Znajdował się niemal dokładnie pośrodku samolotu.

Cicho nabrał powietrza. Miało zapach paliwa, środków czyszczących i nagrzanego plastiku. Nie powinien narzekać. Lepsze to od swądu spalenizny i zwęglonych ciał.

Sprawdził, czy bez podnoszenia klapy da radę się obrócić, ale okazało się to praktycznie niemożliwe. Zakres ruchów kończył się na lekkim wyprostowaniu nóg, przy wygięciu niemal w pół kręgosłupa. Nic przyjemnego. Jednak w ciągu kwadransa, który mieli na przygotowanie akcji, nie udało się wymyślić niczego lepszego. O ile Fajsal nie planował lotu przez Atlantyk, jakoś powinien dać radę. Najwyżej skończy jako zdrętwiała mumia, którą kiedyś ktoś odnajdzie na dnie oceanu.

Ostatni raz pociągnął za sprężynę i uchylił klapę. Rozprostował się. Już po kilku minutach spędzonych w środku mięśnie zdążyły się usztywnić, a stawy przypomnieć podatność na reumatyzm.

– Z Bożą pomocą... – rzucił w stronę stojącego obok drzwi Rudnickiego.

Jednak wiceszef ABW nie patrzył już w jego stronę. Skupiony był na obserwowaniu płyty lotniska. Po chwili Knap usłyszał warkot silnika, pisk opon i stłumione głosy.

A więc się zaczęło.

– Idą – szepnął Rudnicki, niemal nie otwierając ust. – Proszę się...

Inspektor z powrotem wsunął się do luku. Kłapa opadła i zamek zatrzasnął się z cichym kliknięciem. Po chwili podłoga samolotu zadudniła, a Knap dostrzegł, że na pokład wchodzi kilka osób. Na czele szedł około czterdziestoletni mężczyzna ze zmierzwioną brodą, ubrany w czerwony kombinezon. Rozmasowywał nadgarstki, jakby przez wiele godzin był zakuty w dyby. Czyli tak wygląda Fajsal ibn Husajn, wielki terrorysta, przez którego mogło zginąć tyle niewinnych osób... Właściwie całkiem zwyczajny facet, o niezdrowej, ziemistej, ale na pewno nie arabskiej cerze.

Zaraz za nim podążał Zawada. Obok agenta niepewne kroki stawiał bardzo wysoki, elegancki brunet. Norbert Graf, twarz znana z telewizji i okładek czasopism. Polityczny celebryta i celebrycki polityk w jednym. Przed laty krążyły plotki o jego romansie z pierwszą damą...

Tym razem media o niczym jeszcze nie wiedziały. Cała operacja została utrzymana w ścisłej tajemnicy i o ile sam szantażysta nie zdobędzie się na kontakt z prasą, społeczeństwo nigdy o niczym się nie dowie. Sekretna porażka nie jest właściwie porażką. Takie motto najwyraźniej przyświecało ekipie rządzącej. A Graf stał się jej ofiarą i zakładnikiem. Choć sam oczywiście również miał język... Biorąc przykład z Donalda Trumpa, mógł już dawno wszystko obwieścić na Twitterze.

Czerwony kombinezon przesłonił niemal cały widok. Fajsal zatrzymał się tuż nad lukiem. Czubek jego buta przesłaniał część otworu wentylacyjnego i Knap poczuł, że na twarz spadają mu ziarenka piasku. Był pewny, że terrorysta go dostrzegł. Przesząpił z nogi na nogę tak, że kłapa jęknęła, i wbił w nią wzrok. Knap sięgnął ku kaburze. Drżącymi palcami rozpiął zatrask. Wydawało mu się, że dźwięk nitu ocierającego o skórę wypełnia całą kabinę. Dudni i niesie się echem. Fajsal słyszy go i...

Kropla potu spłynęła po skroni inspektora. W luku nie było gorąco, ale powietrze z każdą sekundą gęstniało.

Knap zacisnął palce na rękojeści służbowego glocka i znieruchomiał. Wstrzymał oddech. Zdał sobie sprawę, że w tej pozycji nie ma żadnej



możliwości oddania strzału. Był praktycznie bezbronny. A jedynym, co dzieliło go od zamachowca, była kilkucentymetrowa kłapa z kruchego tworzywa.

## 6.

Bielawski z notatnikiem w dłoni co rusz zerkał w stronę nadajnika. Obok niego stali Landau i Nawrocka. Choć formalnie nadzór nad akcją przejęło ABW i wojsko, kurtuazyjnie na bieżąco informowano ich o przebiegu wydarzeń. Meldunki z płyty lotniska docierały jednak z opóźnieniem i były wyraźnie filtrowane. Po tym jak Knap trafił na pokład samolotu, ograniczyły się do zdawkowych relacji z hangaru i wieży kontroli lotów.

„Więźniarka ma przybyć za osiem minut”.

„Porucznik Zawada jest już gotowy”.

„Założony inspektorowi nasłuch w pełni funkcjonuje”.

„Tankowanie zostało zakończone”.

Do tego surowa wzmianka o tym, że obiekt VIP, czyli wiceminister Graf, zjawił się już na miejscu. Zapewnił dowodzących misją, że o niczym nie poinformował mediów. Oczywiście, nikt mu nie wierzył. Z drugiej strony, przynajmniej jak dotąd, żadna agencja prasowa nie kontaktowała się z władzami lotniska. Rzecznicy ABW i komendy byli zalewani standardowymi pytaniami, a nawet Abramowicz, cerber strzegący tajemnic rządu na konferencji, został przepytany jedynie z ostatnich wydarzeń. Na temat Grafa panowała zupełna cisza.

Dziwne, gdyby podobny karierowicz nie wykorzystał okazji. Oczywiście funkcjonariusze SOP-u byli wściekli i do ostatniej chwili próbowali uniemożliwić wstęp wiceministra na pokład awionetki. Nie mogli jednak niczego zrobić. Graf przyjechał taksówką, ostatnie kilkaset metrów pokonał samodzielnie i nie zamierzał słuchać jakichkolwiek protestów. Wojsko wzięło go pod swoje skrzydła.

– Skoro jest tam funkcjonariusz Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, nic mi chyba nie grozi?

Pytanie było retoryczne. Następnie Graf zamienił kilka zdań z prowadzącymi operację, dostrzegł plecy Knapa wspinającego się z mężczyzną ubranym w mundur pilota do awionetki i ruszył w jej stronę. Odmówił podwózki jeepem, odmówił asysty, a przede wszystkim pogonił w trzy diabły SOP-owców. Był zdeterminowany i kategoryczny. Podjął decyzję, a każdy jego ruch pokazywał, że nic nie jest w stanie jej zmienić.

Sprawiał wrażenie człowieka, który nie ma nic do stracenia. Dla którego wszystko stało się obojętne i właśnie ze znudzoną miną podchodzi do krawędzi skały. Sparciała lina bungee oplata się wokół jego kostek, a on bez mrugnięcia okiem pochyła się nad przepaścią. Nic. Zero emocji. Kamienna twarz i mechaniczne ruchy. Obojętność człowieka przejechanego przez walec, który w stanie wegetatywnym dogorywa w szpitalu. Albo pacjenta po nieudanej lobotomii.

Tak to mniej więcej opisał jeden z zaprzyjaźnionych z Bielawskim agentów. Przynajmniej dzięki niemu mieli przez ułamek sekundy relację bardziej szczegółową niż ta prowadzona przez formalnego łącznika. Zawadę w pełnieniu tej funkcji zastąpiła młodziutka agentka. Non stop powtarzała, że wszystko, co mówi, jest ściśle tajne. Używała do tego szyfrowanego łącza i wojskowego nadajnika.

Być może był to przerost formy nad treścią, a być może staranność. Nikt nadal nie miał pojęcia, czy szantażysta dotrzyma reguł gry. Kilka minut po tym, jak więźniarka przybyła na miejsce, a rozkuty Fajsal w towarzystwie Zawady i Grafa wparadował na pokład awionetki, na serwerach pojawiła się kolejna wiadomość od szantażysty. Chciał potwierdzenia, że jego żądania zostały spełnione. Poza tym lojalnie ostrzegał, że skontaktuje się z Fajsalem po starcie samolotu. Na wszelki wypadek. Aby mieć pewność, że nie został oszukany. W przeciwnym wypadku...

– Mamy go. – W tonie łączniczki po raz pierwszy pojawiło się podekscytowanie. Mówiła szybciej i wyższym głosem niż wojskowy, tubalny kontralt. – Mężczyzna, który wywinął się nam spod obserwacji, został namierzony. Meldunki właśnie spływają.

Bielawski pochylił się nad nadajnikiem. Na karku niemalże czuł oddech Nawrockiej i Landaua.

– Jesteście pewni, że to on?

– Mam informację, że chciał przekroczyć granicę z Białorusią. To dziwna zbieżność czasowa.

– Coś więcej?

– Na razie nie. – Łączniczka westchnęła. – Wysyłamy ludzi do przeszukania mieszkania i zajmiemy się przesłuchaniem. Pewnie też chcielibyście mieć przy nim kogoś od siebie?

Bielawski żałował, że nie może skontaktować się z Knapem. Ciężar odpowiedzialności przechodził właśnie na niego, a notatnik nie zawierał odpowiedzi na pytania.

– Może powinniśmy wszystko zatrzymać? – wydukał. Odwrócił się i zerknął na Nawrocką. Analityczka wyprostowała się i założyła ręce na piersi. – Póki samolot nie wystartował, mamy jeszcze wszystko w swoich rękach. W momencie, gdy oderwie się od ziemi, będzie zupełnie pozamiatane. Na pokładzie znajduje się trzech naszych ludzi.

– Mogliby przejąć samolot. – Landau westchnął.

– O ile wcześniej Fajsal nie skieruje go prosto w ziemię albo któryś z wieżowców.

– Właśnie, co wtedy?

Agentka odpowiedziała od razu:

– Scenariusz jest właśnie konsultowany z ministerstwem i prezydentem. To od nich zależy decyzja.

## 7.

Mariusz Piotras poluzował węzeł krawata i rozpiął ostatni guzik koszuli. Palcem odciągnął kołnierzyk od szyi, ale ten nadal go uciskał. Jakby w ciągu ostatniej godziny skurczył się co najmniej o dwa rozmiary. Wreszcie Piotras całkowicie rozwiązał krawat i odłożył go na blat hebanowego biurka. W niewielkim gabinecie poza nim byli Tomecki i Abramowicz. Obaj zatopieni w myślach i nerwowo wyczekujący komunikatów z lotniska.

Wiadomość, że z dużym prawdopodobieństwem namierzono mężczyznę podejrzanego o działalność terrorystyczną, wywołała konsternację. Nikt nie przejawiał radości. Informacja, że obserwowany usiłował nielegalnie przekroczyć granicę z Białorusią, zamieniła konsternację w złość. Zabrakło im ledwie kilku minut. Kilku cholernych minut, żeby mieć czystą sytuację i skoordynować działania.

„Osiem zero siedem dwa szykuje się do startu. Otrzymał już pozwolenie z wieży kontroli”.

Meldunek wiceszefa ABW poniósł się grobowym echem. Spoglądające ze ścian podobizny Jagiellonów przybrały posępne oblicza. Słońce przysłoniły chmury. Mimo że był środek dnia, w pomieszczeniu zrobiło się nieprzyjemnie ciemno. Niespodziany poryw wiatru uderzył w okna, a przeciąg trzasnął drzwiami do sąsiedniego pomieszczenia. Zbierało się na burzę.

– Powinniśmy ich zatrzymać. – Piotras zerknął na ekran laptopa i przełączył podgląd kamer. Teraz wyświetlił się ogólny podgląd płyty lotniska. Od zachodu nadciągały ciemne kłęby cumulonimbusów. – Pod jakimkolwiek pretekstem...

Abramowicz poprawił rękawy marynarki. Teraz złote spinki z onyksami wystawały tak, jak powinny.

– Złamalibyśmy zasady – mruknął. – Gdyby ten człowiek się zorientował albo okazał się kimś innym...

– Gdyby, gdyby, gdyby – fuknął Tomecki. – Od początku należało być twardym. Żadnych negocjacji.

– Teraz mówi pan jak Graf.

– Jak Graf na konferencji czy Graf dziś rano? Bo mam wrażenie, że wszyscy potrafimy tylko zmieniać stanowisko. Gdy jest cień szansy dorwania gnoja, szykujemy się na wojnę. A tak... – Piotras pokręcił głową.

– W każdym razie musieliśmy dbać o bezpieczeństwo publiczne. To nie farmazony. Żaden z tych ludzi nie ucieknie. ABW i wywiad powinni wszystkiego dopilnować. Na razie mamy związane ręce, żeby nie wzbudzić podejrzeń.

– I to się zgadza. – Abramowicz zerknął w stronę okna. Kolejne porywy wiatru poruszyły zasłonami. – Dywagowanie jest bez sensu, poza tym...

Przerwał mu skrzek głośników.

„Osiem zero siedem dwa wjechał na pas startowy. Nabiera mocy”.

Piotras znowu przełączył między kamerami. Na ekranie laptopa pojawił się kawałek twarzy Rudnickiego i wnętrze pojazdu łącznościowego.

Premier zerknął na zegarek. Za osiemnaście druga. Gdyby tak w życiu można było użyć przycisku restartu i zacząć cały dzień na nowo. Wstać drugą nogą albo poleżeć pięć minut dłużej. Może wszystko potoczyłoby się inaczej. Życzeniowe myślenie zakładające, że świat kręci się wokół nas.

– Ruszyli – zakomunikował Rudnicki.

– Musimy być gotowi. Musimy mieć plan, co robić w sytuacji, gdy ten mężczyzna okaże się szantażystą. – Piotras oderwał wzrok od monitora. – Agencja twierdzi, że dywersja na pokładzie awionetki będzie utrudniona.

– Można ją po prostu zestrzelić. – Abramowicz niemal to wyszeptał. – Siły powietrzne są w gotowości. Awionetkę mają śledzić nasze samoloty...

Piotras zerknął na Tomeckiego, a ten ponuro wzruszył ramionami.

– Poświęcenie jednej agentki było zrozumiałe – mruknął. – W zamian za życie kilkudziesięciu zakładników równoważyło szalę i nie robiło problemu. Sondażowo moglibyśmy nawet zyskać. Ale tu sprawa ma się inaczej.

– Bo? – dopytał ostro rzecznik.

– Trzech naszych ludzi, w tym wiceminister, to waga cięższa – wycedził Tomecki. – Nawet gdyby leciał z nimi pieprzony Bin Laden.

– Patrząc na sondaże, najważniejsi są obywatele.

– Do cholery, tam leci Norbert. – Tomecki uniósł głos. – Nie mówimy o jakichś „ich” albo „onych”, tylko o człowieku z krwi i kości.

– Dlatego, że zna go pan osobiście? – Abramowicz chrząknął ironicznie. – To miałyby mieć wpływ na bezpieczeństwo państwa?

– Oczywiście, że, kurwa, tak!

Minister uniósł ręce. Ten przeproszający gest pozostał niezauważony. Piotras całą uwagę skupił na monitorze laptopa i obrazach z kamer. Po chwili z głośników dobiegł szelest.

„Osiem zero siedem dwa oderwał się od ziemi. Powtarzam, są w powietrzu”.

W tym samym momencie zabrzączał jeden z dwóch telefonów stojących na biurku. Piotras niechętnie sięgnął po czerwoną słuchawkę.

– Tak?

Odpowiedział mu automatyczny głos którejś z sekretarek:

– Łączę z panem prezydentem.

Nie oczekiwała na pozwolenie. Rozległo się kliknięcie, krótki szelest, a wreszcie wymowne sapnięcie.

– Jako zwierzchnik sił zbrojnych, wyraziłem zgodę na zestrzelenie tego samolotu. Tak dla pańskiej informacji, premierze.

Ton prezydenta nie pozostawiał marginesu dla negocjacji.

Przynajmniej ktoś podjął decyzję – z ulgą pomyślał Piotras.

## 8.

Dwie minuty wcześniej Fajsal nabrał głęboko powietrza. Tak, jakby wyczuł, że Knap znajduje się dokładnie pod nim i nie może nic zrobić. Przesząpił z nogi na nogę, ocierając buty o kratkę wentylacyjną. Kolejne ziarenka piasku i grudki błota spadły na twarz inspektora. Nagle Fajsal się obrócił. Położył dłoń na ramieniu Zawady i pchnął go przed sobą w stronę kabiny. Zszedł z kratki wentylacyjnej, tracąc zainteresowanie zwietrzonym tropem. Albo odkładając polowanie na później.

– Siadaj! – warknął do Grafa.

Wiceminister posłusznie usiadł na skórzanym fotelu. Jego twarz nadal pozbawiona była jakichkolwiek emocji. W przeciwieństwie do Fajsala, który ciężko oddychał i co chwilę rozglądał się wokół dzikim wzrokiem. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Nie panował jeszcze nad sytuacją. Mimowolnie rozcierał nadgarstki w miejscach, które opinały dotąd kajdanki.

Fajsal ciężkim krokiem ruszył za Zawadą w stronę kokpitu. Knap obserwował, jak zajmują miejsca i szykują się do lotu. Przez moment prowadzili ożywioną rozmowę, ale nie mógł dosłyszeć ani słowa. Mimo że drzwi do kokpitu pozostały otwarte, odległość i dudnienie rozkręcającego się silnika skutecznie je zagłuszały. Wymiana zdań nabierała tempa, wreszcie przerodziła się w kłótnię. Fajsal niespodzianie zamachnął się i uderzył Zawadę w szczękę tak, że agent niemal spadł z krzesła.

Natychmiast uniósł dłonie w geście poddania. Posłusznie odwrócił się w stronę przedniej szyby i zapiął pasy.

Fajsal był wyraźnie zadowolony. Wreszcie zyskiwał panowanie nad sytuacją. Odwrócił się jeszcze i upewnił, że Graf siedzi na wskazanym miejscu.

– Nie waż się ruszyć! – przekrzyczył łoskot silnika. – Inaczej...

Nie musiał kończyć. A może zwyczajnie nie chciał, widząc, że wiceminister pogrążył się w katatonicznej sztywności. Rozprostował nogi, odchylił kark, a ręce oparł na kolanach. Przypominał skarconego uczniaka, który chce się przypodobać nauczycielce.

Coś zaszemrało w słuchawce wciśniętej do ucha Knapa.

– Jeżeli mnie pan słyszy, inspektorze, proszę dwukrotnie zastukać w urządzenie.

Knap z trudem przecisnął rękę i zastukał w nadajnik. Głos pod drugiej stronie przypominał niski charkot Rudnickiego, ale równie dobrze mogło to wynikać ze zniekształceń.

– Dziękuję. Wszystko działa. Pozostajemy w kontakcie, ale aparatura nasłuchowa może mieć problemy. Chcę, żeby pamiętał pan o tym na wszelki wypadek. W razie...

W tym momencie samolot wyrwał do przodu, a Knap poczuł, jak wnętrzności wbijają mu się w kręgosłup. W łuku przyspieszenie było znacznie mocniej odczuwalne niż w przedziale dla pasażerów. Choć może tylko tak mu się zdawało. Przez kilka sekund nie zrozumiał ani słowa z tego, co mówił Rudnicki. Albo ktoś inny. Knap miał wrażenie, że jego żołądek podniósł się, obrócił i gwałtownie opadł. Gdyby tego dnia cokolwiek zjadł, z pewnością by wymiotował. A tak poczuł jedynie w ustach kwaśny posmak żółci. Przełknął ślinę, aby wraz ze wzrastającą wysokością zmiana ciśnienia nie zatkała mu uszu. Jeżeli wzrost pułapu miał odczuwać równie mocno jak przyspieszenie, to już miał święcie dość. Po chwili zabrakło mu śliny.

Cicho odchrząknął. Ryk silnika i tak zagłuszał większość odgłosów, ale przezorność nakazywała zastosowanie najbardziej restrykcyjnych środków bezpieczeństwa. Choć równie dobrze mógł to być po prostu instynkt przetrwania. Bezgraniczna chęć życia, która stanowiła fundament chrześcijaństwa. Można by to uznać za paradoks, ale doskonale korelowała

z wielkodusznością poświęcenia się w szczytnym celu i koncepcją męczeńskiej śmierci większości świętych. Właśnie dlatego, w przeciwieństwie na przykład do islamu, męczennikiem nie mógł zostać samobójca.

Knap z trudem przecisnął przez gardło ślinę zebraną z całych ust. Pół łyżeczki do herbaty, a może i mniej. Mimo wszystko nieco odblokowało mu słuch. Po kolejnych kilkunastu sekundach samolot ustabilizował lot, a silnik zaczął pracować nieco ciszej. Wznoszenie trwało znacznie krócej niż podczas wakacyjnych lotów, które znał Knap. W ciągu swojego niekrótkiego już życia latał całe trzy razy. To znaczy trzy razy po dwa razy. Raz przymusowo na konferencję policyjną w Lizbonie, a pozostałe dwa na wakacje. Żona zabukowała bilety, a jemu wstyd było się wycofać. Po tym jak mimo garści tabletek aviomarinu przy drugim locie przez dwie godziny zwracał, już więcej nie wpadła na taki pomysł. O dziwo, teraz nie czuł się aż tak tragicznie.

No, z wyjątkiem kwaśnego posmaku zółci.

Może z wiekiem człowiek staje się mniej wrażliwy, a poczucie towarzystwa śmierci go uspokaja? Upycha wymiociny gdzieś w głębi trzewi? Albo po prostu nie miał czym wymiotować...

Nagle kątem oka dostrzegł, że Fajsal po raz kolejny uderzył Zawadę. Agent obrócił się na fotelu, lecz usiłował się jedynie bronić. Postawił gardę, pozwalając się okładać kolejnym ciosom. Z jego ust ciekła krew. Fajsal gwałtownie wstał i kopnął go w kolano. Celnie i boleśnie.

Samolot nawet nie drgnął. Musiał lecieć na autopilocie, gdyż niezmiennie trzymał się obranej trajektorii. Szarpanina w kokpicie nie miała na niego żadnego wpływu.

Knap zrozumiał, że Fajsal dostrzegł broń ukrytą pod marynarką agenta. Usiłował go powalić i ją wyszarpnąć. Sytuacja wymykała się spod kontroli. Otumaniony fentanylem Zawada nie potrafił skutecznie unikać ciosów.

Norbert Graf mechanicznym ruchem odpiął pasy. Wstał z fotela i podtrzymując się kolejnych oparć, ruszył w stronę kokpitu.

– Wracaj, kurwa, na miejsce!

Wrzask Fajsala zadudnił w kabinie. Mimo to Graf uparcie szedł na przód. Zacisnął pięści gotowy do konfrontacji i wyzuty z jakichkolwiek emocji.



– Co tam się dzieje? – Nadajnik w uchu Knapa brzmiał, jakby tracił zasięg. – Inspektorze, mamy informację o... zatrzymaniu prawdziwego szantażysty... Działać... jak... własnego uznania... – Knap nie zamierzał słuchać dalej. Komunikat wydał mu się zupełnie klarowny. Pchnął klapę i wyskoczył na pokład samolotu. Dokładnie w momencie, gdy Fajsał obalił Zawadę i wyszarpnął jego broń. Choć być może już wcześniej przekonał go do jej oddania. W końcu, o ile chcieli uniknąć zamachów, powinni być posłuszni jego poleceniom. Tyle mówiła teoria.

Graf przyspieszył kroku. Knap ruszył za nim, ale turbulencje pozbawiły go na chwilę równowagi. Zatonął i upadł na jeden z foteli.

Kolejne sceny obserwował jak na pociętym na klatki filmie. Samolot wleciał w chmurę i zapanował w nim półmrok. Światła kokpitu rzucały zielonkawy blask na twarze szarpiących się mężczyzn. Szczęk przeładowywanego pistoletu przetoczył się jak grzmot. Knap odepchnął się od fotela i z trudem złapał równowagę. Fajsał dostrzegł, że zbliża się w stronę kokpitu. Naprężył mięśnie i wymierzył.

– Stój!

Inspektor wyszarpnął z kabury pistolet, ale na linii strzału znajdował się Graf. Knap wpadł do kokpitu i rzucił się między Fajsala i Zawadę. W tym samym momencie mężczyzna w czerwonym kombinezonie wystrzelił.

Pocisk przeszył pierś wiceministra.

Krew trysnęła na przednią szybę awionetki.

## 9.

Greta Nawrocka przeciągnęła językiem po górnej wardze. W skupieniu jeszcze raz analizowała ostatnie nagrania. Oprócz nich zaczęły spływać pierwsze materiały z przesłuchań. Na bieżąco poddawała je obróbce przy pomocy odpowiednich filtrów i kolejno odrzucała. Żaden głos nie pokrywał się po przerobieniu z głosem szantażysty. Przynajmniej jak do tej pory.

Z całej dwunastki miała już siedem nagrań. Niestety ABW wciąż poszukiwało taśm z przesłuchania mężczyzny poddanego utajnionej

obserwacji. Tego, który zniknął, a potem odnalazł się na granicy z Białorusią. Jeżeli materiały nadal miałyby tkwić w zakamarkach komputerowego archiwum, lada moment sprawniej byłoby go po prostu przesłuchać. Tymczasem wciąż czekano na zgody proceduralne i przyjazd któregoś z najsprawniejszych prokuratorów. Sięgano po najmocniejsze środki, marnotrawiąc przy tym niezbędny czas.

To nie była jej robota, ale dziesiątki lat analizowania nagrań rozbudziły w jej umyśle pasję do roztrząsania wydarzeń na najdrobniejsze elementy. Mechanicznie składała je i rozsypywała, a potem dopasowywała na nowych miejscach. Sama ze sobą rozgrywała partie szachów. Przesuwała figury i starała się przy tym być jak najbardziej obiektywna. Żadnych emocji, uprzedzeń i sugestii. Jedynie szachownica oraz przesuwające się po niej figury.

Królowa na A8.

Król na C4.

Skoczek na E3.

Szach.

Tyle że nie była w stanie nikogo zaszachować. Nie miała możliwości wykonania ruchu ani nie posiadała odpowiedniej figury. Pozwalała skojarzeniom swobodnie przyciągać jej myśli.

Koran w mieszkaniu mężczyzny, który rozerwał się granatem, stanowił jedynie gadżet. Nie miała pojęcia, dlaczego właśnie to wydało się jej ważne. Zaszantażowany człowiek, który jest gotów poświęcić obce życie, byle ocalić rodzinę. Bohater czy zbrodniarz? Wypuszczony z psychiatryka szaleniec, otumaniony lekami i długotrwałą terapią, wyskakuje z Pałacu Kultury. Wcześniej obaj są gotowi mordować. A przynajmniej robią wszystko, by za takich ich postrzegano.

Ani jeden, ani drugi nie byli muzułmanami. Nie marzyli o stadku hurys pod niebiańską palmą i nie uważali śmierci samobójczej za najszybszą drogę do rajy. A mimo to nie zawahali się skończyć ze sobą. Pierwszego z nich szantażysta zmotywował groźbą pozbawienia życia najbliższych. Miłość.

A drugi?

Drugi być może mógł zabić choćby pod pretekstem dostania kolejnej porcji leku. Albo właśnie w związku z ich odstawieniem pomyślał, że jest

Mojżeszem prowadzącym lud z ziemi egipskiej. Z tym że pod lufami karabinów i przy akompaniamencie potrząsanych w plecaku atrap bomb.

Greta wyłączyła nagranie i zdjęła słuchawki. W uszach jej aż trzeszczało, a przez głowę przetaczały się kolejne urywki wypowiedzi. Coraz bardziej wątpiła w szczęśliwe zakończenie. W to, że dostanie nagranie któregoś z przesłuchań, nałoży filtr, a foniometr rozbłyśnie zielonym światłem nadziei. Choć zieleń chyba tylko Polakom kojarzyła się z nadzieją. Dla muzułmanów to kolor Boga, a w Stanach, czego dowiódł Wielki Gatsby, zielono może być jedynie na myśl o dolarach.

Zaraz. Chwila.

Nawrocka odwróciła się do Karota. Psycholog siedział tuż obok i rozbierał na czynniki pierwsze rozmowę odbytą w zakładzie karnym. Żółte fiszki i karteczki samoprzylepne co chwilę spadały z jego biurka. Sterta akt tuż obok przechyliła się niebezpiecznie.

Analityczka zabębniła palcami w blat biurka.

– Mówiłeś, że Fajsala po-podejrzewano o prowadz-dzenie działalności w Europie? – zagadnęła.

Karot odsunął teczkę i spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem.

– Tak...

– A oficjalnie kim był? Co ro-robił?

– W sensie zawodu?

– Mhm.

Psycholog odwrócił się, by zerknąć do dokumentów, ale to nie było potrzebne. Pamiętał o tym bez ich pomocy.

– Tyrał na kierowniczym stołku w którymś z banków – mruknął. – Dawniej zajmował się bodajże oceną ryzyka kredytowego, ale... Nie sądzisz chyba, że to kolejna ofiara korporacyjnego wyścigu szczurów i...

Nawrocka mu przerwała.

– Podejrzewano go może o zbieranie fun-nduszy na działalność terrory-rystyczną?

Karot skinął głową. Nie wiedział, do czego zmierza analityczka, ale zauważył, że momentalnie spochmurniała. Ściągnęła brwi i zacisnęła usta. Odepchnęła ekran laptopa, po czym zaczęła manewrować przy swojej magicznej skrzynce do obróbki dźwięku. Przypominała Pandorę nachylającą się nad puszką pełną smutków i utrapień.

Lecz gdzieś na jej dnie mogła znajdować się również nadzieja.

## 10.

Graf osunął się na jeden z foteli w kokpicie. Przez chwilę jego dłoń sprawiała wrażenie, jakby chwyciła niewidoczne drobinki w powietrzu, wreszcie fotel obrócił się i wiceminister bez podparcia runął na podłogę. Z jego gardła dobył się gulgot, a chwilę później popłynęła stróżka ciemnej krwi. Powieki zatrzepotały. Oczy z niedowierzaniem spoglądały już w jakiś nieziemski świat.

Zawada odskoczył na bok, lecz nie miał dokąd uciec. Panicznie rozejrzał się po kabinie, szukając jakiegokolwiek osłony. Biodrem uderzył o kilka przełączników, jednak nic się nie stało. Awionetka nadal w tym samym tempie podążała wyznaczonym kursem. Wstrząsnęła nią delikatna turbulencja, a chwilę później w kokpicie zrobiło się jaśniej. Wydostali się z szarych kłębow chmury, zmierzając ku następnym. W oddali niebo przeciął zygzak błyskawicy.

Knap miał wrażenie, że czas zwolnił. Chwycił mocniej pistolet i odepchnął się od jednego z foteli. Strzelanina na pokładzie samolotu nie była dobrym rozwiązaniem. Nie groziło im dekompresyjne rozerwanie awionetki na szczątki, jak to pokazywano na filmach, ale i tak niebezpieczeństwo było ogromne. Poza tym wciąż nie otrzymali potwierdzenia, że prawdziwy szantażysta został ujęty. Gdyby tak się nie stało, całą akcję zwyczajnie szlag by trafił.

Fajsal spiął się z Zawadą w walce wręcz. Agent usiłował wyrwać przeciwnikowi pistolet, ale udało mu się jedynie wycelować go w górę. Teraz stali w zwarcu, warcząc i dysząc. Knap nie mógł ryzykować strzału. Przy tej kotłowaniu kwestią losową byłoby, kogo trafi. Zrobił kolejny krok w przód i zachwiał się.

Potężne turbulencje znowu wstrząsnęły małym samolotem.

Spadali.

Nie miał żadnych wątpliwości, że kadłub maszyny skierował się ku ziemi i pikowali z zabójczą prędkością. Na spotkanie nieuchronnego. Jak ciało drugiego z zamachowców, które przeleciało dwadzieścia kilka pięter i gruchnęło o dach niższej kondygnacji Pałacu Kultury. Na szczęście ich od ziemi dzieliło jeszcze parę tysięcy metrów.

Inspektor stracił równowagę i uderzył kolanem o podłokietnik. Pistolet nieomal wypadł mu z ręki. Jakże to ma znaczenie, skoro lada moment wszyscy zamienią się w mieszaninę szczątków wśród poskręcanej kupy żelastwa? Mimo tego mocniej zacisnął dłoń na rękojeści.

Nagle samolot uniósł dziób. Żołądek Knapa oderwał się od kręgosłupa, a jego treść wróciła ku gardłu. Żółć momentalnie napłynęła mu do ust.

Po kolejnym wstrząsie awionetka odzyskała stabilność. Inspektor z trudem wyprostował się i zerknął w stronę kokpitu.

Fajsal przyduszał Zawadę do podłogi i z zaciśniętymi zębami obracał pistolet coraz bliżej jego głowy. Powoli, ale nieuchronnie. Wylot lufy od góry czaszki agenta dzieliło już tylko kilka centymetrów. Jego oczy nabiegły krwią, żyły pulsowały, a nozdrza rozwarły się, jakby chłonąc ostatnie oddechy.

Mężczyzna w czerwonym kombinezonie wyteżył siły i napał na Zawadę ciężarem całego ciała. Pistolet obrócił się, lufa niemal dotknęła czoła, a palec poślizgnął się na spuście. Agent poddał się i zamknął oczy.

Spodziewał się, że właśnie nadszedł jego koniec.

W tym samym momencie potężna energia odrzuciła do tyłu głowę Fajsala. Huk wystrzału poniósł się po kabinie maszyny i zagłuszył inne dźwięki. Przez chwilę terrorysta pochylał się jeszcze nad Zawadą, ale zaraz jego bezwładne ciało zważyło się prosto na niego.

Knap na oślep wepchnął pistolet do kabury, minął zwłoki Grafa i dopadł do agenta. Na jego ramieniu oparła się głowa Fajsala. Z dziury w czole nie wypłynęło wiele krwi. Knap spodziewał się, że znacznie gorzej wygląda tył jego czaszki. Nie patrząc na wytrzeszczone, zastygłe w bezruchu oczy, chwycił ramię Zawady. Podciągnął go i pomógł mu usiąść.

– Dzięki – wydukał agent. – Niewiele brakowało, a...

Urwał w pół zdania. Machinalnie przegładził włosy i wierzchem dłoni roztarł plamy krwi krzepnącej na jego czole. Jak Apacz szykujący się do wyprawy wojennej. Albo kapłan Majów gotowy do złożenia ofiary.

Kilkukrotnie zaczerpnął powietrza i pozwolił się Knapowi podnieść. Niepewnie stanął na nogach, lecz zaraz złapał się fotela. Obrócił go i ciężko usiadł.

– Musimy sprowadzić samolot na ziemię. – Knap starał się myśleć racjonalnie.

Wszystko po kolei. Schylił się i usiłował wyszukać puls u Grafa i Fajsala, jednak obaj mężczyźni byli martwi. Nie mogłaby im pomóc nawet najlepsza ekipa ratunkowa i szpitalny sprzęt wart miliony dolarów. Życie traciło się za darmo.

I na darmo – dodał w myślach.

– Wyląduję. – Zawada położył dłonie na wolancie. Uspokoił oddech i poprawił się w fotelu. Powoli powiódł wzrokiem po rzędach przełączników, guzików i zegarów. – Proszę się nie martwić, inspektorze.

– Co tam się dzieje?!

Knap przytknął palec do nadajnika w uchu.

– *Łączę z Gretą Nawrocką.*

No tak. Ekipa na ziemi najwyraźniej nie miała pojęcia o strzelaniu i dalej prowadziła daremną walkę z czasem. Być może przez turbulencje stracili łączność. Mikrosprzęt nie był przystosowany do pracy na wysokościach i w takich warunkach.

– Chwila...

Knap pochylił głowę i przytknął dłonią drugie ucho. Niemal natychmiast usłyszał podekscytowaną Nawrocką. Analityczka w błyskawicznym tempie wyrzucała kolejne słowa, o dziwo, niemal się nie jękając. To, co mówiła, było niewiarygodne. A jednak...

Knap popełnił błąd. Odwrócił się i pytającym wzrokiem zerknął na Zawadę.

W tym samym momencie agent się uśmiechnął. Nie czekając na reakcję inspektora, wyciągnął broń, którą przed chwilą mierzył do niego Fajsal, i wystrzelił.

Prosto w pierś Knapa.

## ODCINEK 10.

### 1.

**WIELKI PIĄTEK**

**GODZINA 14:00**

**REZUREKCJA**

*Michał Knap jeszcze raz pocałował puciołowatą blondynkę. Dziewczyna miała niemal różową karnację, błękitne oczy i wystające kości policzkowe. Co rusz odgarniała niesfornie opadający na czoło pukiel włosów. Szybkie całusy i cała noc figłów skutecznie popsuky jej fryzurę. Białą bluzeczkę z krwistym napisem „Tip Top” założyła wprost na gołe ciało. Widać było krągłość jej piersi i wypukłość sutków.*

– Idź już. – Delikatnie odepchnęła chłopaka. – Moi staruszkowie będą lada moment.

– A może zdążylibyśmy jeszcze raz, na szybko...

– Michał...

– Dobrze, już dobrze!

Młody Knap po raz ostatni pocałował pełne, wilgotne usta. Postawił kołnierz wiatrówki i zerknął w niebo. Zaczynało kropić. Gdzieś w oddali dudniły grzmoty, a porywy wiatru co raz smagały rosnące w ogrodzie tuje. Od domu dzieliło go tylko kilka ulic, ale całkowicie nieosłoniętych od deszczu.

Zeskoczył z werandy, pomachał do dziewczyny i nasunął plecak na ramię. Więcej się nie odwrócił. Szybkim krokiem przeszedł do bramki, zwolnił blokadę, po czym biegiem rzucił się w stronę przystanku. Autobus akurat mrugnął kierunkowskazem i wytoczył się z zatoczki. Nie było nawet sensu

próbować zwrócić uwagę kierowcy. To nie Włochy, gdzie zatrzymają się na każde życzenie pasażera.

Trudno. Dwa przystanki może przejść na piechotę. Dziesięciminutowy spacer w deszczu jeszcze nikogo nie zabił. Tak samo jak nieobecność na szkolnym apelu z okazji Wielkiego Piątku oraz na wycieczce do kina. Katolickie liceum wybrane przez jego ojca potrafiło dać w kość, ale wiązało się również z wieloma okazjami do zręcznego zniknięcia. Nikt nie powinien się o niczym dowiedzieć.

Ojciec wróci z pracy dopiero za dwie, może nawet trzy godziny. Dziadek znów wpadł w niż choroby. Tak określał to któryś z lekarzy. Wczoraj niż przejawiał się tym, że zarządził generalne porządki. Miały polegać na znoszeniu wszystkich szpargałów, które mogłyby się przydać na wypadek wojny, klęski żywiołowej czy Bóg wie czego. Inspektor przyłapał go na tym, jak upychał za ubranie wydłubaną palcem margarynę, a do prawie pustego opakowania chował zachomikowane wcześniej drobniaki.

Dom wariatów.

Ważne, że trzymał komitywę z Lusią Lichocką. Starsza kobieta, choć robiła maślane oczy do jego ojca, była naprawdę w porządku. Dopóki nie czuła od niego papierosów, alkoholu ani czegoś gorszego (nigdy nie sprecyzowała, czym jest „to coś gorsze”), skutecznie go kryła. Zresztą wiedziała nawet o Goście i o tym, że spędzają razem wiele czasu. O wiele za wiele, z punktu widzenia inspektora. Co by nie mówić, powinien się spieszyć. Czasem ojciec pojawiał się wcześniej, a wtedy trudno byłoby się wytłumaczyć.

Miał wrócić do domu rano, po nocy u kumpla spędzonej na nauce, uspołecznianiu się i relaksie. Ojciec uważał, że ciągle tylko marnotrawi czas przy komputerze i na telefonie. Gówno prawda. Skoro traktował jego realny bliższy kontakt z kobietami jako temat tabu, należało znaleźć środki zaradcze. Esemesy, media społecznościowe, filmiki wysyłane przez aplikacje. Świat przenosił się do wirtualnej rzeczywistości i tego nie można było uniknąć. A jego ojciec nie rozumiał, że sam wpycha syna w te szpony.

O dziwo, dzisiejszego ranka sam nabrał ochoty na wymianę esemesów. Jakby coś przeczuwał. Najgorsze, że komórka Michała się rozładowała, a Gośka nie miała właściwej ładowarki. Jak pech, to pech. Musieli się obejść bez atrybutów współczesnych czasów. Sam ciągle to powtarzał, więc



może wreszcie sobie uświadomi, że technika to przydatna sprawa. Poza tym co mu się mogło stać?

Pograżony w myślach Michał nawet nie spostrzegł, kiedy znalazł się przed domem. Przedwojenna willa wymagała odświeżenia, a ojciec od lat zaklinał, że zajmie się nią na emeryturze.

„Za rok, może dwa, a jeśli Bóg da, to może...”

Czy jak to tam leciało.

– To ja! – zawołał, wchodząc do wiatrołapu. Obok rozchwianej komódki dostrzegł parę lśniących pantofelków. – Dzień dobry!

Nikt mu nie odpowiedział. Zaniepokojony, zdjął plecak i odwiesił lekko wilgotną wiatrówkę. Burza ciągle nie mogła się zdecydować na frontalny atak.

Przeszedł do holu i natychmiast usłyszał dźwięk telewizora. Lichocka pewnie włączyła go, by zająć czymś starego Knapa, a sama wzięła się do sprzątanania albo gotowania. To drugie robiła zresztą z większym pożytkiem. Głos spikera wiadomości zagłuszyłby odgłosy krzątania, lecz ze środka nie dobiegał żaden zapach.

Michał skierował się do salonu. Pchnął dwuskrzydłowe drzwi i zaskoczony zauważył, że Lichocka i jego dziadek nawet nie zwrócili uwagi na jego przyjście. Jeśli chodzi o dziadka, było to zrozumiałe, lecz gospodyni zazwyczaj zachowywała się, jakby zatrudniono ją jako stróża.

– Informacja pochodzi z bliskiego otoczenia premiera. – Reporter co chwilę łytał w notatki. Był podekscytowany i łamał mu się głos. – Poza wiceministrem na pokładzie samolotu znajduje się jeszcze prawdopodobnie anonimowy funkcjonariusz Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz dowódca Biura Operacji Antyterrorystycznych Adam Knap.

Michał poczuł, że uginają się pod nim nogi. Nie wiedział, co się stało, ale wyczuł, że dzieje się coś bardzo złego. Wymienił krótkie spojrzenie z Lichocką, lecz jego uwagę przykuł dziadek. Siedział zgarbiony w fotelu i tępo gapił się w telewizor. Nagle jakby wszystko zrozumiał. Zaczął coś bełkotać i wybuchnął rozpaczliwym płaczem.

Filigranowym ciałem staruszka wstrząsnęły spazmy.

## 2.

O wspomnieniach przemykających tuż przed śmiercią napisano już mnóstwo. Zjawisko miało nawet w psychologii swoją nazwę, a pewnie i kategorię. Jakby ktokolwiek mógł o tym opowiedzieć. Kilka procent pacjentów wyrwanych śmierci klinicznej skupiało się raczej na innych aspektach swojej przygody. Tunele światła, uczucie miłości, opuszczanie ciała. Wszystko to znalazło już wytłumaczenie neurologiczne lub psychiatryczne. Niby cuda nie istnieją, niby te relacje nie potwierdzają istnienia innego świata, a jednak...

Knap chciał przed śmiercią zostać jedynie namaszczony. Nic więcej. Pakiet minimum. Szybka spowiedź, wyznanie grzechów i to wszystko. Czysta dusza mogła ruszać w wieczną wędrówkę. Dzięki temu nie bał się śmierci, choć mając w pamięci agonię żony, bał się umierania. Spodziewał się, że to ostatnia próba, lecz wolał nie zostać na nią wystawiony.

Na tym skupiły się jego myśli, gdy w kabinie awionetki huknął wystrzał. Żadna karuzela wspomnień, a techniczne przygotowanie się do śmierci. No i jeszcze myśl o Michale. Czy wszystko z nim w porządku? Kochał syna najmocniejszą ojcowską miłością i mimo wszystkich błędów uważał się za spełnionego. Choć chciał jeszcze być świadkiem jego życia. Może dożyć wnuków? I tyle. Czego chcieć więcej. Krew z krwi miała swoje biblijne korzenie.

Przez ułamek sekundy stał w miejscu, zastanawiając się, gdzie został trafiony. Wstrzymał oddech i wyprostował się gotowy na eksplozję bólu. Ta jednak nie nastąpiła. Gdzieś za sobą usłyszał świst. Kilka kontrolki na pulpicie samolotu rozbłysło czerwonymi światłami. Alarm, podobny do tych instalowanych w samochodach, oznajmił niebezpieczeństwo.

Zrozumiał, że kula przebiła kadłub. Dzięki ostrzeżeniu Nawrockiej instynktownie, w ostatniej chwili zdołał przed nią uskoczyć. Był cały. Jedynie nadajnik wypadł mu z ucha i potoczył się gdzieś po podłodze.

Nim się otrząsnął, dostał potężny cios w szczękę. Kolejny, wymierzony prosto w grdykę, pozbawił go tchu. Knap się zatoczył i podparł o krawędź pulpitu. Świat wokół wirował, choć tym razem nie za sprawą turbulencji. Czubkiem buta zahaczył o bezwładne ramię Grafa. Pod podeszwą czuł

lepkość krwi, lecz nie mógł się poruszyć. Miał wrażenie, że jeżeli zrobi choćby krok, upadnie prosto na leżące obok ciała.

Nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Duszność rozlała się po klatce piersiowej i zacisnęła na obolałej grdyce. Odkaszał, rozbudzając jedynie taniec mroczków przed oczami.

Mocny cios w podbrzusze stanowił dobitne zwieńczenie walki. Tryumf agenta nie budził żadnych wątpliwości. Knap zgiął się wpół. Jęknął, spróbował się wyprostować i znowu zgiął się wpół.

– To nie będzie panu potrzebne.

Zawada bez problemu wyrwał mu pistolet. Cała szopka z jego chorobą i bezsilnością w starciu z Fajsalem musiała być zwykłym oszustwem. Elementem doskonałego planu. Agent zadawał celne i diabelnie mocne ciosy. Już nie sprawiał wrażenia zmęczonego życiem, umierającego chłopca, i z całą pewnością nie była to zasługa kolejnej dawki fentanylu. O ile w ogóle go zażywał.

Bez problemu mógł poznać historię choroby żony Knapa, a potem odegrać przed nim scenę ze środkiem, którym faszerowano ją w ostatnich dniach. Miał setki okazji, żeby wziąć narkotyk niepostrzeżenie, a jednak pozwolił się przyłapać inspektorowi na gorącym uczynku. Idiotyzm, nieprofesjonalizm albo...

No właśnie. Zimna kalkulacja i kolejny element planu.

Knap, chcąc powstrzymać duszność, osunął się na podłogę. Przynajmniej odzyskiwał ostrość widzenia. No i nie dostał kolejnej kulki zaraz po pierwszym wystrzale. To dawało jakąś nadzieję. Odchylił głowę do tyłu i ponownie odkaszał. Poczował pęd zimnego powietrza wpadającego przez uszkodzony kadłub.

Zawada zbliżył się do niego i wierzchem dłoni otarł pot z czoła. Nie przestając mierzyć w pierś Knapa, skorygował położenie awionetki. Dotknął kilku przycisków, po czym nadał krótki komunikat do wieży kontrolnej. Czerwone lampki przestały mrugać, a alarm ucichł.

Zawada był niezwykle spokojny. Poruszał się powoli i pewnie. Każdy element jego planu okazał się dopracowany. Knap jeszcze raz się zastanowił, czy kłótnia z Fajsalem również mogła zostać sprowokowana przez agenta. Tak jak zabójstwo Grafa i jego własny strzał. Czy ktokolwiek był w stanie niemal stuprocentowo przewidzieć zachowanie innych?

Zawada uśmiechnął się, jakby czytał mu w myślach. Przytknął palec do spustu.

Gdzieś w oddali przetoczył się grzmot.

### 3.

Piotras przemykał między dziennikarzami. Pięciu funkcjonariuszy SOP-u odgradzało go od kamer i mikrofonów. W ogólnym chaosie przeciskali się jak ochrona gwiazdora rockowego, który przed koncertem postanowił zbratać się z fanami. Tyle że premier szedł całkowicie pogrążony w myślach. Miał spuszczone głowę, założone za plecami dłonie i nieobecny wzrok wbity kilka kroków przed sobą.

– Panie premierze, czy wydano rozkaz zestrzelenia samolotu?

– Co będzie, jeżeli zamachowiec skieruje go nad któreś z miast? Bo samolot chyba nie znajduje się już nad Warszawą?

– Właśnie, gdzie jest w tym momencie? Czy nie powinniśmy na bieżąco ostrzegać mieszkańców...

Doszło do przecieku. W tym momencie nie miało sensu ustalanie winnych, ale Piotras obiecał sobie, że właśnie pożegnali się z pracą. Za taką nielojalność wyrzuci ich na zbite pyski.

Chyba że wszystko zaczęło się od tego samego najślabszego ogniwa. Norberta Grafa. To on mógł skontaktować się z dziennikarzami i wyblagać kilka minut ciszy. Albo nadać wiadomość z samolotu. Od kwadransa nie mieli żadnych komunikatów z awionetki, jednak w rachubę wchodziły problemy techniczne. Samolot utrzymywał się na stabilnym kursie, zmierzał na południowy wschód i nikt w środku nie mógł mieć świadomości asysty trzech F-16. Dopóki nie zagrażał żadnemu z ośrodków miejskich, decyzja o ewentualnym podjęciu kroków ostatecznych była systematycznie odkładana.

Kroki ostateczne. Co za pompatyczne określenie wysłania jednej lub kilku rakiet, które zamienią ośmioosobowy samolot w płataninę żelastwa. W płonąca kometę, która runie ku ziemi.

– Panie premierze, społeczeństwo powinno wiedzieć, co tam się dzieje!

Piotras gwałtownie się zatrzymał. Spojrzał w oczy młodej, smukłej dziennikarki. Ta z naturalną nieśmiałością wyciągnęła ku niemu mikrofon i zdobyła się na mdły uśmiech. Mogła mieć co najwyżej dwadzieścia kilka lat, głowę pełną marzeń, świeży dyplom ukończenia studiów. Media rzuciły do akcji wszystkie swoje siły.

– Społeczeństwo powinno wiedzieć, że może czuć się bezpieczne – wycedził Piotras. – Dopóki pewne działania pozostają tajne, o to bezpieczeństwo jest łatwiej zadbać. Komunikując wszystkie nasze dane, tracimy mozolnie zyskaną przewagę. Proszę mi zaufać. Dziękuję.

Dał znać ochroniarzom, by ruszyli dalej. Po chwili znaleźli się w części korytarza niedostępnej dla dziennikarzy. Premier wyraźnie się rozluźnił, a SOP-iści rozeszli na boki, robiąc mu więcej miejsca. Nie musiał się już poruszać, stykając się z nimi ramionami. Przyjemne uczucie dla kogoś nieznoszącego tłumów i zamkniętych przestrzeni.

Minister Tomecki wyszedł mu naprzeciw. Przed chwilą odbył naradę z przedstawicielami sił zbrojnych oraz z kancelarią prezydenta. Gorąca linia pozostawała aktywna przez cały czas, a plan działania dopasowywano do rozwoju wydarzeń. Awionetka zbliżała się do przestrzeni powietrznej aglomeracji lubelskiej, jednak zdawało się, że ominie ją od północy. Takie były fakty. Cała reszta stanowiła sferę domysłów i hipotez.

– Wszystko wskazuje, że to on. – Tomecki wskazał dłonią, by premier szedł przed nim. Ochroniarze zostali z tyłu i politycy tylko we dwóch weszli do gabinetu. – Jest cholernie cwany – kontynuował relację minister. – Zażądał kontaktu z adwokatem i na razie odmówił odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania.

– Dalej gra na czas?

– Na to wygląda.

Piotras usiadł w głębokim, eklektycznym fotelu, obitym kwiecistą tapicerką. Założył nogę na nogę i przytknął palce do skroni.

– Potwierdzono strzelaninę na pokładzie samolotu. – Tomecki usiadł naprzeciw premiera. – Nie wiemy, co się dokładnie stało, bo szlag trafia próby połączenia się z awionetką. Co by nie było, to dobrze...

– Dobrze?

– Jeżeli to on. Problem mógłby sam się rozwiązać, a my zyskalibyśmy pretekst do zestrzelenia tej awionetki.

Premier pochylił się w fotelu jak spowiednik w konfesjonale.

– Dopiero rozpaczal pan nad tym, że Graf jest na pokładzie...

– Tak, wiem. – Tomecki złożył dłonie i przytknął czubki najdłuższych palców do podbródka. – Ale to była jego decyzja. Do cholery, nikt nie kazał mu się pchać do tego pieprzonego samolotu...

Piotras wzruszył ramionami.

– Nie mogę tak na to patrzeć – stwierdził obojętnym tonem. – Wyborcy by mi tego nie wybaczyli...

– Ludzkiego oblicza?

– Raczej ludzkich słabości.

Tomecki zerknął na zegarek i utkwiał w premierze wzrok.

– Co mamy robić? – zapytał.

Piotras podniósł się i podszedł do okna. Krople deszczu naznaczyły je pojedynczymi ściekającymi po szybach łzami. Ciemne, skłębione chmury ciągnęły się aż po horyzont. Zanosiło się na naprawdę porządną ulewę i gigantyczne korki dokładnie w godzinach szczytu. Przynajmniej ludzie będą mieli o czym słuchać w radiu.

– Zwołajcie kolejną konferencję prasową – zdecydował. – Niech Abramowicz wyda jakiś komunikat. Ja na razie umyвам od tego ręce.

#### 4.

Zawada przechylił głowę na bok. Potrząsnął pistoletem, markując odrzut po strzale, i wyprostował ramię.

– Bang... – szepnął. – Bang, bang...

– Zastrzel mnie. – Knap wsunął dłoń pod połę marynarki. Dotknął obwoluty Pisma Świętego i zaczerpnął powietrza. – No dalej... Nie katuj mnie, tylko miej odwagę strzelić...

Agent opuścił pistolet i zerknął w stronę jednego z monitorów. Przez chwilę obserwował pojawiające się na nim komunikaty.

– Nie.

– Po prostu nie?

– Gdybym pana zastrzelił, a reszta by się o tym dowiedziała, rozwiązałyby się problem, co zrobić z awionetką. Rakieta i po sprawie. – Zawada westchnął i przeczesał palcami włosy. – Zresztą sędzę, że bez ministra na pokładzie również nasze akcje gwałtownie spadły. Jak pan sądzi?

– Nie wiem. – Knap dostrzegł, że metr od niego leży nadajnik. Gdyby udało mu się go przysunąć bliżej, mógłby puścić w eter ich rozmowę... Obrócił się na bok i ukradkiem wyciągnął nogę. – Nie wiem – powtórzył.

– Nie wie pan? To ja odpowiem. Wszyscy myślą, że na pokładzie jest trzech wspaniałych i jeden zły. Tyle że mylą się co do tożsamości.

– Dlaczego to robisz?

Zawada się roześmiał. Opuścił pistolet i kucnął przy Knapie.

– Nagle przeszliśmy na ty? – Sięgnął po nadajnik i zacisnął go w dłoni. – Tego pan szukał? Ma mnie pan za idiotę? To chyba niezbyt katolickie podejście do bliźniego, he? – Podniósł się i przez moment manewrował przy pulpicie. Nie zwracał uwagi na Knapa, świadomy, że inspektor nie jest mu teraz w stanie zagrozić. Miał przewagę. Panował nad sytuacją i nic nie mogło tego zmienić. – Nie lubię rozlewu krwi. Właściwie zawsze brzydziłem się jej zapachem i wyglądem. Dlatego na dwóch trupach mogłbym to wszystko zakończyć. Spróbujemy bezkrwawego scenariusza.

Knap spróbował się podnieść, ale agent natychmiast skierował w jego stronę lufę pistoletu.

– Nie radzę, panie inspektorze.

– Dlaczego to robisz? Dlaczego, do diabła, zabiłeś tych ludzi?

– Zdaje się, że tego arabusa to pan zastrzelił. Ja mam czyste ręce. – Zawada puścił Knapowi oko. Jeszcze raz zerknął na ekran komputera pokładowego i spojrzął za okno. Otaczały ich gęste, skłębione chmury. – Chyba chłopaki z F-16 się niepokoją. Lepiej niech się pan teraz nie odzywa...

Minął zwłoki i sięgnął po złożony między siedzeniami spadochron. Wyjął z kieszeni nóż, po czym sprawnie odciął linki oraz fragment czaszy. Wrócił do inspektora i niespodzianie kopnął go między łopatki. Gdy Knap zgiał się, kaszląc, Zawada dopadł do niego i błyskawicznie skrępował mu dłonie.

Materiał czaszy wepchnął mu do ust. Inspektor nawet nie próbował walczyć. Łapczywie wciągał nosem powietrze i wytrzeszczył oczy. Dusił się.

Zawada wstał i sięgnął do kieszeni spodni. Obrócił w dłoni nadajnik. Chuchnął w niego kilka razy i przesunął maleńką zapadkę.

– Halo. Tu agent Zawada. Mamy problem z łącznością. Słyszycie mnie? – Musiał otrzymać odpowiedź twierdzącą, bo momentalnie się rozluźnił. Uniósł kciuk w stronę Knapa. – Sytuacja na pokładzie jest opanowana – relacjonował z uśmiechem. – Więzień nie żyje. Inspektor jest ranny, ale wyjdzie z tego. – Jeszcze raz zerknął na Knapa, po czym rozsiadł się za sterami. – Tak, oczywiście. Zrozumiałem. Będę się starał sprowadzić nas bezpiecznie na ziemię. Jeśli Bóg da, jak mawia inspektor.

## 5.

– Nie wiem, od czego to się zaczęło, ale urzekł mnie pan swoim podejściem. Tym, jak mnie pan pocieszał i mówił o swojej żonie. Umarł pan razem z nią, jakoś tak to leciało, prawda? Zastanawiam się, jak jest umierać po raz drugi w tak krótkim czasie. Szkoda, że nie może mi pan o tym teraz opowiedzieć, ale nie mamy już czasu o tym porozmawiać...

To wszystko nie jest niczego warte. Nie wiem, kto tak napisał, ale miał pieprzoną rację. Rozumie pan inspektorze? Rodzimy się, pracujemy, idziemy na emeryturę i umieramy, do wyboru mając samotność, przyjaciół albo żonę i dzieci. W dowolnej kolejności i zestawieniu. Poprzednie pokolenia odchodzą, a kolejne nadchodzą. Jeżeli chcemy cokolwiek zmienić, musimy wziąć sprawy w swoje ręce i powiedzieć życiu „sprawdzam”. Zablefować albo rozbić bank. Anarchiści to idioci, którzy nie chcą dać się okiełznać systemowi. Tyle że nie myślą o tym, że tak naprawdę to życie ich okiełznało.

Ja rozbijam bank. Zaczynam wszystko od nowa i mówię: pieprzyć emeryturę, pieprzyć pracę, żonę, przyjaciół i dzieci. Jeżeli się pojawią, proszę bardzo. Nie będę ich odtrącał. Ale koniec z narzuconymi



schematami. Dopiero teraz narodzę się jako *carte blanche*, a nie w cholernym zaszczanym szpitalu trzydzieści kilka lat temu.

Brzmie chyba trochę jak sfrustrowany, zdemencjały wariat w stylu pańskiego ojca?

Ale to ja decyduję i trzymam los za jaja. Mamy remis. Los zafundował mi kilka porażek, ale teraz ja dam mu porządnego kopa. Jeden do jednego. Niech fart i niefart jednocześnie się pierdolą.

Wygląda pan, jakby pytał, czy wierzę w Boga. Choć pan przez cały czas gapi się tym wzrokiem zbitego pudła i zdaje się wszystkim o to pytać. „Czy czujecie obecność Pana? Czy rozumiecie, jak często na swojej drodze doznajecie obecności Boga? To ja żądam odpowiedzi na to pytanie. Ja. Jezuita. Człowiek, który doświadczył tego i owego, i człowiek, którego doświadczone”.

Dobrze mówię? Tak pan właśnie myśli?

Może i nie, ale wygląda pan na takiego. I naprawdę to mi się podobało. Jest w tym jakaś cudowna przekorność, o wiele lepsza niż w standardowym podejściu i poddaniu się temu, co daje los. Zawsze dziwiło mnie, jak można wierzyć w predestynację, ale to chyba nie pańska sekta. Wspominałem już chyba, że zazdroszczę panu wiary. A teraz, skoro nasza przygoda dobiega końca, muszę jeszcze dodać, że pewnie byśmy się polubili. Może nawet nawiązalibyśmy ściślejszą współpracę policji i ABW. Coś przełomowego. Coś, co zostanie na pokolenia jak daktyloskopia albo Scotland Yard.

Zdziwi się pan, inspektorze, ale też wierzę w Boga. Tyle że trochę innego niż pan. W jakiś abstrakcyjny byt, który kazał moim rodzicom mnie spłodzić, a potem po dziewięciu miesiącach zmusił moją matkę do wyplucia mnie na świat. Coś albo ktoś kręci tą maszyną. Jednak w życiu nie mamy czasu się nad tym zastanawiać. I tak nie poznamy prawdy, więc szkoda sobie łamać kark. Jak mówią, jeśli masz sraczkę, nie zapijaj parówek olejem. Jakby olej mógł kiedykolwiek smakować.

Ale wracając do tematu, który nas najbardziej interesuje, czyli mnie samego. Tym, co po śmierci, zajmę się po śmierci. Na razie urządzam sobie życie na ziemi i chyba wyszło mi całkiem nieźle. Widzę, że nie jest pan przekonany. Tak, zgadza się. Wszystko dopiero się okaże. Wiele miesięcy planowania, opracowywanie każdego możliwego rozwoju sytuacji,

rozważanie potencjalnych zachowań pana i pańskich ludzi, przewidywanie nieprzewidywalnych reakcji polityków... Jesteśmy tylko trochę bardziej skomplikowani od robotów. Działamy według własnych schematów, jakbyśmy zostali zaprogramowani. Nasze życie to wypadkowa okoliczności, ale cała reszta to już tylko statystyka.

Zawada pochylił się nad zwłokami Grafa i przewrócił go na plecy. Krwisty ślad ciągnął się po podłodze kabiny. Agent zamknął oczy zmarłego i przesunął się do Fajsala. Przez chwilę przyglądał się jego wygiętej cierpieniem twarzy. Wreszcie podniósł się i poprawił spadochron.

– Oni też mieli marzenia – mówił dalej. – Fajsal chciał zarobić dla terrorystów furę kasy. Poza tym miał łeb do interesów i defraudowania gotówki. Prawdziwy księgowy Państwa Islamskiego, choć nikt nie zdawał sobie z tego sprawy. Mieliśmy w garści kurę znoszącą złote jaja. Wystarczyło nakłonić go do działania po naszej stronie, a nie dość, że islamiści poszliby w samych gaciach, to za ich forszę moglibyśmy ogrodzić Polskę dziesięciometrowym murem. To naprawdę mogłoby rozwiązać wiele problemów.

Zawada jeszcze raz sprawdził mocowanie spadochronu i wyprostował się. Jego ruchy były doskonale wyćwiczone. Pewnie równie mocno podczas przygotowań do realizacji planu, co w trakcie służbowych ćwiczeń. Zerknął na wyświetlacze komputerów i zmienił położenie wolantu. Samolot zaczął się delikatnie odchyłać. Wleciał w jeszcze gęstsze chmury tak, że głównym źródłem światła stały się lampki w kabinie.

Agent niedbale zaszalutował Knapowi. Inspektor ciężko oddychał i szybko mrugał, ale starał się nie okazać strachu. Jego purpurowa twarz kontrastowała z siwym zarostem.

– Musimy się pożegnać. – Zawada teatralnie westchnął. – Ale może się jeszcze zobaczymy. Po tej albo po tamtej stronie...

Załoczył spadochron, odwrócił się i wyszedł z kokpitu. Uważając na spadochron, precyzyjnie przesunął się między rzędami siedzeń. Zatrzymał się przed drzwiami za skrzydłem. Być może przez chwilę naszły go wątpliwości, jednak po ułamku sekundy pociągnął za dźwignię.

Właz otworzył się z głuchym trzaskiem. Do środka wpadło lodowate powietrze, niosąc drobiny deszczu. Zawada jeszcze raz odwrócił się do

Knapa, machnął do niego dłonią i zrobił krok naprzód.  
Zniknął w kłębiastej otchłani.

## 6.

Knap bezskutecznie usiłował się podnieść. Jedyne, co mu się udało, to wspiąć się na kolana i odwrócić plecami do kokpitu. Nie miał żadnych dalszych koncepcji. Z trudem wciągał powietrze. Zaczynało mu się kręcić w głowie i panika coraz mocniej opanowywała ciało. Samolot wyraźnie tracił pułap. Mimo że za oknem widział jedynie kłęby chmur, czuł spadek wysokości.

Na jakim poziomie może znajdować się podstawa cumulonimbusów? Tysiąca? Dwóch tysięcy metrów? Zdawało się, że awionetka właśnie przełamuje tę granicę. Zrobiło się nieco jaśniej, a chmury zamieniły się w lekką mgiełkę. Również ta po chwili się rozproszyła.

Knap nie miał czasu. Jeżeli właściwie szacował wysokość i prędkość opadania, co najwyżej za kilka minut samolot zderzy się z ziemią. O ile wcześniej nie zostanie rozerwany przez potężną rakietę.

Inspektor napiął mięśnie i odchylił się do tyłu. Założył węzeł krępujący mu dłonie za jeden z drążków. Nie miał pojęcia, do czego służył, ale wcześniej wydał mu się najbardziej wąty. Szarpnął się, a razem z nim wstrząsnęło całą awionetką.

Musiał zaciągnąć hamulec, postawić klapy albo wyciągnąć podwozie. Przynajmniej te opcje przyszły mu natychmiast do głowy.

Naparł jeszcze mocniej i choć tym razem z awionetką nic się nie stało, metalowy element się wygiął. Kiedy zawiesił się na nim niemal całym ciałem, rozległo się zgrzytnięcie.

Knap dostrzegł, że podstawa chmur pozostaje już wyraźnie ponad nim. Awionetka straciła kolejne kilkaset metrów i nieuchronnie pędziła ku ziemi.

Nagle metal złamał się i inspektor zwałił się na podłogę. W ostatniej chwili zdążył się obrócić, więc zamiast nosem, uderzył o nią kością

policzkową. Poczul przeszywający ból. Nie zważając na to, znowu się wyprostował i na oślep odnalazł chropawą końcówkę drążka. Tak jak się spodziewał, z pulpitu sterczał krótki element o kształcie tępego noża.

Wystarczyło go wbić w węzeł.

„Wystarczyło” to bardzo optymistyczne określenie. Jak oszalały zaczął na oślep siekać rękoma powietrze za sobą. Raz po raz uderzał dłońmi o metal. Z rozszarpanej, pociętej skóry ciekła krew, ale nie wiedział, czy choć raz trafił w węzeł. Miał nadzieję usłyszeć odgłos rozpruwającego się splotu, tymczasem lina trzymała się mocno.

O wiele mocniej od niego.

Duszość wręcz go rozsadzała. Powietrze w płucach nabrało temperatury roztopiającej się stali. Paliło mu gardło i paraliżowało myśli. Strzępy modlitw łopotały mu w głowie, ale panika poszatkowała je na drobne kawałki. Myślał, że nie będzie bał się śmierci. Tymczasem cały dygotał, a plecy oblał mu lodowaty pot.

Zamiast się poddać, furiacko walczył o życie.

Przestał się szamotać tylko na chwilę, gdy coś błysnęło na tle ciemnych chmur. Podniósł głowę i spojrzał na zewnątrz. Z awionetką zrównał się popielaty F-16. Znajdował się co najwyżej dwadzieścia metrów od niej. Knap mógł wyraźnie dostrzec ciemną sylwetkę pilota. Wykonał delikatny zwrot i zamachał skrzydłami. Międzynarodowy gest pokazujący, że samolot jest uzbrojony.

No tak. Knap doskonale widział rakiety. Tyle że nic nie mógł zrobić.

Węzeł nie puszczał.

Nieustannie znajdował się w trumnie.

## 7.

Stopy dotknęły ziemi. Ciężar ciała został przeniesiony na pięty, mięśnie łydek napięły się i wyrwały do przodu. Energia opadania została spożytkowana w krótkim biegu. Czasza spadochronu opadła i dotknęła ziemi.

Zawada rozpiął pasy i odrzucił sprzęt. Niewiele brakowało, by wylądował w bagnie. Wiatr zniósł go kilkaset metrów od miejsca, w którym planował opaść. Na szczęście wiał dość mocno, by udało mu się przeszybować ponad porośniętą rzęsą i trzciniami taflą jeziora i zetknąć się z ziemią na niewielkiej polanie.

Zerknął na lokalizator. Zboczenie z kursu jak najbardziej dopuszczalne. Biorąc pod uwagę warunki pogodowe, mogło być naprawdę o wiele gorzej. Czarne chmury sunęły nad horyzontem. Tu jeszcze nie padało, lecz zanosilo się na solidną nawałnicę. Powietrze pachniało wilgocią i lasem.

Dawno nie był tak szczęśliwy. Czuł, że żyje. Czuł każdy fragment swojego ciała, jakby nagle zyskał świadomość własnego ja. Udało mu się. Miał ochotę rzucić się do brudnego jeziora i pluskać jak dziecko. Chciał żyć. Cieszyć się.

Nieważne, czy wszystko się uda. Zasadniczy plan został wykonany i znaczyło to, że naprawdę jest coś wart. Potrafił znaleźć swoje miejsce, a potem postawić się zwykłemu biegowi wydarzeń. Śmiertelnie chory albo śmiertelnie zdrowy, co za różnica. Właśnie mógł zacząć wszystko od początku.

Zostanie kimś zupełnie innym. Marek Zawada pójdzie w zapomnienie, być może stanie się nawet jedną z ofiar katastrofy lotniczej albo okropnej tragedii, która wydarzyła się w kokpicie awionetki. Scenariusz napiszą zapewne śledczy, dziennikarze i opinia publiczna. Jego ciało oczywiście nigdy nie zostanie odnalezione. Być może wystawią mu symboliczny grób, urządzią państwowy pogrzeb, a prezydent położy na pustej trumnie błyszczący medal. Pewnie dostanie go w pakiecie razem z awansem.

Podobną euforię czuł po raz kolejny w ciągu ostatnich godzin. Wszystko zaczęło się w momencie, gdy udało mu się wysadzić Umera razem z częścią podziemnego parkingu ABW. To był symbol. Pierwsze koty za płoty. Musiał przygotować sobie grunt pod to, aby zostać oddelegowanym do koordynowania działań agencji i policji. Przewidział, że nie będzie numerem jeden Rudnickiego. Ale numerem dwa już na pewno.

Zwinięty spadochron razem z osprzętem zagulgotał w jeziorze. Przez chwilę unosił się na powierzchni, nabierał wody i wreszcie zniknął w ciemnej toni. Poryw wiatru zaszumiał w pobliskiej kępie drzew. Gdzieś w oddali odezwało się dzikie ptactwo, jakby wyczuwało obecność intruza.

Zawada ruszył w stronę brzoźowego zagajnika. W przedburzowym świetle białe pnie odcinały się od niemal czarnej gęstwiny. Seledynowozielona o tej porze roku trawa miała teraz kolor oliwki. Słońce znikło całkowicie za chmurami, a wiatr zerwał się na dobre. Raz po raz smagał twarz agenta. Błyskawica przecięła niebo, rozświetlając przez moment świat białym blaskiem. Kilka sekund później przeciągły grzmot zadudnił nad okolicą. Stado czapli zaskrzeczało i zerwało się do lotu z pobliskiego torfowiska.

Zawada wyciągnął z kieszeni telefon. Uruchomił lokalizator GPS, który nie wymagał połączenia z internetem. Nie chciał po sobie pozostawiać żadnych śladów. Nie tylko tych na błotnistej ścieżce, ale również w sieciowych rubieżach. Przecież już przestał istnieć. Kroki zmarłych nie niosą się echem.

Spojrzał w niebo, starając się odszukać jakikolwiek ślad po awionetce. Lada moment powinien zobaczyć rozbłysk eksplozji i słup dymu. Wtedy skieruje się w przeciwną stronę. Na razie mógł iść po prostu przed siebie.

Duchy są wolne.

Teraz był tego pewny.

## 8.

Knap podniósł się na kolana i nabrał powietrza. Miał ostatnią szansę, aby spróbować się uwolnić. Samolot nieuchronnie zbliżał się do ziemi i jak sądził inspektor, znajdował się właśnie nad totalnie niezamieszkanym terenem. Tylko dlatego eskorta myśliwców odłączyła się, a ich piloci zapewne z bezpiecznej wysokości przypatrywali się nieuchronnej katastrofie. Oczywiście z palcami gotowymi w każdej chwili posłać w eter ponaddzwiękowe rakiety.

Jedyna nadzieja tkwiła w tym, że siłą całego ciała uderzy o metalowy bolec. Pomyłka równała się nadzianiu na niego dłońmi, a w gorszym razie kręgosłupem. Impet, z którym zamierzał rzucić się do tyłu, na pewno wystarczyłby do zrobienia z siebie kaleki. A jednak musiał spróbować.

Kaleki trup to trup jak każdy inny. Z taką samą perspektywą gnicia, rozkładu i unicestwienia.

W wypchniętą pierś Knapa wbijał się róg Pisma Świętego. To mógł być znak albo płonna nadzieja. Właściwie cała wiara polegała na jednym lub drugim. Knap zamknął oczy i odegnał wątpliwości. Bujnął się do tyłu. Jego niespełna siedemdziesięciokilogramowe ciało runęło w stronę sterczącego kawałka metalu. Nie zdążył nawet o tym pomyśleć.

Poczuł gwałtowne szarpnięcie i palenie wyginających się nadgarstków. Napięte mięśnie ramion naciągnęły się jeszcze mocniej. Gdyby mógł, zawyłby z bólu.

Chwilę później zdał sobie sprawę, że się mu udało. Węzeł poluzował się, a poza dotychczasowymi obrażeniami ręce i kręgosłup były całe. Szarpnął się do przodu i poczuł, jak linka spadochronowa powoli się rozwija. Nim upadł, zdążył się jeszcze obrócić. Rozkwaszoną wcześniej kość policzkową przeszył przejmujący ból.

Natychmiast wyszarpnął z ust knebel i podciągnął się o skraj pulpitu. Roztarł nadgarstki i sięgnął ku twarzy, by otrzeć krew, lecz zastygł w pół ruchu. Samolot znajdował się co najwyżej pięćdziesiąt metrów nad linią drzew. Nie pikował, ale zbliżał się do nich z błyskawiczną prędkością.

– Boże...

Knap przez przypadek stanął na dłoni Grafa. Usłyszał chrupnięcie miażdżonych palców. Nie zważając na to, doskoczył do fotela i z impetem na nim usiadł. Rzędy dźwigni, przełączników i drążków były dla niego równie obce jak sterowniki promu kosmicznego.

W kabinie zawył alarm. Kolejne kontrolki zaczęły mrugać, a na jednym z ekranów wyświetliła się czerwona komenda „PULL UP”. Knap starał się odtworzyć w pamięci zachowania pilotów. Drzewa znajdowały się już jedynie kilkanaście metrów niżej. Wyraźnie widział ich czubki i refleksy światła samolotu przesuwające się po gąszczu koron. Kilkaset metrów przed awionetką teren się podnosił, a pojedyncze sosny sterczały jak gigantyczna palisada natury.

Knap chwycił element przypominający wyciętą od góry kierownicę. Wolant. Zdawało mu się, że to prawidłowa nazwa. Na logikę, odchylając go od siebie, powinien przyspieszać albo zwiększać wysokość. Jednak coś mu bębniło, że to właśnie nie jest logiczne. Że już gdzieś widział ten ruch

pilota. Być może w którejś z gier Michała, kiedy przed laty zdarzało mu się z nim bawić, już nie ołowianymi żołnierzami, a właśnie konsolą.

Zacisnął ręce i pociągnął wolant do siebie. Powoli, nienerwowo, ale zdecydowanie. Przez ułamek sekundy zdawało mu się, że samolot kieruje się prosto ku ziemi i już nic go nie uratuje. Czubki drzew wręcz smagały kadłub od spodu. Słyszał to. Czuł, jakby zewnętrzna powłoka była jego skórą.

Zdał sobie jednak sprawę, że awionetka stabilizuje lot. Horyzont poszerzał się, a las ciągnął w dole, a nie naprzeciw niego. Odetchnął. Być może właśnie przedłużył swoją agonię. Zdawał sobie sprawę, że pozbawiony łączności, nie mając pojęcia o obsłudze samolotu, jest skazany na śmierć. Odwlekał jedynie termin egzekucji. A przez to zapewnił sobie, że będzie wyjątkowo bolesna. Skierowanie awionetki ku ziemi i liczenie na śmierć w ułamku sekundy nie wchodziło w grę.

Samobójstwo to grzech.

Musiał walczyć do końca. Choć był raczej bez szans.

## 9.

Gotówka, którą terroryści z organizacji powiązanej z Państwem Islamskim zbierali na operacje i przerzut ludzi, została ulokowana w złocie. To była pierwsza doskonała informacja, którą Zawadzie udało się wydobyć od Fajsala. Dureń na początku myślał, że naprawdę wszystko zostało urządzone, by go uwolnić. Ćwierkał jak z nut. Dopiero po chwili zorientował się, że to zwykła pułapka. Że robi jedynie za przynętę, która do tego wysypywała się ze swoich tajemnic. To doprowadziło do pierwszej kłótni i próby odebrania broni agentowi. Wszyscy pozostali byli przekonani, że tak naprawdę to Zawada jest ofiarą.

Dobre żarty.

Praca agenta polega na odgrywaniu wielu ról. Tego nauczył się w Afganistanie, Iranie i Rosji. Wpojono mu to na setkach szkoleń, kursów



i konferencji. Metoda Stanisławskiego przy metodach wywiadu to zabawa ze szkółek dla dzieci.

Drobny szantaż i łudzenie nadzieją odzyskania wolności pociągnęły za sobą kolejne informacje. Naiwność księgowego terrorystów okazała się wręcz zaskakująca. To była kolejna dobra wiadomość.

Fajsal nie miał pojęcia, że przez dwa lata przed jego ujęciem to Zawada był odpowiedzialny za jego rozpracowywanie. Zyskał wszystkie haki, wszelkie możliwe informacje i dowody, poza tym jednym, najważniejszym. Gdzie przechowywane jest złoto. Ponad czterysta kilogramów o wartości piętnastu milionów euro. Kwota, za którą można się dobrze urządzić. Narodzić na nowo i zacząć życie bez sznura ukrecanego przez system.

Wenezuela, Meksyk, Gwatemala? A może Singapur?

Plan był elastyczny i przewidywał różne możliwości. Należało zabezpieczyć się nie tylko na poziomie wymiany danych, postępowań ekstradycyjnych, jednak również liczyła się stabilność rządów i przychylności dla ludzi zamożnych. Piętnaście milionów euro to nie bogactwo, ale zamożność z pewnością już tak. Zwraca uwagę, lecz nie kusi tak bardzo jak prawdziwe fortuny. Na to jeszcze przyjdzie czas.

Ironia losu polegała na tym, że nikogo poza nim nie interesowało, co stało się z obracaną przez Fajsała gotówką. Od chwili złapania szefostwo z Rudnickim na czele wpadło w euforię i chwilowo zapomniało o forsie. Sukces mógł zostać odtrąbiony. Organizacja terrorystyczna została przetrzebiona, ale nie oszwabiona. Tylko on o tym pamiętał. Kiedy służby wróciły do poszukiwań pieniędzy, musiał przyspieszyć realizację planu.

Początkowo skrzętnie opracowany scenariusz nie zakładał ofiar śmiertelnych. Umer miał zostać ranny, lecz siła uderzenia rozłożyła się tak niefortunnie, że rozerwała go na strzępy. Graf i Fajsal skończyli jako ofiary systemu, ale nie jego. Żałował jedynie Knapa. Podstarzały inspektor sprawiał wrażenie naprawdę porządnego człowieka. Katolicki poczciwiec, który nie akceptował siły zła.

Zło dobrem zwyciężaj.

To pewnie była jego jezuicka dewiza.

Oczywiście zaszantażowani zamachowcy musieli zginąć. Lecz decyzja o poświęceniu życia została podjęta za każdym razem przez nich samych. Zawada długo szukał dobrych ofiar. Ojciec rodziny, gotowy oddać wszystko

za swoich bliskich, od początku pasował mu idealnie. Do tego pod wpływem lekkich narkotyków i zachęcony torturami wiedział, że nie ma wyjścia. Że to nie jest tylko zabawa.

Chory psychicznie matoł stanowił większe ryzyko. Świry bywają nieprzewidywalne, a zapanowanie nad nimi to ciężka sprawa. Liczył się też czas, który w związku z opuszczeniem przez niego placówki zamkniętej został maksymalnie ograniczony. Do tego na przymusowych kontrolach nie mógł wzbudzić podejrzeń.

Los uśmiechnął się do Zawady i tym razem. Czubek miał depresję. Czubek był uzależniony od leków. Czubek cierpiał na wolności bardziej niż w czubkowie. Nic dziwnego. Takich przecież nikt nie zrozumie.

Liczyło się jedynie prawie pół tony złota. Kilogramowa sztabka odlewana przez Mennicę Polską miała dziesięć na pięć centymetrów. Grubość wynosiła równe dziewięć milimetrów. Zaokrąglając, czterysta takich sztabek mogło się zmieścić w bagażniku większego auta. Co istotne, przetopione sztabki nie były w żaden sposób znakowane. Doskonały towar do obrotu w szarej strefie, a poza tym zapomniany przez wszystkie służby.

Myśli Zawady raz po raz kierowały się w stronę kruszcu. Szedł szybko, kierując się w stronę drzew. Podczas burzy to teoretycznie głupi pomysł, lecz i na to są sposoby. Wystarczy ułożyć się na kamieniu i przeczekać. O ile uniknie się spadających konarów, bezpieczeństwo jest gwarantowane.

A bezpieczeństwo i skuteczność planu to podstawa.

Kilka błyskawic jednocześnie przecięło horyzont. Wielkie krople deszczu zabębniły o ziemię. Zawada jeszcze przyspieszył kroku i pochylił się naprzeciw wiatru. Od linii drzew dzieliło go już tylko kilkadziesiąt metrów. Mimo że zbliżała się piętnasta, zrobiło się prawie zupełnie ciemno.

To mu nie przeszkadzało. Piętnasta była również godziną zapowiedzianego sądu. Wcale nie zapomniał o swoich wcześniejszych groźbach ani nie rozmyślił się ze względu na to, że wypuszczono Fajsala. Nie przewidywał innego rozwoju wydarzeń. A chaos był mu potrzebny. Był pieprzonym anarchistą chaosu.

Śmiertelnie chorym, ale jednak anarchistą.

– Stój! Ręce do góry!

Ostry wrzask wyrwał go z zamyślenia. Po chwili dostrzegł grupę antyterrorystów wynurzającą się zza zasłony drzew. Oświetliły go punkciki

laserowych celowników. Oszołomiony, natychmiast sięgnął po pistolet.  
To była cena wolności.

## 10.

– Da pan radę. Najważniejsze, żeby przeszła ta cholerna burza. Trawersowanie potrafi dać w dupę, ale... Nieważne. Pokierujemy pana. Widzi pan dźwignię zakończoną czerwonymi uchwytami?

Knap przytaknął.

– A pokręćło przy pana prawym łokciu?

Również widział. Tak samo jak regulację systemu zamykania drzwi pokładowych i dźwignię odpowiadającą za mechanizm wysuwania podwozia. Kolejne komendy przekazywane przez znaleziony na podłodze nadajnik przedłużały chwilę nadziei. Zdawał sobie sprawę, że w rzeczywistości nie ma praktycznie żadnych szans. O ile w ogóle uda mu się dolecieć nad lotnisko, rozbije się o pas startowy. Albo kilkaset metrów od niego, bo ponoć właśnie wycelowanie w pas miało być najtrudniejsze.

Zawada odciął komunikację awionetki z kontrolą lotów, ale zapomniał o nadajniku. Chyba że porzucił go w kokpicie umyślnie, aby dać inspektorowi szansę przeżycia. Lub nadzieję. O dawaniu nadziei i obietnicach bez pokrycia musiał mieć wyjątkowo duże pojęcie. Utrzymywanie samolotu w powietrzu było niczym kolejna dawka fentanylu. Pozwalało zapomnieć o bólu i odłożyć ostatnie tchnienie w czasie. Nic więcej.

– Mamy Zawadę!

Podekscytowany, nieco zniekształcony głos Nawrockiej zabrzączał w głośniku.

– Mogę teraz przez kilka minut z panem porozmawiać i-inspektorze.

Ułuda? Psychologiczna zagrywka, byle nie wpadł w panikę? A może testowanie jego poczytalności i sprawdzanie roli w całej akcji. Nie. Analityczka brzmiała zbyt naturalnie. Głos jej się łamał, ale niczego nie udawała.

– Jeśli mam być spokojny, niech pani mówi do mnie dalej...

Knap zacisnął pięści.

– Trzyma się pan?

– Jako tako.

– Nie jest pan ranny? Czy na pewno...

– Uspokoi mnie pani, opowiadając, jakim cudem go dorwaliście. Skoro mamy tylko kilka minut...

Nawrocka wypuściła powietrze w mikrofon.

– Edmund znalazł w aktach informację o tym, że Fajsal brał udział w procederze finansowania terr-rrorystów – wyjaśniała, starając się opanować drżenie głosu. – Przed kilkoma miesiącami wznowiono postępowanie prowadzone w tej spra-awie. Wykorzystując swoją kierowniczą pozycję w banku oraz dostęp do kont i rachunków inwestycyjnych klientów, przetransfero-rował ich środki, a ostatecznie zamienił na złoto. Do końca nie rozumiemy całego procederu, nie wiemy, gdzie kruszec jest składowany, ale... A-ale Karot od razu stwierdził, że gdy pojawiają się pieniądze, kwestie ideologiczne nagle tracą na znaczeniu. Poza tym zawsze są inni zainteresowani.

– Pięknie ujęte... Domyślam się, że to Zawada prowadził Fajsala jako agent i o wszystkim się dowiedział?

– Taką wersję przyjęliśmy. Edmund ocenił nagranie z lotniska i z transportu...

– Co wywnioskował? – Knap mocniej zacisnął dłonie na wolancie. Dopóki nie dostał kolejnych komunikatów technicznych, nie zamierzał robić nic więcej.

– Mowa ciała Fajsala zdradzała, że nie miał pojęcia, co się dzieje. Z pewnością nie licz-czył na to, że ktokolwiek będzie się starał go odbić.

– Brawo...

– Wtedy wpadłam na pewien pomysł. – Nawrocka nie kryła satysfakcji. Zawiesiła na moment głos. Jakby przez chwilę zapomniała, że inspektor kieruje się właśnie ku nieuniknionemu. – Testując foniometr, nagrałam nas wszystkich w sali operacyjnej – dodała zaraz. – Rozumie pan?

– Tyle jestem w stanie.

– Nałożyłam na wszystkie głosy filtr. Tak jak mówiłam, nie da się go zdjąć i uzyskać oryginalnego brzmie-mienia, ale można nałożyć filtr na

oryginał i porównać z innym zmodyfikowanym głosem. W tym wypadku zgodność u Zawady wynosiła dzie-dziewięćdziesiąt osiem procent.

– Dziewięćdziesiąt osiem? – Knap starał się skupić na rozmowie. Jednocześnie nie mógł przestać myśleć o tym, jak marne szanse ma na wylądowanie. – To wiele? DNA musi się zgadzać w stu procentach.

– Powiem tak – analityczka odchrząknęła – na próbcie mojego głosu z filtrem i bez, foniometr wykazał dziewięćdziesiąt pięć procent podobieństwa. Zrozumieliśmy, że to na pewno Zawada.

– Dlatego sprawca nie mógł dzwonić...

Wszystkie elementy układały się w całość. Oczywiście stało się, dlaczego zamachowiec nie dzwonił, tylko wysyłał przygotowane wcześniej nagrania. Zawada wiedział, że będzie brał udział w postępowaniu i nie będzie miał możliwości rozmawiać. Strzelili w dziesiątkę, spodziewając się, że jeżeli poznają powód wysyłania maili, znajdą się bliżej sprawcy. Proste rozwiązania były najlepsze.

– Ten podejrzewany, który usiłował uciec...

Nawrocka wyrwała Knapa z zamyślenia.

– Właśnie. Co z nim?

– To Zawada go wystawił. Poinformował go o obserwacji i o tym, że służby chcą go zatrzymać. – Analityczka westchnęła. – Człowiek miał coś za u-uszami, więc spanikował i chciał prysnąć. Ślady materiałów wybuchowych w jego mieszk-kaniu to też pewnie sprawka Zawady.

Knap rozejrzał się po kabinie. Samolot wyleciał z chmur i do środka wpadało słońce. Paradoksalnie, w jego świetle zakrwawione zwłoki wyglądały jeszcze bardziej makabrycznie. Wzdrygnął się i skupił na wolancie.

Przypomniał sobie, że Zawada przez cały czas korzystał z dwóch telefonów. Na jednym z nich przeglądał systemy monitoringowe. Autobus, budynek Orange, może nawet komendy... Gdy znaleźli się w składzie budowlanym, musiał ukradkiem z drugiego telefonu zadzwonić na podrzuconą komórkę i aktywować tym samym bombę. Pewnie chciał w ten sposób sprowadzić kolejne fałszywe tropy i zyskać więcej czasu.

Próby nawiązania nici porozumienia z inspektorem również były zapewne skierowane na mydlenie oczu. Szopka odegrana na lotnisku ocierała się

o perfekcję. Knap był przekonany, że agent naprawdę postanowił zostać bohaterem. Perfekcyjna robota.

– Muszę przekazać mikrofon k-kontrolerowi. – Głos Nawrockiej drżał. Nie powstrzymała łkania. – Zbliża się pan do lotniska...

Knap zeszywniał. W jednej chwili oblał go lodowaty pot, a żołądek się zacisnął. Miał ochotę wymiotować, choć wiedział, że nie ma czym.

Niespodziewana myśl zaprzątnęła mu umysł. Musiał ją wyrzucić z siebie. Jeżeli miał się skupić na próbie wylądowania albo czymkolwiek innym musiał to teraz powiedzieć.

– Chyba się w pani zakochałem.

Po raz drugi w ciągu kilku godzin mówił o kochaniu. I to nie o miłości do bliźnich, ale najszczerzej ludzkiej miłości płonącego serca. Do syna i do...

Zastanawianie się nie miało sensu. Po raz pierwszy od śmierci żony poczuł się dobrze w towarzystwie kobiety. Po raz pierwszy kobieta dodawała mu otuchy.

Delikatnie odepchnął wolant. Samolot zniżył się o kolejne kilka metrów. Zaczął się trząść i stawiać opór.

– Jeśli mam dolecieć nad to lotnisko, niech pani ze mną rozmawia. Takie przygotowanie na śmierć to przyjemność. Nie agonia, ale kołysanka przed wiecznym snem.

– Na razie lepiej niech pan nie zasypia. Jest środek dnia. Trzecia po południu, Wielki Piątek, dziewiętna-tnaście stopni na plusie, kijowa pogoda i... Jezu, niech pan wyląduje cały, inspektorze...

– Pomódlmy się za to.

– Oddaję mikrofon kontrolerowi... Przepraszam.

Knap poczuł, że po policzku ścieka mu łza. A może była to jedynie kropla krwi spod podbitego oka? Otarł ją wierzchem dłoni i spojrzał pod światło. Pozostała na niej jedynie perliska, szklista smuga.

Płakał.

**Całe szczęście burza minęła Warszawę tuż przed piętnastą. Zostawiła po sobie połamane gałęzie, opadnięte liście i strugi wody lejące się do studzienek kanalizacyjnych. Kilka ulic było odciętych, kilka podtopionych, a samochody utknęły w kilometrowych korkach.**

Mimo tego kierowcy nie zachowywali się nerwowo. Wyszło słońce i zrobiło się ciepło. Najonizowane powietrze było rześkie, a delikatny wiatr szybko osuszał fasady budynków. Oddalające się dudnienie grzmotów potwierdzało, że burza skończyła się na dobre.

Odkąd przed paroma minutami podano informację o schwytaniu zamachowca, na twarzach przechodniów pojawił się spokój. Znikło napięcie ostatnich godzin, warszawiacy zwolnili kroku, a ich spojrzenia przestały być nerwowe i czujne. Nie przypominali już spłoszonych zwierząt gotowych w każdej chwili na strzał kłusownika.

Tłum przed katedrą gęstniał. Pojawiły się kolejne intencje, które zostaną wzniesione podczas misterium Męki Pańskiej. Niewinne ofiary, wojna religii, prześladowania chrześcijan. Bohaterowie, którzy polegli na służbie. Chwała bohaterom.

Trzech księży podtrzymywało wielki krzyż z umęczonym Chrystusem. Szeptali, zerkając na zegarki. Biskup już się pojawił, ale ze względu na utrudnienia drogowe i wzmożoną obecność służb porządkowych planowano odczekać jeszcze kilka minut. Zgromadzeni wokół wierni modlili się głośno. Ktoś zaintonował hymn, ale ostatecznie rozpoczęto śpiewać „Boże, coś Polskę...”. Patriotyczna pieśń bardziej pasowała do tej chwili.

Kilka minut później Droga Krzyżowa się rozpoczęła. Szesnaście tysięcy ludzi ruszyło ku wspomnieniu męczeństwa Jezusa. Ponad dwa tysiąclecia później i kilka tysięcy kilometrów dalej. Najnowsze wiadomości pozwalały przeżywać uroczystość bez strachu. Co prawda pozostał szok i niedowierzanie, lecz życie stolicy wracało do normy.

W oddali jednak wciąż dymiło się piętro Pałacu Kultury, a splątane szczątki autobusu zalegały na ulicy. Setki policjantów pracowały w pocie czoła nad tym, by przywrócić spokój. Politycy uwijali się, by przekuć porażki w sukces, a ponad milion ludzi śledziło telewizyjne relacje na żywo. Wejścia prezenterów i nowe fakty ukazywały się jednak coraz rzadziej.

Stacja pierwsza. Pan Jezus na śmierć skazany.

„Duch zaś otwarcie mówi, że w czasach ostatnich niektórzy odpadną od wiary, skłaniając się ku duchom zwodniczym i ku naukom demonów”.

Biblijny cytat skłaniał do refleksji. Ludzie w zadumie spoglądali na duchownego, na wleczonego na krzyżu Chrystusa i w rozpogadzające się niebo. Wielu z nich miało parasolki.

Nikt nie zwrócił uwagi na skórzaną torbę zawieszoną na kratce studzienki kanalizacyjnej. Strumienie wody ściekały na nią i spływały po żłobionym napisie „Cinnamon Elephant”.

Wskazówki zegarka biskupa wskazały, że właśnie minęła piętnasta.

—= Fade to black =—



# SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

## **ODCINEK 1. PILOTAŻOWY**

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.

## **ODCINEK 2.**

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.

- 8.
- 9.
- 10.

### **ODCINEK 3.**

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.

### **ODCINEK 4.**

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.

### **ODCINEK 5.**

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.

- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.

## **ODCINEK 6.**

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.

## **ODCINEK 7.**

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.

## **ODCINEK 8.**

- $\leq 1$ .

- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.

### **ODCINEK 9.**

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.

### **ODCINEK 10.**

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.

10.

11.

Karta redakcyjna

Copyright © by Max Czornyj, 2019  
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2021

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Korekta: Joanna Pawłowska  
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-193-7

**FILIA**

Wydawnictwo Filia  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona  
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.